ZESZYT OSIEMDZIESIĄTY CZWARTY

ZESZYTY HISTORYCZNE

INSTYTUT  LITERACKI

PARYŻ 1988

ZESZYT OSIEMDZIESIĄTY CZWARTY

ZESZYTY HISTORYCZNE

INSTYTUT  LITERACKI

PARYŻ 1988

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 441

ISSN 0406-0393

ISBN 2-7168-0108-8

IMPRIME EN FRANCE

Editeur: INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L.,
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
par 78600 MAISONS-LAFFITTE

Z. S. SIEMASZKO

BISKUP WILEŃSKI (1918-1925) MATULEWICZ NA TLE ÓWCZESNYCH STOSUNKÓW POLSKO-LITEWSKO-BIAŁORUSKICH

UWAGI WSTĘPNE

Na wstępie tego opracowania pragnę wyrazić dwa zastrzeżenia.

Po pierwsze, w moim pojęciu Kościół ma dwa oblicza — boskie i ludzkie. Boskie oblicze dotyczy spraw wiary, zbawienia i zasad etycznych. W tej dziedzinie Kościół jest nieomylny i nie podlega krytyce i ocenie. Natomiast ludzkie oblicze Kościoła, obejmujące sprawy administracyjne, organizacyjne, personalne itp. jest omylne i może być oceniane i krytykowane tak jak każda inna organizacja kierowana przez ludzi.

Po drugie, ci którzy zostają ogłoszeni przez Kościół jako błogosławieni lub święci, nie stają się uduchowionymi aniołami, jak się ich niekiedy przedstawia, w dalszym ciągu pozostają ludźmi i jako tacy podlegają krytyce i ocenie.

Opierając się na tych założeniach nie waham się przed wyrażaniem w tym opracowaniu szeregu krytycznych uwag dotyczących zarówno ludzkiego oblicza Kościoła, jak i osoby bpa Matulewicza, który został ogłoszony przez Jana Pawła II jako błogosławiony 28 czerwca 1987, w dniu obchodów 600-lecia chrześcijaństwa na Litwie[1].

---

1. Uroczystości beatyfikacyjne miały miejsce zarówno w Rzymie jak i w Wilnie. W bazylice św. Piotra na Watykanie mszę św. koncelebrował Jan Paweł II, w Wilnie natomiast uroczyste msze św. zostały odprawione w sześciu kościołach, w dwu spośród nich kazania zostały wygłoszone po

Wreszcie chciałbym nadmienić, iż opracowanie to ma pewien wydźwięk osobisty, gdyż urodziłem się i zostałem ochrzczony w diecezji wileńskiej (parafia duniłowicka), kiedy ordynariuszem tej diecezji był bp Matulewicz.

SYTUACJA KOŚCIOŁA W ZABORZE ROSYJSKIM

Pod koniec XIX wieku unici w zaborze rosyjskim już nie istnieli. Zostali oni całkowicie włączeni do prawosławia, które było ściśle kontrolowane przez administrację państwową. Podobnie władze carskie coraz skuteczniej ingerowały w działanie Kościoła katolickiego, w czym dopomagało im to, że większość księży otrzymywała państwowe pensje. Władze carskie usiłowały również obniżyć wykształcenie księży do poziomu popów prawosławnych. W tym celu zredukowano do czterech klas gimnazjum (ośmioklasowego) wymagania wstępne do seminariów diecezjalnych. I chociaż wielu alumnów wstępowało w dalszym ciągu do seminariów po zdaniu pełnej matury, były one uznawane jedynie za średnie zakłady naukowe. Wyselekcjonowani seminarzyści, czy też świeżo wyświęceni księża, mogli uzyskać państwowe lub diecezjalne stypendia na wyższe studia w jedynej na terenie carskiej Rosji katolickiej Akademii Duchownej w Petersburgu. Kurs magisterski trwał tam cztery lata, językiem wykładowym była łacina i nauczanie pozostało pod kontrolą państwowego wydziału wyznań.

Akademia ta powstała w ten sposób, że przy likwidacji po powstaniu listopadowym uniwersytetu wileńskiego, pozostawiono dwa wydziały — teologii i medycyny. Wkrótce potem teologię przeniesiono do Petersburga, a medycynę do Kijowa[2].

Wyższe studia teologiczne poza granicami Rosji były poważnie utrudnione i jedynie w niektórych wypadkach udawało się księżom z rosyjskiego zaboru ukończyć studia za granicą. Władze carskie były szczególnie podejrzliwe w stosunku do studiów w Watykanie i w Innsbrucku, natomiast nieco bardziej tolerancyj-

---

polsku, przez bpa Micheleviciusa u św. Ducha i przez bpa Sladkeviciusa u św. Rafała. Główne uroczystości miały miejsce w katedralnym kościele św. Piotra i Pawła na Antokolu, gdzie celebransem był abp Povilonis. W czasie tych uroczystości abp Povilonis poświęcił, w obecności przewodniczącego komitetu do spraw religii przy Radzie Najwyższej ZSSR, pamiątkową tablicę z okazji 600-lecia chrześcijaństwa. Jedynym biskupem zza granicy był Roman Andrzejewski z Włocławka, który przebywał w Wilnie prywatnie. Brał on udział w uroczystościach w kościele św. Ducha.

2. Dalsze dane o petersburskiej Akademii można znaleźć we wspomnieniach ks. Skalskiego, str. 73 i dalsze.

ne wobec wydziałów teologii w szwajcarskim Fryburgu, czy też belgijskim Louvain.

Jednocześnie po upadku powstania styczniowego przystąpiono do likwidacji wszystkich katolickich zakonów. Jedne z nich rozwiązywano na miejscu, a inne skazywano na powolne wymieranie przez nakaz likwidacji nowicjatów. Tak właśnie postąpiono w stosunku do zakonu Marianów, którym kazano zgrupować się w Mariampolu i w praktyce powoli wymierać, z powodu zakazu rekrutacji nowych zakonników[3].

W tej sytuacji powstawały tajne zakony. Organizatorem i opiekunem żeńskich tajnych zakonów był kapucyn ks. Honorat Kozmiński. W porozumieniu z nim Feliksa Kozłowska założyła w 1887 roku w Płocku niewielkie zgromadzenie Klarysek. Około dziesięciu lat potem, wraz z kilkunastu księżmi, na których czele stał ks. Jan Kowalski, założyła Kozłowska zgromadzenie Mariawitów. Ruch ten początkowo cieszył się poparciem niektórych czynników kościelnych, na przykład popierał go jeden z rektorów Akademii Duchownej w Petersburgu (1901-1907), ks. Longin Żarnowiecki. Ks. Matulewicz był również z tym ruchem w pewnym sensie związany, gdyż w 1903 roku publikował swoje artykuły w czasopiśmie *Maryawita*[4] W 1907 roku Pius X potępił Mariawitów[5].

Pomimo, że w 1882 został zawarty konkordat pomiędzy Rosją i Watykanem, nie zostały nawiązane normalne stosunki dyplomatyczne i nie było w Petersburgu nuncjusza apostolskiego. Jednocześnie władze carskie dążyły usilnie do odcięcia Kościoła w granicach swego państwa od Watykanu i utrudniały komunikowanie się hierarchii katolickiej ze Stolicą Apostolską.

Z drugiej strony należy zwrócić uwagę na to, że Kościół w ówczesnej Kongresówce (czyli w Polsce centralnej), jak również na Litwie historycznej nie miał w Watykanie swojego przedstawiciela. Jeżeli więc administracja kurialna Watykanu chciała zasięgnąć opinii w sprawach Kościoła na terenach należących do

---

3. Zakon Marianów został założony przez ks. Stanisława Papczyńskiego w drugiej połowie XVII wieku. Ten pierwszy zakon męski założony na terenie Polski był poświęcony Niepokalanemu Poczęciu N. M. Panny. Miał on surowe zasady. Jego członkowie byli znani jako „biali" Marianie, od koloru ich habitów.

4. Jeden z autorów, ks. Proczek podaje, iż *Maryawita* był kieleckim czasopismem diecezjalnym. Jednak jest to mało prawdopodobne.

5. Dzieje Mariawitów zostały obszernie opisane przez Jerzego Peterkiewicza w pracy pt. „The Third Adam". *Vide:* bibliografia podana na końcu tego opracowania.

Rosji, nie miała do kogo się zwrócić[6]. W tej sytuacji informacje dotyczące Kościoła w zaborze rosyjskim, które docierały do Rzymu były nieraz „niejasne, błędne i nieprawdziwe" (Matulewicz, str. 164) i nie wiadomo było, komu ufać.

W owym czasie jednym z niewielu, jeżeli nie jedynym polskim funkcjonariuszem Kurii Rzymskiej był ks. Adam Sapieha (późniejszy arcybiskup krakowski). Kiedy ks. Jerzy Matulewicz przybył do Rzymu w listopadzie 1911 roku, Sapieha proponował mu, żeby pozostał tam na stałe, jako reprezentant Kościoła w Rosji, na Litwie i w Królestwie Polskim. Stwierdzał jednocześnie, że ówczesny Ojciec św. Benedykt XV zatwierdzi tego rodzaju nową funkcję, a biskupstwa galicyjskie dostarczą konieczne środki finansowe. Jednak po namyśle Matulewicz odmówił, proponując na to stanowisko swego kolegę ks. Henryka Przezdzieckiego (podówczas proboszcza w Łodzi, późniejszego biskupa podlaskiego). Jednak sprawa reprezentowania przy Watykanie Kościoła w cesarstwie rosyjskim nie posunęła się dalej, głównie dlatego, że wkrótce Sapieha został mianowany biskupem krakowskim i opuścił Rzym.

Tymczasem do końca XIX wieku Kościół katolicki na terenach dawnego Wielkiego Xięstwa Litewskiego, oprócz łaciny, posługiwał się wyłącznie językiem polskim. Po polsku modliła się nie tylko elita, mówiąca w domu tym językiem, ale również ci, którzy mówili w domu po białorusku lub litewsku. Jednak pod koniec XIX wieku zaczęły następować w tej dziedzinie zmiany, spowodowane w pierwszym rzędzie ruchami nacjonalistycznymi, szczególnie wśród Polaków i Litwinów. Polacy coraz częściej zaczęli twierdzić, że Polak i katolik to są pojęcia wymienne (czyli, że katolik musi być Polakiem) i że pojęcie „Polska" nie obejmuje tych, którzy nie są w pełni Polakami. Natomiast księża litewscy, wywodzący się przeważnie z ludu (który uległ o wiele mniej wpływom polonizacyjnym niż wyższe warstwy litewskie) angażowali się w separatystyczną działalność litewską. Nacjonaliści litewscy widzieli tylko jedno niebezpieczeństwo, polonizację, natomiast mieli pozytywne nastawienie i uzyskiwali poparcie zarówno ze strony Niemiec, jak i Rosji.

Inaczej przedstawiał się rozwój tendencji nacjonalistycznych na terenach białoruskich. Robił on o wiele wolniejsze postępy i za-

---

6. Rezydował co prawda wówczas w Rzymie ks. Kazimierz Skirmuntt z diecezji krakowskiej, który miał informować Kurię Rzymską o sytuacji Kościoła w Polsce, ale nie był on zorientowany w tym, co działo się w zaborze rosyjskim. Później był do 1931 roku doradcą prawnym polskiej ambasady. Po nim funkcję tę objął ks. Walerian Meysztowicz.

kres jego był o wiele mniejszy. Białoruski nacjonalizm obracał się nie tylko przeciw polonizacji, ale również, a może nawet jeszcze bardziej, przeciwko rusyfikacji, która zaczęła zagrażać coraz bardziej. Dlatego, w przeciwieństwie do litewskiego ruchu narodowego, nie miał on dobrych stosunków z Rosją, a z Niemcami nie posiadał poważnych kontaktów.

O ile nacjonalistyczne tendencje na Litwie były ściśle związane z parafiami katolickimi, o tyle na Białorusi, podzielonej religijnie pomiędzy katolicyzm i prawosławie, działalność narodowa była raczej związana z partiami politycznymi, a w szczególności z socjalistami i z frakcją rewolucyjną PPS Piłsudskiego.

Niektóre środowiska polskie popierały ruch narodowy białoruski, chcąc przez to zapobiec rusyfikacji tych, którzy mówili w domu po białorusku. Natomiast niewielu Polaków popierało ruch narodowy litewski, dlatego że dominowało przekonanie, iż prowadzi on do rozbicia dawnej wspólnoty, panującej w przedrozbiorowej Rzeczypospolitej.

Tendencje nacjonalistyczne pojawiły się pod koniec XIX wieku nie tylko na dawnych terenach Rzeczypospolitej, ale również w wielu innych krajach Europy. W związku z tym papież Leon XIII (1878-1903) wydał bullę, nakazującą używanie w celach nauczania i katechizacji języków, którymi posługiwali się wierni. Spolonizowana elita litewska i białoruska protestowała przeciwko wprowadzaniu tej zasady w życie, ale sytuacja na terenach litewskich wyglądała inaczej niż na terenach białoruskich. Na Litwie reforma ta miała silne poparcie księży i częściowo ludności wiejskiej, natomiast na Białorusi księża (chociaż często pochodzący „z ludu") byli mniej skłonni do wprowadzania języka białoruskiego, a i chłopi, mówiący w domu po białorusku, uważali w większości wypadków, iż modlić się należy po polsku. Jedynie niewielka liczba Białorusinów zainteresowanych uświadamianiem narodowym poparła wprowadzanie białoruskiego do liturgii kościelnej.

Początkowo władze carskie nie ingerowały w te sprawy, ale kiedy państwo carskie okrzepło po wojnie japońskiej i rozruchach rewolucyjnych 1905 roku, ustosunkowały się inaczej do tego zagadnienia na Litwie, a inaczej na Białorusi. Nie wprowadziły ograniczeń w stosunku do języka litewskiego, natomiast zakazały posługiwania się językiem białoruskim w kościołach katolickich[7].

---

7. Podobnie obecnie władze sowieckie są względnie tolerancyjne w stosunku do Kościoła na Litwie, natomiast utrudniają we wszelki możliwy sposób działanie Kościoła katolickiego na Białorusi i starają się nie dopuścić do

Nacjonalizm litewski przybierał najostrzejsze formy nie w wielkich miastach, jak Wilno czy Kowno, ale na wsi i w miasteczkach, a w pierwszym rzędzie na terenie ówczesnej północnej Suwalszczyzny, w skład której wchodziły miasta Wiłkowyszki (Vilkviskis), Mariampol (obecnie Kapsukas — od nazwiska litewskiego komunisty) i znana polskim wojskowym z okresu internowania w latach 1939-1940 Kalwaria (Kalvarija). Przed pierwszą wojną światową zarówno ta północna część Suwalszczyzny, jak i południowa, z miastami Suwałki i Sejny, wchodziła w skład Królestwa Kongresowego. Z punktu widzenia carskiej administracji tereny te stanowiły gubernię suwalską, a z punktu widzenia Kościoła diecezję sejneńską. Polaków szczególnie drażnił fakt, iż jeden z najbardziej aktywnych litewskich ośrodków separatystycznych powstał na terenie tzw. Kongresówki[8].

KSIĄDZ

Cztery kilometry na północ od Mariampola urodził się 13 kwietnia 1871 we wsi Lugine, jako ósme dziecko, w rodzinie Matulaitisów chłopiec, któremu dano na imię Jerzy Bolesław[9]. Obrządku chrzestnego dokonał ówczesny generał zakonu Marianów w Mariampolu. Mając trzy lata stracił Jerzy ojca, a mając dziesięć lat matkę, został więc pod opieką najstarszego brata[10]. Do pierwszej komunii św. przygotowywał go ostatni generał zakonu „białych" Marianów, ks. Wincenty Sękowski. Po skończeniu szkoły powszechnej uczęszczał Jerzy do gimnazjum (oczywiście rosyjskiego) w Mariampolu. Jednak mając 17 lat musiał

---

tego, żeby Kościół na tych terenach posługiwał się językiem białoruskim, chcąc odciąć go od ludności posługującej się na co dzień tym językiem. Resztki Polaków tam zamieszkałych są, tak jak dawniej, przeciwne wprowadzaniu języka białoruskiego do liturgii katolickiej, sądząc, że Kościół katolicki powinien być Kościołem polskim.

8. Po pierwszej wojnie światowej północna Suwalszczyzna należała do Litwy, natomiast południowa do Polski. Po drugiej wojnie światowej nie było w tym podziale zmiany. Litwini skupieni w okolicy Sejn byli jednym z dwu ośrodków litewskich (drugi był koło Święcian - Łyngmiany i Kołtyniany) w Polsce niepodległej, a obecnie w PRL są już jedynym ośrodkiem tego rodzaju.

9. O ile imię Jerzy jest dość często spotykane wśród Litwinów, o tyle Bolesław jest raczej rzadkim imieniem. Można stąd wnioskować, że rodzice Jerzego nie mieli antypolskich zahamowań. Podobnie trudno oczekiwać, żeby „biali" Marianie mieli skłonności antypolskie.

10. Na ówczesnej wsi litewskiej panowały stosunki patriarchalne. Wola ojca, czy też opiekuna, starszego brata nie była kwestionowana.

przerwać dalszą naukę, częściowo na żądanie brata-opiekuna, a częściowo ze względu na ranę w nodze, którą lekarze w trudem zdołali zaleczyć. Porzucił więc nie tylko naukę, ale i swój zamiar zostania księdzem i pomagał bratu w gospodarstwie[11].

Sytuacja ta trwała jedynie rok, gdyż latem 1889 przybył do Lugine stryjeczny brat Jerzego, Jan Matulewicz, profesor języków klasycznych w gimnazjum w Kielcach i języka rosyjskiego w kieleckim seminarium. Za zgodą rodziny zabrał Jerzego ze sobą do Kielc, umożliwił mu tam zdanie matury i wstąpienie do kieleckiego seminarium. Jednocześnie, podobnie do swego kuzyna, Jerzy zmienił brzmienie swego litewskiego nazwiska Matulaitis na polsko brzmiące Matulewicz, którym posługiwał się do końca życia, z tym że w późniejszym okresie, w środowisku litewskim, używał zlitwinizowanej formy tego nazwiska — Matulevicius[12].

W 1895 roku biskup kielecki Tomasz Kuliński, któremu Matulewicz podlegał, przeniósł go, jako zdolnego seminarzystę, do Akademii Duchownej w Petersburgu. W 1898 Matulewicz został wyświęcony na księdza, a w następnym roku skończył studia i powrócił do Kieleckiego, gdzie pracował na parafii. Ale w kilka miesięcy później odezwały się bóle w nodze i został wysłany na kurację do Niemiec, a potem do Szwajcarii, gdzie ustalono, że jest to gruźlica kości i przeprowadzono operację. Po zabiegach lekarskich ks. Matulewicz rozpoczął studia we Fryburgu, uzyskując tytuł doktora teologii w 1902 roku. Latem tegoż roku powrócił do Kielc, gdzie został wykładowcą prawa kanonicznego i łaciny na seminarium kieleckim.

Okres pracy w diecezji kieleckiej nie trwał jednak długo, gdyż w 1904 roku choroba odezwała się znowu. Tym razem dr Sawicki przeprowadził w szpitalu Przemienienia Pańskiego w Warszawie bolesną, ale skuteczną kurację, polegającą na wstrzykiwaniu jodu do kości lewej ręki i nogi. Po tych zabiegach choroba już nie odezwała się. Okres rekonwalescencji przeszedł ks. Matule-

---

11. Autorzy licznych życiorysów bpa Matulewicza sugerują, że pochodził on z niezamożnej rodziny chłopskiej. Można wątpić w ścisłość tych stwierdzeń, gdyż jeden ze starszych braci Jerzego, Andrzej, studiował na uniwersytecie w Petersburgu, jego brat stryjeczny był nauczycielem gimnazjum w Kielcach, a brat cioteczny mieszkał w 1911 roku w Szwajcarii. Stąd można wnioskować, że chociaż pracująca na roli, była to jednak zamożna rodzina, a zdjęcie wnętrza domu mieszkalnego (*vide* „Beatification...") potwierdza to przypuszczenie.

12. Proces beatyfikacyjny, rozpoczęty w maju 1953, początkowo został zarejestrowany pod nazwiskiem Matulewicz, później dodano dwie inne formy, tak iż ostateczna rejestracja brzmi: Matulewicz-Matulaitis-Matulevicius.

wicz w zakładach hr. Cecylii Zyberg-Plater w Warszawie na ul. Pięknej i w Chyliczkach[13]. Przez trzy lata (1905-1907) spełniał tam rolę katechety, a jednocześnie brał udział w organizowaniu ruchu chrześcijańsko-robotniczego w Warszawie i studiował zagadnienia społeczne opierając się o encyklikę *Rerum novarum* papieża Leona XIII. Dzięki temu, kiedy w 1907 został otwarty wydział socjologii w Akademii Duchownej w Petersburgu, powołano go na wykładowcę. Pozostał tam do roku 1911. Przez ostatni rok był wicerektorem Akademii.

Stopniowo doszedł ks. Matulewicz do wniosku, iż w celu utrzymania katolicyzmu w Rosji należy w pierwszym rzędzie utrzymać zakony, a ponieważ formalnie były one zakazane, należało popierać rozwijające się tajne zakony. Myśl ta zbiegła się z chęcią ratowania zakonu Marianów, wymierającego w Mariampolu. W czasie wakacji 1908 roku udał się tam ks. Matulewicz i przekonał staruszka ks. Sękowskiego o słuszności swych zamiarów. Rok później, w sierpniu 1909, wobec biskupa Ruszkiewicza, który opiekował się tajnymi zakonami i w obecności ks. Sękowskiego, złożył ks. Matulewicz w Warszawie śluby zakonne, bez uprzedniego przejścia przez nowicjat zakonu Marianów. Od tego czasu ks. Matulewicz stawiał swe obowiązki w stosunku do Marianów na czołowym miejscu. W ciągu następnego roku ks. Matulewicz opracował nową konstytucję zakonu, przystosowaną do konspiracyjnych warunków i nowoczesnych wymogów. Znosiła ona nie tylko biały habit dawnych Marianów, ale również wiele ścisłych przepisów i zmieniła charakter zakonny na luźne zgromadzenie księży, z obieralnym (a nie dożywotnim) na kilkuletni okres czasu, generałem[14]. Ta nowa reguła Zgromadzenia Marianów została przez Watykan zatwierdzona. Zanim się to stało, ks. Matulewicz zorganizował, w pierwszym rzędzie w ramach Akademii w Petersburgu, tajny nowicjat złożony z kilku księży, o istnieniu którego był poinformowany jedynie administrator diecezji mohylewskiej, której Akademia podlegała.

Po okresie częściowego rozluźnienia, spowodowanego rewolucją 1905 roku, obostrzenia w stosunku do katolickiej działalności zostały znowu zaostrzone. Na skutek tego ks. Matulewicz

---

13. W Chyliczkach koło Piaseczna prowadzono szkołę rolniczą, w której kaplicę obsługiwał lokalny proboszcz, ks. Feliks Matulewicz, stryj ks. Jerzego. Ks. Jerzy był więc prawdopodobnie znany w Chyliczkach przynajmniej od pogrzebu stryja w grudniu 1902, na który przyjechał do Piaseczna.

14. Zmiany te były tak poważne, że w opinii niektórych środowisk obecne Zgromadzenie Marianów nie jest kontynuacją zakonu „białych" Marianów. *Vide:* Kołodziejski.

zdecydował, że nie powinien narażać Akademii prowadząc na jej terenie tajny nowicjat Zgromadzenia Marianów i że należy zorganizować nowicjat poza Rosją. Z tego powodu zrezygnował w 1911 roku z zajmowanych funkcji w Akademii, uzyskał zgodę władz na swój wyjazd do Fryburga i tam zaczął organizować nowicjat spośród księży i kleryków, przebywających na Zachodzie. Oczywiście wszystkie te posunięcia odbywały się za aprobatą wtajemniczonych władz kościelnych.

W listopadzie 1911 roku ks. Matulewicz odwiedził Rzym, gdzie spotkał wiele znanych osobistości, między innymi abpa Józefa Teodorowicza, późniejszego kardynała Adama Sapiehę i generała zakonu Jezuitów, ks. Włodzimierza Ledóchowskiego. Tam też 24 listopada 1911 przy grobie św. Piotra złożył prywatną przysięgę, że ze wszystkich sił będzie się starał, żeby ani on sam, ani też członkowie jego zgromadzenia „nie służyli żadnym celom pobocznym: politycznym, narodowościowym, czy innym, a jedynie Bogu, Kościołowi i zbawieniu duszy " (Matulewicz, str. 160). Wydaje się, że przez resztę życia został tej przysiędze wierny.

W 1913 roku ks. Matulewicz odwiedził ośrodki mariańskie w Chicago i Brooklynie w Stanach Zjednoczonych. Następnego roku wiosną wyjechał z Fryburga do Kowna i Warszawy z rekolekcjami i tu zastał go wybuch pierwszej wojny światowej, która odcięła go od Szwajcarii. W sierpniu 1915 Niemcy zajęli Warszawę, co ułatwiło katolickie działanie. Przy pomocy abpa warszawskiego Aleksandra Kakowskiego, z którym wspólnie w latach 1910-1911 kierowali Akademią Duchowną w Petersburgu, ks. Matulewicz uzyskał dla Zgromadzenia Marianów parafię na Bielanach pod Warszawą i przyległe domki pokamedulskie. Zapoczątkował on tam znany później ośrodek wychowawczy[15].

Jesienią 1915 zajęli Niemcy zarówno Kowno jak i Wilno. Front rosyjsko-niemiecki ustalił się na linii Postawy - jezioro Narocz - Smorgonie na przeciąg ponad dwuletni. Jednak dopiero, kiedy armia niemiecka posunęła się znacznie dalej na wschód, ks. Matulewicz mógł udać się przez Wilno do Mariampola, aby tam objąć w posiadanie dawny klasztor mariański. Kiedy 1 marca 1918 przejeżdżał przez Wilno, prałat Kazimierz Michalkiewicz, który był administratorem diecezji wileńskiej, zapytał go, czy przyjechał objąć tę diecezję. Ks. Matulewicz był tym pytaniem zaskoczony, gdyż nie zdawał sobie sprawy z tego, że jego nominacja na to stanowisko była już dyskutowana.

---

15. W latach 30-tych jednym z wychowanków tego zakładu Marianów był Wojciech Jaruzelski.

BISKUP

Należy przypomnieć charakter i dzieje wileńskiej diecezji. Obejmowała ona około 90 tys. km², włączając Wileńszczyznę, Nowogródczyznę, Grodzieńszczyznę i Białostocczyznę, oraz ponad 3 miliony ludności, głównie o charakterze polsko-białoruskim z niewielką ilością Litwinów[16]. W samym mieście Wilnie Litwinów było zaledwie około 2 %, a świadomych swej narodowości Białorusinów jeszcze mniej. Diecezja ta była w poważnym stopniu zaniedbana, gdyż już od przeszło 50 lat nie miała ona stale funkcjonującego biskupa. W czasie powstania styczniowego władze przemocą usunęły bpa Adama Krasińskiego. Mianowany w 1866 bp Karol Hryniewiecki został również usunięty. Mianowany po dłuższej przerwie bp Aleksander Zwierowicz został przez władze też usunięty w 1896 roku. Po długich przetargach wreszcie w 1903 roku Kościół zdołał uzyskać zgodę władz na bpa Edwarda barona von Roppa. Jednak pomimo, że był on członkiem Dumy, został również usunięty w cztery lata później, w 1907[17]. Od tego czasu kierował diecezją wileńską wikariusz kapitulny prałat Kazimierz Michalkiewicz.

Można zastanawiać się, dlaczego Watykan nie zajął się obsadzeniem diecezji wileńskiej z miejsca po zajęciu Wilna przez armię niemiecką w 1915 roku. Mógł się przyczynić do tego fakt, że jedynie część diecezji znalazła się po stronie niemieckiej, a reszta pozostała nadal po stronie rosyjskiej. Poza tym w razie powrotu Rosjan do Wilna (a losy wojny trudno przewidzieć) władze rosyjskie nie uznałyby biskupa mianowanego podczas ich nieobecności.

Można również zapytywać, dlaczego Watykan nie mianował biskupa po abdykacji Mikołaja II w marcu 1917 lub po rewolucji bolszewickiej w październiku 1917. Może w dalszym ciągu czynnikiem hamującym był podział diecezji na dwie części przez front niemiecko-rosyjski, a może przewidywano, że kontrrewolucja odniesie zwycięstwo.

Dopiero, kiedy niemiecka armia przesunęła się daleko na wschód i cała diecezja wileńska znalazła się pod jej władzą, Watykan przystąpił do akcji. Jednak nie było to proste, gdyż

16. Dla porównania województwo wileńskie za czasów Polski niepodległej obejmowało około 29 tys. km kwadratowych i liczyło nieco ponad milion mieszkańców.

17. Był on synem kurlandzkiego Niemca, protestanta i Polki, katoliczki. Na skutek bulli Leona XIII, zaczął wprowadzać w swej diecezji język białoruski. Władze carskie oceniły to jako czynnik powstrzymujący rusyfikację Białorusinów i usunęły bpa Roppa z Wilna.

nie miał on w tej części Europy przedstawiciela; najbliżsi nuncjusze apostolscy znajdowali się w Wiedniu i w Monachium. Należy również pamiętać o tym, że Włochy były po stronie aliantów, co utrudniało kontaktowanie się Watykanu z terenami zajmowanymi przez państwa centralne. Nuncjusz apostolski w Monachium Eugeniusz Pacelli (późniejszy Pius XII) został obarczony problemem obsadzenia biskupstwa wileńskiego. W tym czasie zwrócił się on do ks. Henryka Przeździeckiego w sprawie opinii polskiego episkopatu, o ile chodzi o kandydata na to stanowisko[18].

Ks. Przezdziecki, pisząc do Pacellego 18 maja 1918, scharakteryzował ks. Matulewicza następująco:

Litwin, drogi dla Litwinów i dobrze widziany przez Polaków... Kapłan bardzo pobożny, człowiek wybitnie wykształcony i pokorny. W tych bardzo ciężkich czasach dla diecezji wileńskiej z powodu różnych walk, tylko ten jeden wzorowy kapłan zdolny jest i kler wileński skierować na drogę prawą i wiernych tej diecezji zjednoczyć w prawdziwej miłości chrześcijańskiej. (Proczek nr 504, str. 169).

Jednak pomimo tej rekomendacji sprawy odwlekły się, gdyż w maju 1918 mons. Achilles Ratti (późniejszy Pius XI) został skierowany do Warszawy jako wizytator apostolski na Polskę i Litwę. Wybór osoby był raczej niespodziewany, gdyż dotychczas Ratti był prefektem biblioteki watykańskiej i nie należał do służby dyplomatycznej[19].

Na skutek tej nominacji odpowiedzialność za załatwienie obsady biskupstwa wileńskiego przeszła od Pacellego w Monachium do Rattiego w Warszawie. Ks. Matulewicz protestował, zwracając się w tej sprawie do Pacellego, a jednocześnie pisał do ks. Kulwiecia w kwietniu 1918:

Ja w Wilnie nie dałbym sobie rady, nie wiem czy tam anioł z nieba dogodziłby wszystkim. Naturalnie, wkrótce gdybym tam poszedł, zostałbym okrzyczany i pogrzebany. (Górski, *Tygodnik Powszechny* z 13 lutego 1972).

Interweniowali również u Rattiego przeciw mianowaniu księ-

---

18. Ks. Przezdziecki został w 1911 roku odnotowany w Watykanie, na sugestię ks. Matulewicza, jako ewentualny reprezentant Kościoła w zaborze rosyjskim.

19. Od wyjazdu do Polski zaczęła się zawrotna kariera Achillesa Ratti. W listopadzie 1918, kiedy powstało państwo polskie, został nuncjuszem w Warszawie. W 1921 mianowano go kardynałem i arcybiskupem Mediolanu, a w 1922 został wybrany jako papież. Zmarł w lutym 1939.

ża Marianie. A kiedy 18 października 1918 zawiadomił on kapitułę wileńską o zamierzonej nominacji, w dziesięć dni później otrzymał odpowiedź, iż większość duchowieństwa i wierni są przygnębieni nadesłaną wiadomością, boją się o losy diecezji i mają żal do Stolicy Apostolskiej, że Litwin został wybrany na biskupa wileńskiego. Mimo to jednak Ratti pozostał przy swej decyzji, twierdząc, iż to że Matulewicz wzbrania się przyjąć godność biskupa, jest dowodem, że dokonany wybór jest trafny.

Pismem z 28 października 1918 zawiadomił Ratti formalnie przebywającego w Mariampolu Matulewicza, iż papież Benedykt XV wyznaczył go biskupem wileńskim. Dnia 1 grudnia 1918 odbyła się w Kownie konsekracja biskupia, a 8 grudnia 1918 miał miejsce ingres bpa Matulewicza do katedry wileńskiej[20]. W czasie tej uroczystości przemówił on najpierw po polsku, a potem po litewsku. Najważniejsze jego stwierdzenie brzmiało następująco:

Na wzór Chrystusa będę się starał objąć wszystkich, być wszystkim dla wszystkich. Gotów jestem ponieść śmierć za prawdę. Pragnę być dla was tylko ojcem i pasterzem, naśladować Chrystusa. Polem mojej pracy jest Królestwo Chrystusowe, Kościół wojujący. Moją partią jest Chrystus. (Proczek nr 504, str. 170).

To pierwsze wystąpienie nowego biskupa w Wilnie wywołało z miejsca konflikt. Litwini odwołali bankiet powitalny, który miał się odbyć tegoż wieczoru, z tej racji, że biskup najpierw przemówił po polsku, a potem po litewsku[21]. A Białorusini czuli się dotknięci, że w ich języku nie przemówił wcale. (Nie jest pewne, czy bp Matulewicz znał język białoruski).

Następnego dnia, 9 grudnia 1918, miało miejsce spotkanie z Polakami, w czasie którego, odpowiadając na propozycje składane przez obie strony (tzn. Polaków i ugodowo nastawionych Litwinów) odpowiedział: „Wiem, że trzymając się kanonów nie będę mógł pomóc ani jednej, ani drugiej stronie", a kiedy wznie-

---

20. Konsekracji dokonał bp żmudzki Franciszek Karewicz (Karevicius), który pod koniec swego życia zrezygnował z biskupstwa i został Marianinem. Trudno powiedzieć, czy konsekracja odbyła się w Kownie, a nie w Warszawie ze względu na zrozumiały pośpiech, gdyż Armia Czerwona nie była już daleko od Wilna, czy też w celu podkreślenia, że Wilno powinno być związane z Kownem, a nie z Warszawą.

21. Tytułem Litwinów do pierwszeństwa było głównie to, że władze niemieckie przekazały już w marcu 1918 władzę administracyjną w Wilnie nacjonalistycznej Krajowej Radzie Litewskiej, znanej pod nazwą Taryba.

siono toast, by Matulewicz przyłączył się do idei unii Polski i Litwy, odpowiedział:

Służyłem Polakom mieszkając w Polsce, tu zaś wszystkim będę równo służył. Mogę jako biskup głosić miłość, braterstwo, jedność ludzi, ich godzić, lecz unie polityczne nie w mojej gestii i mocy. (Makowski, str. 79).

Można by wysunąć twierdzenie, iż biskup (podobnie do zwierzchników innych organizacji administracyjnych) powinien oprzeć się na jakimś środowisku w swej diecezji, a jeżeli tego nie uczyni i odetnie się od większości zgrupowań mających pewne znaczenie, nie będzie mógł skutecznie wykonywać swoich funkcji. Tymczasem bp Matulewicz naraził się wszystkim reprezentacjom występującym w Wilnie już w ciągu dwóch pierwszych dni swego biskupstwa — Litwinom-nacjonalistom, bo nie potraktował ich jako najważniejszych, Białorusinom, do których wcale nie przemówił, Polakom-nacjonalistom, dla których jako Litwin był nie do przyjęcia, oraz Polakom-„krajowcom" i ugodowo nastawionym Litwinom, którzy reprezentowali tradycje wielonarodowej Rzeczypospolitej i z którymi najłatwiej mógłby się porozumieć, ale ich sugestie o politycznej unii odrzucił.

Sprawa obsadzenia biskupstwa wileńskiego ciągnęła się od lutego do grudnia 1918. W tym czasie zaszło wiele niezmiernie ważnych wypadków. W listopadzie 1918 państwa centralne załamały się. Dnia 11 listopada w Warszawie zaczęło organizować się niepodległe państwo polskie. Jednocześnie na Litwie powstawało oddzielnie niepodległe państwo litewskie, uważające Wilno za swoją stolicę. Armia niemiecka rozpoczęła wycofywanie się ze wschodu i powrót *in die Heimat,* a w ślad za nią posuwała się Armia Czerwona. W grudniu 1918 była już niedaleko Wilna, w którym władze niemieckie przygotowywały się do ostatecznego przekazania miasta litewskiej Tarybie, a komitet bolszewicki szykował się do przywitania Czerwonej Armii. Polacy natomiast organizowali Samoobronę Wileńską, która miała bronić miasta przed bolszewikami. Dowodził nią gen. Wejtko.

Zaraz po Bożym Narodzeniu 1918 Czerwona Armia podeszła pod Wilno. Litewska Taryba uciekła do Kowna. Polacy wystrzelali komitet bolszewicki i przez kilka dni skutecznie bronili miasta. Nie mogąc jednak podołać, w pierwszych dniach stycznia 1919 wycofali się na zachód i rozbrojeni przez Niemców, przedostali się na tereny znajdujące się pod polską kontrolą. Jedynie oddziały braci Dąbrowskich broni nie złożyły i prowadziły walki partyzanckie na Kresach aż do wiosny 1919.

Na Wielkanoc 1919 roku Wilno zajęły wojska polskie i przebywały w nim do lata 1920 roku. W tym okresie, 11 października 1919, odbyła się uroczysta inauguracja uniwersytetu wileńskiego, któremu Piłsudski nadał nazwę Uniwersytetu Stefana Batorego. Podpisy pod aktem wskrzeszenia uniwersytetu złożyli między innymi Piłsudski, arcybiskupi Sapieha z Krakowa i Teodorowicz ze Lwowa, biskup miński Zygmunt Łoziński i biskup wileński Jerzy Matulewicz. Latem 1920 roku wojska polskie wycofały się z Wilna bez walki. Miasto zajęły 14 lipca oddziały sowieckie. 25 sierpnia został zawarty układ litewsko-sowiecki, na podstawie którego Wilno wraz z przyległymi terenami zostało odstąpione Litwie. W połowie sierpnia Armia Polska stawiła skuteczny opór i wojska sowieckie zostały wyparte na wschód, jednak Wilno pozostało w rękach litewskich. Po zawieszeniu broni z Sowietami oddziały litewsko-białoruskie Armii Polskiej pod dowództwem gen. Żeligowskiego „zbuntowały się" i zajęły Wilno wraz z przyległymi terenami, tworząc na tym obszarze nowe państwo, Litwę Środkową.

Niektórzy politycy twierdzili później, iż „zbuntowane" wojska Żeligowskiego powinny były zająć całą Litwę[22]. Piłsudski mógłby to przeprowadzić i z pewnością znalazłby umiarkowanych Litwinów, którzy zechcieliby współpracować. Ale nie zlikwidowałoby to istnienia litewskich fanatyków, którzy mogliby przejść do akcji terrorystycznej, co stworzyłoby sytuację podobną do tej, jaka obecnie panuje w północnej Irlandii. Piłsudski był praktycznym politykiem i widocznie rozumiał, że siłą nie rozwiąże się problemu litewskiego[23].

---

22. Zwolennikiem tego rodzaju postępowania był zarówno konserwatysta Władysław Studnicki, jak i endek Jan Obst, redaktor *Dziennika Wileńskiego* i jeden z głównych krytyków bpa Matulewicza.

23. O praktycznym podejściu Piłsudskiego do zagadnień narodowościowych świadczy na przykład relacja Zdzisława Grocholskiego z Pietniczan koło Winnicy, którą usłyszałem z jego ust w latach 60-tych, w czasie jednej z jego wizyt w Londynie.

Na początku 1920 Grocholski przybył do Warszawy jako pierwszy przedstawiciel atamana Semena Petlury w celu nawiązania kontaktu z Piłsudskim. W czasie pierwszego spotkania wywiązała się w przybliżeniu taka wymiana zdań:

— Panie Hrabio, czy ten Petlura to ukraiński fanatyk, czy też karierowicz?

— Panie Marszałku, jeżeli mam wybierać jedynie między tymi dwiema możliwościami, to raczej należałoby zakwalifikować go jako karierowicza.

— A to dobrze. Jeżeli tak, to może i dogadamy się, bo gdyby był nacjonalistycznym fanatykiem, byłoby trudno.

Pisząc w swym pamiętniku o ciągłych zmianach rządów w Wilnie, bp Matulewicz odnotowuje:

Każdy rząd chce, żeby biskup prowadził jego politykę. Niektórzy księża nie wytrzymują pokusy i angażują się w agitacje narodowościowe. Nie chcą słuchać biskupa, nie czytają jego listów pasterskich, a gdy zmienia się rząd, uciekają[24]. *Biskup stojący z dala od polityki, uważany często za wroga, przeżywa w nocy dobijanie się do drzwi swojego domu, jego zajęcie przez wojsko, groźby wywiezienia i śmierci.* (Bukowicz, str. 96).

W czasie istnienia Litwy Środkowej pisał bp Matulewicz w jednym z prywatnych listów:

Cząstka tu dobrego czyśćca, atmosfera często nie do wytrzymania. ... W Wilnie bardzo mi ciężko. Droga prawdziwie cierniami usłana. (Bukowicz, str. 16).

Sytuacja biskupa stała się jeszcze bardziej trudna, kiedy 20 lutego 1922 sejm wileński pod wpływem Stronnictwa Narodowego uchwalił włączenie Litwy Środkowej do Polski bez żadnych zastrzeżeń i bez żadnej odrębności.

Przypatrzmy się kilku opiniom o bpie Matulewiczu. Na przykład ówczesny minister Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego, Stanisław Grabski, ocenia go w sposób następujący:

Miał rząd nasz do niego pretensje. Był on bowiem zaciętym Litwinem, nie kryjącym się ze swą sympatią dla litewskich dążeń oderwania Wilna od Polski. ... Tylko niegodne życie biskupa mogłoby skłonić Watykan do odebrania mu jego katedry, ale bp Matulewicz był naprawdę wzorowym, świątobliwym kapłanem. (Tygodnik Powszechny nr 22 z 1971 roku).

Jednak bp Matulewicz pozostawał lojalny w stosunku do państwa polskiego i kiedy przyjeżdżał do Wilna prezydent Wojciechowski, pomimo że fanatyczni Litwini grozili mu śmiercią, jeżeli przywita prezydenta RP w mieście, które uważali za stolicę Litwy, witał prezydenta w katedrze wileńskiej tymi słowami:

Jako pasterz diecezji, imieniem duchowieństwa i ludu wiernego, witam Cię gorącym sercem w tej prastarej katedrze i

24. Nie wszyscy księża uciekali. Na przykład prałat Michalkiewicz, uprzedni administrator diecezji, został przez bolszewików aresztowany i wywieziony na Łubiankę. Powrócił on do Wilna dopiero po zakończeniu wojny, wraz z bpem mińskim Zygmuntem Łozińskim, który również był aresztowany.

składam Ci hołd jako Naczelnej Władzy i Głowie Państwa, jako temu, który reprezentuje majestat Najjaśniejszej Rzeczypospolitej Polskiej i jest wyrazicielem jej potęgi i jedności. (Górski, *Tygodnik Powszechny* z 13 lutego 1972).

Ale spójrzmy, jak ocenił bpa Matulewicza ks. Walerian Meysztowicz, daleki od polskiego nacjonalizmu i związany z tradycjami polsko-litewskimi (którego zresztą Matulewicz wyświęcił na księdza), kiedy pisał o głównym przeciwniku Matulewicza wśród duchowieństwa wileńskiego, którym był ks. Leon Puciata, późniejszy profesor Uniwersytetu Stefana Batorego[25].

Dla ks. Puciaty, jak dla wszystkich z jego rodu, Rzeczpospolita była rzeczą „naszą". Mówili o Rzeczypospolitej „my". ... Gdy przyszły czasy walki, ks. Puciata nie został na boku. Zaraz po wyjściu rosyjskiego okupanta zajął się szkolnictwem polskim. Gdy zaczęło powstawać wojsko polskie, ks. Puciata brał udział w jego organizacji. Sejm Litwy Środkowej miał orzec o przynależności Wilna do Rzeczypospolitej. Ks. Puciata brał udział w wyborach, mimo, że stawiało go to w trudnej sytuacji wobec biskupa wileńskiego, ks. Matulewicza. Ten był Litwinem, związanym z ruchem narodowym litewskim, z Tarybą, która wówczas odrywała Litwę od Unii z Polską i tworzyła wrogą Polsce Republikę Litewską. Choć daleki od nacjonalizmu „endeckiego", ks. Puciata był po polskiej stronie. Duchowieństwo, z kapitułą na czele, podjęło starania o usunięcie z Wilna bpa Matulewicza. Mój Ojciec, stojący wówczas na czele niezależnej Litwy Środkowej, wiernej Unii, poparł wydelegowanie do Rzymu przedstawiciela kleru dla uzyskania zmiany na stolicy biskupiej, na delegata wyznaczono ks. Puciatę. ... Jak można było oczekiwać, Pius XI niechętnie przyjął księdza, przywożącego prośbę o usunięcie godnego skądinąd biskupa.

— Papież odwrócił się ode mnie ze wstrętem — opowiadał potem ks. Puciata.

Tak skończyła się „kariera kościelna" ks. Puciaty. (Str. 245).

Z kolei należy spojrzeć, jak oceniał bpa Matulewicza delegat rządu na Ziemię Wileńską, Walery Roman, który miał prawa i obowiązki wojewody, w swym raporcie z 15 maja 1923. Określa on działalność biskupa jako świadome i systematyczne rugowanie

---

25. Leon Puciata otrzymał paszport zagraniczny, by „ratować zdrowie" w 1903 lub 1904. W sekrecie przed rządem rosyjskim studiował na Gregorianum w Rzymie i mieszkał w Kolegium Niemieckim jako Alojzy Jung. Powrócił po czterech latach jako „zupełnie zdrów". (Meysztowicz, str. 242).

z Kościoła polskości i osłabianie w ten sposób politycznych i kulturalnych wpływów polskich na korzyść elementu litewskiego i białoruskiego. Kończy swój raport w ten sposób:

Ze stanowiska wyłącznie obiektywnego, pobudki biskupa można uznawać za bardzo wzniosłe i nie pozbawione uzasadnienia logicznego, dla osoby jego zaś, jako człowieka i kapłana, żywić wysoki szacunek. Tym niemniej stwierdzić należy, że z punktu widzenia interesów państwowych ks. Matulewicz na wileńskiej stolicy biskupiej pozostać nie może już przez to samo, że jako gorący patriota litewski nie jest obojętny na rozgrywający się przed jego oczyma konflikt polsko-litewski, zaś zbyt potężnymi środkami oddziaływania rozporządza, aby można było na jego udział w tym konflikcie nie zwracać uwagi... Mając jednak na względzie wysokie zalety biskupa Matulewicza jako człowieka i kapłana, oraz zewnętrzną jego lojalność i poprawny stosunek do formalnych wymagań państwa, wyobrażam sobie, iż usunięcie jego musiałoby mieć charakter przesunięcia może nawet na wyższe stanowisko w hierarchii kościelnej, a w każdym razie nie wywoływać na zewnątrz wrażenia represji osobistej. (Górski, *Tygodnik Powszechny* z 13 lutego 1972 roku).

Trzeba też pamiętać o tym, że bp Matulewicz, będąc w Wilnie, poświęcał również wiele czasu sprawom Zgromadzenia Marianów. Na przykład w 1923 organizował kapitułę generalną Zgromadzenia w Gdańsku, na której został ponownie wybrany generalnym przełożonym Zgromadzenia. Była to sytuacja raczej niezwykła. Normalnie, kiedy Kościół wyznacza zakonnika, lub też członka zgromadzenia zakonnego na wyższe stanowisko kościelne, żąda od niego rezygnacji z aktywnego udziału w życiu zakonnym[26]. Natomiast Matulewicz dzielił swój czas między kierowaniem diecezją i Zgromadzeniem. Nie mogło to być zbyt korzystne dla wileńskiej diecezji, która praktycznie rzecz biorąc przez 50 lat była pozbawiona biskupa[27].

W 1925 roku Watykan zawarł konkordat z rządem polskim, w myśl którego diecezja wileńska została włączona do polskiej administracji kościelnej. Wobec tego bp Matulewicz wysłał do

---

26. Jako przykład może służyć jezuita Kozłowiecki, którego mianowano biskupem w Afryce, albo benedyktyn Basil Hume, obecny arcybiskup Westminster.

27. Z lat młodzieńczych przypominam sobie, że opowiadano o działalności bpa Zwierowicza, prałata Michalkiewicza, jak również o wizytacjach ówczesnego bpa Jełbrzykowskiego. Natomiast nie pamiętam, żeby wspominano odwiedzanie lokalnych wiejskich parafii przez bpa Matulewicza.

papieża Piusa XI list przytoczony tu w całości ze względu na jego wagę:

Ojcze Święty!

Padając do stóp Waszej Świątobliwości, z najwyższą pokorą proszę i błagam o łaskawe zwolnienie mnie z urzędu ordynariusza wileńskiego. Do złożenia tej prośby skłaniają mnie następujące powody.

Pomiędzy Polską i Litwą toczyła się ostatnio wojna, a i obecnie trwa stan do wojny podobny. Litwini bowiem nie przestają domagać się praw do Wilna i Wileńszczyzny, Polacy zaś wobec całego świata wykazać usiłują, że miasto to i kraj są polskie i z całą słusznością i sprawiedliwością powinny należeć do Polski. Równocześnie usiłują, na wszelki możliwy sposób, czym prędzej spolonizować wszystkich nie-Polaków. Już to samo czyni moje położenie w Wilnie, jako Litwina, niezwykle trudnym, co jest tym trudniejsze, że Polacy stanowią na tych terenach klasę panującą, całe życie publiczne trzymają w swoich rękach i nim kierują.

To, że jestem Litwinem, czyni mnie niemiłym w oczach Polaków i jakby skażonym swego rodzaju grzechem pierworodnym. Z tego powodu zarówno do mnie, jak i do moich poczynań odnoszą się oni z nieufnością, łatwo podejrzewają i tłumaczą stronniczo. Najbardziej zaś chodzi Polakom o to, by w Wilnie mieć biskupem swojego — jak mówią — człowieka. Mnie zaś, jako Litwina, uważają za stałą przeszkodę i zawadę własnych celów, do których zdążają.

Z wielką przykrością przyjęli fakt zastania mnie jako biskupa w Wilnie, a już w żaden sposób nie chcą nawet dopuścić takiej ewentualności, abym pozostał w Wilnie jako arcybiskup wtedy, gdy stolica ta zostanie podniesiona do godności arcybiskupstwa.

W tej sytuacji, jaka jest, biskup polskiej narodowości nie będzie chyba miał ani setnej części tych trudności, jakie mnie tu spotykają i jakie ciągle mi się stawia.

Kiedy Niemcy okupowali te tereny, położenie niemal wszystkich narodowości było jednakowe. Polacy żądali ode mnie wtedy tylko tego, bym jednakowo traktował wszystkich, i mówili, że choć Litwin, jestem sprawiedliwy dla wszystkich. Ale skoro oni uzyskali władzę w tym kraju, ich narodowe partie polityczne, zwłaszcza zaś ta, która się nazywa Narodowa Demokracja i w Rzeczypospolitej ma największe znaczenie, zaczęły mnie gwałtownie zwalczać i to na wszelki sposób, systematycznie i według pewnej, z góry przyjętej metody. Czyniono to zarówno słowem,

prywatnie, jak i w pismach, na zgromadzeniach publicznych i w przemówieniach dla ludu.

Z jednej strony usiłują przedstawić mnie jako osobę znienawidzoną, stale i nieznużenie obrzucając mnie i zniesławiając różnymi fałszywymi zarzutami i oszczerczymi potwarzami. Tyle już osiągnęli, że w opinii wielu jestem jakby jakiś potwór, który zieje tylko nienawiścią i żądzą zguby Polaków; toteż wielu nie tylko dziko na mnie patrzy, lecz nawet zaczynają mnie mieć za wroga narodu i Rzeczypospolitej Polskiej.

Równocześnie nie pomijają żadnej okazji, aby mi uczynić życie jak najbardziej gorzkim i nieznośnym, a wykonywanie mojego posługiwania jak najbardziej trudnym, lub wprost niemożliwym. Stwarzają mi ciągle różne utrudnienia, w rozmaity sposób usiłują mnie przestraszyć, nie wykluczając nawet gróźb zabójstwa. Lud zaś w różny sposób przeciwko mnie usposabiają i pobudzają. W rzeczy samej czuję się i widzę coraz bardziej skrępowanym w moich duszpasterskich czynnościach. Często bywa tak, że takimi jestem zewsząd otoczony trudnościami, że padłbym bezsilny. gdyby mi podporą nie był Chrystus i Krzyż Jego i wobec Stolicy Świętej posłuszeństwo. Czymkolwiek to jest, jest rzeczą niemożliwą, by ta walka przeciwko ordynariuszowi miejscowemu skierowana, nie przyniosła z sobą tym żałośniejszych owoców, im dłużej będzie trwała. Bóg bowiem jest obrażany, umysły wielu rozjątrzają się i ulegają zepsuciu, godność biskupa jest pomniejszana i jego powaga rujnowana, a nawet sama Stolica Święta z tego powodu szarpana. To wszystko może tylko przyczynić się do szkody Kościoła i Rzeczypospolitej. Gdy jeszcze sprawy były — jak sądziłem — niepewne, szczerze przedstawiłem Stolicy Apostolskiej, że nie byłoby jeszcze odpowiednią rzeczą, abym został z Wilna odwołany. Teraz zaś, gdy po zawarciu konkordatu sprawy kościelne porządkuje się i ustala, wszystko dojrzałe wobec Boga zważywszy i rozsądziwszy, uważam i widzę, że już nadszedł czas, a co więcej, że czas nagli, bym został czym prędzej z Wilna odwołany. Jest to dość powszechne i pewne oczekiwanie Polaków. Nawet czasopisma katolickie twierdzą, że na pewno w Wilnie nie zostanę. Co zaś dotyczy Litwinów i Białorusinów, to dziwią się, że znajdując się w tak wielkich trudnościach, mogłem tak długo wytrwać w pełnieniu mego obowiązku. Słusznie też zaledwie pojąć mogą, czy — gdyby zaszła potrzeba — byłbym w stanie pełnić go nadal. Pewien jestem, że sami nawet Litwini to moje uwolnienie, które ufam uzyskać, nie mogą inaczej traktować, jak tylko jako nowy wobec mnie ze strony Stolicy Świętej objaw dobroci i współczucia.

Ludzie roztropni przewidują (i chyba nie bez rzeczywistej podstawy), że jeślibym po zawarciu konkordatu pozostał w Wilnie jako arcybiskup, łatwo mogłoby dojść do tego, że podstępni politycy, zawiedzeni w żywionej przez siebie nadziei mego odwołania, mogliby nawet podnieść na mnie zbrodniczą rękę. Ufając łasce Bożej gotów jestem na wszystko, lecz wydaje mi się, że niewiele pomoże Kościołowi, jeżeli sprawy pójdą aż tak daleko.

Najukochańszy Ojcze, wiem najlepiej, bo tego doświadczyłem, jaką otaczasz mnie łaskawością, oraz jak po ojcowsku, a równocześnie potężnie mnie broniłeś. Jako wieczne świadectwo Twojej wobec mnie łaskawości przechowuję Twój najłaskawszy list, któryś na początku swego pontyfikatu raczył przesłać łaskawie mnie najmniejszemu Twemu słudze. Również i tutaj wszyscy sądzą i mówią, że Wasza Świątobliwość otacza mnie nie tylko wielkim zaufaniem, ale — co zaledwie odważam się wymówić — darzysz mnie, Ojcze Święty, także swą szczególną przyjaźnią.

Po Bogu rzeczywiście tylko Twojej wobec mnie dobroci i łaskawości przypisuję to, że postawiony w tak wielkich trudnościach, urząd mi zlecony w pewnym przynajmniej stopniu mogłem sprawować i że moi przeciwnicy nie odważyli się dotąd wykonać tego, czym wielokrotnie grozili.

Także i Nuncjatura w Polsce zawsze otaczała mnie wielką dobrocią i życzliwością i w miarę możliwości skutecznie mnie wspomagała i broniła.

Aż dziw jednak, ile może zdziałać i jakie ma znaczenie złość. Cóż będę więcej mówił? Ty sam, Ojcze Święty, bardzo dobrze tego doświadczyłeś, będąc w Polsce Nuncjuszem. Choć nie próbowałeś niczego innego czynić, jak tylko dobro, choć otaczałeś wszystkich wielką miłością i łaskawością, choć naród polski tak bardzo ukochałeś i tyloma wielkimi obsypywałeś dobrodziejstwy, to jednak i Ciebie, niewinnego i bezbronnego, z niesłychaną złością i gwałtownością, przewrotnie i niesłusznie, zaczęli prześladować.

Ojcze Święty, ufając tej wielkiej ku mnie Twej łaskawości, upraszam z pokorą także i o drugą łaskę, aby mi — przynajmniej przez pewien czas — wolno było zamieszkać w Rzymie i poświęcić się uporządkowaniu spraw Zgromadzenia Księży Marianów, którego jestem przełożonym generalnym, abym to dzieło, z Bożej Opatrzności i woli Stolicy Apostolskiej mi powierzone, mógł w miarę moich sił doprowadzić do końca.

Padając przed Twoim Papieskim tronem i całując z najwyższą czcią Twoje stopy, całkowicie i zupełnie poddaję się i oddaję

Twojej woli, najpokorniej błagając o Twoje Apostolskie błogosławieństwo.

Waszej Świątobliwości najposłuszniejszy i najoddańszy syn

Jerzy MATULEWICZ
biskup wileński

Wilno, dnia 27 czerwca 1925 r.

(Bukowicz, str. 53).

W tym liście uderzające jest to, że bp Matulewicz tak wiele miejsca poświęca sprawom osobistym, a tak mało zastanawia się nad tym, co leży w interesie diecezji i wiernych. Może wypływa to stąd, że podczas pobytu Achillesa Ratti w Warszawie znali się dobrze i istniały wówczas między nimi bliskie stosunki, czego wyrazem było na przykład to, że Ratti odprawiał swe rekolekcje u Marianów na Bielanach.

Jednak można domyślać się, że papież Pius XI nie był zachwycony zacytowanym tu listem Matulewicza, gdyż nie odpowiedział nań osobiście, a jedynie polecił odpisać kardynałowi Gasparri:

Najdostojniejszy Księże Biskupie.

Ojciec Święty najłaskawiej przyjął uprzejmy list Waszej Dostojności, wysłany 27 czerwca br. Z przykrością stwierdza Ojciec Święty, że już po raz drugi prosisz w obecnym liście, byś wreszcie został zwolniony z obowiązku zarządzania diecezją wileńską. Przytaczasz jednak tak liczne i poważne racje, które Cię do tego skłaniają, że Ojciec Święty uważa się zobowiązanym spełnić Twoje pragnienie.

Dlatego też zawiadamiam Cię, że Ojciec Święty przyjął zrzeczenie się Waszej Dostojności urzędu biskupa wileńskiego. Równocześnie Ojciec Święty — zgodnie z Twą prośbą — udziela Ci pozwolenia, byś jak najprędzej przybył do Rzymu i tutaj pozostał, byś mógł tym łatwiej oddać się sprawom Zgromadzenia Księży Marianów, któremu chwalebnie przewodniczysz i którego sprawy zamierzasz porządkować i prowadzić dalej.

Następnie, dla Twoich niezmiernych zasług i wielkiej chwały, na jaką zasłużyłeś rządząc powierzonym dotąd Twojej trosce Kościołem, Ojciec Święty nie omieszka wspierać Cię w nowej pracy i otaczać Waszą Dostojność największą życzliwością, jako dowód wdzięczności.

Tymczasem zaś, modląc się o zjednanie Ci łask niebieskich, w nagrodę wielkich trudów, które szczęśliwie podjąłeś w winnicy Pańskiej, Ojciec Święty raczył Ci udzielić apostolskiego błogosławieństwa.

Zawiadamiając Cię o tym, korzystam z okazji okazania Twojej Dostojności mojego wysokiego poważania.

Oddany

P. Kardynał GASPARRI

Watykan, dnia 14 lipca 1925
(Bukowicz, str. 56).

Biskup Matulewicz otrzymał ten list będąc w Warszawie i nie pojechał do Wilna, aby pożegnać się osobiście, a jedynie wysłał list pożegnalny z 3 sierpnia 1925 do kapituły wileńskiej[28]. Świadczy to o tym, iż stosunki między biskupem i duchowieństwem w Wilnie były napięte.

Jednak wśród Polaków Matulewicz musiał być znaną i cenioną osobistością, gdyż na wiadomość o jego zwolnieniu z biskupstwa wileńskiego złożono mu aż trzy propozycje: katedra nauk społecznych na USB w Wilnie, rektorat KUL-u w Lublinie i biskupstwo częstochowskie (świeżo zatwierdzone konkordatem). Jednak Matulewicz z żadnej z tych ofert nie skorzystał i udał się do Rzymu, zamierzając poświęcić się wyłącznie Zgromadzeniu Marianów.

ARCYBISKUP

Jednak pobyt w Watykanie trwał zaledwie kilka miesięcy. Na skutek zawarcia konkordatu z Polską, który decydował o przydzieleniu Wilna do polskiej administracji kościelnej, oburzeni nacjonaliści litewscy, którzy uważali Wilno za swą stolicę, zerwali stosunki dyplomatyczne z Watykanem. Nie wpuścili oni na Litwę delegata apostolskiego bpa Zacchini, gdyż uważali go za nastawionego propolsko. Wobec tego w grudniu 1925 wysłał papież do Kowna jako delegata apostolskiego Matulewicza (nadając mu tytuł arcybiskupa) w celu uspokojenia Litwinów[29].

---

28. Pełny tekst listu do kurii wileńskiej podaje ks. Bukowicz, str. 57. Następcą Matulewicza w Wilnie został ks. Romuald Jałbrzykowski z okolic Sejn, którego Litwini uważali za polskiego nacjonalistę. W czerwcu 1942 został on internowany przez władze niemieckie w klasztorze Marianów w Mariampolu. Natomiast zasłużony dla diecezji wileńskiej prałat Michalkiewicz zmarł w lutym 1940.

29. Abp Matulewicz został przyjęty na Litwie chłodno przez czynniki polityczne, które uważały, że nie powinien był rezygnować z biskupstwa wileńskiego, ale czekać aż władze polskie go usuną, co wywołałoby poważne zadrażnienie między Polską i Watykanem.

Matulewicz zabrał się energicznie do porządkowania spraw na Litwie. Przygotował projekt utworzenia nowej prowincji kościelnej litewskiej. Skłonił kilku kapłanów, aby powrócili do praktyki codziennego odprawiania mszy św. Zlaicyzowanych księży, którzy stali na czele partii politycznych i byli zaangażowani we władzach państwowych wezwał do powrotu do pracy duszpasterskiej. Doprowadził też do zniesienia ustawy o służbie wojskowej, obowiązującej dotychczas księży[30].

W marcu 1926 Matulewicz powrócił do Watykanu i tak oto przedstawiał swój pobyt na Litwie w jednym z listów:

W Wilnie miałem często wrażenie, iż znajduję się w przedpieklu. Lecz tam (tzn. na Litwie — Z.S.S.) *wypadło mi chyba zetrzeć się z samym Lucyferem, który z całym legionem złych duchów pracował nad wywróceniem fundamentów Kościoła na Litwie. Stosunki ze Stolicą świętą znalazłem jak najgorsze. Gdyby rzeczy szły tak dalej, chyba skończyłoby się schizmą.* (Bukowicz, str. 18).

Z Watykanu abp Matulewicz udał się na międzynarodowy kongres eucharystyczny do Chicago. A potem we wrześniu 1926 wyjechał po raz drugi na Litwę, aby wprowadzić w życie nową organizację kościelną zatwierdzoną przez Stolicę św. W tym czasie pisał on w jednym z listów (do ks. Bronikowskiego) co następuje:

Ja tu mam bardzo trudną i ciężką pracę. Gdy pierwszy raz pojechałem na Litwę, znalazłem ją na drodze do apostazji. Gdy wróciłem z Ameryki, zdawało się, że będzie tutaj to, co się dzieje w Meksyku. Dzięki Bogu stosunki poprawiają się, może się uda nawet zawrzeć konkordat. (Bukowicz, str. 93).

Dnia 21 stycznia 1927 abp Matulewicz przesłał do Rzymu projekt konkordatu z Litwą, który wkrótce został przez Watykan zaakceptowany. Kilka dni później zachorował na ostre zapalenie wyrostka robaczkowego. Został zoperowany. Rozwinęła się gangrena. Mając zaledwie 56 lat zmarł 27 stycznia 1927.

Ciało abpa Matulewicza zostało złożone w podziemiach katedry kowieńskiej, a po kilku latach w październiku 1934, w 25-tą rocznicę powstania Zgromadzenia Marianów, zostało prze-

---

30. Początkowo na Litwie rządziła partia chrześcijańsko-demokratyczna, jednak w maju 1926 przegrała ona wybory i do władzy doszła lewica (ludowcy i socjaldemokraci). W grudniu 1926 *tautinniki*, czyli nacjonaliści przeprowadzili zamach stanu i opanowali władzę, którą sprawowali do końca, tzn. do 1940 roku, kiedy to Litwę zagarnęły Sowiety.

niesione do kościoła parafialnego w Mariampolu, gdzie dotychczas przebywa.

W czasie audiencji udzielonej przedstawicielom Zgromadzenia, ks. Andrzej Cikoto wręczył Piusowi XI portret abpa Matulewicza[31]. Papież patrząc na otrzymany prezent powiedział:

— *Gratum donum, quia gratissima persona.* (Drogi dar, ponieważ bardzo droga osoba).

A po chwili zadumy dodał:

— *Vir vere sanctus.* (Człowiek prawdziwie święty)[32]. (Górski i Proczek, str. 126).

PODSUMOWANIE

Najważniejszym celem, jaki bp Matulewicz sobie postawił, było zreformowanie i zorganizowanie Marianów. Można zastanawiać się, czy tak daleko posunięte zmiany wprowadzone przez Matulewicza dały dobre wyniki, jednak pytanie to leży nieco poza zakresem tego opracowania. Warto jedynie wspomnieć, że powstałe na skutek jego reform Zgromadzenie Marianów nie ma charakteru kontemplacyjnego ani charytatywnego, a w pierwszym rzędzie jest organizacją aktywistyczną, podobną do swego „odnowiciela". Gdyż bp Matulewicz, pomimo, że pisał, wykładał i głosił rekolekcje, był jednak w zasadzie człowiekiem czynu.

Trzeba stwierdzić, że wyznaczenie Matulewicza na ordynariusza wileńskiego było decyzją niefortunną. Zdawali sobie z tego sprawę jeszcze przed nominacją zarówno sam kandydat, jak i kapituła wileńska. Główną przyczyną były zbyt daleko posunięte tendencje nacjonalistyczne, zarówno polskie jak i litewskie na terenie dawnego Wielkiego Xięstwa Litewskiego. W tej sytuacji diecezja wileńska, a szczególnie samo Wilno, nie mogło przyjąć bez protestów biskupa, który uważał się za Litwina i zostawszy nim, dążył do ograniczenia w ramach diecezji wpływów polskich.

---

31. Ks. Cikoto był kierownikiem grupy Marianów-Białorusinów. Z poparciem bpa Matulewicza założył on w 1923 ośrodek białoruski w Drui. Z tego ośrodka pochodził również znany potem w Londynie bp Sipowicz. Pod koniec lat 30-tych wojewoda wileński Bociański zmusił tę białoruską grupę do opuszczenia granic Rzeczypospolitej. Przenieśli się oni do Charbina. Jeden z nauczycieli tamtejszego polskiego gimnazjum nazywał ks. Cikoto „wielkim polskim patriotą". W 1945 roku chińskie władze komunistyczne zlikwidowały charbiński ośrodek polsko-białorusko-katolicki. Pisze o tym ks. Hermanowicz, *vide* bibliografia.

32. Przebieg procesu beatyfikacyjnego opisał ks. Bukowicz. *Vide:* bibliografia.

Gdyby bp Matulewicz zechciał oprzeć się nie na nowym na tym terenie podziale nacjonalistycznym wśród Polaków i Litwinów, a na tradycyjnej wspólnocie, którą reprezentowali, chociaż niezbyt dynamiczni i powiązani z masonerią „krajowcy" wileńscy, zarówno o polskim jak i litewskim zapleczu, miałby pewne szanse powodzenia jako ordynariusz wileński. Ale niestety tego nie uczynił.

Można by przypuszczać, że ks. Przezdziecki i polski episkopat nie znali sytuacji wileńskiej, kiedy wiosną 1918 wysunęli kandydaturę ks. Matulewicza. Ale trzeba pamiętać, że wówczas armia niemiecka dopiero zajęła ogromne tereny na wschodzie i panowała w tej części Europy, a jednocześnie przekazywała władzę administracyjną w Wilnie litewskiej Tarybie. Możliwe, iż episkopat polski sądził, że w tej sytuacji biskup Litwin, wychowany na polskiej kulturze, będzie czynnikiem łagodzącym antypolskie zapędy Taryby na terenie diecezji wileńskiej.

Ale kiedy ostatecznie powierzano ks. Matulewiczowi tę diecezję w listopadzie 1918, sytuacja była zupełnie inna. Niemcy już znikały z tych terenów, a na ich miejsce wkraczała sowiecka Rosja i panowanie w Wilnie Taryby stawało się nieaktualne.

Kiedy miały miejsce dalsze zmiany polityczne na terenach dawnego Wielkiego Xięstwa Litewskiego, usuwanie już mianowanego biskupa wileńskiego nie było uzasadnione. Ale kiedy w 1922 roku sytuacja ustaliła się ostatecznie i stało się jasne, że Wilno i ogromna większość diecezji wileńskiej będzie należeć do Polski, pozostawienie na biskupstwie wileńskim Litwina nie było wskazane. Szczególnie, że diecezja ta miała charakter głównie polsko-białoruski, a nie polsko-litewski. Można zrozumieć, że Pius XI nie był zbyt chętny do anulowania swojej własnej decyzji sprzed kilku lat, ale należy stwierdzić, że pozostawanie Matulewicza przez dalsze trzy lata w Wilnie nie było z korzyścią dla wiernych i nie dało satysfakcji biskupowi.

Najbardziej skutecznym okresem działania bpa Matulewicza jest jego praca na Litwie, gdzie w krótkim czasie (nieco ponad rok) nie tylko zlikwidował głęboki zatarg z Watykanem, ale również przeprowadził reorganizację kościelną na Litwie i doprowadził do zawarcia konkordatu. Osiągnięcia te należy zawdzięczać ogromnym wysiłkom i poświęceniu osobistemu biskupa.

Na zakończenie należy zwrócić uwagę na to, że w poprzednich pokoleniach tysiące Litwinów i Białorusinów przyjmowało polską kulturę i stopniowo zostawało Polakami lub też zatrzymywało się w pół drogi, zajmując postawę określaną wówczas jako *gente Lithuani* lub *Rutheni, natione Poloni.* Przez taki proces prze-

szedł stryj biskupa Jerzego, ks. Feliks Matulewicz z Piaseczna, jak również jeden z jego stryjecznych braci, Jan Matulewicz z Kielc. Natomiast nieco młodszy Jerzy, który szedł tą samą drogą, wychowując się na polskiej kulturze, jednak sprzeciwił się temu procesowi i przyjął postawę Litwina-nacjonalisty. Z pewnością przyczynił się do tego rozwijający się ruch litewski, mający antypolskie zabarwienie, ale również miał chyba na to wpływ fakt, że polskość, którą poznał będąc w Kielcach, była już nieco inna niż przedtem i zawierała elementy nacjonalistyczne. Ta nowa forma polskości zamykała się stopniowo w sobie, odcinając się od czynników, nie będących ściśle polskimi, nie była już tak atrakcyjna i absorbująca jak dawniej i nie zdołała przyswoić młodego ks. Jerzego.

Ten proces zamykania się polskości w sobie rozwinął się bardzo w ciągu XX wieku i obecna polskość nie jest już atrakcyjna i nie ma łatwości absorbowania innych.

Z. S. SIEMASZKO

14 grudnia 1987

BIBLIOGRAFIA

Beatification — Archbishop George Matulaitis-Matulewicz (zbiór zdjęć), Marian Helpers „Bulletin", April-June 1987, USA.

Ryszard Bender, prof., „Błogosławiony abp Jerzy Matulewicz współtwórca chrześcijańskiego ruchu robotniczego w Polsce", *Zwiastun miłosierdzia* nr 9-10, 1987, wyd. Księży Marianów, Hereford, Wielka Brytania.

Ryszard Bender, prof., List do redakcji (dotyczący artykułu Stanisława Stommy), *Tygodnik Powszechny* z 15 marca 1987.

Jan Bukowicz, ks. i inni, *Pro Christo et Ecclesia*, wyd. Zgromadzenia Marianów, Londyn 1968.

Tadeusz Górski, „Bp Matulewicz a rząd polski", *Tygodnik Powszechny* nr 7 (1203) z 13 lutego 1972.

Tadeusz Górski, „Beatyfikacja abpa Jerzego Matulewicza", *Tygodnik Powszechny* nr 27 (1984) z 5 lipca 1987.

Tadeusz Górski i Zygmunt Proczek, ks., „Rozmiłowany w Kościele", wyd. Księży Marianów, Warszawa 1987.

Stanisław Grabski, „Jak zawierałem konkordat ze Stolicą Apostolską", *Tygodnik Powszechny* nr 22 z 1971.

Ks. Józef Hermanowicz, „Chiny - Sybir - Moskwa", Veritas, Londyn 1966.

Mieczysław Kołodziejski, „Zakon OO. Marianów a Zgromadzenie Ks.Ks. Marianów (kontrowersyjne problemy tzw. odnowy)", maszynopis, Gdańsk-Gdynia 1986.

Piotr Łossowski, „Po tej i tamtej stronie Niemna", Czytelnik, Warszawa 1985.

Piotr Łossowski, List do redakcji (dotyczący artykułu Stanisława Stommy), *Tygodnik Powszechny* z 10 maja 1987.

Bronisław Makowski, „Litwini w Polsce 1920-1939", PWN, Warszawa 1986.
Jerzy Matulewicz, abp, „Dziennik duchowy, październik 1910 - listopad 1911" (tłumaczenie z litewskiego), wyd. Zgromadzenie Marianów, Rzym 1973.
Walerian Meysztowicz, ks., „Poszło z dymem", Polska Fundacja Kulturalna, Londyn 1973.
Kazimierz Okulicz, „Brzask, dzień i zmierzch na ziemiach Litwy Historycznej", *Pamiętnik wileński*, Polska Fundacja Kulturalna, Londyn 1972.
W. Panucewicz, „Odrodzenie Białorusi i jej współczesne perspektywy", *Pamiętnik wileński*, Polska Fundacja Kulturalna, Londyn 1972.
Jerzy Peterkiewicz, *The Third Adam* (o Mariawitach), Oxford University Press, Londyn 1975.
Zygmunt Proczek, ks., „Czcigodny sługa Boży abp Jerzy Matulewicz", *Róże Marii* nr 500 do 505 wł., 1987, Stockbridge, MA, USA.
Zygmunt Proczek, ks., „Ks. Jerzy Matulewicz (1871-1927) duszpasterz Warszawy", *Przegląd powszechny* nr 7-8 (479-480) 1987, Londyn.
Teofil Skalski, ks., „Garstka wspomnień z mego życia", *Zeszyty Historyczne* nry 45, 46, 47, 49, 51.
Stanisław Stomma, „Dla sprawiedliwego miejsca nie było", *Tygodnik Powszechny* nr 9 (1966) z 1 marca 1987.
Leon Wasilewski, „Stosunki polsko-litewskie w dobie popowstaniowej", wyd. Wydz. Kultury i Prasy d-twa Jednostek Wojska na Środkowym Wschodzie, Jerozolima 1946. (Przedruk z *Niepodległości*, tom I zeszyt I, Warszawa 1933).
Adam Zamoyski, *The Polish Way*, John Murray, Londyn 1987.

Andrzej SUCHCITZ

KOMANDOR ŚWIRSKI I SANACJA MARYNARKI WOJENNEJ W 1925 ROKU

Maj 1925 roku stanowił pod wieloma względami datę przełomową w historii polskiej marynarki wojennej. Zaszła szeroko zakrojona personalna zmiana na najwyższych stanowiskach w marynarce, początkując dwudziestodwuletni okres szefostwa Kierownictwa Marynarki Wojennej (KMW) przez komandora, później kontradmirała i wreszcie wiceadmirała Jerzego Świrskiego. Nie było to tylko posunięcie personalne — chodziło o zmianę ogólnej polityki dalszego rozwoju marynarki wojennej (MW), wynikłą ze sporu pomiędzy twórcą MW i jej ówczesnym szefem, wiceadmirałem Kazimierzem Porębskim, a komandorem Świrskim, ówczesnym dowódcą Floty.

W historiografii MW poświęcono dotychczas mało miejsca personaliom jej dowódców i ich poglądom na zagadnienia operacyjne, organizacyjne, wyszkoleniowe i rozbudowy floty. Nawet admirałowie — Porębski, Świrski i Unrug — nie doczekali się dotychczas chociażby skromnych monografii książkowych. Jest to jedynie odzwierciedlenie stanu badań polskiej historiografii, która stroni od badań nad pojedynczymi postaciami, w odróżnieniu od na przykład brytyjskiej.

Wracając do maja 1925 roku: ogólnie przyjęto uważać, że zmiany, które zaszły w KMW, były spowodowane przez tzw. aferę minową. Wykryto, że podczas kupna części do min w Estonii zostały dokonane pewne malwersacje przez kierownika Samodzielnego Referatu Broni Podwodnej KMW. Rezultatem tego (i dalszej krytyki stanu przygotowań MW w Sejmie) było zawie-

szenie adm. Porębskiego w czynnościach szefa KMW wraz z szeregiem wyższych oficerów i mianowanie na jego miejsce kmdr. Jerzego Świrskiego (19 maja 1925 roku).

Podczas tego kryzysu Świrski trzymał się pozornie na uboczu w Gdyni, jakby nie miał nic do czynienia z posunięciami KMW w Warszawie. Rzeczywistość przedstawiała się nieco inaczej. Nie ulega wątpliwości, że tzw. afera minowa została rozdmuchana i wykorzystana, aby usunąć adm. Porębskiego przez jego przeciwników w MW jak i w Ministerstwie Spraw Wojskowych.

Z dokumentacji będącej w zespole akt marynarki wojennej w Instytucie Polskim i Muzeum im. gen. Sikorskiego w Londynie wynika, że kryzys w MW sięgał bardzo głęboko i że kmdr Świrski brał czynny udział w usunięciu Porębskiego, wysuwając w niedwuznaczny sposób własną kandydaturę na szefa KMW. Widział w sobie jedyną osobę, która potrafiłaby wprowadzić radykalne zmiany konieczne dla sanacji stosunków w MW. Zanim jednak przedstawimy odnośną dokumentację warto poświęcić trochę miejsca osobie Jerzego Świrskiego — centralnej postaci w historii odrodzonej MW. Jego służba w polskiej MW jest dobrze znana, natomiast jego służba w rosyjskiej marynarce jest prawie całkiem nieznana. Większość publikacji, w których jest o niej mowa, zbywa ją stwierdzeniem, że szybko awansował i że podczas pierwszej wojny światowej był głównym oficerem nawigacyjnym Floty Czarnomorskiej. W teczce adm. Świrskiego są szczegółowe odpisy z jego rosyjskich i polskich zeszytów ewidencyjnych, pozwalające na dokładne odtworzenie przebiegu służby w carskiej marynarce[1].

Od 1899 do 1902 Jerzy Świrski był kadetem w Morskim Korpusie Kadetów w Petersburgu, pływając na Bałtyku. W 1902 roku został mianowany miczmanem (podporucznikiem). Od 1902 do 1903 był oficerem wachtowym i młodszym oficerem nawigacyjnym na krążowniku „Askold", odbywając pływanie na Oceanie Spokojnym. W okresie 1903-1905 chorował i był na urlopie zdrowotnym. W wojnie rosyjsko-japońskiej udziału nie brał. Do czynnej służby powrócił w 1905, będąc przeniesiony z Floty Bałtyckiej do Floty Czarnomorskiej, w której pozostał do 1918 roku. Jednocześnie awansował na lejtnanta (porucznika). W 1905 roku był oficerem wachtowym na pancerniku „Rostislaw" z eskadry ćwiczebnej. Od 1905 do 1906 służył na transportow-

---

1. Instytut Polski i Muzeum im. gen. Sikorskiego (IPMGS): MAR.I/17 — teczka adm. J. Świrskiego. Za przetłumaczenie rosyjskich zeszytów ewidencyjnych Świrskiego serdecznie dziękuję płk. dypl. Antoniemu Szczerbo-Rawiczowi.

cu minowym „Dunaj" a następnie do 1907 był oficerem wachtowym na kanonierce „Doniec". W latach 1907-1908 był starszym oficerem nawigacyjnym na „Dunaju". W 1908 miał analogiczne stanowisko na krążowniku „Pamiat' Merkurja", po czym od 1908 do 1909 był kierownikiem wyszkolenia rekrutów na transportowcu minowym „Kronsztad" oraz członkiem komisji dla technicznego usprawnienia strony nawigacyjnej we Flocie Czarnomorskiej. Od 1909 do 1910 był oficerem nawigacyjnym na jachcie „Kołchida". W 1910 roku powrócił na poprzednie stanowisko w „Pamiat' Merkurja" z tym, że został odkomenderowany na starszego oficera nawigacyjnego na krążowniku „Kaguł" podczas podróży carskiego ministra marynarki na nim. Od 1910 do 1911 był starszym oficerem nawigacyjnym na pancerniku „Jewstafij". Następnie do 1912 pełnił obowiązki flagowego oficera nawigacyjnego eskadry torpedowców z tym, że od września do listopada 1911 był dowódcą torpedowca „Striemitielnyj". W następnym roku awansował na starszego lejtnanta (kapitan-porucznik). Od 1912 do 1914 był flagowym oficerem nawigacyjnym brygady pancerników, pływając na „Pantielejmonie". W marcu 1914 wyznaczono go na członka komisji dla przeprowadzenia egzaminów praktycznych dla kadetów okrętowych. W maju tegoż roku został członkiem komisji celem przepracowania instrukcji o wyławianiu min. W 1914 awansował na kapitana 2 rangi. Przez prawie całą pierwszą wojnę światową Świrski był głównym oficerem nawigacyjnym Floty Czarnomorskiej pod adm. Kołczakiem, zostając kapitanem 1 rangi w 1917 roku. Podczas działań wojennych prędko się odznaczył. W kwietniu 1915 roku został odznaczony orderem św. Włodzimierza 4 stopnia „za wybitny udział w pracach nad planem działań bojowych floty, śmiałe przeprowadzenie ich pod względem nawigacyjnym oraz za męstwo i sprawność w działaniach przeciwko nieprzyjacielowi we wszystkich wyprawach i działaniach bojowych floty[2]". W rok później otrzymał order św. Anny 2 stopnia „za przykładną odwagę, przytomność umysłu i doskonałą sprawność w działaniach przeciwko nieprzyjacielowi[3]". W 1916 i 1917 kpt. I rangi Świrski był członkiem różnych komisji, m.in. komisji egzaminacyjnej uczniów sterników brygady podwodnej. Warto zanotować, że dowódcą brygady okrętów podwodnych Floty Czarnomorskiej był kontradmirał W. Kłoczkowski, późniejszy przełożony Świrskiego w polskiej MW. Świrski również był członkiem komisji dla przeegzaminowania ochot-

---

2. IPMGS: MAR. I/17 zaświadczenie archiwalne Centralnego Urzędu Archiwalnego w Leningradzie z 23 marca 1932.
3. *Op. cit.*

ników floty (1917) oraz komisji przeegzaminowania elewów szkoły sterników i sygnalistów dalmierzy.

Od maja do listopada 1918 roku Świrski przeszedł na służbę ukraińską, zostając szefem Głównego Morskiego Sztabu Ukraińskiego Ministerstwa Marynarki. Od 1918 do 1919 był przy Komitecie Naczelnym Wojsk Polskich na Wschodzie i przy Komitecie Narodowym w Paryżu[4].

W rosyjskiej marynarce wojennej otrzymał następujące odznaczenia: ordery św. Stanisława 3 stopnia i 2 stopnia z mieczami, ordery św. Anny 3 stopnia i 2 stopnia z mieczami, order św. Włodzimierza 4 stopnia z mieczami oraz trzy jubileuszowe medale. Poza językiem polskim znał: rosyjski, angielski, francuski i nieco słabiej niemiecki oraz włoski. W rubryce znajomości krajów podał: Rosję, Finlandię, Estonię, Łotwę, Niemcy, Francję, Szwajcarię, Włochy, Austrię, Rumunię, Bułgarię, Grecję, Turcję, północny brzeg Afryki, Egipt, wschodni brzeg Azji, Japonię i brzeg Czarnomorski.

Warto zwrócić uwagę, że prawie całe doświadczenie morskie Świrskiego dotyczyło nawigacji i że jedynie przez krótki dwumiesięczny okres w 1911 był samodzielnym dowódcą. Brakowało mu szerszego doświadczenia dowódczego oraz pracy sztabowej poza dziedziną nawigacji.

W polskiej MW kmdr Świrski był zastępcą szefa Departamentu Spraw Morskich, p.o. szefa w sierpniu 1920 roku, dowódcą Wybrzeża, a od 1922 — dowódcą Floty.

23 kwietnia 1925 kmdr Świrski przedłożył memoriał o potrzebie sanacji MW (*via* adm. Porębski) gen. Sikorskiemu, ministrowi Spraw Wojskowych i niektórym innym oficerom Sztabu Generalnego. Przesłał również egzemplarz kmdr. por. J. Unrugowi, swemu byłemu szefowi sztabu. Memoriał pt. „Główne wytyczne dla sanacji Marynarki Wojennej" stanowił ostrą krytykę dotychczasowego KMW. Dokument ten z 16 kwietnia 1925 jest podzielony na trzy zasadnicze części. W pierwszej opisuje pokrótce poprzednie kryzysy w MW, od walki o całkowitą odrębność MW jako siły zbrojnej poprzez organizację MW aż do spraw personalnych. Druga część, pt. „Istota obecnego kryzysu", wytyka trzy zasadnicze dolegliwości: brak personelu i fakt, że część jego nie stoi na wysokości zadania, przerost instytucji oraz nadmierna centralizacja i uniwersalność personelu (skasowanie specjalności).

Najdłuższa i najważniejsza jest trzecia część dokumentu, pt. „Analiza przyczyn choroby i środki zaradcze". Kmdr Świrski

4. IPMGS: MAR. I/17 polski zeszyt ewidencyjny adm. Świrskiego.

krytykował, że w MW nie została przeprowadzona „filtracja" oficerów, skutkiem czego „jeszcze powstaje przed nami konieczność pozbycia się tych oficerów, którzy nie ujawniają dostatecznej siły moralnej, lub nie są zdolni do wytężonej skutecznej pracy[5]". Uważał, że taka filtracja była konieczna pomimo, że etatowo brakowało w MW oficerów. Świrski uważał, że redukcję personelu bez straty etatów można by przeprowadzić przez likwidację niektórych oddziałów i instytucji. Na liście „egzekucyjnej" znalazły się: Oficerska Szkoła MW, Flotylla Wiślana, port wojenny w Toruniu, Centralne Warsztaty MW w Modlinie, Centralne Składy Techniczne w Modlinie i Toruniu oraz transportowiec ORP „Warta" (miał według projektu przejść w ręce personelu marynarki handlowej, ale dalej służyć MW).

Następnie Świrski omawiał szczegółowo plusy i minusy instytucji, które proponował do skasowania. Korzyści pod względem jakości i ilości oficerów, jakie miały powstać ze skasowania tzw. zbędnych oddziałów wyglądałyby następująco:

	etat	*ewidencyjne*	
stan obecny	188	171	91% 17 oficerów brak
stan po reformie	144	171	119% 27 oficerów nadwyżki

Wniosek kmdr. Świrskiego z powyższej statystyki był, że „filtracja... mogłaby więc być bardzo dobrze przeprowadzona bez szkody albo nawet z korzyścią dla procentowej siły obsady etatowych stanowisk[6]".

Kmdr Świrski ostro wystąpił przeciwko skasowaniu podziału na specjalności w korpusie oficerskim MW. Był za przywróceniem dawnych podziałów na oficerów korpusu morskiego, korpusu technicznego i korpusu rzecznobrzegowego.

Ciekawą opinią było zdanie, że „nadmierna centralizacja wykonawczych czynności prowadzi zawsze do zastoju. Podległa instytucja nic nie robi, bo nie ma prawa, a centralna instytucja nic nie robi, bo nie ma czasu".

Jak Świrski widział organizację MW po planowanej reformie? Miały być trzy ośrodki tworzące trzon MW:

a) Kierownictwo Marynarki Wojennej;

---

5. IPMGS: MAR. I/18 teczka adm. J. Unruga. Fotokopia memoriału kmdr. Świrskiego pt. „Główne wytyczne dla sanacji Marynarki Wojennej".
6. *Op. cit.*

b) Dowództwo Floty („silna władza wykonawcza na morzu i na wybrzeżu ze zwiększonym znacznie zakresem władzy administracyjno-gospodarczej[7]";
c) Flotylla Pińska.

W końcowym wniosku Świrski napisał:

„Ogólny kierunek akcji sanacyjnej w marynarce wojennej powinien być taki:

Odciąć od siebie usychające lub niepotrzebne gałęzie (część oddziałów i część oficerów), pozostawiając tylko Kier. Mar. Woj., Dowództwo Floty i Dowództwo Flotylli Pińskiej, dać im te warunki, przy których mogą pracować normalnie i wziąć się na nowo energicznie do roboty pod hasłem: 'tylko to, co niezbędne, ale jak najlepiej'[8]".

Memoriał kmdr. Świrskiego nasuwa różne refleksje. Na niektóre z nich warto tu zwrócić uwagę. Między instytucjami które chciał skasować była Oficerska Szkoła Marynarki Wojennej. Była to wręcz zaskakująca propozycja i twierdzenie, że zagraniczne szkoły dałyby lepiej wyszkolonego oficera nie było wcale przekonywujące ani takie pewne. Dowodem tego było, że gdy Świrski został szefem KMW (miesiąc po napisaniu memoriału) nie wprowadził w życie tej „reformy". Polska Szkoła Podchorążych MW i szkolnictwo MW do roku 1939 osiągnęło wysoki poziom wyszkolenia podoficerów i oficerów, czego lata walki na morzu w drugiej wojnie światowej były dobitnym świadectwem. Rozumowanie kmdr. Świrskiego w 1925 roku było pod tym względem całkiem błędne. Ciekawie zauważyć, że Flotylla Wiślana, którą Świrski zlikwidował w 1926 roku zgodnie z swoim zamiarem przedstawionym w memoriale, została w 1939 roku specjalnie odtworzona jako Oddział Wydzielony „Wisła" w ramach Armii „Pomorze".

Zarzut o za dużej centralizacji brzmi wręcz groteskowo pod piórem kmdr. Świrskiego. Jako szef KMW wprowadził silną centralizację, podporządkowując wszelkie czynności jego zgodzie. Wyżsi oficerowie wykazujący większą inicjatywę i samodzielność zostawali często odsunięci z centralnych władz MW na boczne tory. Dobrym przykładem był kmdr Witold Zajączkowski, uważany za jednego z najzdolniejszych oficerów MW. W 1927 został mianowany dowódcą Flotylli Pińskiej, gdzie pozostał do 1939 roku. Podczas drugiej wojny światowej również trzymał go Świrski raczej na uboczu.

---

7. *Op. cit.*
8. *Op. cit.*

Kmdr Świrski orientował się, że plan reformy który przedstawił w memoriale nie spotka się z aprobatą adm. Porębskiego i że memoriał ten nie mógł nie odegrać roli w podminowaniu pozycji szefa KMW. Trzeba pamiętać, że Świrski w najgorszym wypadku był na trzecim najwyższym stanowisku w MW. Rolę taką memoriał też odegrał. Zresztą była to otwarta zapowiedź dalszej walki.

7 maja 1925 Świrski napisał list do kmdr. por. Józefa Unruga, wciąż będącego w stanie nieczynnym. Jest to bardzo ciekawy dokument, w którym autor wypowiedział się za koniecznością zmian personalnych na najwyższych stanowiskach w MW. Lansował również, do czego się przyznaje, swoją własną osobę na następcę adm. Porębskiego. Jest to zaskakujący objaw braku lojalności wobec własnego szefa. Jako szef KMW adm. Świrski wymagał bezwzględnej lojalności od podwładnych. Sam jej w 1925 jednak nie wykazał. List stanowi bardzo ostrą krytykę bezpośrednich przełożonych kmdr. Świrskiego, którą trudno przypisać wyłącznie ich niezdolności czy mniemanemu brakowi fachowości. Możliwe, że wyraźna niechęć do obu admirałów, Porębskiego i Kłoczkowskiego, sięga czasów służby we Flocie Czarnomorskiej, w której obaj byli starszymi kolegami Świrskiego podczas pierwszej wojny światowej. Jest niemniej dziwne, aby wyższy oficer służby czynnej napisał do młodszego kolegi, nawet jeśli ten ostatni był chwilowo w stanie nieczynnym (co nie jest to samo co w stanie spoczynku). Dowodzi to tylko jak głęboki i poważny był kryzys w łonie dowództwa MW[9].



Gdynia, 7/5 [19]25

Szanowny Panie Komandorze,

W liście Pana mam do specjalnego omówienia jedynie 2 rzeczy.

1) Charakterystyka adm. Porębskiego[10] wydaje mi się chociaż zupełnie słuszna, ale zanadto może uwypuklona. Jeżeli by mnie zapytano obecnie, kogo wolę, adm. Porębskiego, czy adm. Kłoczkowskiego[11], bez namysłu głosowałbym za adm. Porębskim. My-

---

9. IPMGS: MAR. I/18 teczka adm. Unruga. Fotokopia listu kmdr. J. Świrskiego do kmdr. por. J. Unruga z 7 maja 1925, pisanego ręcznie. Jest to odpowiedź na list kmdr. por. Unruga, którego nie ma w zespole akt MW w IPMGS.

10. Wiceadmirał Kazimierz Porębski (1872-1933). W latach 1919-1922: szef Departamentu Spraw Morskich MSWojsk. Od 1922 do 1925: szef Kierownictwa Marynarki Wojennej.

11. Kontradmirał Wacław Kłoczkowski (1873-1930). W latach 1924-1925: zastępca szefa Kierownictwa Marynarki Wojennej.

ślę, że adm. Kłoczkowski jest znacznie gorszy, niż adm. Porębski. Ten ostatni miał dzikie idee i chaotyczny umysł i słaby charakter, ale przynajmniej wykazywał dobre chęci i miał poczucie swojej godności, jako przełożonego. Wszystko zaś, co robi adm. Kłoczkowski, jest przesiąknięte nierozumnym strachem. Wydaje rozkazy, wiedząc o tym, że są niewykonalne, tylko dlatego, żeby być „krytym", i nie myśli wcale o tym, że stawia nimi swoich podwładnych w położeniu bez wyjścia. Na domiar złego, kiedy mu się o tym mówi, to pociesza, objaśniając, że tych rozkazów nie trzeba brać literalnie i że one są napisane w celu uspokojenia „kontroli" etc.

Słowem zupełna nielojalność wobec podwładnych i strach przed przełożonymi posuwający się do tego stopnia, że gdy jeden z moich oficerów złożył Ministrowi zażalenie na przewlekanie przez KMW jego poprzedniego zażalenia, to kazano mi tego oficera zawezwać, objaśnić mu, że KMW nie zaniedbuje sprawy i robi wszystko co może oraz zapytać go, czy on nie cofnie swojego zażalenia do Ministra.

25 kwietnia byłem zawezwany do Warszawy i adm. Kłoczk[owski], powołując się na to, że nie ma ludzi do pracy, powiedział, że ma zamiar wyznaczyć mnie na szefa sztabu KMW.

Po namyśle odpisałem mu, że Kier. Mar.Woj. idzie do katastrofy i że ja nie chcę swoją robotą przyczyniać się do przedłużenia agonii, gdyż potrzebne są zupełnie gruntowne zmiany, których ja na stanowisku szefa sztabu albo nawet zastępcy szefa KMW nie będę w stanie przeprowadzić, na skutek braku samodzielności na tych stanowiskach.

Na razie, zdaje się, obrazili się i dali mi spokój. Nie mam żadnych wyrzutów sumienia, gdyż rzeczywiście chciałoby mi się, żeby ta instytucja raz wreszcie się całkowicie zdyskredytowała. — Co do adm. Jolivet[12], to byłby doskonałym szefem KMW, o ile by był polskim obywatelem i Polakiem.

Strony dodatnie jego wyznaczenia na to miejsce:

a) Duże doświadczenia, rozum, systematyczny i logiczny umysł.

b) Większy autorytet wobec MSWojsk.

Strony ujemne:

c) Nie zawsze korzystny wpływ na nasze plany operacyjne i naginanie ich do potrzeb Francji.

d) Za duży wgląd w sprawy naszej polityki wojskowej, która nie zawsze idzie po linii interesów Francji.

---

12. Kontradmirał Jolivet. Od stycznia 1924 był szefem Francuskiej Misji Morskiej w Polsce.

e) Trudność przeciwstawienia się ze strony adm. Jolivet tendencjom Francuzów dawania nam lichego uzbrojenia, które to tendencje oni stale pokazują i w znacznej mierze wcielają je w życie.

f) Podpisywanie pism, których tekst będzie mu znany tylko ogólnikowo, a na skutek tego jeszcze większa zależność od referentów, niż dotychczas.

g) Brak w większości wypadków możliwości wejścia w bezpośredni kontakt z podwładnymi.

h) Zauważona przeze mnie trudność, jaką adm. Jolivet doświadcza przy zastosowywaniu swoich francuskich poglądów organizacyjnych do naszych warunków.

Precedensy:

Jedyny precedens to gen. Leveque[13], b. szef Dep. IV, który na skutek szeregu analogicznych trudności musiał odejść ze stanowiska.

Sytuacja jego była o tyle łatwiejsza, że nie był *dowódcą,* gdyż szefowie Deptów mają podwładnych tylko w swoim biurze w Warszawie, a wojska odnośnych rodzajów broni im nie podlegają. Natomiast szef KMW jest *dowódcą.*

Rozważywszy to wszystko, byłbym stanowczo przeciwnym nominacji adm. Jolivet. O ile chodzi o autorytet czysto zewnętrzny, tj. rangę, to przecież i komandora można awansować na k-admirała, a wszystkie strony dodatnie (a) i (b), które posiada adm. Jolivet, może on wyjawić jako doradca, a żeby to było skuteczniejsze, można zwiększyć skład misji francuskiej, sadzając w każdym nawet wydziale jednego oficera mar[ynarki] franc[uskiej], jak jest w MSWojsk. Jeżeli by nie można się było zdecydować na polskiego oficera marynarki, to zdaje mi się, że lepiej byłoby mieć lądowego generała, niż adm. Jolivet.

To co piszę może dać do myślenia, że wysuwam siebie na stan[owisko] szefa KMW. Nie zaprzeczam, bo patrząc na rzecz możliwie obiektywnie, wydaje mi się że pośród admirałów i komandorów jedynie ja mógłbym zrobić coś radykalniejszego[14].

---

13. Generał Armand Leveque, Francuz. W latach 1923-1924 był szefem Departamentu IV Żeglugi Powietrznej MSWojsk.

14. Z admirałów będących wówczas w czynnej służbie poza Porębskim i Kłoczkowskim byli: Kontradmirał inż. Michał Borowski, pełnomocnik MSWojsk. przy Komisariacie Generalnym RP w Gdańsku, i kontradmirał Jerzy Zwierkowski, pełnomocnik rządu RP do spraw związanych z budową basenu i składów amunicyjnych na Westerplatte. Z komandorów należałoby wymienić Czesława Petelenza, Witolda Panasewicza i Jerzego Łątkiewicza.

Byłoby to dla mnie nie przyjemnością (w znaczeniu życiowym) lecz wielkim poświęceniem, bo nawet przy awansie na k-adm. pobory moje zmniejszyłyby się o 25 %. Tu mam rządowe mieszkanie, a tam żadnego. Tu mam cudowne otoczenie, a tam ciasnotę i zaduch. Tu mam stosunkowy spokój, a tam masę przeszkód i trudności.

Nie piszę tego w tym celu, by Pan robił sugestię co do mnie Ministrowi[15] — odwrotnie, myślę, że takie postawienie kwestii mogłoby raczej zaszkodzić sprawie — piszę jedynie po to, żeby dokładnie oświetlić przypuszczenia, które mogą się nasunąć przy czytaniu moich uwag co do admir[ałów] Porębskiego, Kłoczkowskiego i Joliveta.

Szpakowski[16] jest gen[erałem] bryg[ady] i przyjacielem Kłoczkowskiego, a więc trzeba pisać wprost do Ministra. Czas obecny jest zupełnie odpowiedni. Mój memoriał wywarł w Kier. Mar. Woj. na ogół przykre wrażenie, głównie dlatego, że został jednocześnie wysłany prywatnie kilku osobom. Solski[17] powiedział, że on by napisał to samo, tylko że nie miał do tego odwagi.

Kłoczkowski bierze mi za złe to, że chcę zredukować personel (przez filtrację), podczas gdy oni chcą go zwiększyć, powołując ludzi z rezerwy i starając się u Ministra o odpowiednie pozwolenie.

Oni chcą *coûte que coûte* [bez względu na koszty — A.S.] wydać w tym roku te 15 milionów na nowy program, by się „nie skompromitować", a ja uważam, że jeżeli nowy program będzie przeszkadzał sanacji marynarki, to najprzód sanacja, a potem nowy program. Jakie są nieoficjalne rezultaty mojego memoriału, tego nie wiem.

Posłałem do gen. Szpakowskiego (wątpię jednak, żeby on dał Ministrowi), do płk. Kutrzeby[18] do mjr. Maruszewskiego[19] (O. I Szt. Gen.) i do ppłk. Bociańskiego[20] (O. II Szt. Gen.) oraz

---

15. Ministrem Spraw Wojskowych był gen. dyw. Władysław Sikorski (1881-1943).
16. Generał brygady Edward Szpakowski (1880-1942) w latach 1921-1926: szef Gabinetu Ministra Spraw Wojskowych.
17. Kmdr. por. Eugeniusz Solski (1893-1937). W 1925 był szefem Wydziału Organizacyjno-Mobilizacyjnego KMW.
18. Płk S.G. Tadeusz Kutrzeba (1886-1947). W 1925 był szefem Oddziału IIIa Ścisłej Rady Wojennej, pełniąc równocześnie funkcję szefa Biura Ścisłej Rady Wojennej i II zastępcy szefa Sztabu Generalnego.
19. Mjr S.G. Artur Maruszewski z Oddziału I (Organizacyjno-Mobilizacyjnego) Sztabu Generalnego.
20. Ppłk S.G. Ludwik Bociański był szefem wydziału w Oddziale II (Wywiadowczy) Sztabu Generalnego.

do adm. Porębskiego, który powiedział podobno, że ja mam ciasny horyzont i patrzę na wszystko z punktu widzenia gdyńskich czy puckich poglądów.

Cieszę się bardzo, że Państwo jednak do nas się wybierają. Do Pani Zofii[21] napiszę osobno.

Serdecznie ściskam dłoń

Szczerze oddany *J. Świrski*

Bardzo się cieszę, że wreszcie mogę Panu powinszować Złotego Krzyża Zasługi, którym Pan został odznaczony na 3 maja.

J.Ś.



Jak wynika z listu kmdr. Świrskiego, nie krył się ze swoimi poglądami przed przełożonymi. Ale również nie chciał im pomóc, uważając, że potrzebna była całkowita zmiana polityki MW, co również pociągnęłoby zmiany personalne na najwyższym szczeblu. Otwarcie wysuwał własną kandydaturę na szefostwo KMW. Można przypuszczać, że list ten był przynajmniej częściowo pisany z intencją że kmdr por. Unrug „niezależnie" napisze list do ministra Spraw Wojskowych. Świrski mimo zaprzeczenia takiej intencji daje wyraźne wskazówki w tej sprawie. Taki list miałby bądź co bądź duże znaczenie. Unrug, będąc z niemieckiej marynarki i od półtora roku w stanie nieczynnym, nie mógł być posądzony o większe powiązania z kmdr. Świrskim poza służbowym stosunkiem jako jego szef sztabu w Dowództwie Floty do 1923 roku. List od kmdr. por. Unruga widziany byłby jako obiektywne spostrzeżenia osoby słusznie i zrozumiale zainteresowanej sprawami marynarki, stojącej od półtora roku raczej na uboczu.

Ustęp w którym kmdr Świrski, wysunąwszy już swoją kandydaturę na szefa KMW, podkreśla, że byłoby to z różnych względów poświęceniem, nawet przy awansie na kontradmirała, brzmi raczej nieszczerze. Świrski był bardzo zdolny, ale również był ambitny i zazdrosny o swoją pozycję. Dzięki temu utrzymał się na stanowisku szefa KMW przez 22 lata (przetrwał przewrót majowy, śmierć Marszałka Piłsudskiego, klęskę 1939 roku i śmierć gen. Sikorskiego w 1943 roku). Na awans admiralski czekał do 1931 roku. Warto zaznaczyć, że podczas 22-letniego szefostwa Świrskiego, biorąc pod uwagę, że był to okres ciągłego rozwoju i rozrostu MW i sześcioletniej wojny, były jedynie cztery awanse na admirałów nie licząc Świrskiego. Byli to J. Unrug w 1933 r.,

21. Zofia Unrug, żona kmdr. por. J. Unruga.

X. Czernicki w 1939 r., S. Frankowski w 1940 r. i K. Korytowski w 1945 r. Trzeba dodać, że Czernicki był specjalistą służby technicznej, a Frankowski awansował pośmiertnie. Adm. Świrski potrafił usunąć osoby, które mogły stanowić dla niego konkurencję. Jak widzieliśmy, zrobił to przed wojną z kmdr. Zajączkowskim. Podczas wojny zrobił to samo z kmdr. Tadeuszem Morgensternem, którego usunął z KMW do Stanów Zjednoczonych na *attaché* morskiego. Ani jeden ani drugi nie awansował na stopnie admiralskie, czego oboje mogli się spodziewać, chociażby pod koniec wojny, jak Korytowski.

Opinia adm. Porębskiego o Świrskim, którą ten ostatni sam przytoczył pod koniec swego listu, jest warta uwagi, ponieważ jest szczególnie trafna. Adm. Porębski był człowiekiem o większym i bardziej różnorodnym doświadczeniu morskim niż Świrski. Widział sprawę rozwoju MW na tle szerszego horyzontu ogólnej polityki morskiej, gospodarczej i obronnej państwa. Natomiast adm. Świrski był bardziej „prowincjonalny", interesując się wyłącznie samą marynarką wojenną w oderwaniu od szerszych zagadnień z nią związanych.

Jeśli kmdr Świrski spodziewał się, że jego list spowoduje „pożądaną" reakcję ze strony kmdr. por. Unruga, nie zawiódł się. 10 maja 1925 Unrug wystosował list do ministra Spraw Wojskowych, gen. Sikorskiego, używając jako wstępne uzasadnienie zwrócenia się do ministra głośną sprawę kmdr. ppor. Jana Bartoszewicz-Stachowskiego, kierownika Samodzielnego Referatu Broni Podwodnej KMW. Sprawa polegała na dochodzeniach komisji badającej nadużycia dokonane przez Bartoszewicz-Stachowskiego (tzw. afera minowa). Wiemy, że Unrug był dobrze obeznany z memoriałem Świrskiego i użył różnych jego punktów w swym liście do Sikorskiego (np. skasowanie odrębności korpusów oficerskich w MW lub podkreślenie konieczności uniezależnienia MW od przepisów stworzonych dla wojska lądowego). O tym, że znał memoriał, nie wspomniał Sikorskiemu. Kmdr por. Unrug otwarcie napisał, że usunięcie admirała Porębskiego było potrzebne dla przeprowadzenia sanacji MW. Chociaż imiennie nie wymienił kmdr. Świrskiego jako pożądanego następcy, to dał do zrozumienia, że następcy na szefa KMW trzeba szukać wśród komandorów. Automatycznie w takim wypadku odpadały kandydatury kmdr. C. Petelenza, szefa sztabu KMW i kmdr. B. Mullera, szefa Wydziału Zaopatrzenia KMW (obaj byli związani ze „zdyskredytowanym" w oczach Unruga Kierownictwem Marynarki Wojennej). Kmdr W. Żelechowski, będąc kierownikiem Centralnych Składów Technicznych Portu Wojennego w Modlinie, nie wchodził w rachubę, jak również komandorzy Łątkiewicz (dowódca

Dywizjonu Ćwiczebnego Floty) i Panasewicz, może z nich wszystkich najpoważniejszy konkurent Świrskiego, ale zaledwie trzy lata młodszy od Porębskiego. Od pięciu lat był komendantem Portu Wojennego w Pucku. Kmdr Świrski natomiast był najmłodszy (43 lata) z komandorów, a w sensie służbowym był seniorem, ponieważ zdołał już być w polskiej MW m.in.: zastępcą szefa Departamentu Spraw Morskich, p.o. szefa DSM i dowódcą Floty.



Majętność Sielec p. Podobowice
Pow. Żnin. Wojw. Poznańskie dn. 10 maja 1925

Panie Generale!

Nieszczęsna sprawa komandora podporucznika Bartoszewicza-Stachowskiego, która niestety tak szeroki zyskała rozgłos w prasie, daje mi asumpt do zwrócenia się, z całym należnym Jego Dostojnej Osobie szacunkiem, do Pana Generała, od którego decyzji zależą ostatecznie losy naszej siły zbrojnej na morzu i rzekach.

Dawno już, jeszcze będąc w służbie czynnej jako szef sztabu dowództwa floty w Pucku, kiedy błędy i niedomagania w organizacji naszej marynarki sam bardzo dotkliwie odczuwałem, nosiłem się z zamiarem zwrócenia się poufnego do Pana Generała, celem spowodowania naprawy niezdrowych stosunków. Myśl ta nurtowała we mnie nadal, chociaż już od jesieni 1923 na własną prośbę i na podstawie orzeczenia komisji superrewizyjnej przeniesiony zostałem w stan nieczynny. Toteż obecnie, kiedy już nie jestem skrępowany ustawą ani względami natury służbowej i kiedy w związku z kompromitującą aferą kmdora B[artoszewicz-Stachowskiego] sprawa sanacji marynarki wojennej stała się nagląca, chwila wydaje mi się odpowiednia do wykonania mojego zamiaru. Zwracam się więc w tym liście do Pana Generała jako obywatel do obywatela, z całym zaufaniem i w przekonaniu, że Pan Generał, który niejednokrotnie okazał tak żywe zainteresowanie się naszą marynarką, zechce wysłuchać opinii człowieka bezstronnego, który pracując w marynarce niemal od początku jej istnienia, miał sposobność poznać gruntownie wszelkie jej bolączki. Czynię to przeświadczony głęboko o doniosłości zagadnienia morskiego dla bytu mocarstwowego naszej Ojczyzny, bez żadnych celów ubocznych lub postronnych wpływów, jedynie w chęci przysłużenia się, ile to w mojej mocy, sprawie marynarki, której oddany byłem i jestem całą duszą.

Skoro mowa o koniecznej potrzebie sanacji marynarki wojen-

nej, dowodzi to, że stosunki obecnie tam panujące są niezdrowe, a sprawa kdora B[artoszewicz-Stachowskiego] stanowi tylko punkt kulminacyjny w kryzysie, który się przygotowywał od dawna. Sprawa ta, niezależnie od wyniku śledztwa i orzeczenia sądu[22], tak ujemnie świadcząca o stosunkach w korpusie oficerskim marynarki, jest po prostu pierwszym jawnym symptomatem choroby, na którą marynarka wojenna cierpi od chwili swego powstania.

W przeciwieństwie do armii lądowej, w której stosunkowo wcześnie nastąpiła konsolidacja wewnętrzna, głównie dzięki energicznemu oczyszczeniu jej korpusu oficerskiego z elementów nieodpowiednich, marynarka, walcząca od początku swego istnienia z trudnościami zewnętrznymi i absorbowana tą ciągłą walką o byt, nie zdołała dotąd wyzbyć się błędów, które z natury rzeczy tkwią w każdej młodej organizacji.

Do dziś dnia znajduje się w służbie czynnej marynarki wojennej cały szereg oficerów, bądź to pod względem fachowym, bądź moralnym nie kwalifikujących się dla swoich stanowisk. Oficerowie ci, o których wiadomo że pożytku służbie nie przynoszą — hamując postęp i paraliżując wysiłki i pracę jednostek lepszych — powodują dalsze zło, mianowicie brak podstawowego ducha dyscypliny i podporządkowania się bezwzględnego jednemu celowi: dobru służby dla kraju.

W wyższej mierze niż poszczególni oficerowie odpowiedzialnym za ten stan rzeczy jest samo kierownictwo marynarki, lub raczej brak kierownictwa. Marynarka nigdy dotąd nie poczuła silnej ręki, nie miała ani jasno wytkniętego celu, ani stałego kierunku. Mówiąc zupełnie otwarcie: nieszczęściem dla marynarki był jej szef, wiceadmirał Porębski.

Oficer ten, dobry i szlachetny jako człowiek, ożywiony najlepszymi intencjami, doświadczony w służbie morskiej w czasie pokoju i wojny, który w rosyjskiej marynarce podobno miał opinię surowego rygorysty i krzewiciela karności — u nas zawiódł zupełnie. Fatalnie pobłażliwy i miękki wobec podwładnych, niestały w swych zamierzeniach i chwiejny do tego stopnia, że nigdy nie ma pewności, czy wydany już rozkaz nie zostanie znów cofnięty lub zmieniony pod czyimś wpływem, działał od samego początku wprost zabójczo na dyscyplinę.

Na domiar nierealne i wysoce szkodliwe dla rozwoju maryki projekty admirała P[orębskiego] (np. projekt złączenia

22. Kmdr. ppor. Bartoszewicz-Stachowski został skazany na pięć lat więzienia i wydalenie z marynarki wojennej.

marynarki wojennej z handlową w ministerstwie przem[ysłu] i handl[u]) wytworzyły w korpusie oficerskim uczucie niepewności jutra oraz braku ciągłości i celowości pracy. Smutny to fakt, że praca tych podwładnych p. admirała, którzy zdołali się zawczasu zorientować i którzy wskutek tylu zmarnowanych wysiłków jeszcze nie zobojętnieli, polegała w znacznej mierze na przeciwdziałaniu szkodliwym dla marynarki ideom jej szefa.

Nic dziwnego, że przy tak słabym i nieobliczalnym szefie całe kierownictwo marynarki, a w pierwszym rzędzie służba materialnego zaopatrzenia okrętów i personelu, działa jak najgorzej.

Zamiast całą siłą tę sprawę pchać naprzód przez polepszenie administracji, czy to technicznej, czy też intendenckiej, która do dziś dnia, po pięciu latach, działa nad wyraz wadliwie i źle, — dopuszczono do urzeczywistnienia tak szkodliwego dla marynarki planu skasowania odrębności różnych jej korpusów oficerskich. Przez tę źle pojętą i w naszych warunkach personalnych przedwczesną „reformę", która jest tylko bezkrytycznym i nierozumnym naśladowaniem marynarki St[anów] Zjedn[oczonych] A[meryki] P[ółnocnej], spowodowano, że szczupła ilość inżynierów którą marynarka polska dziś posiada, niezadługo zniknie, co państwo jeszcze drogo będzie kosztowało.

Stan taki oczywiście odbija się fatalnie na działalności wszystkich dowództw podległych kierownictwu marynarki wojennej, które przy zbytecznej całkiem, nadmiernej centralizacji służby nie mają możności swobodnej i korzystnej pracy, skoro centrala nie funkcjonuje.

Szkodliwym dla rozwoju marynarki prawie we wszystkich jej dziedzinach, a zwłaszcza w dziedzinie gospodarczej, okazało się również niewolnicze uzależnienie jej od przepisów tworzonych dla armii lądowej. Marynarka nie jest i nie może być, jak lotnictwo lądowe, czołgi lub jakakolwiek inna broń, integralną częścią armii, lecz stanowi odrębny zupełnie i samodzielny organizm, który chociaż maleńki dotychczas, wymaga odrębnego traktowania. Historia marynarek wojennych, np. w Austrii i w Prusach, dowodzi, że popełniono tam swego czasu ten sam błąd, naginania potrzeb marynarki do przepisów stworzonych dla wojska — błąd, którego złe skutki starano się później naprawić, nadając marynarce wojennej konieczny dla jej prawidłowego rozwoju stopień niezależności od armii.

Jeżeli polska marynarka wojenna ma dalej istnieć i spełnić swe zadanie, tj. wyjść z obecnego stanu szkolno-kadrowego i stać

się skutecznym narzędziem obrony kraju, w takim razie niezbędne są pewne reformy, których główne zasady ująć można w sposób następujący:

1) Zmiana osoby szefa kierownictwa marynarki. Osobistości odpowiedniej na to stanowisko należałoby szukać między komandorami. Śmiem twierdzić z całą stanowczością, że żaden z oficerów będących obecnie w randze admiralskiej się nie nadaje.

2) Oczyszczenie korpusu oficerów marynarki przez bezwzględne wyeliminowanie elementów zużytych lub moralnie nieodpowiednich. Jeżeli to będzie przeprowadzone, zabraknie pewna ilość oficerów do etatu, lecz sądzę, że przez odpowiednie zarządzenia organizacyjne da się przeprowadzić redukcję etatowych stanowisk oficerskich bez szkody dla służby. Poza tym należy się spodziewać, że pozostali oficerowie, już nie krępowani w działaniu przez jednostki nieodpowiednie, i podniesieni na duchu przez przeprowadzoną sanację, podwoją wydajność swej pracy.

3) Cofnięcie lub zawieszenie wykonania ustawy, kasującej zróżniczkowanie korpusu oficerskiego marynarki na morski, techniczny i rzeczno-brzegowy. W dzisiejszych warunkach zniesienie korpusu technicznego jest absurdem, który nikomu korzyści nie przyniesie i musi okazać się wysoce szkodliwe dla dalszego rozwoju służby technicznej marynarki.

4) Uniezależnienie marynarki wojennej od przepisów stworzonych dla wojska przez usamodzielnienie jej służb od odnośnych departamentów służb MSWojsk.

Panie Generale! Sytuacja jest groźna, chodzi dziś wprost o egzystencję marynarki wojnnej, której potrzebę dla obrony kraju Sam Pan uznałeś i o której na szczęście można powiedzieć, że zasługuje na to, żeby ją ocalić ze stanu obecnej dezorientacji.

Projektuje się urzeczywistnienie programowej rozbudowy marynarki, a w tym roku już dość pokaźna — jak na nasze stosunki — suma ma być łożona na cele uzbrojenia morskiego. Według tego jak sytuacja w marynarce się dziś przedstawia, nie ma jednakże gwarancji, że potencjalna siła naszej obrony się podniesie, mimo ofiar materialnych kraju. Nie jest to tylko moim zapatrywaniem osobistym, lecz jestem pewien że dzielę je z tymi oficerami którzy jasno zdają sobie sprawę z beznadziejności obecnego stanu i którzy rozumieją, że przed wykonaniem jakiegokolwiek

programu rozwoju należy przeprowadzić radykalną naprawę stosunków wewnętrznych.

Są w marynarce naszej ludzie zdolni, tędzy moralnie, niestrudzonej pracy i ofiarności, którzy raz zapoczątkowane dzieło wyprowadzą z błędów doby obecnej do pomyślnego jutra. Trzeba tylko, żeby doznali poparcia z góry, żeby czuli za sobą świadomą wolę mężów, którzy kierują losem siły zbrojnej Rzeczpospolitej. Wówczas marynarka wojenna stanie się tym, czym być powinna: kluczem do naszych wrót morskich.

Zabierając głos w tej tak ważnej dla naszej przyszłości państwowej sprawie, winien jestem wytłumaczenie, co mnie do tego upoważnia:

Jestem byłym oficerem marynarki wojennej niemieckiej, w której służyłem bez przerwy od początku roku 1904 do końca roku 1918. W marynarce polskiej pełniłem służbę od początku jej istnienia, a w latach 1920 do 1923 byłem szefem sztabu Dowództwa Floty. Znam zatem dokładnie wszystkie dotychczasowe fazy rozwoju naszej siły morskiej. Jako zamiłowany marynarz, a więcej jeszcze jako obywatel doceniający potrzebę marynarki wojennej dla obrony Ojczyzny, śledzę z żywym zainteresowaniem także i dziś, stojąc z dala, przebieg jej rozwoju i sądzę, że pogląd mój na sanację stosunków w marynarce jest uzasadniony. Ufam więc że ten mój list, w którym bez zastrzeżeń i ogródek wyrażam moją opinię o naprawie marynarki wojennej, nie wzbudzi powątpiewań co do szczerości moich zamierzeń.

Nie proszę o nic dla siebie ani dla nikogo, chodzi mi jedynie o sprawę. Żałuję bardzo, że chcąc osiągnąć swój cel nie mogłem oszczędzić ciężkich zarzutów szefowi marynarki wojennej, którego cenię jako człowieka i wobec którego nie żywię żadnej osobistej niechęci.

Racz Pan, Panie Generale, przyjąć wyrazy mojego najgłębszego szacunku i poważania.

(—) *J. Unrug*
Komandor porucznik w stanie nieczynnym[23]



Zastanawiający jest fakt, że osoba tak mocno zaniepokojona i mająca zamiar napisać do ministra, gdy była jeszcze w służbie czynnej (kmdr Unrug) napisała swój list dopiero półtora roku

23. IPMGS: MAR. I/18 teczka adm. Unruga. Fotokopia odpisu listu kmdr. por. J. Unruga do gen. W. Sikorskiego.

po przejściu w stan nieczynny. Nie wygląda to na list pisany tak spontanicznie, jak jego autor chciał, aby uważano.

W dziesięć dni po napisaniu powyższego listu adm. Porębski został zawieszony w swych czynnościach na skutek tzw. afery minowej oraz ostrej krytyki w Sejmie o stanie przygotowań w MW. Komandor Świrski został mianowany szefem KMW, a wkrótce potem kmdr por. Unrug powrócił do służby czynnej jako dowódca Floty.

Nie ulega wątpliwości, że sprawa nadużyć w Samodzielnym Referacie Broni Podwodnej KMW bardzo zaszkodziła Porębskiemu. Ale gdyby nie szerokie niezadowolenie wśród korpusu oficerów MW z działalności KMW oraz akcja zmierzająca do przedstawienia przełożonym adm. Porębskiego sytuacji panującej w KMW i konieczności szerokich zmian dla jej poprawy nie ma pewności, że Porębski zostałby usunięty. Na pewno nie pomogło mu to, że był znany jako zwolennik oparcia rozwoju MW o Anglię pomimo, że później musiał oprzeć ją o Francję. Jego szef, minister Spraw Wojskowych gen. Sikorski, był natomiast silnym frankofilem od początku.

Powyżej przedstawiona dokumentacja pozwala przypuszczać, że akcja przeprowadzona przez kmdr. Świrskiego o sanację MW była dla adm. Porębskiego groźniejsza niż tzw. afera minowa, której użyto jako pretekstu do jego usunięcia. Dopiero dalsze szczegółowe badania w archiwach krajowych pozwolą stwierdzić, w jakich ramach była ta akcja „przeciwko szefostwu KMW" planowana i przeprowadzana, jaką dokładnie rolę odegrał w niej kmdr Świrski i do jakiego stopnia istniało ścisłe porozumienie w tej sprawie między kmdr. Świrskim a kmdr. por. Unrugiem.

Dalsze wypadki potwierdziły, że dla młodej marynarki wojennej elitarne podejście adm. Świrskiego do wszelkich spraw związanych z MW było konieczne, aby zagwarantować jej pełną odrębność jako samodzielnej sile zbrojnej Rzeczypospolitej, zapewnić jej mocne ramy organizacyjne pozwalające na dalszy jej rozwój, stworzyć silne *esprit de corps* wśród marynarzy oraz osiągnąć możliwie najwyższy poziom wyszkolenia. W zapewnieniu dwóch ostatnich rzeczy główną rolę odegrał adm. Unrug[24].

Niemniej zalety Świrskiego nie powinny zaćmić zasług admi-

---

24. Zalety adm. Świrskiego, które wówczas okazały się tak potrzebne, z czasem stały się hamulcem dalszego rozwoju, szczególnie w dziedzinie zagadnień operacyjnych i dyskusji nad dostosowaniem programu budowy okrętów do tych potrzeb. Silna centralizacja w rękach adm. Świrskiego i jego autokratyczny styl rządzenia nie były bodźcem do wykazywania szerokiej inicjatywy i prowadzenia dyskusji przez podwładnych w KMW.

rała Porębskiego, który był właściwym twórcą podstaw MW, na których Świrski później budował. Dokumentacja pozwala również stwierdzić, że admirał Świrski nie był niewinnym czynnikiem stojącym na uboczu podczas kryzysu, który doprowadził do usunięcia adm. Porębskiego. Wręcz odwrotnie, wynika z niej, że Świrski aktywnie działał celem usunięcia Porębskiego i uzyskania dla siebie nominacji na szefa Kierownictwa Marynarki Wojennej.

Andrzej SUCHCITZ

Benedykt HEYDENKORN

50-DNIOWA REPUBLIKA SOWIECKA*

Galicyjska Socjalistyczna Republika Sowiecka istniała od 1 sierpnia do 20 września 1920 roku na terenach, zajętych przez Armię Czerwoną, a obejmujących 14 powiatów północno-wschodniej Galicji i części sześciu innych. Obszar obejmował ok. 18 tys. km^2 z ludnością w liczbie około 1.671.300. Stolicą tego moskiewskiego tworu był Tarnopol. Żywot tego iluzorycznego państwa był wprawdzie krótki, ale ustanowienie go przez władze sowieckie miało odegrać poważną rolę w dalszym rozwoju organizowanych i przewidywanych przez Moskwę wydarzeń. Temu tworowi Wasyl Weryha, historyk, pracownik naukowy biblioteki University of Toronto, poświęcił obszerne studium, oparte o bogaty materiał źródłowy.

Praca została opatrzona wstępem prof. Wasyla Markusa. Zdaniem Weryhy, Galicyjska Socjalistyczna Sowiecka Republika była pierwszą próbą eksportu bolszewizmu. Nie podejmując dyskusji na ten temat, należy jednak pamiętać, że przewroty komunistyczne na Węgrzech i w Bawarii wywodziły się również z Moskwy. Weryha wielokrotnie wskazuje, więcej, podkreśla, że ludność tego obszaru nie miała nic wspólnego z tworzeniem tego karłowatego organizmu państwowego ani też nie odegrała w nim żadnej roli.

Lenin był dalekowzrocznym politykiem. Zakładając nieuchronny zbrojny konflikt z Polską, przygotowywał się doń również politycznie. Marsz na Polskę miał w jego planach znaczenie międzynarodowe. Polska miała być pomostem dla marszu rewolucji na Zachód. Uważał, iż dla utrzymania się u władzy w Rosji niezbędna

---

*Wasyl Weryha, *Hałyćka Socjalistyczna Sowiećka Respublika 1920 r.* Tow. Naukowe im. Szewczenki — pp. XV, str. 200, New York - Toronto - Paryż - Melbourne 1986.

jest rewolucja światowa, przynajmniej w niektórych państwach sąsiedzkich i nieco dalej, na Węgrzech i w Niemczech.

Z Armią Czerwoną wkroczyły na zajmowane tereny władze polityczne, oczywiście przygotowane wcześniej w Moskwie. I tak np. „rząd" w Białymstoku z Marchlewskim i Konem na czele nie został powołany ani uformowany przez polskie krajowe komórki komunistyczne, ani tym bardziej nie reprezentował polskiej klasy robotniczej, podobnie jak GALORKOM (Galicyjskij Organizacyjnyj Komitet) i jego inne wcielenia nie reprezentowały całej ludności czy też jej ukraińskiej części Wschodniej Galicji.

Zdaniem Weryhy, pomysł utworzenia pseudo-samodzielnego ukraińskiego, galicyjskiego organizmu państwowego należy do Lenina. Wstępne rozmowy przeprowadził z Wołodymyrem Zatonskim, którego upatrzył na przywódcę. Zatonskij, wypróbowany członek władz partyjnych, odpowiedzialny działacz na różnych szczeblach i odcinkach, był zadnieprzańskim Ukraińcem i nie miał żadnej łączności z Galicją i jej ukraińską ludnością. Jego świadomość narodowa była przesłonięta nadrzędnym, rewolucyjnym internacjonalizmem, którego wcieleniem był młody walczący Związek Sowiecki z Leninem na czele.

Do eksportu bolszewizmu Moskwa przygotowywała się skrupulatnie i umiejętnie, wykorzystując różnorakie środki, elementy itp. Rewolucja miała przecież ogarnąć co najmniej kilka państw, chociażby dlatego, iż jej przywódcy uważali, albo raczej obawiali się, iż nie da się jej utrzymać w jednym państwie. Podbój Polski, zagarnięcie chociażby Wschodniej Galicji i włączenie tych obszarów do Związku Sowieckiego, było częścią rewolucyjnego programu Lenina. Dla Wschodniej Galicji, o przeważającej liczbie ludności ukraińskiej, należało oczywiście przygotować odpowiednią ekipę, zalążek dla szerszej akcji. Rolę tę miała spełnić komórka komunistyczna utworzona z Ukraińców-żołnierzy austriackich znajdujących się w obozach jenieckich w Turkiestanie. Została ona uformowana zimą 1919 roku przez Mikołaja Lewickija, który następnie, wraz z najbliższymi swoimi współpracownikami, znalazł się w kierownictwie władz Galicyjskiej SSR.

Weryha słusznie zakłada, że GSSR była w planach Moskwy tylko czasowym organizmem państwowym, przeznaczonym następnie do wcielenia do bolszewickiej Polski. Eksperyment galicyjski nie udał się Moskwie i — jak to wykazuje Weryha — nie tylko w następstwie klęski wojennej, ale i politycznej: nastawienia ludności do bolszewizmu, do sowieckiego imperializmu. Tym zapewne należy tłumaczyć nieomal całkowite przemilczenie tego fragmentu dziejów w pracach zarówno ukraińskich, jak i rosyjskich historyków do 1942 roku, kiedy to pojawiła się o nim tylko lakoniczna wzmianka w zbiorowej pracy „Narys istoriji Ukrajiny" wydanej przez Ukraińską Akademię Nauk. Dopiero od połowy lat 50-tych zaczęły pojawiać się opracowania, a później

opublikowano zbiór dokumentów „Pid praporom żowtnja" („Pod sztandarem października"), zawierający dekrety, zarządzenia, uchwały władz partyjnych i administracyjnych. Mają one przede wszystkim wykazać, iż ludność ukraińska entuzjastycznie przyjęła Armię Czerwoną i nowy ład ustanowiony przez władze sowieckie. Weryha konfrontuje te dane z rzeczywistością, by wykazać fałsz i przesadę źródeł sowieckich.

Pierwszy rozdział analizuje materiały opublikowane w Związku Sowieckim, w Polsce i na Zachodzie w językach ukraińskim i angielskim. Omawia również pamiętniki względnie wspomnienia uczestników czy świadków wydarzeń na obszarach okupowanych przez Armię Czerwoną. Rozdział następny dotyczy zarysu dziejów Galicji do 1920 roku i musi wywołać u polskiego czytelnika więcej aniżeli poważne zastrzeżenia. Wasyl Weryha — podobnie zresztą jak bodajże wszyscy ukraińscy historycy współczesnych dziejów — nie jest całkowicie obiektywny, lecz wręcz przeciwnie, jest żywo zaangażowany w omawianą problematykę. Nie obniża to wartości i znaczenia jego pracy z wyjątkiem niektórych wysoce emocjonalnych ocen i naświetleń. Nie można wątpić, że władze polskie, obejmując z powrotem w czasie wojny tereny, które okresowo były to pod rządami ukraińskimi, to pod bolszewickimi, były bardzo surowe i nie zawsze sprawiedliwe. Ale przecież wśród tych skazanych na śmierć, aresztowanych i dyskryminowanych, o których pisze Weryha, były też niewątpliwie osoby, które współdziałały z administracją rządów, z którymi Polska była w stanie wojennym. Fakt, że było to terytorium, na którym Ukraińcy chcieli budować własne państwo, a wobec tego walczyli z Polską — oczywiście pogłębiał tragiczną sytuację. Ukraińcy z Galicji Wschodniej uformowali w listopadzie 1918 roku własną armię i rząd Ukraińskiej Republiki Ludowej na czele z Eugeniuszem Petruszewiczem, zakładając, iż je utrzymają, że odrodzona niepodległa Polska pogodzi się z tym faktem. Rozpętała się wojna, która w skutkach zaważyła na stosunkach między obu narodami. Na terytorium ukraińskim wchodzącym w skład imperium carskiego, po rewolucji wyłoniły się własne rządy: hetmana Skoropadskiego, demokratyczny Petlury, komunistyczny wpierw Skrypnika a potem, po zakończeniu walk i przewrotów w styczniu 1919 roku umocnili się tam bolszewicy, ustanawiając Radę Komisarzy Ludowych USSR w miejsce Tymczasowego Rządu Robotniczo-Chłopskiego. Na jego czele stanął Bułgar, wybitny działacz bolszewicki, Chrystian Rakowski. Cała Ukraina objęta była walkami oddziałów, obozów i grup zmierzających do ustanowienia swojego systemu.

Kiedy wojska Ukraińskiej Galicyjskiej Armii (Ukraińska Halicka Armia) wyparte zostały za Zbrucz, Galicja znalazła się na terytorium objętym działaniami wojennymi, w których brały udział różne formacje a w ich skład wchodziły oddziały ukraińskie. Galicyjska armia nie chciała walczyć z rodakami, co zapo-

czątkowało przesilenie, po którym nastąpił kryzys. Gdy oddziały te znalazły się w kotle otoczone wojskami polskimi, rumuńskimi, bolszewickimi i rosyjskimi Denikina — część przeszła na stronę polską, część zawarła porozumienie z Denikinem, dzięki któremu wyszli z kotła, uratowała się pewna liczba żołnierzy, ale armia Halicka przestała istnieć. Ten dramat przedstawił Weryha szczegółowo.

Komuniści ukraińscy, nieliczne grupy galicyjska i zadnieprzańska, nie pragnęli oddzielnego państwa galicyjskiego. W szczególności pierwsi rozważali plan zjednoczenia wszystkich etnicznych ziem, podczas gdy drudzy zmierzali do pozostania nadal w ramach imperium rosyjskiego — dla odmiany bolszewickiego. Zatonskij, zaufany Lenina, świetnie rozumiał swoją rolę i wiedział, jakie zadanie ma spełnić samodzielna Galicyjska Socjalistyczna Sowiecka Republika. Działał więc dokładnie według dyrektyw opracowanych przez władze kierownicze. Do pomocy miał pięciu członków wchodzących w skład organu rządzącego — Rewolucyjnego Komitetu. Byli to: Michał Baran, Fedir Konar, Michał Lewićkij (trzej Galicjanie), Kazimierz Litwinowicz — Polak z Galicji oraz Iwan Netolowskij — zadnieprzański Ukrainiec. Obok nich działali, na różnych odpowiedzialnych stanowiskach, we wszystkich miastach oraz w komórkach centralnych w Tarnopolu, ludzie miejscowi albo sprowadzani. Jednak władzę dyktatorską sprawował Zatonskij. Działała też natychmiast Czerezwyczajka i dała o sobie krwawy znak następnego dnia po wkroczeniu Armii Czerwonej.

Pierwszą czynnością Halrewkomu (Hałyćkyj Rewolucyjnyj Komitet) było ogłoszenie dekretu o ustanowieniu „socjalistycznej radzieckiej władzy", która znacjonalizowała własność ziemską Kościoła, osób prywatnych, fabryk itp. i unieważniła wszystkie postanowienia władz polskich. Wydano oświadczenia i deklaracje głoszące, iż Armia Czerwona „przybyła, aby wyzwolić Galicję spod polskich panów", wzywając ludność ukraińską do walki z Polakami.

Skonfiskowana własność ziemska miała być, według oficjalnych zapowiedzi, rozparcelowana i przydzielona chłopom. Nie wykonano jednak tego i wszystko znalazło się w rękach władz. Wydział gospodarczy zajął się konfiskatą i wywozem dóbr terenowych, co znacznie pogorszyło sytuację. Wprowadzono system przydziału i kontroli artykułów spożywczych, co jeszcze bardziej utrudniało skromne dostawy; z konieczności rozwinęła się spekulacja z udziałem aparatu partyjnego. Szkolnictwa władze komunistyczne, na szczęście, nie zdołały uruchomić podobnie jak sądownictwa. Ale na pełnych obrotach pracowała Czerezwyczajka, likwidując wszelką „kontrrewolucyjną" działalność.

Dnia 16 sierpnia 1920 władze bolszewickie Galicyjskiej SSR ogłosiły mobilizację powszechną wszystkich Galicjan, znajdujących się na obszarach Ukrainy i Rosji, niezależnie od narodo-

wości. Była to odpowiedź na akcję zbrojną państw sąsiedzkich, zmierzających do pokonania bolszewików.

Werbunek dobrowolny i przymusowy na terenach okupowanych dał niewiele, jakkolwiek w oficjalnych oświadczeniach i niektórych raportach podawano cyfry imponujące. Weryha, zestawiając je ze stanem ludności, wykazuje, iż w rzeczywistości były one nieznaczne. Zresztą ani terenowe, ani tym bardziej centralne organy władzy sowieckiej nie darzyły zaufaniem galicyjskich Ukraińców i jednostki ukraińskie włączały do większych rosyjskich. Wydział wojskowy nie przysłużył się Armii Czerwonej, ale — jak wywodzi Weryha — zdziałał wiele dla żołnierzy Ukraińskiej Galicyjskiej Armii.

Omelian Palijew, kierownik tego wydziału, przeprowadził zwolnienie internowanych żołnierzy ukraińskich w obozie w Kożuchowie pod Moskwą, osadzonych tam po przejściu w kwietniu 1920 roku na stronę polską dwóch brygad Ukraińskiej Halickiej Armii. Palijewa szybko zastąpił Michał Baran, ale gdy Zatonskij skierował go do Mińska, na czele wydziału wojskowego stanął polski komunista Jan Hubert, który „zwolnił z komisariatu wszystkich Ukraińców, a na ich miejsce przyjął Polaków i Polki i wprowadził język polski jako urzędowy. Hubert należał do tej grupy komunistów polskich, która zmierzała do przyłączenia Galicji do radzieckiej Polski" (str. 124-125).

Eksperyment trwał krótko, ale kosztował dużo: zginęło wiele osób, zniszczono mnóstwo dóbr, ale w społeczeństwie ukraińskim utrwaliła się wrogość nie tylko do komunizmu, ale i do Rosji. Wrogość ta z niemniejszą siłą występuje w obecnym — trzecim kolejno — pokoleniu Ukraińców z dawnej Wschodniej Galicji. Tam znajduje się też najsilniejsza opozycja wobec władzy sowieckiej.

Wiernych wykonawców bolszewickich imperialistycznych planów Moskwy spotkał zasłużony los. Nie taki, jakiego spodziewali się zajmując po powrocie z Tarnopola różne stanowiska w aparacie partyjnym i państwowym Sowieckiej Ukrainy. W okresie czystek Stalin nie zapomniał o Zatonskim i jego współpracownikach. Kolejno rozstrzelani zostali Zatonskij, Baran, Lewićkij, Konar, Netolowski, Siak, Hawryliw i wielu innych. Ocalał tylko Arnold Baral, jedyny z całego zespołu wierchuszki, która działała w tym sztucznym tworze.

Weryha zaopatrzył pracę bogatą bibliografią, ilustracjami, mapami i indeksami oraz streszczeniem w języku angielskim. Napisał wnikliwe studium o nieznanym epizodzie w historii Wschodniej Galicji.

Benedykt HEYDENKORN

WSPOMNIENIA

Jerzy DROBNIK

DIARIUSZ
Berlin, 19 marca 1932 - 5 sierpnia 1934

Berlin, 19 marca 1932

16 listopada 1931 roku objąłem w Berlinie stanowisko korespondenta *Kuriera Poznańskiego* i *Gazety Warszawskiej*. Żałuję bardzo, że dotychczas nic nie zapisywałem, choć było dużo tematów. Porobiłem już dosyć nowych znajomości, ale to wszystko trudno byłoby obszernie zapisywać. Zacznę więc *in medias res*.

Przedwczoraj telefonował do mnie sekretarz poselstwa Perłowski, że minister Wysocki chce się ze mną zobaczyć. Byłem u niego wczoraj przed południem i rozmawialiśmy dość długo o ruchu hitlerowskim. Oni w poselstwie nie mają w tych kołach żadnych znajomości, a ponieważ ja zdołałem je nawiązać, więc ciekawi byli moich zapatrywań. Kiedyś urządziłem u siebie przyjęcie, na którym było z dziesięć osób z tych kół oraz oczywiście przedstawiciel poselstwa, *attaché* prasowy dr Wnorowski. Wysocki pokazywał mi również dwa piękne łabędzie z miśnieńskiej porcelany Kändlera, które udało mu się nabyć.

Po południu byłem z wizytą u radcy poselstwa Stanisława Schimitzka — jego żona jest siostrą Marianowej Seydziny. Skarżyli się bardzo, że trudno jest utrzymywać z Niemcami stosunki,

bo Niemcy w stosunku do Polaków trzymają się w ogromnej rezerwie. On zbiera z pasją miedzioryty, a ponieważ i ja się tym ogromnie interesuję, więc mieliśmy zarówno w polityce jak i w tej dziedzinie dużo tematów do rozmowy.

Wieczorem byłem w klubie prasy niemieckiej na Tiergartenstrasse. Urządzony nowocześnie, jest naprawdę bardzo ładny. Były rozmaite występy. Bardzo zabawną przemowę wygłosił znany humorysta niemiecki Roda-Roda, który między innymi i tym się odznacza, że nosi zawsze czerwoną kamizelkę. Widziałem go kiedyś na „małym balu prasowym", urządzonym przez prasę berlińską. Miał do smokinga również czerwoną kamizelkę. Na balu tym byłem w towarzystwie korespondentki *Kuriera Warszawskiego,* Maryli Męcińskiej i siedziałem przy stoliku z redaktorem naczelnym biura Wolffa, Kochem, szczupłym typowym Niemcem z dobrego towarzystwa z nieodłącznym monoklem. Ma miłą i ładną żonę. Z Telegraphenunion był niejaki Siebert, a nawet jakiś lejtnant Reichswehry siedział przy naszym stoliku.

Na wczorajszym wieczorze klubowym siedział koło mnie jeden z redaktorów *Agence Industrielle,* Vladimir Skerl. Opowiadał, że urodził się w Trieście, studia odbywał w Wiedniu, a potem utkwił w Paryżu.

Pytał mnie o sprawy polskie i rozwijał tezę, że „korytarz nie jest do utrzymania". Ponieważ pracuje w *Agence Industrielle et Financière,* jest to dla mnie dowód, jak daleko sięgnęła propaganda niemiecka. Zdumiony był na przykład, gdy mu powiedziałem, że „korytarz" ma ludność zupełnie polską. Na pytanie, jak sobie w Polsce wyobrażamy rozwiązanie sprawy „korytarza", oświadczyłem, że jest to sprawa niesłychanie prosta, bo rzecz *jest* rozwiązana i nie ma żadnej partii w Polsce, która by na to inaczej patrzyła.

Zadziwiło mnie pytanie, jak się na to zapatruje partia komunistyczna w Polsce (!!!). Co jego obchodzą komuniści? Zwiedza on, jak mi opowiadał, tutaj dokładnie dzielnice robotnicze.

Siedzieliśmy potem w kilka osób, między którymi był długoletni korespondent wydawnictwa Scherla w Londynie, Żyd rodem z Czarnkowa, który mi opowiadał, że prasa polska — i to nawet podobno *Gazeta Warszawska* — atakowała go za wywiad z Lordem Cecilem, w którym była mowa o Polsce zachodniej. Siedział również z nami korespodent kopenhaskiej *Politiken,* Steinthal.

W klubie jest kilka niezłych obrazów — przedstawiających między innymi widoki z Malborka i Gdańska!!!

Berlin, 9 kwietnia 1932

Przed wyjazdem do Poznania na Święta Wielkanocne widziałem się z naszym *attaché* prasowym Wnorowskim, z którym rozmawiałem na temat hecy antypolskiej, urządzanej w Niemczech. Pytałem, czy np. w sprawie książki „Ostmarkenrundfunk" nie będzie interwencji. Ale on twierdził, że najlepiej nic nie robić, bo Niemcy sami sobie tym szkodzą. Co prawda w ogóle nasza polityka oficjalna w tych sprawach polega na tym, żeby siedzieć cicho — czy to zawsze dobrze, śmiem wątpić. Opowiedziałem mu o rozmowie ze Skerlem, zwracając uwagę na postępy propagandy niemieckiej, nie przeceniając przy tym osoby, ale jednak podkreślając rozmowę tę jako symptom. Ale i to zbagatelizował. Jest to kierunek MSZ. Oni tam na wszystko patrzą z wielkopańskim spokojem. Spokój jest dobry i denerwowanie się byłoby rzeczą najgorszą, ale czasem spokój może być uważany jako niedbałość. Ostatecznie propaganda niemiecka — również we Francji — robi postępy, a my milczymy. Aż się wreszcie tak zdarzy, że nas do mówienia zmuszą, ale wtedy może to być w chwili bardzo dla nas nieodpowiedniej.

Święta Wielkanocne były dla mnie bardzo smutne. Matka moja umarła na obrzęk płuc, spowodowany osłabieniem serca. Męczyła się strasznie przez cztery dni. Przyjechałem w nocy z czwartku na piątek, o niczym nie wiedząc, a w drugie święto (poniedziałek) o 5.40 umarła. Byłem przez cały czas u niej. W prasie ukazały się obszerne artykuły o mojej Matce, a zwłaszcza w *Kurierze Poznańskim* i w *Dzienniku Poznańskim*. W *Kurierze Poznańskim* pióra docentki Uniwersytetu poznańskiego, Bożeny Stelmachowskiej, w *Dzienniku Poznańskim* pod tytułem: „Jedna z kart historii patrycjatu poznańskiego" podpisany literą „P". Kończy się zdaniem „śmierć jej zamyka jedną z kart historii patrycjatu poznańskiego. Pamięć o Niej nie wygaśnie".

Berlin, 12 kwietnia 1932

Wczoraj zatelefonowano mi z poselstwa, że będzie przejazdem minister spraw zagranicznych August Zaleski i przyjmie korespondentów polskich. Poszedłem na tę konferencję. Przy przedstawieniu poseł Alfred Wysocki, wymieniając moje nazwisko i pisma, które reprezentuję — *Kurier Poznański* i *Gazetę Warszawską* — oświadczył: to jest opozycja, ale doskonale pisze. Potem winszował mi mego artykułu „Dwa oblicza generała Groenera",

który, jak mówił, właśnie przeczytał z wielkim zainteresowaniem. Niektórzy z moich kolegów mieli niesłychanie zdumione miny, jako że taki zwrot do publicysty opozycyjnego — i tylko do niego — wobec ministra spraw zagranicznych, był pewnego rodzaju sensacją. Wysocki mówił zresztą niewątpliwie szczerze i słowa jego zrobiły mi przyjemność. Podczas konferencji otworzyłem dyskusję zapytaniem o sprawy naddunajskie. Około tych spraw też się dyskusja toczyła, a Zaleski głównie do mnie się zwracał. Oczywiście jak zwykle na takich konferencjach, mówił bardzo ostrożnie i na niektóre pytania, zwłaszcza w sprawie Czechosłowacji, dał odpowiedź wymijającą. Wrażenie jednak z tej konferencji odniosłem takie, że Polska znajduje się w tej sprawie dosyć na uboczu. Do pewnego stopnia oczywiście dlatego, że nie przedstawiamy jeszcze dość poważnej siły gospodarczej, ale to nie wszystko tłumaczy. Są tu niewątpliwie również błędy i nieumiejętność wyzyskania samego faktu naszego istnienia i przede wszystkim możliwości polityczno-gospodarczych na przyszłość.

I tu wkraczamy w tak często omawianą dziedzinę zaufania do naszej polityki. Nie wykazuje ona przede wszystkim dość inicjatywy, dość wyraźnej własnej koncepcji, w której ramach można by działać. Ale właśnie w obronie tego stanu rzeczy ukuto w kołach MSZ swoistą teorię o możliwie gładkim nienarażaniu się nikomu, przez co sukcesem staje się to, gdy się o nas — zapomina. (...)



Atmosfera w Niemczech jest naprawdę niesłychanie napięta. Dzisiaj wyraził się do mnie jeden z członków SA, że „głowa Hindenburga powinna potoczyć się z balkonu".

Wieczór w dniu wyborów prezydenta — tak samo zresztą jak przy pierwszym głosowaniu w dniu 13 marca — spędziłem w „Russischer Hof" w *Verein der Ausländischen Presse* (Związku Prasy Zagranicznej). Przeszłym razem przyszło dość dużo dziennikarzy, tym razem stosunkowo mało. Wracając spotkałem dwóch znajomych hitlerowców. Zaprosiłem ich na butelkę wina i rozmawialiśmy o wyborach. Byli bardzo zadowoleni z wyników.

Berlin, 17 kwietnia 1932

Rozmawiałem niedawno z jednym z członków Reichswehry. Oni mają wszyscy podobne formy, bardzo uprzejme, to co się nazywa po niemiecku *verbindlich*. Odniosłem wrażenie, że Reichs-

wehra czuje się — w każdym razie obecnie — jako czynnik politycznie samodzielny.



Jeden z członków SA, były aktywny oficer, wspomniał w tych dniach, że podczas wojny kazał rozstrzelać księdza katolickiego na froncie zachodnim, który, jak twierdził, z wieży dawał znaki Francuzom!!!



W sobotę wieczorem byłem na bardzo ciekawym i miłym przyjęciu u korespondenta pism japońskich z Osaka i Tokyo, dr. M. Okanouye, Japończyka. Jego żona jest malarką i bodajże Szwajcarką. Obrazy jej, które widziałem, wcale dobre. Było tam jeszcze kilka malarek — jedna podobno bardzo znana, Julia Wolff-Thorn, która zna nasze Pomorze i której brat czy też szwagier rzeźbił pomnik flisaka na podwórzu ratusza toruńskiego, jak mi opowiadała. Mówiła mi też, że w jej atelier bywał jeszcze za dawnych przedwojennych czasów nasz dzisiejszy poseł w Berlinie, Alfred Wysocki.

O ile dobrze zrozumiałem nazwiska innych malarek, brzmiały one: Erna Plachte (rysuje dla wydawnictw Ullsteina), Käthe Kollwitz[1] i bodaj jeszcze inna, nazwiskiem Herzog. Wszystkie robiły wrażenie bardzo kulturalne. Były też rozmaite Japonki i Japończycy, między nimi radca handlowy ambasady japońskiej N-gai, Japończyk półkrwi. Wszyscy ci Japończycy witają się i żegnają między sobą na sposób japoński — trzema głębokimi ukłonami. Widziałem to nawet kiedyś w nocy na ulicy Unter den Linden, gdy żegnało się jakieś towarzystwo japońskie. (...)

Dzisiaj poznałem na obiedzie członka słynnych sądów kapturowych (Fehme).

Berlin, 25 kwietnia 1932

Rozmawiałem dzisiaj z panią von Alvensleben, która opowiadała mi o stosunkach towarzyskich w Niemczech przed wojną. Rzeczywiście, że podobną kastowość trudno sobie wyobrazić. To co się stało — rewolucja — musiało przyjść, oświadczyła. Przecież ludzie mieli zupełnego bzika. Ja osobiście nie byłabym i nie tańczyłam też nigdy np. z sędzią. *Gesellschaftlich wohl* byli tylko oficerowie, wyżsi urzędnicy administracyjni, a nawet z pułków tylko pułki kawaleryjskie i niektóre tylko inne pułki, w których

1. Wybitna graficzka i rzeźbiarka niemiecka, 1867-1945.

służyła szlachta. O innych pułkach mawiano *bewaffnete Horden an der Grenze* (zbrojne hordy na granicy), z najwyższą pogardą. O ile oficer szlachcic ożenił się nie ze szlachcianką, żona jego nie mogła bywać u dworu i dopiero wtedy stawała się *hoffähig*, gdy mąż został generałem. Najgorszy jednak był duch, który ożywiał kastę rządzącą. Wszystko poza nią było tylko bydłem. Nic też dziwnego, że to się załamało. Spytałem się jej, jak wyrósłszy w tych stosunkach, może się pogodzić z obecnym stanem rzeczy. *Ach, Gott* — oświadczyła — *ich sehe eben das Leben als einen Film an* (Ach, Boże, patrzę po prostu na życie jak na jakiś film)!

Podobno jeden z synów Stresemanna, muzyk, jest komunistą. Pani von Alvensleben opowiadała, że żona byłego prezydenta Eberta wszędzie ciągle chodzi, pokazuje się i uważa się zawsze za *Mutter des Landes* (matkę ojczyzny). Jest to podobno była szwaczka. Rzecz ciekawa, że tak jak o niej źle, tak o Ebercie pani von Alvensleben wyrażała się dobrze, twierdząc, że miał on duże poczucie godności *(Würde)* i w ogóle umiał wypełnić swoje miejsce.

Poznałem tu w ogóle dużo byłych oficerów, ludzi nieraz z bardzo dobrych rodzin i wiedząc, jak oni dawniej występowali, zdumiewam się, jak niektórzy z nich łatwo wyrzekli się tych wszystkich „fumów".

Chociaż kto wie, czy właśnie wspomnienie dawnych czasów w głębi ich mocno nie gryzie i nie sprawia, że są politycznie zacięci i tworzą armię Hitlera.

Berlin, 4 maja 1932

Rozmawiałem dzisiaj z księdzem Koehlerem w Kurii biskupiej w sprawie ewentualnego spotkania z biskupem Schreiberem. Rozmowa była ciekawa o tyle, że wynikał z niej strach, żeby ewentualny wywiad z Schreiberem nie obciążył kół katolickich wobec mających nadejść rokowań w sprawie utworzenia rządu. Cień prawicy i jej polityki wobec Polski ciąży dosłownie nad każdym stronnictwem w Niemczech — nawet nad Kościołem katolickim. Ks. dr Koehler wprost ten argument wewnętrzny wysunął, stwierdzając zresztą, że poza tym kiedyś później nic by nie stało na przeszkodzie rozmowie. Widać w każdym razie, że katolickie koła zdecydowane są na rokowania i ewentualny wspólny rząd. Muszę napisać artykuł z zapytaniem, jak Centrum pogodzić zamierza stanowisko katolickie w polityce zewnętrznej z polityką hitlerowców.

Dzisiaj miałem także ciekawą rozmowę z jednym ze znajomych hitlerowców. Otwarcie mówił, że Niemcy potrzebują *Ostraum*'u i że muszą nam odebrać ziemię. Oni wszyscy liczą się z wojną z nami i liczą również przy tej okazji na Rosję. Przyznał, że w Rosji Niemcy wypróbowują wszystkie techniczne środki wojenne i budują je, i że ćwiczą się tam oficerowie Reichswehry. Wojny zawsze były i będą. (...)

Czechów, powiedział, trzeba wytępić. O Polakach myśli oczywiście tak samo, chociaż mi tego wprost nie powiedział, twierdząc jedynie, że przecież możemy iść razem na wschód. Poza tym zamierza zabrać wszystkie kraje bałtyckie.

Bagatela! A to jest ruch najsilniejszy dzisiaj w Niemczech. (...)

Hitlerowcy zamierzają oczywiście — jak mi powiedziano — wziąć ministerstwa Reichswehry i Spraw Wewnętrznych, w Prusach Ministerstwo Spraw Wewnętrznych. Sprawy zagraniczne zostawią Brüningowi. „Nie mamy żadnego interesu w tym, żeby dzisiaj prowadzić rokowania w Lozannie".

Dobrze — powiedziałem — ale w takim razie, wziąwszy te ministerstwa, po pół roku wywalicie centrowców.

Tak też zrobimy, odpowiedział śmiejąc się.

Jak szeroko sięgają ich pomysły, zobrazowuje takie powiedzenie: Za jakieś sto — dwieście lat może już na tym miejscu, gdzie dzisiaj, Polski nie będzie, albo inaczej się to wszystko będzie nazywać. Moim zdaniem — oświadczył mój rozmówca — przeznaczeniem Niemców jest wypełnić wszystkie te kraje położone na wschód i południowy wschód.

Trzeba wiedzieć, że tak jak mój rozmówca myśli naprawdę cały ten ruch, obejmujący przeszło jedną trzecią narodu niemieckiego. Nie ma zaś obawy, że pozostałe jego części będą się realizacji tej myśli sprzeciwiać. (...)

Berlin, 3 maja 1932

Dziwna jest mentalność bolszewicka. Rozmawiałem kiedyś z inżynierem, który przybył do Berlina w jakichś sprawach z Rosji. Nazywa się Fischsohn, ale zupełnie nie robi wrażenia Żyda. Jest stosunkowo młody i ma wzięcie sympatyczne. A może to zresztą nie jest wcale jego nazwisko, któż to może wiedzieć.

Mówiliśmy o Polsce i jej stosunku do Rosji. Rzecz ciekawa, że on jest święcie przekonany, że Polska zamierza zaatakować

Rosję. Zastrzegał się, że nie jest politykiem, ale był o wszystkich politycznych wydarzeniach doskonale poinformowany. Jako dowód dla swoich twierdzeń przytaczał fakt, że Polska uzależnia podpisanie paktu o nieagresji od podpisania takiegoż paktu rosyjsko-rumuńskiego.

Odniosłem wrażenie, że ci ludzie wcale już nie myślą swoimi kategoriami, tylko że mają mózgi tak ułożone ciągłą i przede wszystkim jednostronną propagandą, iż nie potrafią myśleć samodzielnie.

W ogóle Rosja sowiecka narzuca bardzo ciekawe zagadnienie działania nowoczesnej propagandy, która jest jakby masową hipnozą, tak wytrwale powtarzaną, a z drugiej strony nie dopuszczającą innego oddziaływania, że „usztywnia" raz na zawsze psychikę w pewnym kształcie.

Zagadnienie propagandy jest też bardzo ciekawe u hitlerowców i w ogóle w każdym ruchu masowym. Chodzi tu o odebranie masom możności samodzielnego myślenia, o kierowanie ich funkcjami mózgowymi w pewnym określonym kierunku. I to jest może jeden z ciekawszych objawów swoiście „nowoczesnego" rządzenia. (...)

Poznań, 15 maja 1932

Przyjechałem na Zielone Świątki do Poznania. Przed wyjazdem było w Berlinie dużo rozmaitych spraw, między innymi moja depesza o dymisji Wysockiego, posła polskiego w Berlinie.

Słyszałem już o mającej nastąpić dymisji, a przeczytawszy o niej w *Diplomaten-Zeitung*, dałem depeszę do *Kuriera Poznańskiego* i *Gazety Warszawskiej*. Wobec tego, że pół-urzędowa agencja polska „Iskra" zaprzeczyła tej wiadomości, dałem raz jeszcze szczegółową depeszę, opierając się na *Diplomaten-Zeitung*.

Zrobiło się duże zamieszanie. Zaprosił mnie do siebie na herbatę *attaché* prasowy dr Wnorowski i zaręczał, że nic w tym nie ma prawdy. W odpowiedzi wskazałem na to, że wiadomość ta zamieszczona była w *D[iplomaten]-Z[eitung]* pod rubryką „Wiadomości urzędowe". Ostatecznie się zawahał. W wtorek zatelefonował, czy bym nie odwiedził ministra Wysockiego. Poszedłem oczywiście i mieliśmy ze sobą dłuższą rozmowę o stosunkach niemieckich. Wysocki zapytywał się o moje zapatrywania na sytuację i wreszcie oświadczył, że on również doszedł do przekonania, że należy energiczniej wystąpić wobec ciągłej hecy antypolskiej i że rzecz tę przedstawi w Warszawie. Oficjalnie Niem-

cy go zawsze we wszystkim uspokajają, twierdząc, że to jest *ein Skandal,* ale heca nie ustaje i tak dalej być nie może.

Było to oczywiście powiedziane jako wyraźne podkreślenie, że stanowisko w tej sprawie, wyrażane w moich artykułach bierze pod uwagę. (...)

Potem zapytał mnie, skąd mam wiadomość o jego dymisji. W poselstwie twierdzono, że *Diplomaten-Zeitung* jest mało ważną gazetą. (...)

Otóż jest faktem, że stosunki *Diplomaten-Zeitung* z Wilhelmstrasse[2] podobno nie są dobre. Powiedział mi to sam redaktor, niejaki Richard Parske. Przez znajomych zwróciłem się do niego i on przeczytał mi przez telefon treść sprostowania, które do niego napisał Wysocki. Pisze on w tym sprostowaniu, że wiadomość jest fałszywa, ale że z powodu źle wykonanej operacji, dokonanej przez niemieckiego lekarza, będzie musiał ewentualnie podać się do dymisji!!! A więc? Chcę odwiedzić Parskego i przeczytać ten list.

Tymczasem widziałem się z nim na herbacie, którą urządziło poselstwo austriackie w hotelu „Esplanade". Herbata była bardzo miła, siedziałem razem z Kochami (dyrektor biura Wolffa), Lechnerową, żoną korespondenta *Associated Press,* Marylą Męcińską, a dochodzili jeszcze inni. Otóż Koch również oświadczył mi, że *Diplomaten-Zeitung* nie jest organem Wilhelmstrasse i że stosunki są nawet napięte, ale przyznał, że wiadomość o Wysockim jest prawdziwa, a tylko, że Wilhelmstrasse nie życzy sobie jej rozpowszechniania. (...)

Zobaczymy, jak się rozwinie cała ta sprawa. „Iskra" zaprzeczyła podanej po raz drugi wiadomości, ale dopiero po czterech dniach. Stosunki Parskego z masonerią wskazują, że wiadomości przez niego podawane trzeba jednak brać poważnie.

Bardzo ciekawą rozmowę miałem w tych dniach z oficerem Reichswehry X, który biorąc mnie za piłsudczyka twierdził, że jest w kontakcie z przedstawicielem „Strzelca"! Nie wiem, co to za przedstawiciel. Wyprowadziłem go potem z błędu. Pytałem się o stosunki Schleichera z Groenerem. Oświadczył mi dyplomatycznie, że w pojęciu Reichswehry aktywny oficer (czytaj generał Schleicher) idzie zawsze przed oficerem rezerwy (czytaj generał Groener). Sprawdziło się to szybko w ostatnich dniach na dymisji Groenera.

Poznałem też posła hitlerowskiego, niejakiego Vettera, z któ-

---

2. Niemieckie MSZ.

rym rozmawiałem o ewentualnej koalicji i wypadkach w Reichstagu. Oni są z tych wypadków i z siebie bardzo zadowoleni. Taktyka ich miała być spokojna, jak powiedział, ale nie wytrzymali.

To jest właśnie to, co należy uwzględniać, gdy się osądza hitlerowców. Oni mogą sobie nawet ułożyć pewną taktykę, ale czy w niej wytrzymają? A także w polityce zagranicznej?

Ktoś inny z nich powiedział mi, że po ewentualnych zmianach w Reichswehrze wątpliwości w *Führerkreise* (kołach *Führera)* co do zamachu siłą ulegną zapewne zmianie. (...)

Berlin, 22 maja 1932

Był tutaj senator Targowski. Poseł Wysocki urządził z nim konferencję prasową. Targowski nie zrobił na mnie dobrego wrażenia. Na zapytanie jednego z kolegów, jaka jest właściwie jego misja, odpowiedział, że ma „specjalną misję dla uzgodnienia elementów gospodarczych Zachodu" oraz „usprawnienia klawiatury", na której Polska gra gospodarczo na Zachodzie. Podobnie mętnej definicji jeszcze nie słyszałem. Bo co to w ogóle znaczy? Co ten człowiek tam w ogóle robi? (...)



Zanotuję jeszcze z Berlina: bankiet wydany przez Związek Prasy Zagranicznej w hotelu „Adlon", na którym był kanclerz Brüning, nuncjusz, ambasador amerykański, poseł polski Alfred Wysocki, sekretarz Stanu von Bülow i w ogóle dużo dyplomatów. Brüning wtedy nie wiedział jeszcze o swojej dymisji — było to w sobotę — a w niedzielę szedł do Hindenburga. Siedziałem obok szefa prasowego Lufthansy i szefa prasowego prezydium policji oraz Włocha Zanchi. Dr Orlovius z Lufthansy przypomniał sobie o swoich polskich przodkach i pokazał mi herbowy pierścionek, na którym widniał herb Jastrzębiec. Nazywali się kiedyś Orłowscy. Iluż w tych Niemczech jest ludzi pochodzenia polskiego!

Miałem na bankiecie ciekawą rozmowę z radcą legacyjnym niemieckiego MSZ, on Saucken, z której wywnioskowałem potwierdzenie „kawału", jaki zrobiono Wysockiemu i w ogóle Polsce w sprawie zakomunikowania Polsce uchwały komisji dla spraw zagranicznych Reichstagu w sprawie Gdańska. Napisałem potem na ten temat artykuł. (...)

Wróciłem po czterech dniach, w czwartek, i zaraz wieczorem poszedłem do Reichskanzlerpalais (pałac kanclerza Rzeszy), gdzie

nowy kanclerz von Papen przyjmował prasę zagraniczną po swojej nominacji. Szczupły, szpakowaty, w surducie, towarzyszył mu nowy sekretarz stanu Planck. Przyjęcie trwało niedługo, von Papen wygłosił krótkie przemówienie, w którym przyrzekł bliską współpracę z prasą.



Na koncercie Gardy i Sembratówny powiedział mi poseł Wysocki, żeby go odwiedzić. Byłem u niego i na jego życzenie wyłożyłem, jak się zapatruję na położenie w Niemczech. Tego samego dnia Wysocki wyjechał do Warszawy i był u Piłsudskiego, któremu złożył raport o sytuacji w Niemczech.

I ja byłem w tym samym czasie w Warszawie, gdzie wygłosiłem odczyt pod tytułem „Jak Hitler dochodzi do władzy". Udał się bardzo dobrze, byli wszyscy czołowi ludzie Obozu Narodowego i bardzo mi go winszowali. Byłem również u Dmowskiego, który mnie szczegółowo wypytywał o sytuację — i ofiarował szklankę masońską z XVIII wieku, polską, którą kiedyś dostał od Maurycego Zamoyskiego. Mam po nią pojechać do Chludowa. Potem byłem jeszcze u Rembielińskiego, gdzie spotkaliśmy się w kilka osób. Był też Dmowski. (...)

Wysocki po powrocie urządził w Berlinie konferencję prasową, na której odpowiadał też na pytania o treść rozmowy, którą miał z Piłsudskim. Twierdził, że był to po prostu raport. Jednak rzeczą ciekawą było to, że jak powiedział, sam nie był od roku u Piłsudskiego, podczas gdy Patek z Moskwy ile razy jest w Warszawie, jest zawsze u Piłsudskiego. To jednak są dwie miary zainteresowań.

Berlin, 1 września 1932

Miesiąc upłynął od mego powrotu z urlopu. Pracy w tym czasie dużo. Na zaproszenie Wysockiego wizyta u niego. Rozmowa o sprawie Rintelena oraz o tonie *Angriff*'u wobec Polaków. Bodajże 10 sierpnia wieczorem telefon: — znajomy Francuz Skerl telefonuje, że jest w przejeździe kierownik działu polityki zagranicznej w *Izwiestiach,* Rajewski, i pragnie mnie poznać. Spotkaliśmy się w restauracji amerykańskiej „Roberts'a" na Kurfürstendamm. Nasłuchałem się dużo komplementów o moich korespondencjach z Berlina, które, jak mi Rajewski powiedział, są pilnie czytane w Moskwie. Rozmawialiśmy o pakcie o nieagresji polsko-rosyjskim. Rajewski pytał się, czy go będziemy ratyfikowali. Stosunki rosyjsko-niemieckie — oświadczył na moje pytanie —

nie są tak dobre jak by być mogły. Bardzo zabawnie wyraził się o dwóch polskich dziennikarzach, którzy byli w Rosji, Mackiewiczu i Słonimskim. Mackiewicz to jego zdaniem nie Polak, a raczej rosyjski monarchista. Przez Słonimskiego znowuż „przemawia sześć tysięcy lat analitycznej zgryźliwości" (widoczna aluzja do żydowskiego pochodzenia Słonimskiego). Kogo byście mogli do nas posłać — oświadczył dalej Rajewski — to Nowaczyńskiego. Muszę to koniecznie przy sposobności Nowaczyńskiemu powiedzieć.



W ubiegłą sobotę byłem w Staaken na lotnisku, oczekując przylotu naszych lotników z Hamburga. Poznałem wszystkich: Żwirkę, Karpińskiego, Bajana i Giedgowda. (...)

Zabawna rzecz, jak ci Niemcy nie mogą zrozumieć, że coś dobrego może nie być niemieckie. Z Żwirki gwałtem robili byłego podoficera niemieckiego, co jest oczywiście nieprawdą.

Rozmawiałem z byłym niemieckim oficerem lotnictwa, który mi oświadczył: No tak, to też jest *eine gediegene deutsche Ausbildung* u Żwirki. Zaprzeczyłem, stwierdzając, że Żwirko nigdy nie był w armii niemieckiej. Oficer ten dowiadywał się później w ministerstwie Reichswehry, jak było naprawdę i po kilku dniach oświadczył mi lojalnie, że rzeczywiście Żwirko nie był w armii niemieckiej. Z trudem jednak ukrywając zdziwienie, że w Polsce mógł zdobyć tak pierwszorzędne kwalifikacje.

W prasie niemieckiej źle tajona niechęć i krytyka warunków lotu. Wszędzie jest ta sama historia. Nie Niemcy winni, że nie odnieśli sukcesu, bo oni wszystko robią najlepiej, tylko coś innego albo ktoś inny. Wojny przecież też nie przegrali — twierdzą — tylko obce elementy zrobiły na tyłach rewolucję.



28 sierpnia wyjechałem do Lipska na zaproszenie dyrekcji Targów Lipskich, wystosowane do Związku Prasy Zagranicznej. Targi podobno znacznie słabsze niż zwykle, ale byłem na nich po raz pierwszy, więc nie miałem porównania. Dyrekcja urządziła przyjęcie dla prasy, siedziałem przy stoliku niejakiego dyrektora Otto. Bardzo nietaktownie zaczął mówić o „korytarzu" jakiś Rosjanin Trocki (!). W ogóle nastrój dla Polaków jest wszędzie w Niemczech przykry. Osobiście wprawdzie spotykałem się z zupełną uprzejmością, ale to się mimo wszystko wyczuwa. Na jutro mam zaproszenie na przyjęcie dla prasy zagranicznej, które urządza nowy szef wydziału prasowego Rzeszy, dyrektor

ministerialny Marcks. Będzie von Papen oraz minister Spraw Zagranicznych von Neurath i minister Warmbold. Ciekaw jestem, co to będzie.

Berlin, 24 września 1932

Przyjęcie prasowe się odbyło. Dziwię się zawsze, jak niemądre pytania stawiają nieraz korespondenci prasowi, i to nie tylko polscy. Co prawda bardzo dużo się pytali tym razem Polacy, moim zdaniem za dużo. Osobiście nie pytałem się głośno o nic — natomiast rozmawiałem osobno przeszło dziesięć minut z ministrem Neurathem, który był bardzo uprzejmy. Ministrowie niemieccy odpowiadali na pytania bardzo wymijająco i z widoczną chęcią przemilczenia spraw niewygodnych. Po co w takim razie konferencja prasowa.

Berlin, 17 listopada 1932

(...)

Byłem w Warszawie. Rajewski z *Izwiestii,* o którym wspominałem powyżej, widział się ze Stanisławem Kozickim i powiedział mu, że jestem najlepszym korespondentem z całej międzynarodowej prasy reprezentowanej w Berlinie. Byłem też w Chludowie, gdzie Dmowski czytał mi ustępy ze swojej nowej książki, którą przygotowuje.

W Poznaniu podniecenie w redakcji *Kuriera Poznańskiego.* Bardzo krytyczne głosy o Seydzie. Przewidywania, że przy jego redakcji *Kurier Poznański* może się zachwiać (zdanie Ryszarda Piestrzyńskiego i innych). Finansowo w *Kurierze* gorzej. Trochę tam stracili głowę, zwłaszcza Seyda, który jednak przekonany jest o swojej wielkości. (...)



W październiku była znowu herbatka u szefa prasowego rządu Rzeszy, majora Marcksa, na której byli tylko dziennikarze państw położonych na wschód od Niemiec, Polski, Rosji i Japonii. Siedziałem przy stoliku Marcksa. W pewnej chwili spytała mnie korespondentka *Izwiestii,* dr Keith, co w Polsce myśli się o ewentualnej restauracji Hohenzollernów w Niemczech.

Odpowiedziałem: paradoks czasem dobrze maluje sytuację. Jeden Hohenzollern musiał się po wojnie udać do Holandii, może

więc drugi Hohenzollern nie będzie chciał tego uczynić i wobec tego kto wie, czy monarchia lepiej nie zagwarantuje pokoju niż republika.

Nastąpiła chwila ciszy.



Ósmego listopada Związek Prasy Zagranicznej wydał śniadanie w hotelu „Adlon", na którym był kanclerz von Papen, minister spraw zagranicznych von Neurath, sekretarz stanu von Bülow i major Marcks. Papen wygłosił mowę. Po śniadaniu rozmawiałem chwilę z Papenem i spytałem go, czy by mi nie dał wywiadu w sprawie stosunków polsko-niemieckich. Odpowiedział z pewnym wahaniem, że stosunki polsko-niemieckie są sprawą bardzo delikatną, ale że mam o tym porozmawiać z majorem Marcksem. Podszedłem do Marcksa, z którym umówiłem się w sprawie spotkania. Przy tej sposobności Marcks oświadczył mi, na moje zapytanie, że tłumaczenie wzmianki w mowie Papena, że „o osobę nie chodzi" przy dążeniu do koncentracji narodowej, jako zapowiedzi dymisji nie byłoby trafne.

U Marcksa byłem w piątek dnia 11 bm. Powiedział mi, że kanclerz wspominał mu o rozmowie ze mną. Marcks również wyraził się, że stosunki polsko-niemieckie są *eine zarte Pflanze* (delikatną rośliną) i poprosił mnie o sformułowanie pytań na piśmie, bo musiałoby nad odpowiedzią zastanowić się również Ministerstwo Spraw Zagranicznych. (...)

Spytałem się w rozmowie raz jeszcze Marcksa o sytuację rządu. Odpowiedział mi w tym sensie, że nie widać możliwości zastąpienia gabinetu Papena innym, ponieważ partie się między sobą nie godzą. O Hitlerze wyraził się z przekąsem *der grosse Adolf* („wielki Adolf"). O rozwiązaniu Reichstagu trudno mówić na razie — twierdził — możliwe jest, że się je da na dłuższy czas odroczyć. (...)

Kanclerstwa Hitlera domaga się dzisiaj rządowa *Deutsche Allgemeine Zeitung,* która od jakiegoś czasu, widocznie pod wpływem kół wielkiego przemysłu, zirytowanego kontyngentową polityką rządu, zaczęła się od Papena delikatnie odsuwać.

Ciekawa w tym wszystkim będzie rola generała von Schleichera. Słyszałem niedawno z dobrze poinformowanego źródła, że w ministerstwie Reichswehry bardzo osłabły sympatie dla Hitlera.

Z tego samego źródła słyszałem, że patrzy się tam na generała von Seeckta jako na możliwego następcę Hindenburga. Opowie-

działem o tym naszemu *attaché* prasowemu dr. Wnorowskiemu, który bardzo się tymi wiadomościami zainteresował.

Berlin, 19 listopada 1932

Wczoraj byłem na herbacie w hotelu „Esplanade" z mężem mojej kuzynki, Józefem Żychlińskim, który przyjechał tutaj w sprawach finansowo-gospodarczych. Opowiadał mi, że minister Zaleski stara się o prezesurę Banku Handlowego, a nie chce iść jako ambasador ani do Londynu, ani do Paryża. Pytałem się Józia, czy to prawda, że jest o nim [o Zalewskim] mowa jako o kandydacie na prezydenta Rzeczypospolitej. Nic jednak pewnego o tym nie wiadomo.

W „Esplanadzie" był też znany bankier niemiecki Guttmann (Dresdner Bank), o którego, jak się zdaje, Józiowi chodziło.

Wieczorem zupełnie niespodziewanie zatelefonował do mnie adwokat Henryk Rossmann. Zdumiony byłem, skąd się wziął w Berlinie, okazało się, że prowadzi jakieś interesy Szwedom i Holendrom w sprawie importu bananów do Polski. Byliśmy w kilku lokalach. Opowiadał mi zdumiewające historie o Zdzisławie Stahlu, że jest pod sądem organizacyjnym z powodu odchylania się do sanacji, krytykowania Dmowskiego itd.

Że Stahl na Dmowskiego wyzywa, to jest pewne. Dmowski sam tu jest dużo winien, jak zresztą w stosunku do wielu innych ludzi.

Rano dzisiaj o 11-tej była konferencja u ministra Wysockiego. Bardzo był zgniewany telegramami Hellera (korespondent krakowskiego *Ilustrowanego Kuriera Codziennego)* i Męcińskiej *(Kurier Warszawski),* które dali o wizycie Szembeka i Becka w Berlinie.

Byłem potem u radcy Schimitzka, któremu wczoraj jeszcze major Marcks opowiadał, że jest możliwość odwrócenia się koła przesilenia w rządzie niemieckim w ten sposób, że wszystko będzie to samo co było, to znaczy że wróci w jakiejś formie rząd Papena. Nawet gdyby nie Papen pozostał kanclerzem, rząd w gruncie rzeczy ten sam.

Berlin, 26 listopada 1932

Byłem w tych dniach na herbacie u posła Wysockiego, który

opowiadał im o swoich informacjach o przesileniu w rządzie niemieckim, pokrywających się na ogół z moimi. Jest on obecnie bardzo nieufny wobec Niemców i nie wierzy im, przekonawszy się wielokrotnie o ich dwulicowości. Bardzo uprzejmi w rozmowach, wszystko przyrzekają, a robią na odwrót. Opowiadał mi o wizycie Marcksa, któremu zwracał między innymi uwagę na zatruwanie atmosfery nienawiścią do Polaków. Marcks przyznawał mu słuszność i przyrzekał, że trzeba będzie temu jednak przeciwdziałać. Na trzeci dzień przychodzi do Wysockiego jeden z zagranicznych dziennikarzy, bardzo przerażony, po informacje, bo Marcks przez dwie godziny tłumaczył mu właśnie, jak Polska zamierza napaść na Niemcy, pokazywał to nawet na mapie itd.

Poznań, 23 grudnia 1932

Wczoraj w nocy przyjechałem do Poznania na Święta. Zapisuję w stylu telegraficznym wypadki ostatniego miesiąca.

Dnia 3 grudnia był w „Adlonie" bal Związku Prasy Zagranicznej, bardzo udany. Siedziałem przy stole razem z Kiepurą, Alfredem Kerrem *(Berliner Tageblatt)*, pacyfistą Lehmannem-Russbüldtem i jego żoną, powieściopisarzem Otto, który teraz w *Berliner Tageblatt* drukuje powieść i Marylą Męcińską. Obszerne opisy balu ukazały się w prasie niemieckiej.

W *Berliner Börsenzeitung* ukazał się dłuższy artykuł, atakujący moją korespondencję w *Kurierze Poznańskim* i *Gazecie Warszawskiej* na temat wizyty Szembeka w Berlinie i komentarzy, którymi ją opatrzyła *Börsenzeitung*.

Zaprosił mnie do siebie na kolację Reynolds, znany bardzo korespondent angielskiego dziennika *Daily Mail*. Podał polskie potrawy, a był to właśnie dzień moich urodzin, 8 grudnia. Pokazywał mi interesujące książki o Polsce, które wyłowił w Berlinie, stare druki bardzo ciekawe. Ma ładne staromodne mieszkanie, wzorowo czyste. Rozmawialiśmy o Polsce. Opowiadał mi, że to on właśnie urządził alarm w Oksfordzie, gdy zamierzano przyznać doktoraty honorowe trzem Rosjanom, stwierdzając, że trzeba jednocześnie przyznać takiż doktorat Polakowi Dmowskiemu. Bardzo jestem dumny — oświadczył — że Dmowski ma dzięki mnie doktorat Oksfordu. W odpowiedzi na mój alarmujący list — powiedział — zwołano osobne zebranie Senatu, który postanowił przyznać doktorat honorowy również Dmowskiemu.

Bardzo to interesujący szczegół. Reynolds chce się uczyć po polsku. Czyta już ze słownikiem.

Rozmawialiśmy — on pierwszy zaczął — o artykule Lorda Rothermere'a w *Daily Mail*, który opowiedział się za oddaniem „korytarza" Niemcom. Rothermere był w Berlinie i oczywiście go odpowiednio urobiono. „Korytarz musi zniknąć" — oświadczył Reynoldsowi. Tego ostatniego redakcja *Daily Mail* poprosiła potem o wyłożenie polskiego punktu widzenia na ten temat. Reynolds artykuł posłał, ale mu go nie umieszczono.

18 grudnia wydałem śniadanie w hotelu „Adlon". Byli na nim prezes Związku Prasy Zagranicznej Blokzijl (Holender), Reynolds (*Daily Mail*, Anglik), Lochner (*The Associated Press* — Ameryka), Huard (*Echo de Paris* — Francja), z naszego poselstwa radca Schimitzek i *attaché* prasowy dr Wnorowski, a poza tym Jan Kiepura i Maryla Męcińska (*Kurier Warszawski*). Kiepura śpiewał pod koniec śniadania „szlagiery" z przygotowywanego właśnie z jego udziałem filmu. Bardzo był miły, opowiadając sceny z filmu — ze słoniami itd. Był też dr Kalinowski z naszego konsulatu. Mam wrażenie, że wszyscy byli bardzo zadowoleni. Lochner nagadał mi nazajutrz dużo komplementów z powodu tego śniadania. (...)

Bardzo zabawne było 19 grudnia śniadanie w piwnicach firmy Kempiński. Nakrycie urządzono na beczkach wina.



11-go bm. byłem na kolacji u Kiepury, na której byli poseł Wysocki z żoną, kompozytor „szlagierów" do nowego filmu z Kiepurą, Kaper, i Ludomir Różycki, który wracał z Antwerpii, gdzie wystawiono jego operę „Casanova" we flamandzkim teatrze.

Kiepura jest miły, ale prawdę mówiąc, na „protokole dyplomatycznym" nie zna się zupełnie. Kolacja była swoją drogą doskonała. W pewnej chwili Kiepura wyciągnął listy swoich wielbicielek, których otrzymuje codziennie stosy. Jedna z nich, chcąc mu zrobić przyjemność, spróbowała zakończyć list pisany po niemiecku w języku polskim i tłumacząc ostatnie zdanie z niemieckiego napisała: „Serce, ja kochać Pan, ja całować Pan, serce, bałwan słodki".

Uśmialiśmy się wszyscy bardzo. Oczywiście niemieckie słowo *Abgott* należy rozumieć raczej jako „bożyszcze", ale ostatecznie również jako „bałwan" (bałwochwalstwo). (...)



W grudniu zrobiła się raz jeszcze aktualna sprawa mojej kan-

dydatury na wiceprezydenta miasta Poznania. Namawia mnie na to już od dawna ks. prałat Józef Prądzyński i Ryszard Piestrzyński. Otrzymałem w tej sprawie list Ryszarda Piestrzyńskiego, ale odpisałem raczej odmownie.

Berlin, 11 stycznia 1933

Wróciłem do Berlina 5 stycznia, w sobotę 7 stycznia było przyjęcie u Wysockich. Spotkałem tam Kazimierza Smogorzewskiego z Paryża, z którym dużo rozmawiałem. Był tu w sprawie zorganizowania wspólnej pokojowej manifestacji FIDAC-u z niemieckimi lewicowymi związkami kombatantów („Reichsbanner" itd.) nad granicą Polski pod hasłem „Nie chcemy wojny". Twierdził, że „Reichsbanner" (major M.) się ku temu skłania. Zobaczymy.

Rozwijałem w rozmowie z radcą Schimitzkiem raz jeszcze moją tezę o konieczności zahamowania propagandy niemieckiej ostrym przecięciem tej propagandy z naszej strony przez odpowiednie stwierdzenie o bezcelowości wszelkich wysiłków rewizji. Smogorzewski godzi się ze mną w tej sprawie. Na pytanie Schimitzka, jak sprawy stoją we Francji, Smogorzewski oświadczył, że jeszcze dzisiaj nie byłoby mowy o zgodzie Francji na niemieckie żądania, ale że rozwój opinii zmierza w kierunku dla nas niekorzystnym.

Wysocki prosił mnie, czy bym nie mógł dzięki moim rozmaitym znajomościom wysondować, jak by patrzył prezydent Reichstagu Göring na zapoznanie się z nim Wysockiego i na możliwość wzajemnego spotkania się.

Chcę to zrobić dzisiaj względnie jutro. Cóż to są za stosunki z tymi Niemcami, jeżeli uznany poseł sąsiedniego państwa, nie chcąc się narazić na odmowę, dopiero nieoficjalnie stara się dowiedzieć, czy prezydent Reichstagu będzie chciał się z nim zetknąć?!! Trzeba co prawda dodać, że ten prezydent jest hitlerowcem.



Byłem dzisiaj u korespondenta *Le Temps,* René Lauret, z którym rozmawiałem o jego niedawnym artykule w *Le Temps* w sprawie niemieckich dążeń rewizyjnych. Powiedział mi, że artykuł oparł na oświadczeniach z kół pół-oficjalnych. Z dalszej rozmowy wynikło jednak, że rozmawiał na Wilhelmstrasse. W rozmowie padło też z jego ust nazwisko referenta dla spraw francuskich w MSZ-cie, von Stumm. Dowiedziałem się, że Wilhelmstrasse tłu-

maczyło ambasadorowi francuskiemu, François-Poncet, że Lauret po prostu doprowadził ich do oświadczenia tego rodzaju wbrew ich woli, że im niejako to powiedzenie narzucił. Lauret jednak oświadczył mi, że wcale tak nie było.

W dalszym ciągu rozmowy Lauret powiedział, że o rewizji granic nie może być mowy. Może jednak w przyszłości, chociaż nie teraz jeszcze, będzie można Niemcom oddać Gdańsk, który jest miastem niemieckim. Powiedziałem na to, że najgorzej zacząć, bo wtedy żądaniom Niemiec nie będzie końca.

Berlin, 12 stycznia 1933

Rozmawiałem dzisiaj w sprawie wizyty Wysockiego u Göringa ze znajomym Niemcem. Powiedziano mi, że odnośny pan boi się ze względu na swoją karierę pójść w tej sprawie osobiście do Göringa, żeby nie popaść w podejrzenie, że pracuje dla porozumienia z poselstwem polskim. Cóż to są za barbarzyńskie stosunki. Jest on jednak przekonany, że Göring oczywiście nie odmówi. Spróbuję dla pewności jeszcze innej drogi.

Rozmawiałem dzisiaj z Wysockim o Sforzy, skąd rozmowa przeszła na masonerię. Wysocki powiedział mi, że w Polsce w wojsku była masoneria szkocka, ale że Piłsudski, zorientowawszy się, że usiłuje się przez nią narzucać Polsce obcą politykę, rozkazał oficerom z niej wystąpić. Mówili to Wysockiemu dwaj oficerowie, którzy z loży wystąpili. Czyżby jednym z nich był jego przyjaciel Wieniawa-Długoszowski?

Wspomniałem mu o Kipie z Hamburga, jako o byłym wielkim mistrzu loży polskiej. Odpowiedział, że swego czasu uważając, że jest rzeczą niedopuszczalną, ażeby nazwisko urzędnika MSZ było wymieniane w kalendarzu masońskim, próbował poruszyć tę sprawę, ale napotykał w różnych miejscach na „głuche uszy". Swego czasu prezydium Rady Ministrów było też „zalożowane" — mówił — ale teraz to się zmieniło.

Czy naprawdę?

Berlin, 23 stycznia 1933

Odbyły się wybory do zarządu Związku Prasy Zagranicznej. Chodziło o wprowadzenie jako kandydata polskiego przedstawiciela rządowej Polskiej Agencji Telegraficznej.

Na zebraniu rozmawiałem dłuższy czas z korespondentem mediolańskiej *La Sera,* Zanchim, wypytując go o stanowisko Włoch

w sprawie niemieckiej polityki rewizjonistycznej. Powiedział mi, że jeżeli chodzi o terytorialne żądania Niemiec, Włochy nie będą się chciały angażować w tę sprawę. Oświadczyłem, że dla nas byłoby bardzo dobrze, gdyby się udało poprawić stosunki francusko-włoskie i zapytałem jakie są obecnie widoki ewentualnej próby de Jouveneta w tym kierunku. Odpowiedział, że to jest bardzo trudne zagadnienie, i że same ustępstwa kolonialne Francji nie wystarczą i że również kwestia równości floty jest w tym kierunku ważną przeszkodą.

Na śniadaniu Związku siedziałem naprzeciwko Amerykanina Knickerbockera, znanego z kilku wydanych w ostatnim czasie książek (*„Deutschland so oder so"* itd.). Szczupły, rudy, bardzo sprytny.

Berlin, 3 lutego 1933

Zdołałem jednak przez innego znajomego Bawara, członka partii oraz osobistego przyjaciela adiutanta Göringa, wysondować sprawę wizyty Wysockiego. W wyniku Göring przesłał Wysockiemu swój bilet wizytowy, a mnie powiedziano, że wizyta Wysockiego zostanie przyjęta. Byłem dziesięć dni temu u Wysockiego i zakomunikowałem mu wynik, za który bardzo mi dziękował.

Tymczasem — 30 stycznia 1933 — Hitler doszedł do władzy. Znalazłem się w towarzystwie hitlerowców, z których jeden, człowiek prosty, powiedział mi, — zresztą bez złośliwości — że pewno wkrótce pojedzie do Prus Wschodnich przez terytorium niemieckie.

Skąd wie — spytałem się — że Polska wojnę przegra?

— Przecież u was są ludzie — oświadczył — którzy bez wojny Pomorze oddadzą.

— Nie ma takich — odpowiedziałem. Ale rozmowa była charakterystyczna najpierw dla ciągłych złudzeń, które Niemcy mają w stosunku do Polaków, a potem dla naiwnej wiary, jaką mają zwolennicy Hitlera do niego, iż wystarczy, by on rządził, a wszystko się zrobi.

Była konferencja prasowa w Auswärtiges Amt[3], na której przemawiał nowy szef wydziału prasowego Funk i minister Frick. Uspakajali ile mogli. Funk zupełnie inny niż Marcks, grubawy, mniej elegancki, więcej „koleżeński". Podkreślał swoją

3. MSZ.

uprzednią działalność jako redaktor i zwracał się do zebranych słowami *Herren Kollegen*. (...)

Berlin, 9 lutego 1933

Przed kilku dniami byłem na konferencji, którą zwołała partia komunistyczna w pokoju frakcji w Reichstagu. Byli posłowie Torgler i Pieck. Pieck wygłosił przemówienie, w którym określił stanowisko partii komunistycznej, zapowiadając, że z powodu utrudnień prasowych kierownictwo partii będzie w ten sposób informować prasę o swoim punkcie widzenia.

Pytałem się potem Torglera, jak osądza przyszłość stosunków Niemiec i Rosji sowieckiej po dojściu do władzy Hitlera. Był bardzo ostrożny w odpowiedziach, twierdząc, że na razie ministrem Spraw Zagranicznych jest von Neurath i że stosunki zagraniczne są inną rzeczą niż stosunki wewnętrzne. Formalnie nic się nie zmieniło. Jesteśmy zresztą realistami w polityce. Rzecz inna — dodał Torgler — że może to oddziałać na opinię w Sowietach i w ten sposób mieć pewien pośredni wpływ na temperaturę wzajemnych stosunków.

Wieczorem rozmawiałem z korespondentką *Izwiestii*, dr Keith, z którą się umówiłem do kawiarni. Rozmawiałem dużo o komunizmie w ogóle, ale w szczególe postawiłem jej to samo pytanie co Torglerowi. Odpowiedź była, jeżeli chodzi o treść, ta sama. Rzecz ciekawa, że moja rozmówczyni postawiła pytanie i wyraziła obawę, że Hitler doprowadzi do wspólnego frontu europejskiego przeciwko Sowietom i że Polska może do tego frontu przystąpić. Oświadczyłem, że to jest nonsens. Jak wyobraża ona sobie, że Polska umówi się z Niemcami przeciwko Rosji? Czym Polska musiałaby Niemcom za taką zgodę zapłacić?

Berlin, 14 lutego 1933

Niedawno byłem w Auswärtiges Amt (bodaj 9-go bm.) i rozmawiałem z radcą legacyjnym von Saucken, który mi robił wyrzuty z powodu ostatnich moich artykułów, a zwłaszcza z powodu artykuł o wystawie belgijskiej.

W odpowiedzi zwróciłem mu uwagę na niesłychany ton prasy niemieckiej w stosunku do Polski, na pisaniny o *polnisches Untermenschentum* itd., stwierdzając, że mój artykuł był odpowiedzią

na te elukubracje, które się w ostatnim zwłaszcza czasie w prasie niemieckiej ukazały.

Ostatecznie rozstaliśmy się w sposób uprzejmy.

Byłem niedawno z wizytą u pp. Trębickich. Mówiliśmy między innymi o wystąpieniu Raczyńskiego w Genewie. Trębicki powiedział, że głównym powodem ustąpienia Zaleskiego było to, że nie chciał się na pewne rzeczy zgodzić. Zadaniem Becka miało być właśnie danie po nosie Francuzom.

Berlin, 2 marca 1933

Coś dziesięć dni temu — bodajże 20 lutego — zwołała partia socjalistyczna — najwidoczniej śladem komunistów — zebranie prasy zagranicznej w pokoju frakcji w Reichstagu. Przyszło dość dużo korespondentów. Przemawiał mój znajomy Friedrich Stampfer, redaktor naczelny głównego pisma socjalistycznego *Vorwärts*. W mowie swojej wyraźnie usiłował wywrzeć wpływ na głosy prasy zagranicznej, ażeby w ten sposób socjaliści uzyskali pewną obronę, chociaż zastrzegł się, że „nie chce wywoływać mieszania się zagranicy do wewnętrznych stosunków w Niemczech". Padły ciekawe słowa o „możliwości dramatycznego zaostrzenia się sytuacji w Niemczech".

Myślę o tych słowach — po spaleniu (w dniu 27 lutego 1933) Reichstagu. Cóż to swoją drogą krążą przez te dwa dni za dzikie wiadomości! Część moich kolegów zagranicznych jest przekonana, że pożar jest prowokacją hitlerowców.

Wydaje się to być rzeczą potworną. Jednak jest to partia, która nie przebiera w środkach. Osobiście nie jestem jeszcze — w tej chwili przynajmniej — przekonany, że te podejrzenia są słuszne. Ale to się chyba później wyda, jak to było naprawdę. (...)

Wczoraj byłem w konsulacie, gdzie wydarzyło się niesłychane zajście z hitlerowcami i widziałem się z konsulem generalnym Gawrońskim. W kilka godzin potem byłem w poselstwie, gdzie naturalnie panują wszystkie możliwe obawy, żeby nie zaostrzać sytuacji itd. Byłem przy rozmowie Wysockiego i Gawrońskiego na ten temat. Widziałem pierwszy komunikat, który potem został, jak mi telefonował Wnorowski, osłabiony, do tego stopnia, że w rezultacie nic z niego nie zostało. Wysocki kazał go dać do przeczytania radcy Wyszyńskiemu i zdaje się, że to właśnie Wyszyński go osłabił.

Cóż to za psychologia — i ciągły brak poczucia pewności siebie.

Wysocki poprosił mnie do siebie na górę i między innymi opowiedział mi o swojej rozmowie z Hitlerem na przyjęciu u Hindenburga. Hitler powiedział do niego, że on jako członek narodu polskiego, który sto pięćdziesiąt lat cierpiał w niewoli, musi zrozumieć, że Niemcy nie mogą ścierpieć więzów traktatu wersalskiego. Wysocki pominął to powiedzenie milczeniem. W dalszym ciągu Hitler oświadczył, że obecne granice wschodnie nie mogą pozostać w obecnym stanie i sprawa „korytarza" musi zostać rozwiązana. Na to Wysocki mu odpowiedział, że mimo swoich sześćdziesięciu lat zgłosiłby się do swego pułku w razie zagrożenia granic Polski. Hitler rozstał się z nim ze słowami: *Ich danke Ihnen für die Aufklärung* („Dziękuję Panu za wyjaśnienie"). (...)

Poznań, 15 kwietnia 1933

(...)

W marcu byłem w Warszawie. Miałem tam mieć odczyt, tymczasem zakazano go z tym uzasadnieniem, że odczyt urządzał Obóz Wielkiej Polski i że w wilię imienin Piłsudskiego mogło po tym odczycie dojść do jakichś wykroczeń.

Na myśl mi oczywiście taka możliwość nie przyszła. Datę odczytu wyznaczono na 19 względnie 20 marca. O imieninach Piłsudskiego zupełnie zapomniałem. Czyżby organizatorzy mieli jakiekolwiek demonstracyjne zamiary? W rozmowach z organizatorami stwierdziłem zresztą, że przestrzeganie legalności jest w warunkach, które dzisiaj panują w Polsce, jedyną możliwością dojścia kiedyś do władzy, a wszelkie awantury są nawet z tego punktu widzenia bardzo szkodliwe.



W Berlinie byłem na konferencji prasy zagranicznej, którą zwołał Göring, oraz zwiedziłem razem z kilkunastu korespondentami zagranicznymi więzienie na Alexanderplatz, gdzie widziałem Thaelmanna, von Ossietzky'ego, Hirscha, Renna i Torglera. Władzom niemieckim chodziło o stwierdzenie, że nie są oni torturowani. W pewnej chwili upuściłem chusteczkę przy celi Ossietzky'ego i gdy inni poszli dalej razem z przewodnikiem, spytałem go po cichu, czy się nad nim znęcają. Ossietzky zaprzeczył, a znając mnie osobiście nie obawiał się oczywiście podstępu. I wtedy była to zapewne prawda, tym bardziej, że Alexanderplatz to była

jeszcze dawna policja. Oczywiście, odpowiedź Ossietzky'ego nie przesądza o późniejszych czasach.

Poznań, 2 maja 1933

Dzisiaj w nocy przyjechałem z Berlina na trzy dni do Poznania. W Berlinie przez ostatni miesiąc przebywał Zdzisław Stahl. Rozmawialiśmy dużo o stosunkach w Polsce, a zwłaszcza też o stosunkach w obozie narodowym. Stahl dzisiaj — może w części wskutek rozmaitych przykrości, które go spotykają od Dmowskiego — stoi na stanowisku już nie tylko usamodzielnienia młodszej generacji, ale wprost walki z Dmowskim, i to również ideologicznej. Je osobiście stałem i stoję na stanowisku, że taktyka Dmowskiego jest zła i walkę trzeba mu wytoczyć jako wodzowi obozu z powodu nieudolności, a odłożyć na bok sprawy ideologiczne. O ile tam byłyby potrzebne zmiany, to one same się wyłonią przez twórczość młodszego pokolenia. Nie widzę jednak potrzeby atakowania Dmowskiego na tym punkcie, tym bardziej, że w jego pismach są rzeczy świetne i trwałe. (...)

Wyłożyłem Stahlowi to moje stanowisko. Dał mi do przeczytania wstęp i cztery rozdziały książki, którą pisze. Jest to wielki atak na Dmowskiego. Mam zastrzeżenia co do niektórych rzeczy właśnie z powyżej wyłuszczonego punktu widzenia. Zaproponowałem zmiany.

Swoją drogą politykę usamodzielnienia się wykładałem już od lat zarówno Stahlowi jak i Ryszardowi Piestrzyńskiemu, ale obydwom brak było śmiałości. Dzisiaj obawiam się, że mogą iść w kierunku, w którym już dawno powinni byli pójść, ale że za to będą to robić za ostro.



W połowie kwietnia 1933 otrzymałem zaproszenie na obiad, wydany dnia 27 kwietnia wieczorem przez pp. Lochnerów w Berlinie. Louis P. Lochner jest dyrektorem berlińskiego biura amerykańskiej *Associated Press.* Dzięki temu i dzięki swoim i swojej żony zaletom osobistym posiada bardzo rozległe stosunki i znajomości. W domu Lochnerów spotyka się czołowe osobistości ze świata dyplomacji, polityki, prasy, literatury i sztuki.

Tym razem zestawienie osób zaproszonych było szczególnie uderzające. Znaleźli się wśród gości (a było to w trzy miesiące po objęciu władzy przez Hitlera) tacy wybitni przedstawiciele zakończonego właśnie okresu Republiki Weimarskiej, jak były minister Spraw Zagranicznych w gabinecie Bröninga, Julius Curtius

oraz były minister Reichswehry w latach 1931-1932 i minister Spraw Wewnętrznych w tymże gabinecie w latach 1931-1932, generał Wilhelm Groener, który swego czasu zakazał hitlerowskiej organizacji SA. Oczywiście jest z tego powodu w partii hitlerowskiej bardzo źle widziany. Do zaproszonych należała również kierowniczka słynnej ajencji koncertowej, p. Wolffowa oraz bardzo znany bankier żydowski, Kurt Sobernheim. Z kół amerykańskich byli między innymi amerykański konsul generalny, George W. Messersmith oraz korespondentka *Chicago Tribune*, Sigrid Schultz. Prawdziwą jednak sensację wywołał fakt, że zaproszony został delegat partii hitlerowskiej dla spraw prasy zagranicznej i wybitny członek tej partii, dr Ernst Hanfstaengl. Uprzedzony przez Lochnera o tym, kto będzie na przyjęciu, przyjął on zaproszenie, oczywiście za wiedzą partii, która w początkowym okresie sprawowania władzy nie chciała sobie najwidoczniej zrazić tak wpływowej na terenie prasy międzynarodowej osobistości, jaką jest Lochner.

Ze strony Lochnera zaproszenie Hanfstaengla w takim gronie miało być niewątpliwie demonstracją, że nie ma on najmniejszego zamiaru zrywać stosunków z dotychczasowymi przyjaciółmi i znajomymi dlatego, żeby się przypodobać nowym władcom Niemiec. Zaproszenie Sobernheima, a także mnie jako Polaka w okresie, kiedy hitlerowcy rozpętali w prasie nieprawdopodobną hecę antypolską, ma swoją bardzo wyraźną wymowę.

W tych warunkach byliśmy niezmiernie ciekawi, jak zachowa się Hanfstaengl zwłaszcza wobec Sobernheimów, o których wiedział, że są Żydami. Zjawił się w ostatniej chwili, gdy już mieliśmy siadać do stołu, w nowiutkim brunatnym mundurze partyjnym, w którym poza tym nie zawsze chodził. Tym razem przywdział go umyślnie zamiast obowiązującego fraka. Kto z nas czekał na sensację, ten się nie zawiódł. Była ona jednak zupełnie inna, niż ją sobie wyobrażaliśmy. A mianowicie przy przedstawieniu Sobernheim oświadczył z półuśmiechem: „Doktorze Hanfstaengl, zdaje się, że jesteśmy spowinowaceni?".

Hanfstaengl poczerwieniał, zareagował jednak tylko pytaniem: „Co Pan ma na myśli?". Okazało się, że ktoś z rodziny Sobernheima wżenił się w rodzinę Hanfstaengla. Po obiedzie obaj zapuścili się na ten temat, usiadłszy z boku, w dłuższą rozmowę. Widok to był rzeczywiście niezwykły.

Jedno jest pewne, a mianowicie, ponieważ pozycja partyjna Hanfstaengla jest jednoznaczna i znana, zetknięcie go z Sobernheimem było nielada sensacją, podobnie zresztą jak dłuższa rozmowa Hanfstaengla z generałem Groenerem.

Ale nie na rozmowach Hanfstaengla z Sobernheimem oraz z generałem Groenerem wyczerpały się organizowane zgrabnie przez Lochnera w czasie przyjęcia rozmowy i zetknięcia. W pewnej chwili Lochner wziął mnie i Groenera pod ramię i oświadczył:

„A teraz Panowie porozmawiajcie o możliwości niemiecko-polskiego *modus vivendi (deustch-polnischer Ausgleich)*".

Okazało się jednak, że z Niemcami nie ma co rozmawiać. „To będzie bardzo trudne" — powiedział Groener, dodając potem, że stosunki polsko-niemieckie są „kwadraturą koła".

Groener jest już zresztą *un homme passé.* Robi wrażenie starszego pana i choruje, jak powiedział, gdy go częstowano winem, na cukrową chorobę.

Hanfstaengl w stosunku do mnie był uprzejmy, ale bardzo wstrzemięźliwy. Żegnając się oświadczył żartobliwie: *Herr Kommandant* — co prawdopodobnie miało być aluzją do Piłsudskiego jako do „komendanta". (...)



W Poznaniu spotkałem się na Targach z Wyczółkowskimi i rozmawiałem też dłużej z Ryszardem Piestrzyńskim, który mi opowiedział przebieg swojej wizyty u pułkownika Ulrycha i u gen. Skwarczyńskiego — w konsekwencji uchwały, którą powzięliśmy w Warszawie, o czym już wspominałem. Przebieg rozmowy na ogół pomyślny.

Rozmawiałem na ten temat — ewentualnego kontaktu obozu Marszałka Piłsudskiego i obozu narodowego oraz wzajemnego pogodzenia się — obszernie z Zygmuntem Rakowiczem, bratem Izy, który ze swej strony pomówi o tych rzeczach ze Sławkiem. Swoją drogą w tej sanacji jest dużo rozmaitych grup.

Berlin, 5 maja 1933

Wróciłem do Berlina wczoraj wieczorem i dowiedziałem się, że telefonowano do mnie z poselstwa. Byłem dzisiaj u ministra Wysockiego, który mi opowiedział o swojej rozmowie z Hitlerem. Jest z niej, jak mówił, zadowolony.

Przed południem telefonował do mnie zupełnie niespodziewanie poseł Stanisław Mackiewicz z BHWR, konserwatysta wileński, i był u mnie na czarnej kawie, wypytując się z zainteresowaniem o stosunki w Niemczech. Kilkakrotnie unosił się nad moimi artykułami, twierdząc, że jest ich pilnym czytelnikiem.

Zdziwiłem się, że zdradzał antysemickie zapędy, twierdząc nawet, że niepotrzebnie Polska stawała w obronie swoich Żydów, których Niemcy odstawili do granicy polskiej, bo można to było wykręcić w ten sposób, że Żydzi ci starali się o obywatelstwo niemieckie i wobec tego przestali się uważać za obywateli polskich. Ubolewał również, że pisma polskie informowane są przez Żydów, bo, jak mówił, w sprawie hitleryzmu informacje żydowskie są stronnicze!!! (...)

Rozmawiałem z ministrem Wysockim i po tej rozmowie nadałem następujący telegram z Berlina, pod datą 5 maja 1933:

„Rozmowa posła Wysockiego z kanclerzem Hitlerem i wydany o tej rozmowie urzędowy komunikat biura Wolffa — skwapliwie 'pogorszony' przez biuro Conti — oraz następna rozmowa posła von Moltke z ministrem Beckiem i wydany o niej komunikat polski wywołały olbrzymią sensację nie tylko w Niemczech, ale również w kołach zagranicznych, które starają się poinformować o szczegółach. Prasa niemiecka podała tę wiadomość pod wielkimi nagłówkami.

W komentarzach prasy niemieckiej jest jedna rzecz nieścisła. Daje ona do zrozumienia, że inicjatywa tego kroku wyszła ze strony niemieckiej i przedstawia rzecz tak, jakoby Niemcy z gałęzią oliwną w ręku zbliżały się do 'agresywnej' Polski, przestrzegając przed niebezpieczeństwem tej polityki. Tymczasem według naszych informacji inicjatywa tej rozmowy wyszła normalną drogą ze strony polskiej. Jest oczywiście rzeczą bardzo trudną dowiedzieć się bliższych szczegółów tej rozmowy, ponieważ obie strony poza wydanymi komunikatami zachowują wielką rezerwę.

Nie należy jednak przypuszczać, żeby rozmowa mogła się zapuszczać zbyt daleko w szczegóły i żeby w jej toku zdołano omówić szczegółowo specjalne kwestie, bo byłoby to rzeczą — zważywszy zawiłość rozmaitych spraw — po prostu technicznie trudną.

Zasadnicza treść tej rozmowy zawarta jest zapewne w tym zdaniu komunikatu, w którym mowa jest o zamiarze trzymania się ścisłego istniejących traktatów i odnoszeniu się do poszczególnych spraw, dotyczących obu krajów, ze spokojem.

Prasa niemiecka stwierdza, że na podstawie tej rozmowy jest możliwe pewne uspokojenie napięcia stosunków polsko-niemieckich. Istnieją jednak koła bardzo niezadowolone z takiego obrotu sprawy. Szukać ich należy głównie wśród zwolenników partii niemiecko-narodowej Hugenberga.

Rzecz jasna, że nie należy przeceniać intencji niemieckich. Rozmowa i komunikat niemiecki stały się możliwe dzięki temu, że izolacja zagraniczna Rzeszy postąpiła bardzo daleko, i że Niemcy pragną przekonać świat o swojej pokojowości".

Berlin, 16 maja 1933

(...)

Wieczorem o godz. 20-tej byłem na przyjęciu w ambasadzie sowieckiej. Było kilkunastu korespondentów zagranicznych. Na ogół panuje wśród nich silny nastrój antyhitlerowski. Ambasador Chinczuk rozmawiał ze mną częściowo po polsku, choć słabo włada językiem polskim. Rzecz zabawna, że wszyscy Rosjanie myślą, że Polacy umieją po rosyjsku. Musiałem dopiero tłumaczyć, że pochodzę z Poznańskiego, gdzie język rosyjski nie jest znany.

Chinczuk jest gładki, uprzejmy, trochę gra rolę *bonhomme,* ale jest wyraźnie kuty na cztery nogi. *Attaché* prasowy Winogradow, który mnie przedstawił, wysoki blondyn, szczupły. Mam wrażenie, że oni się tu czują obecnie prawdziwie wśród wrogów i mają w gruncie rzeczy bardzo trudną sytuację.

Przyjęcie było — jeżeli chodzi o jedzenie — zupełnie nie „bolszewickie". Lokaje usługiwali zgrabnie, ha, cóż za burżuazja!!! Nawiasem powiedziawszy, tak się złożyło, że zjadłem ostatnią kanapkę z kawiorem, po którą właśnie wyciągał rękę generał von Seeckt. Spojrzał na mnie z lekkim zawodem.

Poznałem nowego korespondenta *Prawdy,* Czerniaka. Mam wrażenie, że jest jeszcze nie bardzo zwyczajny terenu. Rzecz zabawna, że von Saucken oświadczył mu, że za trzy miesiące „narodowa rewolucja" się skończy i wtedy będzie mógł również dostawać zaproszenia. Chodziło o zaproszenie na kongres *Arbeitsfront*'u, o które prosił, ale którego mu odmówiono. Chciałem, żeby dokładniej określił to powiedzenie von Sauckena, ale coś do niego powiedział członek tutejszego rosyjskiego przedstawicielstwa handlowego po rosyjsku i Czerniak wycofał się z dalszego opowiadania.

Z okien ambasady — cóż za kontrast — patrzałem na pochód studentów z pochodniami, idących palić książki na placu przy Operze. Wybrałem się tam z Japończykiem dr. Job Tamaki'm, korespondentem *Nikkan-Kogyo* z Osaki, wycofując się trochę rychlej z przyjęcia w ambasadzie sowieckiej, i patrzałem na to widowisko. Zagrodzili nam co prawda drogę konni policjanci niemieccy, ale przemówiłem do nich energicznie rozkazującym tonem po niemiecku i przepuścili nas, ku zdumieniu Tamaki'ego. Ten Tamaki jest bardzo chytry. Przyjaźni się z hitlerowcami, ale po cichu powiada mi, że nic nie ma przeciwko Żydom. I temu świeczkę i temu ogarek. Cóż, chytry Japończyk chce mieć informacje ze wszystkich stron. (...)

Byłem w czwartek u korespondenta *Echo de Paris*, Alberta Huarda. Wyraził mi pewne zdziwienie, że w poselstwie polskim przywiązują tak dużą wagę do oświadczenia Hitlera w rozmowie z Wysockim.

Otrzymałem list od Stahla. Obawiam się, że tymczasem nominacja Jędrzejewicza akcję naszą, zmierzającą do pogodzenia się piłsudczyków z Obozem Narodowym stawi pod znakiem zapytania. Widzę już z dzisiejszej *Gazety Warszawskiej*, że aresztowano akademików. Jest to rzecz dziwna, że na każdą możliwość ułożenia się stosunków między „sanacją" a obozem narodowym następują posunięcia ze strony sanacyjnej, które to utrudniają. Posunięcia te wychodzą zawsze ze strony czynników nie wojskowych, ale bardzo specjalnych, mówiąc otwarcie po prostu masońskich. (...)

Berlin, 2 czerwca 1933

Dnia 29 maja byłem w Warszawie i odbyłem prawie trzygodzinną rozmowę z pułkownikiem Sławkiem.

Rozmowa ta leżała w linii rozważań i kroków, które nasza grupa — Zdzisław Stahl, Ryszard Piestrzyński, Jan Zdzitowiecki i ja — postanowiła przeprowadzić mniej więcej przed trzema miesiącami. Ryszard rozmawiał ze Skwarczyńskim i pułkownikiem Ulrychem. Ja rozmawiałem z moim szwagrem, Zygmuntem Rakowiczem, i powiedziałem mu, żeby, gdyby się tak układało, zainicjował ewentualną rozmowę z pułkownikiem Sławkiem. Bodajże 19 maja telefonowała mi Iza, że Zygmunt do niej telefonował, żebym przyjechał do Warszawy. Stanęło na 29 maja. Byłem u Sławka razem z Zygmuntem od około 10.30 do godz. 13-tej. Zdziwiłem się trochę, zobaczywszy urządzenie bardzo skromne i bez pretensji artystycznej. Skromny był też jego gabinet, biurko bodajże sosnowe, najzwyklejszy w świecie biurowy mebel. To jednak nie było chyba jego mieszkanie.

Rozpocząłem od stwierdzenia, że nonsensem są takie stosunki, gdy obie strony w ogóle ze sobą nie mogą rozmawiać i że z tym trzeba skończyć. Sławek na to wygłosił mi długą, widocznie przygotowaną naprzód przemowę, w której sięgnął aż do roku 1863, stwierdzając, że istniały w społeczeństwie polskim dwie psychiki, jedna ofensywna, druga defensywna. Jedni szli do powstania, a drudzy, żeby usprawiedliwić to, że nie poszli, wymyślili sobie całą teorię obronną. Narodowa Demokracja jest jego zdaniem wyrazem psychologii obronnej, ciągle się przed czymś broni, nie

ma zaufania do sił narodu. Dlatego zamierza Narodową Demokrację zwalczać. Demoralizuje ona ludzi, demoralizuje również młodzież. Odpadają od niej dlatego co żywotniejsze siły. I tak dalej. Wspomniał o demonstracji na placu Grzybowskim. Narodowa Demokracja ciągle się od kogoś czegoś spodziewa. Tymczasem Polska otrzyma tylko to, co sama weźmie.

Odniosłem jedno wrażenie: ci ludzie nie mogą się wyrwać z kręgu przeszłości i z walk przeszłości. Jest to coś podobnego jak u naszych starych polityków w Narodowej Demokracji. Wiele rzeczy, które mówił Sławek było zupełnie niesłusznych, niektóre jednak, zwłaszcza to co mówił o sposobie używania ludzi w Narodowej Demokracji, były niestety trafne.

Odpowiedziałem kładąc głównie nacisk na to, że wiele rzeczy które jeszcze ciągle oddziałują w Polsce, dla nas, to znaczy dla pokolenia dojrzałego w niepodległej Polsce, należy do historii. My patrzymy w przyszłość, formujemy własne oblicze, jesteśmy — mówiłem — waszymi spadkobiercami. Czy w interesie Polski — spytałem — leży rozbijanie formującego się nowego pokolenia? Bo przecież to, co do was należy wśród młodzieży, jest piaskiem. Rozbić nikogo nie rozbiją. Nie dla kariery, jak sam chyba wie, idziemy tą drogą, którą idziemy. Idea narodowa stwarza entuzjazm, jest koniecznością. Nie jest to szowinizm, ale to, co każdy Polak rozumie.

Sławek nie zaprzeczył, że ich młodzież jest nic nie warta. Ale — mówił — chodzi mu o to, do jakiej się tradycji nawiąże. Pokażcie, że jesteście samodzielni. Będzie sposobność przy konstytucji. Wyjął z kieszeni i przeczytał mi kilka pierwszych zasadniczych ustępów.

Wspomniałem mimochodem, czy by nie nawiązać rodzaju wzajemnego paktu o nieagresji, co on jednak odrzucił. Chodzi mu najwyraźniej o to, żebyśmy się oddzielili od naszych starych przywódców.

Mówiłem jeszcze, że ich taktyka po prostu wtłacza nas w ramiona starych i radykalizuje młodzież. Wspomniałem o aresztowaniach studentów. Jak można mówić o znormalizowaniu stosunków, gdy się postępowaniem swoim rozdrażnia tylko zatarg. Wskazywałem również na stosunki w Niemczech, stwierdzając, że oczekuje nas rozprawa o byt albo niebyt i że musi nastąpić próba usunięcia tego stanu rzeczy w Polsce, jaki jest obecnie.

Zapytałem się w dalszym ciągu, jak się odnosi do nacjonalizmu. Ofensywny nacjonalizm — odpowiedział — dobrze. Nacjonalizm obronny — nie. W ogóle te czasy minęły, gdy się oby-

watel ciągle bronił, raz przed królem, drugi raz przed tym czy owym, i w ogóle ciągle się bronił. To powinno ustać. Cała dotychczasowa konstytucja jest ciągłą obroną, są to *pacta conventa.* Dzisiaj to nie ma sensu.

Najtrudniejszą rzeczą będzie — wydaje mi się — jak po obu stronach wreszcie odrzucić to, co należy do historii, jak wydobyć na wierzch te warstwy, które już w pełni stoją na płaszczyźnie dnia dzisiejszego i jutrzejszego. Czasem mi się zdaje, że tylko przez to, że się stworzy pewien do nich stosunek, można poznać grupy, które w gruncie rzeczy myślą tak samo jak my i zbliżyć się do nich.

Jest rzeczą ciekawą, że Sławek odżegnał się od posądzeń o filosemityzm i masonerię. Jednak — mówił — judzi się w sprawie żydowskiej po to, ażeby trafić w rząd.

Odpowiedziałem, że pomijając ten zarzut, nie potrzeba żadnego judzenia. Tu chodzi o możność egzystencji całego młodego pokolenia polskiego.

Berlin, 10 czerwca 1933

Jeszcze przed wyjazdem moim do Warszawy byłem w Berlinie na międzynarodowej konferencji rolniczej — coś około 20 maja. Był na niej Fudakowski i Leon Pluciński. Rozmawialiśmy o stosunkach w Polsce. Pluciński wyrażał się dodatnio o wynikach działalności rządowej w Polsce. Opowiadał też, że Darré i hitlerowcy byli ogromnie dla Polaków uprzejmi. Darré tłumaczył się nawet, że nie umie po polsku.

Wspomniałem Plucińskiemu, że w młodym pokoleniu istnieje silna krytyka przywódców Obozu Narodowego, tej wiecznej krzykliwej negacji i całego jej sposobu. Interesował się tym i powiedział, że gdyby sam był bardziej finansowo niezależny, nie zawahałby się wystąpić z programem rewizji tych metod w łonie stronnictwa.

Pluciński powiedział mi też, że postanowione jest obniżenie złotego. Jemu ta myśl jest zdaje się bardzo sympatyczna. Stracą tylko ci — mówił — którzy trzymają pieniądze, a ponieważ są głupi, więc na nic innego nie zasługują. Jest to typowy punkt widzenia sfer gospodarczych, które w ten sposób chcą albo zarobić, albo pozbyć się długów. Ci tak nazwani „głupi" są to zwykle mali oszczędzacze, inteligencja itd. Jest to dziwny i niebezpieczny egoizm ludzi pieniądza.

Na Zielone Święta — 4 i 5 czerwca — zjechaliśmy się: Zdzisław Stahl, Janek Zdzitowiecki, Ryszard Piestrzyński i ja

u Zbigniewa Dembińskiego w Węgiercach. Te dwa dni poświęcone były obszernym naradom. Ja zdawałem sprawę z mej rozmowy ze Sławkiem. Postanowiono jesienią założyć nowe, niezależne od starych polityków stronnictwo. Wyczułem jednak, że w sprawie ewentualnej samodzielnej taktyki parlamentarnej zwłaszcza Ryszard Piestrzyński silnie hamował. Były w tym niektóre słuszne rozważania, ale trzeba się też liczyć z tym, że Ryszard jest członkiem redakcji *Kuriera Poznańskiego,* na którego czele stoi Seyda. No, zobaczymy, co będzie.

Pomijając jednak wszystko inne, trzeba sobie jasno powiedzieć, że w Narodowej Demokracji jest mało ludzi odważnych i zdecydowanych, i to odbija się nawet na młodych. Widać to było również przy omawianiu sprawy głosowania za względnie przeciw konstytucji, którą wysunął Sławek. W Węgiercach odniosłem wrażenie, że się tego wszyscy trochę przerazili. Słuszne jest stanowisko, że nie możemy ulegać przepisom i targom, i że nie można iść po prostu na lep taktyki przeciwnika, usiłującej rozbić Obóz Narodowy. Ale u wielu nawet młodych narodowców to słuszne zupełnie stanowisko jest jeszcze silnie przerośnięte obawą, że robiąc coś, co jest po myśli przeciwnika, robi się na pewno źle, chociażby to nawet było skądinąd słuszne. Jest to w istocie psychologia ludzi słabych, którzy boją się zarzutów i decyzji.

Ja sam zgoła nie stoję na stanowisku, że należy iść na rozłam w Obozie Narodowym i to w dodatku na życzenie Sławka, i przez to po prostu samych siebie osłabić. Bardzo jest możliwe, że projektowana konstytucja będzie taka, że z rzeczowych powodów nie będziemy mogli się za nią opowiedzieć względnie na nią głosować, trzeba się zdobyć na kierowanie się tymi rzeczowymi względami i nie upierać się przy błędach, które ewentualnie będą chcieli robić starzy przywódcy. Chodzi o zdobycie się na samodzielność.

Uważam przy tym, że zdecydowane postawienie tej sprawy w klubie nie doprowadziłoby do rozłamu.



W środę dnia 7 bm. odbyło się w Berlinie śniadanie, które urządził Związek Prasy Zagranicznej dla korpusu dyplomatycznego. (...) Nastrój był swobodny, rozmowy interesujące. Bardzo zgrabną przemowę wygłosił m.in. prezydent Banku Rzeszy, Schacht, wypowiadając między innymi pochwały pod adresem prasy i wywołując oklaski. Pomyślałem sobie, że Schacht wygłaszając w Ameryce i gdzie indziej mowy o Niemcach i w interesie

niemieckim, musiał na pewno robić zręczną i skuteczną propagandę dla swego kraju. Miałem sposobność rozmawiać z nim chwilę o temacie, który jest tu bardzo aktualny i roztrząsany, a mianowicie o marce niemieckiej.

Słychać bowiem nieraz pytanie, czy rząd niemiecki nie zdecyduje się śladem Anglii i Ameryki na obniżenie kursu marki i to między innymi z uwagi na sytuację eksportową. Jak wiadomo również, pokrycie marki spadło ogromnie, a mianowicie aż na 8 %.

Schacht stał na stanowisku, że stabilizacja marki jest konieczna. Stabilizacja ta nie ulega wątpliwości — mówił — gdyż panuje się nad nią przez odpowiednie ustawodawstwo dewizowe.

W rozmowie ze mną Schacht raz jeszcze z ogromną stanowczością oświadczył, że marka niemiecka się utrzyma *(die Mark bleibt stabil).* Czy jednak — zapytałem — wobec tego, że obniżono funt angielski a ostatnio dolar amerykański, w kołach miarodajnych nie rozważa się ewentualności obniżenia również marki?

Schacht odpowiedział niezmiernie żywo, że się o tym nie myśli. Nie zamierzamy naśladować innych. Słowa moje — mówił — wyrażają politykę Banku Rzeszy.

A jaki jest stosunek rządu do tego zagadnienia? — spytałem.

Zupełnie ten sam, co Banku Rzeszy. Nie ma różnicy zapatrywań. Nie możemy — dodał Schacht — pozwolić na to, żeby oszczędzający Niemiec *(der deutsche Sparer)* miał tracić swoje oszczędności.

Argumenty Schachta były w ogóle przekonywujące. Od siebie dodam, że dewaluacja marki i straty poniesione przez szerokie rzesze musiałyby podkopać prestiż rządu Hitlera. A do tego ani rząd, ani też Schacht jako prezydent Banku Rzeszy nie będą chcieli dopuścić. (...)

Berlin, 11 czerwca 1933

U Reynoldsa było wczoraj bardzo miło. Był jeszcze Norman Ebbutt, korespondent *Times'*a i Gillie z *Morning Post.* Gillie był dłuższy czas w Warszawie i mówi po polsku, choć z pewną trudnością. Reynolds pokazywał mi nowe książki, które kupił, wszystkie o Polsce, między innymi francuskie dzieło historyczne o królu Sobieskim z początku XVIII wieku. Jest coś wzruszającego u tego Anglika, który studiuje i zbiera książki o Polsce.

Wszyscy ci korespondenci angielscy są nastrojeni krytycznie i niechętnie do hitleryzmu.

Berlin, 15 czerwca 1933

Rozmawiałem wczoraj i dzisiaj z kilku posłami hitlerowskimi (Stürz, Vetter, Manderbach, wczoraj Peter Voss) raczej tylko towarzysko. Jako korespondent zagraniczny muszę utrzymywać stosunki z tymi ludźmi, żeby wiedzieć, co się dzieje. Dzisiaj poseł Vetter opowiadał charakterystyczną rzecz. Otóż w roku 1926 było — bodajże w południowej Nadrenii — nieduże zebranie wewnętrzne, na którym przemawiał Hitler. W ciągu dyskusji spytał go dzisiejszy minister Kerrl, czy partia jest właściwie za czy przeciw własności prywatnej, dodając, że gdyby była przeciw, trudno mu będzie zdobywać zwolenników. Na to Hitler spytał go, czy jest zarejestrowanym członkiem partii *(eingetragenes Mitglied)*. Kerrl odpowiedział, że tak. — W takim razie — powiedział Hitler — istnieje program partyjny (Federa), do którego należy się stosować. Gdy Kerrl jeszcze naciskał o wyjaśnienie, Hitler w odpowiedzi wydał rozkaz, że należy Kerrla wykluczyć z partii.

Ostatecznie do tego nie doszło. Ale ten incydent jest niesłychanie charakterystyczny. To żądanie bezwzględnego, ślepego podporządkowania się, żądanie po prostu wiary i wykluczenie wszelkiej dyskusji, idące już wtedy tak daleko, że natychmiast groziło wyrzucenie z partii, do czego u Kerrla ostatecznie nie doszło — świadczy, jak bezwzględną energię stosował Hitler przy wychowywaniu swoich zwolenników, jak ich formował na oddanych zupełnie i wierzących mu ludzi, jak bezwzględnie narzucał autorytet i hierarchię partii. Zrozumiałem, słuchając tego opowiadania, na czym polega siła tej organizacji i jakimi środkami stworzył sobie Hitler z niej to narzędzie, którym dzisiaj rozporządza.

Berlin, 28 czerwca 1933

Wydział zagraniczny partii *(Aussenpolitisches Amt NSDAP)* urządził 23 czerwca herbatę dla prasy zagranicznej w hotelu „Adlon". Zamieniłem m.in. kilka słów z Alfredem Rosenbergiem, podpisanym na zaproszeniu. Wypłynęła sprawa masonerii i Rosenberg obiecał pewne wyjaśnienia. Pojutrze jednak wyjeżdżam na urlop, więc nie wiem, czy do tego dojdzie. W swojej przemowie Rosenberg podkreślił, że ocena rewolucji hitlerowskiej może nastąpić dopiero po kilku latach. Jest to dopiero jej początak, a nie koniec. Twierdził, że są tylko dwie możliwości: albo rząd Hitlera zostanie, albo cała Środkowa Europa pogrąży się

w krwawym chaosie. Przyrzekał też poszanowanie praw narodowych innych narodów i podkreślał, powołując się na mowę kanclerza w Reichstagu, życzenie narodu niemieckiego, ażeby z wszystkimi innymi narodami żyć w pokoju i przyjaźni.

Zlikwidowanie SPD (niemieckiej partii socjalistycznej) jest zakończeniem rozwoju 70-80 lat. Rosenberg miał tu na myśli rozwiązanie partii socjalistycznej w dniu 22 czerwca 1933.

Berlin, 22 sierpnia 1933

Byłem kilka tygodni na urlopie, najpierw w Morszynie, a potem w Kossowie. Jadąc zatrzymałem się jeden dzień we Lwowie (6 lipca) u Zdzisława Stahla, którego starałem się przekonać o konieczności zdobycia się na decyzję i wyjścia wreszcie z powijaków. Jeżeli się rozpoczyna grę, to trzeba umieć ryzykować — mówiłem. Wprawdzie mądrze ryzykować, ale ryzykować. Wielka stawka zawsze wymaga ryzyka. Jeżeli się tego boi, to lepiej iść spać.

W Morszynie byli posłowie Stronnictwa Narodowego Kozłowski i Wierczak, a także prezes Stronnictwa Narodowego we Lwowie, prof. Tarnawski. Dla mnie byli wprawdzie bardzo uprzejmi, ale trzymali się razem, zwłaszcza Kozłowski i Tarnawski. Nic mnie to zresztą nie martwiło, bo miałem zabawniejsze towarzystwo.

Wracając zatrzymałem się w Warszawie, gdzie widziałem się ze Stanisławem Kozickim, który rozwinął teorię, że należy zmienić politykę, iść na rodzaj polityki autorytatywnej nawet za cenę rozłamu z liberałami w Stronnictwie. Pojechał z tym do Dmowskiego. Z sanacją nie należy walczyć na dotychczasowej platformie, co do której właściwie jesteśmy tego samego zdania, ale na platformie pytania, kto ma rządzić w Polsce, Żydzi czy Polacy.

W Poznaniu Ryszard Piestrzyński stanął tymczasem zupełnie na moim stanowisku, które zajmowałem w Węgiercach. Ucieszyło mnie to. Wyczuwa on, że rzeczy zmieniają się coraz bardziej. Odbyliśmy konferencję u niego: on, Zbigniew Dembiński, Jan Zdzitowiecki, Stefan Wyrzykowski i ja. Zbigniew miał znowu wątpliwości. Zakończyło się jednak wszystko dobrze. W niedzielę byliśmy w Chludowie u Dmowskiego. Był Aleksander Dębski, który chciał jakoś doprowadzić do wyjaśnienia, ale mu się to nie udało. Dmowski unikał tego tematu i tylko krążył naokoło. Moim zdaniem są oni jako politycy skończeni. (...)

W Warszawie Sławek wygłosił mowę na zjeździe legionistów, w której ostatnie ustępy są po części polemicznym echem mojej

z nim rozmowy. Polemizuje on z moją tezą, że należy przekreślić przeszłość.

Nawiasem powiedziawszy mało kto zrozumiał, o co tu chodzi.

Berlin, 26 sierpnia 1933

Wczoraj spotkałem się w kawiarni z kolegami, Holendrem Van der Schuren *(Maasbode)* i Anglikiem Ruttle *(The Exchange Telegraph)*. I tu znowu okazało się, że Anglicy prawie wszyscy są wrogo nastrojeni do hitleryzmu. Ruttle, który był teraz właśnie w Anglii, opowiadał, że nastroje w Anglii są ogromnie antyniemieckie. Jeden z jego znajomych, który dotychczas twierdził, że Anglia żadnej nowej wojny nie powinna prowadzić, oświadczył mu, że jeżeli chodzi o Niemcy, to zmienił zdanie. Jest to podobno ogólny nastrój w Anglii.

Berlin, 7 września 1933

Przedwczoraj było zebranie w Związku Prasy Zagranicznej. Przeczytano na zebraniu list ustępującego prezesa Edgara Allana Mowrera. Kopię tego listu, datowanego z 5 września 1933, otrzymałem z berlińskiego biura *Chicago Daily News*, którego Edgar Mowrer był korespondentem. Wyjaśnia on w nim powody swego nie przybycia na zebranie i wyjazdu z Berlina oraz wylicza szykany, z którymi spotykał się zarówno on jak też liczni inni wymienieni po nazwisku koledzy. List jest bardzo obszerny, ale przytaczam w tych zapiskach tylko koniec, obrazujący sytuację w czterech następujących punktach:

„1) Rząd niemiecki prześladuje zagranicznych korespondentów nie dlatego, że ich sprawozdania są nieprawdziwe, ale dlatego, że prawdy, które donoszą, mogłyby szkodzić rzeczywistym albo domniemanym interesom Niemiec za granicą.

2) W przeciwstawieniu starają się korespondenci zagraniczni w miarę możliwości znaleźć i donosić prawdę, każdy według swoich zdolności, swojego przekonania i oczywiście niezależnie od konsekwencji politycznych, które mieć ona może dla Niemiec. Rząd nie chce zrozumieć, że dziennikarze pomimo ich miłości do Niemiec nie mogą, póki są wierni swojemu zawodowi, przekręcać albo ukrywać przez wzgląd na rząd niemiecki ważnych wydarzeń.

3) Pomijając to ograniczenie starają się oni utrzymywać możliwie najlepsze stosunki z rządem niemieckim, pracować z nim

razem, wyjaśniać i tłumaczyć jego działania w sposób jak najbardziej uczciwy.

4) Gdyby jednak stało się dla zagranicznych korespondentów niemożliwe mówić w tym kraju to, co mają do powiedzenia, byłoby zapewne rzeczą właściwą zapakować kufry i wyjechać. Spodziewam się i pragnę, ażeby Związek mógł nadal spełniać swoje zadanie. Ale tysiąc razy lepiej go rozwiązać, niż pozwolić na powstanie w przeciwnym razie uzasadnionego podejrzenia, że Związek Prasy Zagranicznej w Berlinie został zglajchszaltowany".

W związku z ustąpieniem Mowrera przeprowadzono wybory nowego prezesa oraz członka ściślejszego zarządu, tzw. kontrolera. Wynik wyborów jest niezmiernie charakterystyczny dla panujących w Związku nastrojów. Były dwie kandydatury na prezesa: korespondenta *Times*'a Normana Ebbutta, niechętnie widzianego przez rząd hitlerowski, oraz bardzo mile widzianego przez ten rząd korespondenta faszystowskiego dziennika *Popolo d'Italia,* Boiano. Otóż wybrany został Ebbutt, a jego kontrkandydat Boiano przepadł sromotnie, otrzymawszy dwa czy też trzy głosy. Co więcej, gdy na opróżnione właśnie w ściślejszym zarządzie stanowisko „kontrolera" postawiono z grzeczności raz jeszcze kandydaturę Boiana, jeden z członków zarządu wysunął moją kandydaturę — która przeszła, a Boiano przepadł ponownie. Dostał się wreszcie na miejsce jednego z ławników, i to tylko dzięki temu, że wybrany przedtem Lochner *(Associated Press)* zrezygnował. To była druga porażka Boiana jako kandydata miłego rządowi.

Berlin, 18 września 1933

Zastanawialiśmy się po zebraniu, jaki skutek wywrze wynik tych wyborów na stosunek Związku z urzędowymi sferami niemieckimi. Odpowiedź zjawiła się dość szybko i niespodziewanie i dowiodła, że rząd niemiecki jednak zawahał się przed ostatecznym rozłamem z prasą zagraniczną. A mianowicie, minister Spraw Zagranicznych, Baron von Neurath, urządził dnia 15 września, a więc dziesięć dni po wspomnianych powyżej wyborach, w hotelu „Kaiserhof" tak zwany *Bierabend,* na który otrzymali również zaproszenia przedstawiciele prasy zagranicznej. Gdy już wszyscy byli zebrani, podszedł do mnie radca legacyjny z Ministerstwa Spraw Zagranicznych, von S., prosząc, żebym usiadł przy stole rządowym. Na moją trochę zdziwioną reakcję dodał, że przy stole tym zasiądzie również nowy prezes Związku Prasy Zagranicznej, Norman Ebbutt.

Zrozumiałem, że oznacza to próbę — mimo poniesionej właś-

nie porażki — ułożenia stosunków z nowym zarządem Związku Prasy Zagranicznej. Przy stole tym znalazło się zresztą tylko kilkanaście osób, a między innymi minister von Neurath, minister propagandy Goebbels, sekretarz Stanu w *Auswärtiges Amt* von Bülow, szef wydziału prasowego w Ministerstwie Spraw Zagranicznych Aschmann, szef urzędu prasowego w Ministerstwie Propagandy Jahnke, szef działu zagranicznego partii hitlerowskiej Alfred Rosenberg, ambasador Nadolny, z ambasady włoskiej markiz Antinori itd.

Otrzymałem miejsce dość niezwykłe, bo po mojej lewej ręce siedział sekretarz Stanu von Bülow, a po prawej osławiony Alfred Rosenberg. Wtajemniczeni wiedzieli, że obaj się wzajemnie nienawidzą, bo Bülow uważa Rosenberga — słusznie zresztą — za człowieka szkodliwego i nie dorastającego do zajmowania się zagadnieniami polityki zagranicznej, a Rosenberg bardzo pragnie stanąć na czele Ministerstwa Spraw Zagranicznych.

Korzystając ze sposobności zwróciłem się do Alfreda Rosenberga z kilku dość śmiałymi pytaniami. A mianowicie w sprawie żydowskiej, w sprawie masonerii, a także w sprawie polityki rasowej hitleryzmu. W sprawie żydowskiej Rosenberg oświadczył, że hitlerowcy od swojej polityki nie odstąpią. Co do masonerii spytałem się, czy zamierzają zamknąć loże. Na to Rosenberg odpowiedział, że masoni są dzisiaj w Niemczech bez znaczenia *(bedeutungslos)*, więc nie ma potrzeby zamykania lóż. Partia w każdym razie utrzymuje w pełni zakaz należenia do lóż dla swoich członków i pilnie dba o to, żeby się jacyś masoni do niej nie wcisnęli.

Mam wrażenie, że prowadząc wojnę z Żydami, hitlerowcy nie chcą powiększać swoich trudności zamykając loże.

Spytałem go dalej, czemu nie ukazuje się nowe wydanie jego książki o polityce zagranicznej, dzisiaj zupełnie wyczerpane. Odpowiedział z uśmiechem, że się nie ukaże, że był nawet gotowy zestaw tej książki, ale jej się nie wydrukuje. No, oczywiście dzisiaj byłaby mu ona bardzo niewygodna.

Wreszcie spytałem, czy hitlerowcy naprawdę wierzą w swoje teorie rasowe. Bo są ludzie — powiedziałem — którzy twierdzą, że wy sami w waszą teorię rasy nie wierzycie i że używacie jej jako rodzaj propagandowego mitu, ażeby mieć coś dla mas. Rzuciłem tu nazwisko Sorela.

Słysząc to pytanie, von Bülow przerwał rozmowę ze swoim lewym sąsiadem i przechylił się w moją stronę, czekając na odpowiedź Rosenberga. A ten odrzekł: „Czy moglibyśmy walczyć o coś przez czternaście lat, nie wierząc w to? I czy Pan myśli, że

ludzie by tego nie wyczuli? Teoria rasy jest rzeczą nową w polityce. Ale i Kopernika ludzie prześmiewali, a jednak Kopernik zwyciężył".

Jeżeli miałem jeszcze jakieś wątpliwości co do istoty rasowego fanatyzmu hitlerowców, to rozmowa ta ostatecznie je rozwiała. Ci ludzie naprawdę wierzą ślepo w to, co głoszą.

A niech mi Pan powie — spytałem w dalszym ciągu — na jakiej podstawie, mówiąc szczerze, właśnie Panowie, chociaż to się teraz trochę polepszyło, pisaliście ciągle o narodzie polskim jako o narodzie niższego rzędu. Przecież powinien Pan o tym wiedzeć, że właśnie z waszego rasowego punktu widzenia nie macie słuszności. Przede wszystkim czujemy się bardzo pełni życia, a poza tym u nas rasa nordycka — gdy już jest o tym mowa — jest zupełnie tak samo silnie reprezentowana jak w Niemczech. Skąd więc to wasze stanowisko?

Wiemy o tym, odpowiedział Rosenberg. Rozstrzyga jednak ostatecznie biologiczny rozwój. Ale wie Pan — oświadczył — kto jest największym szkodnikiem narodu polskiego? Kardynał Hozjusz. Jego działalność kosztowała Polskę najlepszą krew.

Zdumiałem się z początku, a potem zrozumiałem, że ma na myśli kontrreformację. Jest to powtórzeniem jego zapatrywania na Francję. Dowodzi on przecież w swojej książce, że wśród zwolenników reformacji francuskiej znalazła się najlepsza krew nordycka i że wycięcie i wygnanie Hugenotów sprowadziło rasowe osłabienie Francji.

Jedno jest pewne, że ci ludzie myślą wyraźnie i wyłącznie kategoriami rasowymi i uważają, że one zwyciężą. Przecież, jak powiedział, Kopernika też z początku nie uznawano!!!

Zaczepili mnie potem i obsiedli korespondenci sowieccy, wypytując się, o czym rozmawiałem z Bülowem i Rosenbergiem. Powiedziałem, żeby się ich sami spytali.



W sobotę — to jest dwa dni temu — urządziłem małą kolację u siebie, na której był korespondent londyńskiego *Times'a,* obecny prezes Związku Prasy Zagranicznej, Ebbutt, Japończyk Tamaki, radca rejencyjny von Helms z pruskiego Ministerstwa Spraw Wewnętrznych (wydział personalny), Sturmführer Ströbel (ze sztabu partii), Sturmführer Jankel z SS i dr Kalinowski z naszego konsulatu, bo zawsze dbałem o to, żeby przy wszystkich tego rodzaju przyjęciach był ktoś z naszych osób urzędowych. Miał być jeszcze Reynolds z *Daily Mail,* ale zachorował.

Nawiasem mówiąc, jestem ciekaw, czy i co wymienieni powyżej hitlerowcy zameldowali swojej władzy przełożonej o tej kolacji. Był niejeden ciekawy moment. Widziałem, że Ebbutt był ogromnie zaintrygowany tym, że u Polaka byli hitlerowcy. Siedzieli wszyscy do późnej godziny. Von Helms twierdził, że obecnie katolickie centrum jest dla hitlerowców najniebezpieczniejsze. Były kanclerz Brüning jest podobno w Berlinie i coś tam działa. Pytałem o walkę z bezrobociem i czy prawdziwe są podawane cyfry. Ciekawe były odpowiedzi, jak oni tę walkę prowadzą. Oto w każdym powiecie osobiście docierają do przedsiębiorstw, zachęcając do angażowania robotników, nalegają na wykonanie robót i remontów w prywatnych domach itd. Po części, jeżeli chodzi o towarzystwa akcyjne, obniży to zyski dywidendowe. Jest to więc rodzaj pośredniego podatku dochodowego, powiedziałem śmiejąc się.

Von Helsowi podlegają wszystkie sprawy dotyczące zwalniania urzędników admiinstracyjnych na mocy ostatnich ustaw. Odpadnie ich coś około 20 %. O socjaliście Severingu wyraził się, że osobiście był zupełnie czysty i że dzisiaj jest po prostu w nędzy, a poza tym nerwowo się zupełnie załamał. „Ale do obozu koncentracyjnego go nie poślemy" *(Ins Konzentrationslager kommt er nicht)* — oświadczył.

◆

Wracając do wydanego przez von Neuratha *Bierabend,* zastanawiałem się, czy poza tym, że (jak wspomniałem) był to gest pod adresem nowego zarządu Związku Prasy Zagranicznej, Neurath nie chciał z tego skorzystać, ażeby przed posiedzeniem w Genewie powiedzieć do mnie kilka pokojowych zdań, które miałbym w danym razie przetelefonować do Polski, co by im dobrze zrobiło przed Genewą. No, ale do Neuratha się specjalnie nie zbliżałem.

Poznań, 10 października 1933

Byłem w Lipsku przez pierwsze trzy dni na procesie o podpalenie Reichstagu. Na proces ten przyjechało z Berlina dość dużo korespondentów zagranicznych. Przybywających do gmachu sądu obmacywali agenci policyjni w cywilu dla stwierdzenia, czy nie mają przy sobie broni. Gdy wchodziłem na salę sądową i spojrzałem na ławę oskarżonych, spotkałem się wzrokiem z Torglerem, który poznając mnie i pamiętając widocznie naszą rozmowę z lutego, automatycznie skinął mi lekko głową. Może na skutek

tego „opukano" mnie na drugi dzień przy wejściu znacznie dokładniej, niż za pierwszym razem.

Niezwykła historia była z dziennikarzami sowieckimi. Nie otrzymali oni pozwolenia na przyjazd ani też oczywiście kart wstępu na rozprawę. Jednak pomimo to przyjechali — korespondent TASS-a oraz korespondentka *Izwiestii,* dr Keith. Rano otrzymałem od pani Keith telefon z prośbą, czy bym nie zaszedł do nich wieczorem do hotelu, w którym stanęli. Oczywiście w tej sytuacji kontakt taki mógł być w kołach „miarodajnych" bardzo źle widziany. Uważam jednak, że korespondent zagraniczny nie może pozwolić przepisywać sobie, z kim mu wolno albo nie wolno się widywać, bo wtedy skazany byłby na jednostronność informacji. Związek Prasy Zagranicznej w Berlinie, w którego zarządzie od 5 września zasiadam i do którego to Związku należą również korespondenci sowieccy, toczy zresztą na tle wolności prasy z *régime'*m hitlerowskim stałą wojnę. Zaszedłem więc wieczorem do wskazanego hotelu, ale nikt na mnie mimo umowy nie czekał. Uderzyło mnie tylko spojrzenie portiera, gdy się o nich spytałem. Odpowiedział wymijająco i gdy usiadłem czekając, spostrzegłem, że mi się bardzo dokładnie przypatrywał. Ostatecznie, spędziwszy bezowocnie dłuższą chwilę na czekaniu, wróciłem zdziwiony do siebie. Ale na drugi dzień zatelefonowała do mnie pani Keith z dworca. Okazało się, że ich aresztowano wkrótce po jej telefonie do mnie i wypuszczono dopiero na interwencję sekretarza ambasady sowieckiej Winogradowa, który osobiście po nich przyjechał i pod którego opieką wracali do Berlina. Przetelefonowałem tę historię również do *Kuriera Warszawskiego,* bo korespondentka *Kuriera Warszawskiego,* p. Męcińska, została w Berlinie i prosiła mnie, żebym ją zastąpił.

Oskarżony van der Lubbe zrobił na mnie podczas przesłuchań dziwne wrażenie człowieka, który stracił zupełnie własny sąd i wolę. Wydawało się chwilami, że jego odpowiedzi „tak" albo „nie" narzucane mu są przez zdecydowany i autorytatywny ton pytań prokuratora. Na to samo pytanie odpowiadał raz potakująco, raz przecząco, w zależności od tego, czy sposób ujęcia pytania podsuwał potwierdzenie, czy też zaprzeczenie. Zacząłem wkrótce podejrzewać, że znajduje się pod wpływem jakichś narkotyków. Siłą rzeczy wyłania się myśl, że tego rodzaju człowiek, bez względu na to, czy jest, jak się twierdzi, z przyrodzenia słaby na umyśle, czy też podatny na działanie narkotyków, mógł być rzeczywiście powolnym i doskonałym narzędziem w cudzym ręku i że podpalił Reichstag kierowany nie tyle swoją, ile obcą wolą. O tym zresztą, że właściwymi sprawcami pożaru są narodowi so-

cjaliści, przekonana jest bardzo znaczna większość obecnych na procesie dziennikarzy zagranicznych.

Z Lipska pojechałem w niedzielę do Weimaru, który jest śliczny. Zwiedziłem dom Schillera i dom Goethego oraz inne zabytki. Niektórych Niemców to już nudzi. Powiedział do mnie kiedyś były oficer niemiecki, że w Weimarze co krok jest tablica pamiątkowa z napisem: „Tutaj napluł Goethe".

Wróciłem do Berlina już prosto z Weimaru. Poznałem znowu kilku hitlerowców, którzy byli na *Juristentag* w Lipsku. Wszystko to mężczyźni młodzi i pełni rozmachu. Ten rozmach jest niepokojący. (...)

W sobotę 7-go przyjechałem do Poznania na obrady naszego kółka. Musiałem zrobić duży wysiłek, żeby wytłumaczyć zwłaszcza przybyłym warszawiakom rozmaite dość dziecinne pomysły. Gadali bzdury o jakiejś rewolucji, a przecież w naszych warunkach jakakolwiek rewolucja przeciwko obecnym rządom jest zupełnie niemożliwa. Mało jest jednak ludzi zupełnie dojrzałych. Jest wprawdzie czas na usamodzielnienie się, jednak z pewną obawą spoglądam na tych ludzi. Niewielu jest przede wszystkim wśród nich takich, którzy wiedzą, co jest władza i którzy umieliby ją sprawować. (...)

Berlin, 21 października 1933

W środę 11-go otrzymałem list od Zygmunta z Pionek, żeby przyjechać najpierw do niego. Pojechałem do Pionek. Poinformował mnie o rozmowie ze Sławkiem, którą miał we wtorek. Sławek stwierdził, że oni (tzn. piłsudczycy) w żadnym razie władzy nie oddadzą i rządy sprawować będą. Chodziło mu więc o ustalenie podstaw dalszych rozmów. Nie było to dla mnie nic nowego. Natomiast ciekawe było oświadczenie Sławka w kwestii żydowskiej, z którego wynikałoby, że w łonie sanacji dojrzewa jej zrozumienie i że namyśla się ona nad jej rozwiązaniem. Sławek oświadczył Zygmuntowi, że mnie tego wszystkiego osobiście powiedzieć nie może, ale że upoważnia Zygmunta do powtórzenia mi jego słów.

Otóż można by pomyśleć, że w ten sposób Sławek nie chce się wobec mnie wiązać. Jednak mimo rozważenia tej możliwości wydaje mi się, że nie jest on mimo wszystko nieszczery.

W sobotę 14-go pojechałem rychło rano do Warszawy i prosto z dworca udałem się na ulicę Chopina 1 do Sławka, który zaraz

mnie przyjął i z którym rozmawiałem dwie gdziny. Wyłożył mi dalsze zasady projektu konstytucji. Ze swojej strony zastrzegłem się, żeby nie myślano, że rozmowy z naszą grupą to jest to samo, co jakieś targi albo żeby nas nie uważano za narzędzie do rozbijania Obozu Narodowego. — Panowie — mówiłem — rozbijaliście rozmaite stronnictwa. Ludzie ci jednak nie mieli sztandaru. A my mamy sztandar, którego nie zamierzamy porzucić. Rozmów moich — mówiłem — nie uważam też za handel, tylko traktuję je jako początek procesu historycznego. To może jakiś czas trwać, mogą się jeszcze wyłonić rozmaite trudności. Z obu stron należy jednak ten rozwój pielęgnować i nie zamazać go. W tym związku poruszyłem też politykę rządu, która utrudnia go w niewypowiedziany sposób.

Po prostu boicie się — przerwał mi w pewnej chwili Sławek — żebyśmy was nie traktowali jak M...czów. Otóż powiem Panu tyle tylko, że aczkolwiek M...cz starał się usilnie o rozmowę ze mną, nigdy z nim osobiście nie rozmawiałem.

W końcu Sławek oświadczył, że mówi mi to na razie prywatnie, a nie oficjalnie, ale że w kwestii żydowskiej również dojdziemy do zgody.

Wróciłem do Poznania, gdzie relacje moje nasze ścisłe kółko przyjęło z uznaniem. Natomiast trudności wyłoniły się wśród młodzieży, polegające jak się okazało na oddziaływaniu pobytu Jana Bogdanowicza, a zwłaszcza też na dwuznacznej roli osoby, która nas dotychczas bardzo popierała. Osobiście zaprosiłem sobie jednego z przywódców Młodzieży Wszechpolskiej i przekonałem go zupełnie. Przestraszony jest Wyrzykowski, któremu powiedziałem parę słów prawdy. Zaprosiłem na śniadanie Zygmuntów Wojciechowskich. Zygmunt W. zadeklarował zupełną solidarność. Rozmawiałem też z ks. prałatem Prądzyńskim, który jest trochę przerażony. (...)



W Berlinie zastałem rozmaite zaproszenia. Miałem dość ciekawą rozmowę z dr. Remerem, posłem hitlerowskim i szefem Związku Prawników w Westfalii, a przyjacielem ministra Kerrla. Tłumaczyłem mu stanowisko polskie w sprawie Pomorza. Ciekawe, że z ich strony ciągle wysuwa się propozycje, ażebyśmy z naszej strony poszli na wschód. Stwierdziłem, posługując się ich językiem, że nie zamierzamy nabierać jeszcze więcej innej rasy do naszego narodu. A wy skolonizowaliście dosyć — powiedziałem. Teraz koniec z tą kolonizacją.

Berlin, 24 października 1933

Attaché prasowy naszego poselstwa, dr Wnorowski, oświadczył mi kilkakrotnie, że nowy nasz poseł w Berlinie, Józef Lipski, chciałby się ze mną zobaczyć. Wobec tego byłem wczoraj u niego. Rozmawialiśmy o sprawach niemieckich jakieś 45 minut.

Dzisiaj zwiedziłem fabrykę chemiczną Schering-Kahlbaum. Dyrekcji chodziło o to, żeby zaprzeczyć wiadomościom, że fabrykuje się tam trujące gazy wojenne.

Jest rzeczą jasną, że gdy już zaproszono nas na zwiedzanie, na pewno nic zobaczyć nie będzie możliwe.

Co do mnie, mogłem tylko stwierdzić, że są to ogromne zakłady — i że nawet obecnie wcale takich gazów zakłady te na zapas wytwarzać nie potrzebują. Urządzenia są tego rodzaju, że gdyby zaszła potrzeba, mogłyby rozpocząć produkcję natychmiast. Fabrykowano w naszej obecności *Bromessigsaures Methyl* — to znaczy gaz łzawiący i drażniący, stwierdzając, że jest to konieczna domieszka do cyklonu (kwas pruski[4], pochłonięty przez ziemię okrzemkową), używanego do dezynfekcji okrętów itd. Domieszka ta jest, jak mówiono, konieczna, ażeby przestrzec przed obecnością kwasu pruskiego.

Osobiście interesowały mnie ogromnie laboratoria i doświadczenia z hormonami. Interesujący był typ głównego chemika, dr. Scheffera, bardzo eleganckiego, szczupłego Niemca o subtelnej twarzy.

Zaciekawiło mnie bardzo poznanie członka dyrekcji Gregora Strassera[5], znanego hitlerowca, który w okresie rządów generała Schleichera był za udziałem w jego rządzie i na tym tle, poróżniwszy się z Hitlerem, ustąpił ze stanowiska kierownika organizacji partii.

Wspomniał o tym w swoim przemówieniu, twierdząc, że były to „czysto rzeczowe różnice" *(rein sachliche Differenzen)* i że ponieważ mają oni „twarde głowy" *(harte Köpfe),* więc podał się do dymisji.

Ponieważ wszystko robi stuprocentowo, postanowił pozostać

---

4. Jak wiadomo, kwas pruski używany był później w czasie drugiej wojny światowej przez hitlerowców do gazowania na śmierć więźniów w obozach koncentracyjnych.

5. Gregor Strasser został zamordowany w roku 1934 z okazji sprawy Röhma.

tylko zwykłym członkiem partii (w klapie marynarki miał odznakę partyjną), a przeszedł do przemysłu „z zainteresowania, ażeby wypróbować praktycznie teorie" (*Theorien praktisch zu ergründen*). Jako aprobowany aptekarz, był przed wojną jakiś czas asystentem przy uniwersytecie w Erlangen, zamierzając wtedy przejść do przemysłu. Gdy więc tak się złożyło...

Zaręczał, że partia nie wiedziała naprzód o tym, że wejdzie do koncernu Schering-Kahlbaum.

Prowadzi on w nim referat socjalno-polityczny, wydział medyczno-naukowy (tak się nazywa wydział reklamy i propagandy) oraz sprawy związkowe (*Verbandswesen*), to znaczy zastępstwo koncernu w narodowo-socjalistycznych związkach zawodowych.

Stoi on również na czele *Reichsfachschaft der pharmazeutischen Industrie.*

Z Hitlerem, jak powiada, od grudnia się nie widział.

W toku rozmowy wspominano też kilkakrotnie proces van der Lubbego w sprawie spalenia Reichstagu. W związku z tym Strasser oświadczył, że najlepszą taktyką jest *w ogóle nic nie mówić.* Cokolwiek się bowiem powie, zgrabny sędzia śledczy od razu coś z tego wywnioskuje i oskarżonego zaplącze. Strasser opowiadał z własnego doświadczenia i przytaczał szczegóły, jak jego przesłuchiwano podczas licznych aresztowań. Było to oczywiście w czasach przedhitlerowskich. Kiedyś kazano mu 8 godzin bez przerwy stać — sędzia śledczy w tym czasie się zmieniał. Kiedyś znowu palono przez całą noc światło w jego celi, a obok niego siedział bez przerwy Schupo. W ten sposób chciano go złamać.

Gdy przechodziliśmy do innego pokoju, zagadnąłem Strassera, czy wróci do polityki. Cóż można wiedzieć — odpowiedział — oczywiście gdy ojczyzna zawoła, każdy patriota stawi się do dyspozycji. Jak widać, liczy się on z powrotem do polityki w sprzyjającej chwili.

Odwiózł mnie samochodem szef prasowy koncernu Wienkötter. Pytałem go o budowę koncernu. Otóż większość akcji jest własnością śląskich *Kokswerke,* w których główną osobą jest westfalczyk, niejaki Brekamayer, mający około 20 % akcji. Jest on poza tym mężem zaufania Hardy-Bank, który posiada główną część akcji. W tym banku grają dużą rolę Żydzi Guttman i Friedländer z Dresdner Bank. Jak się więc okazuje, przedsiębiorstwa te znajdują się w istocie w ręku Żydów, którzy dzisiaj wycofali się z widowni, ale na razie jeszcze są. Liczyć się jednak należy z tym, że akcja bankowa dzisiejszego rządu Rzeszy ten stan rzeczy

powoli zmieni i tutaj chyba Gregor Strasser będzie miał duże pole do działania.

Berlin, 6 listopada 1933

26 października Związek Prasy Zagranicznej wydał w „Adlonie" śniadanie dla ministra Goebbelsa. Siedziałem jako członek zarządu Związku prawie naprzeciwko Goebbelsa i zacząłem z nim rozmawiać o pewnych stronach hitleryzmu, między innymi o prymitywizmie jego ideologii. Przemawiał korespondent *Times'*a Ebbutt (jako prezes Związku), wskazując na trudności, z jakimi walczy w Niemczech prasa zagraniczna i stwierdzając, że rząd musi zrozumieć, że dziennikarz zagraniczny pracować może tylko dla własnego kraju. Goebbels odpowiedział, że to rozumie. Gdy jednak w pewnej chwili żartobliwie mówił, że rząd nie ma już opozycji we własnym kraju, więc wobec tego cieszy się, że może walczyć z opozycją prasy zagranicznej, przerwałem mu, stwierdzając, że opozycja w kraju została obalona, ale opozycja prasy zagranicznej obalona być nie może.

Nastała chwila ciszy po tym sprzecznym z dyplomatycznymi przepisami incydencie. Po chwili jednak Goebbels podjął te słowa oświadczając, że rząd niemiecki nie ma zamiaru tego czynić i że pozostawia rządom poszczególnych krajów wydawanie zarządzeń przeciwko reprezentującym je dziennikarzom.

Spytałem siedzącego obok mnie szefa propagandy partii, Jahnkego, czy może po moim wystąpieniu ja z kolei będę musiał wyjechać z Niemiec. Zaraz się o tym przekonamy — odpowiedział Jahnke. I zabierając leżące przede mną menu śniadania, podsunął je Goebbelsowi z prośbą, żeby się na nim podpisał. Goebbels zawahał się, ale po chwili ujął podsunięty mu ołówek i napisał swoje nazwisko. Funk odebrał podpisane menu, podpisał się pod nim również i oddał mi je ze słowami: nie zostanie Pan wydalony.

Gdy wstaliśmy od stołu, Ebbutt ściskając mi serdecznie ręce, gorąco mi dziękował za moje wystąpienie. Ja, jako główny gospodarz — oświadczył — nie mogłem tego zrobić. Ale bardzo dobrze się stało, że Pan jako współgospodarz to zrobił.

Rozmawiałem potem dość długo z szefem wydziału prasowego w Ministerstwie Propagandy, Jahnkem, o monarchizmie w Niemczech, wspominając jak się na tę kwestię zapatruję (pisałem o tym artykuł) i pytając, czy takie zapatrywania są zgodne z rzeczywistością. Żywo stwierdził, że możliwości dla monarchizmu istnieją. Wspominał potem o stosunkach z Polską i o koniecz-

ności porozumienia się w sprawie „korytarza", którego to tematu oczywiście nie podjąłem.

W następującą sobotę byłem na herbacie u Ebbutta, gdzie było dość dużo Anglików, Francuzów itd. Był też hitlerowiec von der Marwitz, którego atakowano silnie w sprawie angielskiego dziennikarza Pantera, aresztowanego w Monachium. Rozmawiałem na tej herbacie z korespondentem *New York Times*'a z Moskwy, który był przejazdem w Berlinie, goniąc Litwinowa jadącego do Waszyngtonu. Pytałem go, jak się zapatruje na szczerość Moskwy w stosunku do Polski. Oświadczył mi, że stosunki rosyjsko-polskie są obecnie najlepsze i że ze strony rosyjskiej jest naprawdę dobra wola. Von der Marwitz — zbliżony do Goebbelsa — mówił mi, że Goebbels zapewne zostanie prędzej lub później ministrem Spraw Zagranicznych.

A co na to Rosenberg? — spytałem.

Ach, wódz *(der Führer)* nie ma żadnych złudzeń co do zdolności Rosenberga. (...)

Berlin, 11 listopada 1933

Po południu był u mnie dr Wnorowski — który przechodzi do naszej ambasady w Rzymie — ze swoim następcą dr. Kirkienem. Siedzieli godzinę, rozmawiając najserdeczniej. Obydwaj prosili, żebym to zaufanie, które miałem do dr. Wnorowskiego, przelał również na jego następcę. Dr Kirkien poprosił mnie, czy nie mógłbym postarać się o bilety wstępu na zebranie przedwyborcze, na którym przemawiać miał Goebbels. Uczyniłem to i poszliśmy razem, po czym udaliśmy się na kolację do znanej restauracji Schlichtera.

Nawiasem mówiąc, na zebraniu tym w rzędzie za nami usiadła jakaś kobieta, która najwyraźniej została wysłana dla wywiadu partyjnego. Zauważyłem, że słucha bardzo pilnie każdego naszego słowa. (...)

W czwartek otrzymałem zaproszenie do naszego *attaché militaire,* majora Antoniego Szymańskiego i jego żony na obiad wydany dla ambasadora Lipskiego. Było kilkanaście osób, z prasy tylko Dembiński z PAT-a i ja, pozostali tylko członkowie poselstwa, konsul generalny Gawroński z żoną i dr Kalinowski.

Przyjęcie było wspaniałe, doskonale się bawiłem, tym bardziej, że wszyscy byli dla mnie — a zwłaszcza ambasador Lipski — ostentacyjnie uprzejmi.

7 listopada było wielkie przyjęcie w ambasadzie rosyjskiej, które wydał ambasador rosyjski Chinczuk z powodu szesnastej rocznicy powstania Republik Sowieckich. Widziałem tam wielu ludzi. Jeden z kolegów japońskich przedstawił mnie ambasadorowi japońskiemu, z którym dłuższą chwilę rozmawiałem.

Rzecz zabawna, że w dwadzieścia minut po otworzeniu sal z bufetem nie było już ani jednej kanapki z kawiorem.

Był u mnie z wizytą Kazimierz Smogorzewski, który obejmuje stanowisko korespondenta *Gazety Polskiej* w Berlinie, a potem ja byłem u nich. Poszliśmy razem do kina i na kolację.

Smogorzewski opowiadał mi między innymi, że był bezpośrednio przed zamachem majowym na śniadaniu z Dmowskim w Paryżu. Dmowski powiedział do niego: Wszyscy w Polsce się zgrali, zgrał się Witos, zgrał się Sikorski, Piłsudski już jest trupem politycznym. Niech Pan powie, kto został w Polsce, no, kto?

Oczywiście odrzekłem: Pan Prezes — opowiadał Smogorzewski.

Kilka dni później Piłsudski zrobił zamach. Jak ten Dmowski się w niczym i przede wszystkim, jeżeli chodzi o ludzi, w nikim nie rozeznawał, i jak dobrze za to rozeznawał się Piłsudski. A poza tym jakże mało ujmujące było to wyczekiwanie na „zgranie się" wszystkich, aż on sam zostanie. Cóż to za metoda? Jemu się wydawało, że wszyscy są durnie. A poza tym przy tym wszystkim zgrywała się jeszcze Polska, o czym najwidoczniej nie myślał.

Rozumiem teraz, czemu Dmowski, gdy był ministrem w rządzie Witosa i gdy nastąpiło przesilenie, a Witos go wzywał do Warszawy, nie ruszył się z Chludowa. Dmowski, mówiąc o tym, opowiada, że mu się właśnie krowa ocieliła i wobec tego nie mógł jechać. Witos widocznie miał się zgrać. Witos runął, ale w wyniku również Dmowski się skończył. Wolę nie pisać co o tym myślę. (...)

W Warszawie rozmawiałem dwukrotnie z Jankiem Mosdorfem. Przy części rozmowy był też Aleksander Heinrich. Oni nie bardzo rozumieją istoty i mechaniki wypadków politycznych w Polsce. (...) Mosdorfowi powiedziałem o Sławku. Przyjął to z dużym spokojem. Przedtem opowiedział mi, że Sławek przez pośrednika dał mu do zrozumienia, że chciałby z nimi, tj. z Mosdorfem i jego grupą porozmawiać. Ale oni na tę rozmowę nie poszli. (...)

Wróciłem do Berlina w środę 22 listopada. 25-go był bal prasy zagranicznej w „Adlonie", który się bardzo udał. Przy moim stole siedziało nasze poselstwo z Lipskim na czele. Pod-

szedł do mnie von Saucken, który zaproponował mi wywiad z Hitlerem albo z Goebbelsem. Powiedziałem o tym Lipskiemu, który się jednak tego trochę obawia. Wobec tego postanowiłem nie skorzystać z tej oferty. Siedziałem na balu do 4.30 rano. (...)

Berlin, 3 grudnia 1933

W poniedziałek 27 listopada byłem razem z Boehlkem w tzw. „Klubie polskim", do którego należą co prawda prawie wyłącznie polscy Żydzi. Był tam też konsul polski z Hamburga, Kipa, znany z przynależenia do masonerii. Zbliżył się do mnie i zabawiał mnie opowiadaniem o swoich zbiorach i książkach tyczących wolnomularstwa. Kupił tu w Berlinie u Jolowicza (który kiedyś miał księgarnię w Poznaniu) książkę z tej dziedziny za bardzo tanie pieniądze.

W piątek — 1 grudnia — był u mnie warszawski korespondent hitlerowskiej gazety gdańskiej, *Danziger Vorposten,* który prosił mnie o polecenia do polskich polityków z Obozu Narodowego, żeby go przyjęli i z nim porozmawiali. Jest to młody człowiek i robi inteligentne wrażenie. Interesował się rozmaitymi zagadnieniami polskiego nacjonalizmu. Podkreślał słabe jego zdaniem strony tego nacjonalizmu, a mianowicie brak elektryzującego nowoczesnego hasła dla mas. Nazywa się Karl Hans Fuchs i jest doktorem filozofii. Oczywiście mimo nazwiska jest aryjczykiem czystej krwi, bo nie mógłby przecież należeć w przeciwnym razie do partii. (...)

Berlin, 18 grudnia 1933

Wszystkie przyjęcia „sportowe" były wstępem do meczu piłki nożnej Polska-Niemcy, który się odbył 2 grudnia 1933. Prasa niemiecka rozpisała się o tym niesłychanie szeroko. Na przyjęciu u Lipskiego w dniu 30 listopada byli też oczywiście przedstawiciele polskiego świata sportowego z generałem Bończa-Ozdowskim oraz kapitanem drużyny polskiej Kałużą na czele. No i oczywiście wszyscy członkowie poselstwa i konsulatu polskiego. (...) Na meczu pojawili się jako widzowie nie tylko Lipski, ale również Goebbels. Widać, że przygotowuje się pewna zmiana stosunków polsko-niemieckich i to nie od dzisiaj.

Dnia 27 listopada miałem zresztą dłuższą rozmowę z posłem

Lipskim na temat polskiej polityki rządowej w stosunku do Niemiec. Po rozmowie tej napisałem uzgodniony z Lipskim list do Kozickiego (kopia do Sęydy), który oddaje treść rozmowy. Listy poszły przez kuriera dyplomatycznego, bo nie można ich było narazić na granicy na niemiecką cenzurę. (...)

Kopię listu do Kozickiego z dnia 27 listopada 1933 zachowałem w całości. A oto jego treść:

„Szanowny Panie Senatorze,

Korzystam z tego, że ktoś zupełnie pewny jedzie do Polski, ażeby przesłać trochę informacji bez obawy o to, że gdzieś władze niemieckie list zrewidują i przeczytają.

Chodzi o rozmowy polsko-niemieckie, które taką sensację wywołały. Mam co do nich informacje z zupełnie pewnego i najlepiej zorientowanego źródła. Mam wrażenie, że u nas panuje pewien niepokój, czy aby z polskiej strony nie wdano się w rozmowy rewizyjne. Obawa ta jest zupełnie nieuzasadniona. Otóż właśnie na to się po polskiej stronie kładzie największy nacisk, że o tych sprawach w ogóle nie mówiono, a że pomimo to nastąpiło odprężenie, co się właśnie, zważywszy dotychczasowe stanowisko Niemiec, uważa za postęp. Usiłowano wprawdzie z niemieckiej strony wprowadzić do komunikatu o rozmowie, że rokować się będzie o 'wszystkich' sprawach, jednak właśnie dlatego, że to mogłoby być fałszywie tłumaczone, strona polska odrzuciła to słowo, tak że komunikat poszedł bez tego dwuznacznego określenia. Strona polska uważa fakt odprężenia, przy zmuszeniu Niemiec do pominięcia aluzji o rewizji granic, za wzmocnienie stanowiska nieugiętego Polski w tej sprawie, wzmocnienie również wobec zagranicy. Rozumuje się tak: ponieważ nawet w naszym stosunku do Francji zawsze sprawa 'korytarza' uważana była przez Francuzów JAKO COŚ, CO IM JEST NIEMIŁE I STANOWI OBCIĄŻENIE SOJUSZU DLA FRANCJI, BĘDĄC ŹRÓDŁEM KONFLIKTU, więc doprowadzenie z Niemcami do odprężenia z tym, że sprawa 'korytarza' uważana jest za nieistniejącą, wzmacnia również naszą wartość dla Francji, co się musi okazać prędzej lub później w skutkach. O dążeniu do osłabienia sojuszu z Francją nie może być nawet mowy.

Jednak właśnie dla powyższych powodów powracanie w Polsce ze zbytnim niepokojem do sprawy granic, w związku z tymi rozmowami, nie jest wskazane. Z polskiej strony wymagano, żeby nawet prasa niemiecka nie poważyła się przy komentarzach tej sprawy wysuwać i trzeba przyznać, że prasa ta — znam komentarze całej wielkiej prasy niemieckiej — się do tego zastosowała. Rzecz inna, że rozmaici Niemcy są wściekli, a zwłaszcza Hugenbergowcy, uważając, że Niemcy dały do zrozumienia, że sprawy 'korytarza' nie wysuwają, co uważają za błąd nawet w tym wypadku, gdyby to było taktyką.

Osobiście byłem bardzo zmartwiony, że w artykule 'Podszewka' zmieniono mi właśnie ten ustęp, który stwierdzał, że żadnych rozmów o rewizji nie było, i że w ogóle do artykułu wprowadzono w związku z tymi rozmowami zwrot 'rewizja granic'.

Trzeba wreszcie stanąć na stanowisku, że w ogóle nie ma kwestii rewizji granic i że gdy po raz pierwszy Niemcy jej nie wysuwają, to i my jej nie wysuwajmy. Rzecz inna ostrzeganie przed polityką niemiecką i wskazywanie na jej niebezpieczeństwa, co właśnie ta korespondencja robiła.

Puszczono do prasy rozmaite mylne informacje, między innymi telegram *Kuriera Warszawskiego*, gdzie była mowa — ku rozpaczy tutejszych czynników polskich — o rokowaniach o 'wszystkich' sprawach, podczas gdy właśnie strona polska to słowo 'wszystkich' kategorycznie jako dwuznaczne odrzuciła i usunęła.

Rozważałem sobie długo *pro* i *contra* tej polityki. Jest ona oczywiście trudna i można tu robić błędy, jednak uważam, że właśnie z punktu widzenia granic ma ona swoje uzasadnienie, a w każdym razie, osądzając ją, trzeba wiedzieć, że ze strony polskiej robiona jest właśnie z celem odsunięcia tej kwestii z widowni politycznej w cień. Oczywiście nikt się nie łudzi, co tu są za trudności i nie przecenia efektu. Jednak nie ma najmniejszych powodów do podejrzewania kierunku woli odpowiedzialnych czynników polskich, a także ich decyzji skończenia z normalizacją, gdyby Niemcy chciały gdziekolwiek wysunąć kwestie granic. Czynnikom polskim chodzi też o to, żeby — nawet gdyby to było chwilowe — przez odciążenie nas z naprężenia konfliktów, dać polskiej polityce zagranicznej na wszystkie strony większą swobodę i siłę. Po załatwieniu sprawy z Rosją pewne złagodzenie stosunku do Niemiec robi z nas sprzymierzeńca bardziej pożądanego dla Francji, która się przecież ciągle boi, i umożliwić ma nam w efekcie nawet większe zbliżenie. Tutejsze czynniki francuskie zresztą są na ten temat dobrze zorientowane.

List powyższy prosiłbym traktować z zupełną dyskrecją i poinformować o nim najwyżej Olszewskiego i Berezowskiego w *Gazecie*. Nie może też z niego nic przedostać się do prasy, jak się samo przez się rozumie.

Dłoń serdecznie ściskam i wyrazy prawdziwego poważania załączam,

(—) *Jerzy DROBNIK*".



Dnia 6 grudnia, w środę, zaprosiłem do siebie na kolację ściślejszy zarząd Związku Prasy Zagranicznej oraz nowego *attaché* prasowego naszego poselstwa, dr. Leszka Kirkiena. Oprócz tego radcę handlowego Rawita-Gawrońskiego oraz Kazimierza Trębickiego. (...)

Francuzi, a zwłaszcza Süss, a także Journiac, którzy właśnie wrócili z Paryża, przywieźli stamtąd tatarskie wieści, jakoby Polska wchodziła w porozumienie z Niemcami za cenę Pomorza, a w zamian miała dostać Litwę. Poprosiłem Trębickiego i Kirkiena jako przedstawicieli naszego poselstwa, żeby ich uspokoili. Przyjęcie bardzo się udało i wszyscy długo siedzieli.

W dzień po tej kolacji, to znaczy w czwartek, byłem w hotelu „Adlon" na przyjęciu urządzonym przez *Aussenpolitisches Amt NSDAP* (Wydział zagraniczny NSDAP). Zapraszał *Reichsleiter* Alfred Rosenberg, a przemawiał minister Rzeszy i jednocześnie szef sztabu SA, Ernst Röhm, na temat: „Zadania SA" *(Die Aufgaben der SA).*

Przemówienie było dość prostolinijne. Rozmawiałem z nim potem trochę. Twarz całą — a także nos — ma w bliznach, zdaje się jeszcze z wojny. Nie jest to chyba dyplomata zbyt wielki, widać to było z jego odpowiedzi. Ale jako organizator jest niezwykły. Przebija zresztą z niego zadowolenie i duma z tego, czego dokonał. Gdy objąłem SA — powiedział do mnie z tą trochę właśnie naiwną dumą — liczyła ona 80 tysięcy ludzi. A teraz liczy 2 i pół miliona.

Gdy kończył swoje przemówienie, pochyliłem się do siedzącego obok mnie przedstawiciela ambasady angielskiej, którego nazwiska sobie w tej chwili nie przypominam, i powiedziałem do niego, że przemówienie to, którego celem było uspokojenie zagranicy w sprawie roli SA, osiągnie raczej przeciwny skutek i że Röhm dyplomatą na pewno nie jest. A na to Anglik: Panie, gdyby Niemcy oprócz wszystkich zalet byli jeszcze dobrymi dyplomatami, to gdzie byśmy dzisiaj byli!

Nawiasem mówiąc, jeżeli chodzi o Röhma, miałem w ręku odpisy jego listów, które pisał jeszcze w okresie swojego pobytu w Południowej Ameryce, do któregoś ze swoich przyjaciół. Jakim sposobem te listy zostały przepisane, tego nie wiem. Ale nieraz mi się zdarzało, że otrzymywałem, oczywiście od przeciwników partii, tajnie kolportowane dokumenty. Otóż w listach tych Röhm skarżył się gorzko, że tak bardzo przystojni tamtejsi młodzi oficerowie zupełnie nie mają zrozumienia dla jego erotycznych zapałów.



Z Pragi otrzymuję rozmaite wydawnictwa socjalistów niemieckich, którzy, nie mogąc pozostać w Niemczech z powodu panującej w nich dyktatury hitlerowskiej, wydają tam rozmaite pisma, oczywiście tajne. Niektóre, jak np. *Sopade-Informationen,* tzn.

informacje socjalistycznej partii niemieckiej, wydawane przez jej zarząd z siedzibą w Pradze, na powielaczu, otrzymuję w otwartych zupełnie kopertach jako druki, nie przeglądane widocznie przez cenzurę. Nieraz są bardzo ciekawe. Z niektórych dowiaduję się o straszliwych stosunkach panujących w obozach koncentracyjnych. Te rzeczy w samych Niemczech nie są zbyt znane. Otrzymałem też drukowany miniaturowymi literkami egzemplarz tygodniowo się ukazującego pisma socjalistycznego *Neuer Vorwärts*. Ukazuje się w ilości, jak pisze, 500.000 egzemplarzy i rozdzielane jest pomiędzy ludność. Czy jest rzeczywiście tak wiele egzemplarzy i czy przede wszystkim rzeczywiście można je rozdzielać przy panującym terrorze i nadzorze, to sprawa inna. Mnie osobiście wrzuca to ktoś do skrzynki w zamkniętej kopercie. Przypuszczalnie adres mój podał w tym celu mój znajomy, redaktor naczelny dawnego *Vorwärts*'u, Fryderyk Stampfer, który też musiał ujść z Niemiec. Na ulotce z 12 listopada w sprawie wyborów, nawołującej do głosowania „nie", oczywiście również tajnie rozrzucanej, widnieją takie pierwsze słowa: „Jeżeli jesteś narodowym socjalistą, to widzisz, że nie umarliśmy".

W jednym z numerów *Neuer Vorwärts* znajduję opis rozmowy nie wymienionego po nazwisku „znanego socjalistycznego dziennikarza" z dawniejszym prezesem niemiecko-narodowej frakcji Reichstagu, posłem dr. Oberfohrenem. W rozmowie tej Oberfohren stwierdza, że Reichstag bez wątpienia podpalili hitlerowcy i niesłychanie pesymistycznie wyraża się o przyszłym rozwoju stosunków w Niemczech. „Łajdactwo panuje i szaleć będzie w niesłychany sposób aż do załamania się. A to może długo potrwać".

„Niemcy mają ministrów, a ci ministrowie tolerują, że podpala się parlament. A nawet cieszą się z tego".

Powiada, że błagał Hugenberga, żeby nie współpracował z narodowymi socjalistami, ale ten wyobraża sobie, że będzie mógł ich wychować.

Te ostatnie słowa są niezwykle charakterystyczne dla złudzeń, jakie są bardzo rozpowszechnione w Niemczech. Wielu z tych, którzy się zdecydowali na współpracę z hitlerowcami, wydawało się, że ich „wychowają".

Numer *Sopade-Informationen,* który tu przytaczam, datowany jest z Pragi z 24 października 1933.



12 grudnia byłem na otwarciu Reichstagu w Kroll-Oper. Spotkałem tam Dembińskiego, z którym poszedłem do PAT-a.

Z Dembińskim widziałem się zresztą dzień przedtem przed południem na wykładzie ministra gospodarki Schmidta z Reichswirtschaftsrat (Rada Gospodarki Rzeszy).

Dembiński wspominał, że skazańcy brzescy mają być podobno ułaskawieni po uchwaleniu konstytucji. Rozmawialiśmy w ogóle o opozycji. Sfery rządzące są zdania — mówił — że opozycja sama się zje i że wobec tego nie warto nawet jej rozbijać i rozłamywać jakimś większym kosztem.

Rzecz co prawda inna, że rządzący robią wiele rzeczy obrzydliwych i to właśnie ludziom przyzwoitym. Robią je może nie sami przywódcy, ale ostatecznie oni za to też odpowiadają. (...)

Berlin, 14 stycznia 1934, niedziela

(...)

Napisałem dzisiaj list do Kozickiego, w którym wspomniałem, że czytałem książkę Dmowskiego. Szkoda, że on tak dobrze pisze, a nie umie czy też nie chce dobrać sobie ludzi. Wielu z nich — pisałem — to zabytki chyba z okresu trzeciorzędowego. W tych warunkach Narodowa Demokracja musiała przegrać. Najgorsze to to — pisałem — że się ciągle jednych przeciwko drugim we własnym obozie wygrywa. Dojdzie wreszcie do tego, że wkrótce zacznie się wygrywać niemowlęta przeciwko gimnazjalistom. Cieszę się, że siedzę za granicą i na to wszystko z bliska patrzeć nie potrzebuję.

Powyższe kilka zdań to tylko w największym skrócie kilka uwag z mego listu. Ale do Kozickiego, który jest człowiekiem wybitnie inteligentnym, można szczerze pisać. Bo on w istocie wszystko rozumie.

Berlin, 27 stycznia 1934

W poniedziałek dnia 15-go bm. telefonowała Iza z polecenia swego brata Zygmunta Rakowicza, żebym koniecznie w środę 17-go był w Warszawie. Bardzo mi to nie na rękę, ale po drugim telefonie zdecydowałem się pojechać. Sławek chciał się ze mną koniecznie zobaczyć. Rozmawialiśmy godzinę — chciał zdeklarowania się w sprawie konstytucji. Wskazałem na to, że dla nas to przyśpieszanie jest ogromnie nie na rękę. Przyznawał, że to jest konflikt w czasie. Ostatecznie pojechałem do Krynicy, gdzie był Ryszard i Janek Zdzitowiecki. Przedtem jeszcze widziałem się z Kozickim, któremu powiedziałem, że widziałem się ze Sław-

kiem, którego namawiałem, żeby klub Stronnictwa Narodowego przyznał posłom wolność głosowania. Nie bardzo na to szedł, chociaż przyznawał, że porozumienie się z obozem rządowym jest konieczne. (...)

Te plany sprecyzował wyraźnie wobec mnie Mincer, który zaprosił mnie do siebie na śniadanie i wyrażając zupełną zgodę na moją politykę, zaproponował, czy bym w danym razie nie objął redakcji naczelnej *Gazety Warszawskiej*, ewentualnie połączonej z *ABC*.

Oświadczyłem, że tak, ale warunkiem byłaby właśnie zmiana polityki, na co on się zgodził.

Rozmawialiśmy długo. Ciekawym, co z tego będzie. Istnieje bowiem plan zrobienia Mincera szefem całej prasy Obozu Narodowego.

Rozmawiałem też z Mosdorfem. To jeszcze człowiek niewyrobiony, ale zdolny.

W Krynicy byłem dwa dni. Ustaliliśmy taktykę, a mianowicie, że Ryszard P. przed głosowaniem oświadczy Seydzie, Kozickiemu, Bartoszewiczowi i Rybarskiemu, że głosowanie przeciwko konstytucji nie godzi się z jego i z naszymi zapatrywaniami i powie, że w rozmowach Sławek wyciąga rękę do zgody i że wobec tego domagamy się wolności głosowania.

Ryszard miał jeszcze w tej sprawie rozmówić się ze Zdzichem Stahlem i Zbiniem Dembińskim.

Wróciwszy z Krynicy, w rozmowie ze Sławkiem raz jeszcze mu wyłożyłem, że to nie jest dla nas chwila odpowiednia, ale że ostatecznie jesteśmy gotowi to zrobić i nasze rozmowy ujawnić. Zapowiedziałem mu wizytę Ryszarda P. na 4 lutego.

Na obiedzie niespodziewanie spotkałem się z Kozickim, któremu powiedziałem wprost, że wracam od Sławka. Ku mojemu zdziwieniu oświadczył w ciągu rozmowy, że bardzo się cieszy, że do tych rozmów doszło. Podczas gdy w poprzedniej rozmowie w sprawie konstytucji był jeszcze dość oporny i zgłaszał *désintéressement*, tym razem przyznał, że moje informacje są trafne i na moje żądanie, żeby Klub przyznał członkom wolność głosowania, już nic nie powiedział.



Wczoraj wieczorem nastąpiło ogłoszenie paktu o nieagresji między Niemcami i Polską. Otrzymałem tekst paktu z poselstwa polskiego. Sporządzono go w dwóch egzemplarzach, w języku polskim i niemieckim. Za rząd polski podpisał Józef Lipski, za rząd niemiecki Freiherr von Neurath. Data 26 stycznia 1934.

Byliśmy, to znaczy polscy korespondenci, u Lipskiego, który zatrzymał potem Smogorzewskiego i mnie, rozmawiając z nami szczerzej. Dzisiaj przed południem było zebranie Związku Prasy Zagranicznej. Wybrano mnie ponownie do zarządu. (...)

W sprawie paktu wysłałem pod datą 26 stycznia telegram do *Gazety Warszawskiej*, w którym doniosłem o nieogłoszonych jeszcze komentarzach *Völkischer Beobachter* i *Berliner Tageblatt*. Otrzymałem je, zatelefonowawszy do redakcji tych pism, gdy były jeszcze w zecerni. W ten sposób *Gazeta Warszawska* miała pierwsza w Polsce te komentarze, jednocześnie z ukazaniem się ich w Berlinie. Ale oto treść wysłanego z Berlina telegramu:

„Wiadomość o podpisaniu deklaracji o niestosowaniu siły w stosunkach polsko-niemieckich, która rozeszła się późnym wieczorem po Berlinie, zrobiła zarówno w kołach niemieckich jak też w kołach prasy zagranicznej bardzo duże wrażenie.

Prasa niemiecka poświęci jutro temu paktowi obszerne komentarze, z których zasługuje na specjalne podkreślenie komentarz *Völkischer Beobachter*. Pismo stwierdza, że pakt jest dalszym ciągiem polityki pokoju, który Hitler rozwinął jako program zagraniczny przed narodem niemieckim i przed całym światem. Pismo stwierdza, że pakt usuwa dotychczasowe, nieraz niezwykle napięte stosunki między Polską i Niemcami i pisze dosłownie: 'Narodowo-socjalistyczne Niemcy wyrwały się jasną decyzją z zatrutej atmosfery międzynarodowej dyplomacji'. Dalej czytamy: 'Nowa polityka europejska osiągnęła w ten sposób pierwsze swoje wielkie zwycięstwo'. *Völkischer Beobachter* kończy swój komentarz następującymi słowy: 'Pokojowe porozumienie posiada doniosłe znaczenie nie tylko dla polsko-niemieckich stosunków, ale powinno być powodem opamiętania dla innych narodów'. Zdaniem pisma narodowo-socjalistyczne Niemcy dały dowód razem z Polską, że potrafią prowadzić praktyczną politykę pokojową. Usunięte zostało, zdaniem pisma, gniazdo niebezpieczeństw, które było powodem niepokojów dla innych narodów.

Berliner Tageblatt nazywa pakt politycznym dokumentem pierwszej wagi. Wykluczony jest apel do broni, ale także apel do międzynarodowych konferencyj. Jest rzeczą charakterystyczną — pisze *Berliner Tageblatt* — że nie ma zupełnie mowy o Lidze Narodów. Metody genewskie straciły kurs, co uwydatnia się również w stylu dokumentu. Podejrzewanie Niemiec, że dążą one do pokoju tylko na czas przejściowy, jest zdaniem pisma odparte[6]".

---

6. Czytając dzisiaj — po drugiej wojnie światowej — te komentarze prasy niemieckiej do polsko-niemieckiego paktu pokojowego, zawartego 26 stycznia 1934, trudno jest obronić się pytaniu, jaką w ogóle posiadają wartość porozumienia, pakty i przyrzeczenia pokojowe i jaka jest ich szczerość po tej stronie, która rzekomo wyrzeka się w nich dalszego prowadzenia do-

Berlin, 29 stycznia 1934

Widziałem się dzisiaj przez chwilę z Lipskim w poselstwie. Bardzo zadowolony z prasy zagranicznej i krajowej. Powiedziałem, że osobiście się cieszę również z tego powodu, że układ doszedł do skutku, bo widzę, że rząd polski jest niezależny od Żydów.

Na to Lipski dodał: i od masonów.

Dostałem dwa listy, jeden od Ryszarda Piestrzyńskiego z Krynicy, a drugi od Zygmunta Wojciechowskiego.

Ryszard pisze (pod datą 26 stycznia 1934), żeby koniecznie na 2 lutego przyjechać do Poznania, ażeby wyrównać pewne różnice zdań i je dość szczegółowo roztrząsa.

Zygmunt Wojciechowski powiada, że „Budda" (tak zawsze nazywa Dmowskiego) „usiłuje nas dyskredytować". I on nalega na mój przyjazd i spotkanie się, podkreślając urządzaną na nas nagonkę.

„Nasza stara endecja — pisze — spowodowała uchwalenie konstytucji w Izbie Posłów. Nie do wiary jest ta głupota taktyczna i stosunek merytoryczny... Mówił dziś Ohanowicz Jedlickiemu[7], że było porozumienie między starą endecją a sanacją, że starzy bojąc się frondy przy głosowaniu, zgodzili się na takie przemycenie konstytucji, jak się to stało. Podobno B.B. miał wątpliwości, czy z nami pójdzie wielu i liczy raczej na dalszy nasz ferment, by w przyszłości doprowadzić do porozumienia całej endecji z pułkownikami... Seyda bada przez Byk... moją prawomyślność".

Przytaczam tylko te urywki. Oba listy mówią dostatecznie wiele.

Zadziwiające jest twierdzenie Ohanowicza, który ma przecież daleko idące stosunki z kołami rządowymi, że znane „przemycenie" w dniu 26 stycznia 1934 uchwały konstytucji w Izbie Posłów nastąpiło w cichym porozumieniu między starą endecją i sanacją. Niesamowita historia! Czy prawdziwa?

---

tychczasowej polityki i dążeń agresywnych i ekspansyjnych. Toż już po 5 latach i 7 miesiącach Hitler złamał pakt zawarty na 10 lat z możliwością automatycznego przedłużania się tegoż i zaatakował Polskę z zamiarem zniszczenia nie tylko państwa, ale również narodu polskiego. Ani tego ataku, ani rozpoczętej w ten sposób wojny światowej i sposobu jej prowadzenia nikt z historii nie wymaże.

7. Obydwaj profesorowie Uniwersytetu Poznańskiego.

Poznań, 23 maja 1934

Dawno nic nie zapisywałem, a tyle rzeczy się zdarzyło. Wkrótce po zawarciu paktu o nieagresji między Polską a Niemcami z dnia 26 stycznia 1934 miałem kilka rozmów z przedstawicielami prasy sowieckiej, którzy byli dosyć zaniepokojeni. Dłużej rozmawiałem z Iwanem Bespałowem, korespodentem TASS-a. Zdołałem go uspokoić i wyjaśnić mu sens i cel układu, a przede wszystkim to, że nie był on w najmniejszej mierze skierowany przeciwko Rosji. Po wizycie Becka w Moskwie wszystko się oczywiście ułożyło. Ale przez jakiś czas niepokój trwał.

W ogóle układ ten w kołach prasy zagranicznej w Berlinie wywołał niesłychaną sensację. Zdenerwowani byli ogromnie Francuzi, którym z trudem trzeba było rozmaite rzeczy tłumaczyć.

Skorzystałem z tej sposobności, ażeby wytknąć im zachowanie się Francji w stosunku do Polski, które musiało u nas wywołać niepokój. Twierdziło się zawsze we Francji, i wy sami — powiedziałem — dawaliście mi to do zrozumienia, że Polska, a zwłaszcza tak zwany „korytarz", przeszkadza ułożeniu się stosunków między Niemcami a Francją, jako że Francja przecież sprzymierzona jest z Polską. Otóż teraz widzicie, że to nie Polska i nie tak zwany „korytarz" zakłóca wasze stosunki z Niemcami.

(...)

27 marca wieczorem byłem na przyjęciu u Lipskiego. Byli Goebbels, Funk, członkowie poselstwa i rozmaici jeszcze Niemcy, między nimi też Hanfstaengl. Był też Kiepura i znana aktorka filmowa, Marta Eggerth. Z poselstwa pojechaliśmy o godz. 22.30 wszyscy na film Kiepury, wyświetlany na cel „Pomocy Zimowej" (*Winterhilfe*). Na przedstawienie przybył Hitler. Kiepura po przedstawieniu filmu śpiewał. Jedną arię z filmu zaśpiewał po polsku. Oklaski. Cóż to za niezwykły widok!!!

W poselstwie siedziałem razem z Kiepurą, Goebbelsem, Hanfstaenglem, Lubomirskim. Kiepura i Goebbels z ożywieniem rozmawiali, podobnie jak Hanfstaengl, o śpiewie, o Caruso itd. Kiepura nie jest taktowny. Zawsze coś powie niepotrzebnie, ale jakoś mu to wybaczają. Podczas przedstawienia zaprosili go do loży kanclerza Hitlera, potem miał jeszcze być, jak mi powiadano, na drugi dzień u Hitlera w Kaiserhof.

Goebbels i Hanfstaengl podobno się nie lubią. Podczas rozmowy „naciągali" się trochę, niby żartobliwie, ale trochę te żarty jak na mój gust były ostre. Goebbels powiedział w pewnej chwili śmiejąc się, gdy była mowa o oszczędności Carusa, żeby nie mówić o oszczędności, bo Hanfstaengl jest tak oszczędny, że w swojej

muzyce nie własnych, ale cudzych melodii używa. Na to Hanfstaengl odpowiedział w tym samym tonie, że naśladuje tylko wielkich mówców, którzy przeczytają kilka mądrych książek, robią z tego mowę własną i zbierają oklaski.

Wszystko to mówił śmiejąc się i mogło to naprawdę być tylko żartem, ale kto wie, że Goebbels zakazał kiedyś filmu, do którego muzykę zrobił Hanfstaengl, ten mógł pomyśleć, że żart żartem, a docinki swoją drogą.

Przedtem, dnia 23 marca, było bardzo udane przyjęcie u L. P. Lochnera, korespondenta *Associated Press,* dla zarządu Związku Prasy Zagranicznej. Poszedłem potem jeszcze z Holendrem van der Schuren na piwo. Jest to korespondent katolickiego *Maasbode* i znany dziennikarz.



28 marca wyjechałem do Poznania na Święta i do Warszawy. W Poznaniu Seyda szaleje. W bardzo nieładny sposób namawia jedną ze swoich kreatur, żeby napisał list denuncjujący moje rozmowy ze Sławkiem, o których wiadomość tymczasem przesiąkła. Chodzi między innymi o przeszkodzenie mojej ewentualnej kandydaturze na prezydenta miasta Poznania.

Rozpoczęła się w ogóle niesłychana heca. Przedtem już usiłował mnie zmusić do niepodpisywania moich korespondencji z Berlina, oczywiście z czystej zawiści, bo widział, że zrobiłem sobie przez nie nazwisko. Były już na ten temat awantury. Mam wszelkie dane do przypuszczenia, że w Warszawie judził Rybarskiego i też go namawiał, żeby wystąpił przeciwko podpisywaniu przeze mnie korespondencji.

To nie jedyne jego posunięcie tego rodzaju w ostatnim czasie, ale nie warto się o tym wszystkim rozpisywać.



Wypadki następowały po sobie szybko. Byłem w Warszawie, gdzie rozmawiałem z Kozickim, Tadeuszem Mincerem, Mosdorfem i Zygmuntem Rakowiczem. Kozicki jest niestety przerażony. Pech chciał, że w Warszawie dostałem ciężkiego ataku kamieni żółciowych, tak że trzeba było w nocy wołać pogotowie lekarskie i wracając ledwo dowlokłem się do domu w Poznaniu. Objaw to zapalenia woreczka żółciowego. Pomimo to dzień w dzień konferencja przy moim łóżku. Konieczność podtrzymywania chwiejących się. Przekonywanie innych. Jeszcze przed wyjazdem załatwienie sprawy *Awangardy* z Wyrzykowskim, który zaczął działać

z polecenia Seydy. Nie zdołali oni tu na miejscu z nim się uporać. Sytuacja trudna i wyczerpująca. Choroba przeciąga się z tego powodu. Konsylium lekarskie i zadecydowanie operacji. Ryszard P. przekonuje się, że nie ma co liczyć na *Kuriera.* Od tej chwili większe zdecydowanie. Świetnie spisuje się Zygmunt Wojciechowski. Nie wspominałem, że będąc w Krakowie, napisał do mnie pod datą 17 kwietnia 1934 bardzo miłą kartkę, w której donosi, że obszedł „młodą inteligencję krakowską, znajdując wszędzie dość żywy oddźwięk...". Gdyby nie on, nie wiadomo, jak by się sprawy rozwinęły. Seyda wypisuje niegodziwe ataki w *Kurierze,* wyłącznie osobiste, nie podejmując oczywiście żadnej dyskusji merytorycznej. Moje artykuły w *Awangardzie* wywołują burzę i sensacje. Cała prasa polska pełna jest artykułów i wzmianek na ten temat, na ogół jednak niezbyt głęboko ujętych. Ciągła walka, a najtrudniejsza z przerażeniem wśród własnych przyjaciół.

Trudno to wszystko pisać i opisywać. Byłoby tego za dużo. Stare endeki pogodziły się w walce z nami.



Przyjechali do mnie do Poznania Mosdorf[8] i Rossmann, domagając się, abym im z Niemiec przywiózł broszury i książki hitlerowskie. Wezwałem obu, tłumacząc im, że robienie u nas organizacji i polityki na wzór hitlerowski jest — pomijając wszystko inne — idiotyzmem. Oświadczyłem, że ode mnie nie dostaną ani jednej książki tego rodzaju, bo co innego jest studium jakiegoś prądu w obcym kraju, co oczywiście nie oznacza i nie przesądza stosunku do niego, a co innego chęć naśladownictwa. Każdy naród powinien stworzyć własny styl życia, a nie próbować przenosić obce wzory do siebie.

Oto do czego prowadzi używanie młodzieży do awanturniczej, a w istocie bezpłodnej negacji i opozycji.

7 maja Zygmunt Wojciechowski i Ryszard Piestrzyński byli w porozumieniu ze mną u Dmowskiego, proponując mu zgodę z Piłsudskim. Starszy Pan jakoś to przyjął, ale istotną swoją odmowę ujął według powtórzonego mi przez Zygmunta W. i Ryszarda P. brzmienia w słowach: „Cóż by kraj na to powiedział, gdyby dzisiaj nagle dwóch starszych panów razem usiadło na kanapie".

---

8. Pragnę tu dodać, że należący do ONR Mosdorf po wybuchu wojny w czasie okupacji niemieckiej pozbył się tak dalece wszelkich wzorów hitlerowskich, że ratując Żydów, sam zginął w obozie koncentracyjnym.

Cóż rzec na taki argument. Niestety tego rodzaju negatywne stanowisko Dmowski zajmował w stosunku do Piłsudskiego od początku i ani czas, ani też rozwój stosunków nic w nim nie zmieniły. Nie zapomnę, jak mi Dmowski dwukrotnie opowiadał, że w jakiś czas po zamachu majowym prezydent Mościcki przysłał do niego kogoś z propozycją, żeby on, Dmowski, przyjechał się z nim rozmówić.

„Odpowiedziałem — wyraził się do mnie Dmowski — że nie wiem, o czym mam z panem Mościckim rozmawiać, bo nie znam się na chemii[9]".



Zygmunt W. i Ryszard P. byli potem u Sławka, informując go o zrobionej Dmowskiemu propozycji[10]. Wszystko to nie jest rzecz łatwa. Mam jednak wrażenie, że ze strony Dmowskiego będzie większy spokój. Za to szaleje nadal Seyda, w istocie nasz największy wróg. Zawołał jednak w pewnej chwili: „To jest dobra polityka, którą oni robią, ale nie oni mają ją robić".

No cóż, to czemu on jej nie robi? — odpowiedziałem świadkowi tego powiedzenia. To są w istocie, jak się okazuje raz jeszcze, osobiste „konkurencyjne" względy.

Zdrowie moje jest niezbyt dobre. W nocy z 7 na 8 maja wyjeżdżam bardzo jeszcze słaby do Berlina. Tam zastaję zaproszenie do Automobilklubu na śniadanie pożegnalne dla wycieczki dziennikarzy z Polski. W poselstwie przyjęcie niezwykle serdeczne u wszystkich bez wyjątku. Dr Kirkien proponuje mi postaranie się o stanowisko korespondenta *ABC* oraz kontakt z wydziałem prasowym MSZ. Mam z nim kilka rozmów. Jestem na śniadaniu u sekretarza legacyjnego Skórkowskiego. Okazuje się, że jego żona, Popielówna z domu, jest stryjeczną siostrą Pohoreckiej, a z Pohoreckimi w Poznaniu bardzo się przyjaźnimy. Jest jeszcze Smogorzewski, Włodarkiewicz z wydziału prasowego

---

9. Prezydent Mościcki był jak wiadomo z zawodu inżynierem chemikiem i znanym w tej dziedzinie uczonym. Odpowiedź dana wysłannikowi Prezydenta Rzeczypospolitej (wszystko jedno kto nim był) może być tylko porównana do odpowiedzi, które dawali królom polskim za dawnych czasów pyszni polscy magnaci.

10. W związku z tymi wizytami pragnę dodać, czego w diariuszu nie zapisałem, że w jednej z rozmów ze Sławkiem zapytałem go, czy byłoby możliwe spotkanie Piłsudskiego z Dmowskim. Sławek na razie żachnął się, ale przy następnej mojej bytności oświadczył mi — najwyraźniej po zapytaniu się Piłsudskiego — że takie spotkanie byłoby możliwe. Na tej właśnie podstawie Zygmunt Wojciechowski i Ryszard Piestrzyński udali się do Dmowskiego.

MSZ i Perłowski z poselstwa. U Skórkowskich jesteśmy jeszcze raz z Izą, która jedzie w moim zastępstwie do Oberammergau, bo mnie zdrowie już na to nie pozwala. W poselstwie wszyscy są ciekawi wypadków w Polsce. Jestem u Lipskiego, który opowiada o rozmaitych ciekawych sprawach niemieckich, a potem rozmawia o mojej sytuacji. Na ogół już wszyscy wiedzą, że w *Kurierze* i w *Gazecie Warszawskiej* pozostać nie będę mógł. Zadawnione prądy opozycyjne biorą tam górę, a prowadzona przez nas polityka doprowadzenia do normalnych, chociażby nawet różniących się w niejednych sprawach stosunków ze sferami rządowymi, wobec skostniałego stanowiska części Obozu Narodowego, reprezentowanego przez Seydę, musi doprowadzić do usamodzielnienia się grupy *Awangardy*.

Dowiaduję się w dwa dni potem, że Lipski wysłał list do MSZ w mojej sprawie, a mnie oświadczył, że uważa moją pracę w Berlinie za niezwykle dodatnią i że koniecznie chciałby mnie w Berlinie zatrzymać. Jest to zdanie całego poselstwa, jak mi powiada Kirkien.

Spotykam się ze Smogorzewskim, który prosi o materiały do artykułów w sprawie rozłamu w endecji i chce napisać o tym artykuł w *La Pologne*. No, ale te sprawy już ode mnie wychodzić nie mogą.

Jestem na herbacie u kapitanostwa Steblików. On jest adiutantem naszego *attaché militaire*. Była mowa o zamachu majowym. Nie ukrywałem mego negatywnego stanowiska w stosunku do samego zamachu. Gdyby nie było odporu — dodałem — i zamach nie okazał się tak trudny i tragiczny, byłoby to zachętą dla dalszych zamachów i Polska mogłaby stać się Meksykiem.

Zaprosił mnie również na śniadanie Dembiński z PAT-a.

Przyjęcie u Skórkowskich, na którym byłem z Izą, odbyło się po koncercie Haliny Sembratówny, młodej i zdolnej pianistki. Była też na tym przyjęciu Rosalinde von Schirach, śpiewaczka, siostra Baldura von Schirach, przywódcy młodzieży hitlerowskiej *(Reichsjugendführer)*. Wysoka, ładna zresztą kobieta, prawdziwa niemiecka Krymhilda. Wybiera się do Warszawy na występy gościnne. Asystujący jej krytyk czy też impresario, niejaki Alfred Bierschwale, rozmawiał ze mną, czy nie można by przygotować jej występów w prasie i dał mi swoją wizytówkę. Powiedziałem mu jednak, że to nie moja sprawa, bo nie miałem najmniejszego zamiaru robić reklamy dla osób z bezpośredniego otoczenia Hitlera. Opowiadała mi ona, że jest okultystką. Rzecz ciekawa, jak wszystkie te sprawy okultystyczne są dzisiaj w Niemczech roz-

powszechnione i to właśnie również wśród hitlerowców. Twierdziła ona, że często widuje Hitlera, co jest zapewne prawdą. Opowiadał jej podobno, że jakaś kobieta dość dokładnie przepowiedziała mu jego karierę życiową.



W nocy z soboty na niedzielę (19-ty na 20-go maja) jedziemy z Izą, która wraca z Oberammergau, do Poznania. W Poznaniu sytuacja bez zmian. Ryszard P., jak twierdzi Zygmunt Wojciechowski, pozbył się „szoku" kurierowego.

W drugie święto robimy wycieczkę do Ludwikowa: Wojciechowscy, Iza i ja oraz Ryszard z matką, plus nasze dwie córeczki i mały Ryś Wojciechowski. Wczoraj konferencja u mnie: Ryszard, Zygmunt, o godz. 22-ej Zbigniew Dembiński, na temat mandatów poselskich i sytuacji naszych posłów w Klubie Narodowym. Stawiam kwestię jasno: nie składać mandatów, wystąpić z Klubu. Jak zwykle Zbinio Dembiński ma tysiące skrupułów i wątpliwości. Stahl od dłuższego czasu nalega na konferencję posłów. Składania mandatów nie chce. Krytykuję jego nie całkiem jasne wobec nas w ostatnim czasie zachowanie. Broni go Zbigniew Dembiński. Ostatecznie Ryszard dzisiaj pojechał do Warszawy wskutek listu i telegramu Stahla. Jutro mają odbywać konferencję. Ciekawy jestem, co z tego wyniknie.

Otrzymałem wczoraj bardzo miły list od Lochnera, z dnia 19 maja 1934, wyrażający mi współczucie z powodu mojej choroby. „Gdybym mógł w jakikolwiek sposób pomóc, proszę mnie zawiadomić".

Przedtem jeszcze z datą 4 maja otrzymałem również bardzo miły list od sekretarza Związku Prasy Zagranicznej w Berlinie, Mayera.

I on pisze: „Gdybyśmy mogli coś dla Was uczynić, to proszę nas tylko zawiadomić".

Byłem dzisiaj u chirurga dr. Schlingmanna i umówiłem się z nim na operację we wtorek dnia 29 maja.

Był u mnie współredaktor *Dziennika Poznańskiego* i korespondent *Warszawskiego Kuriera Porannego,* Werner (którego znam jeszcze z czasów „Tęczy") z Paciorkowskim z *Kuriera Porannego,* który chce pisać serię artykułów o wydarzeniach wśród Młodych. Paciorkowski chciał robić rodzaj wywiadu. Jednak zastrzegłem się, że żadnego nazwiska wymieniać nie wolno, i w ogóle byłem dosyć ostrożny. Najciekawsze były dla mnie od-

powiedzi na to, o co ja go pytałem. Obydwaj mianowicie deklarowali się jako antysemici i również Paciorkowski, jeżeli chodzi o *Kuriera Porannego,* odżegnywał się od filosemityzmu. Należy ich wyodrębniać (tzn. Żydów), mówił. Jak na współpracownika *Kuriera Porannego,* to nieźle — i symptomatyczne. Werner zaręczał mi, że obóz rządowy w ogóle skłania się do antysemityzmu i zapowiadał artykuły swoje na ten temat w *Dzienniku.*

Te rzeczy są zgodne z tym, co ze wszystkich stron prorządowych słyszę i co zresztą również Sławek zapowiada.

Paciorkowski mówiąc o moich korespondencjach berlińskich stwierdził, że mogę mieć uczucie triumfu, gdyż rząd poszedł właściwie po linii tych korespondencji, chociaż były one swego czasu tak atakowane. Byli to jednak Żydzi, powiadał, którzy fałszywie informowali. Cóż jednak nas Polaków obchodzi to, że gdzieś Żydów biją. Tak mówił przedstawiciel *Kuriera Porannego!!!* To już jest stanowisko, którego nasza grupa nigdy nie zajmowała. Przeciwko napadaniu na Żydów wystąpiłem nawet swego czasu w *Awangardzie* zupełnie wyraźnie. Inna rzecz zagadnienie żydowskie, a inna rzecz stosowane wobec nich barbarzyńskie metody.

Poznań, 26 maja 1934

Przed trzema dniami wieczorem posiedzenie u mnie — Ryszard P., Zygmunt W., potem Zbigniew Dembiński. Omawiamy sprawę wystąpienia naszych posłów z Klubu Narodowego. Ryszard otrzymał w tej sprawie list Zdzisława Stahla, który nagli do wystąpienia. Zbigniew ma jak zwykle tysiące rozmaitych skrupułów.

Przedwczoraj Ryszard był w tej sprawie w Warszawie. Dzisiaj i jutro jest konferencja w Węgiercach, na którą ja już jednak — przed operacją — nie pojadę. Wczoraj o godzinie 4-tej był u mnie Stefan Wyrzykowski, którego Seyda używa dla szantażowania nas i robienia nam trudności. Stefan okazuje się niestety dzisiaj tchórzliwym egoistą. Chodzi mu oczywiście o zatrzymanie stanowiska w *Kurierze.* Odmówiłem bezwzględnie rozmaitym jego próbom w sprawie *Awangardy* i ze swej strony zagroziłem. Trzeba skończyć z tymi szantażami. Roli Stefana zresztą się nie zapomni.

O godz. 5.30 konferencja z Zygmuntem W., Ryszardem P. i Jankiem Zdzitowieckim. Potem przychodzi namówiony przez Zygmunta W. docent dr Karol Stojanowski. Chodzi o pozyskanie

go. Teoretycznie uznaje, że mamy słuszność. W praktyce nie wierzy, że nam się uda coś zrobić.

Dłuższa rozmowa, w której dobrze mówią Zygmunt W. i Ryszard P. Ostatecznie stanęło na ustaleniu przyjaznego stosunku. Stojanowski został dłużej u mnie i wychodząc trochę się cofnął z początkowego swojego wątpiącego stanowiska, oświadczając, że mnie jeszcze odwiedzi.

Prawdę mówiąc, jeżeli się dość rychło wyraźnie nie opowie, to takich teoretycznie będących z nami ludzi jest aż nazbyt dużo. Aż dziw, jak ludzie boją się brać na siebie otwarcie jakąś odpowiedzialność.

Poznań, 5 sierpnia 1934

30 maja przeszedłem bardzo ciężką operację wyjęcia woreczka żółciowego i ślepej kiszki za jednym zamachem. Trzy tygodnie w szpitalu, potem w domu. Mimo szalonego osłabienia konferencja w domu na temat prezydentury miasta Poznania i mojej na nią kandydatury. Ryszard Piestrzyński stara się ją przeprowadzić, uzyskać w tym celu chociaż 10 głosów Klubu Narodowego. Radni z obozu rządowego gotowi są na mnie głosować. Dr Machowski przeprowadza ze mną i z Ryszardem P. na ten temat rozmowy. Są też ludzie w Klubie Narodowym, którzy byliby gotowi na mnie głosować. Ale w odpowiedzi na to szalona kontrakcja Mariana Seydy. Wysuwa on kontrkandydaturę Ratajskiego, chociaż wie, że ten kontrkandydat nie dostanie zatwierdzenia. Zawiadomił o tym oficjalnie wojewoda prezydium Klubu Narodowego. Nie warto opisywać tych wszystkich bardziej niż poziomych intryg, które Seyda przeciwko mnie prowadził. Wynik jest dzisiaj wiadomy. Nie ma prezydenta z wyboru i mianowany jest komisarz rządu, pułkownik Więckowski. Odpowiedzialny za to jest w pełni i wyłącznie Seyda.

Ryszard Piestrzyński wychodzi ostatecznie z *Kuriera Poznańskiego.* Seyda jest całkiem nieprzytomny z nienawiści. 30 czerwca i ja dostaję wypowiedzenie „natychmiastowe" z *Kuriera,* uzasadnione — chorobą.

Wypowiedzenie, dobrze, każdemu wolno. Ale żeby starać się pozbawiać w czasie ciężkiej choroby długoletniego współpracownika utrzymania i próba obcięcia przy tym należącego się przy wypowiedzeniu trzymiesięcznego terminu, na to już trudno znaleźć odpowiednie wyrażenie. Pośpieszyli się jednak, bo trzy miesiące choroby jeszcze nie upłynęły. Straszliwie słaby wyjeżdżam

do Berlina, ażeby podjąć pracę. Odwozi mnie kochany Zygmunt Wojciechowski. Napisanej korespondencji jednak nie zamieszczają i wobec tego wyjeżdżam na urlop. Obecnie rozpoczęły się pertraktacje o jakieś załatwienie sprawy na mocy prawa.

Byłem dwa tygodnie nad morzem w Kuźnicy na Helu z rodziną. Spędza tam również wakacje Stefan Szuman, mój kuzyn i przyjaciel, znakomity uczony i profesor uniwersytetu w Krakowie, z żoną i jej rodziną, a między nimi znany muzyk Jarecki oraz jego żona Amerykanka. Był też kilka dni Zdzich Stahl, z którym się spotkałem zupełnie niespodziewanie. Bardzo teraz krytykuje ONR-owców jako ludzi niemądrych. U Stefana był Witold Chwalewik, znany anglista, który chce utrzymać kontakt. Mówił mi, że Rembieliński chce się ze mną zobaczyć. Widziałem się z nim zdaje się w marcu w Warszawie i jak się okazało, mimo dawnych rozbieżności nastąpiła między nami zgodność poglądów.



Jak już wspominałem, w poselstwie polskim chciano mnie zatrzymać w Berlinie i w tej sprawie ambasador Lipski pisał nawet list do MSZ. Otrzymałem również list od *attaché* prasowego naszej ambasady w Berlinie, dr. Leszka Kirkiena, że pragnie się ze mną zobaczyć i kontynuować kiedyś rozpoczęte rozmowy. Podaje swój rozkład czasu z tym, że z końcem maja będzie dłuższy czas w Berlinie i bardzo prosi o odpowiedź. Kirkien był w Poznaniu i odwiedził mnie podczas choroby.

Pisał też do mnie raz jeszcze pod datą 21 czerwca 1934 Louis P. Lochner list bardzo miły, wyrażając nadzieję, że będę mógł uczestniczyć w bankiecie Związku Prasy Zagranicznej, i że nie tylko on, ale wszyscy członkowie Związku mają tę nadzieję.



W maju, tuż przed wyjazdem z Berlina widziałem się z jednym z moich kolegów francuskich, który mi powiedział, że gdy wrócę, cała historia hitlerowska będzie już skończona.

Spojrzałem na niego ze zdziwieniem, ale nic nie odpowiedziałem. Otóż w czasie mej dłuższej nieobecności — spowodowanej między innymi operacją i chorobą — nastąpił słynny wstrząs, zakończony zamordowaniem Röhma w dniu 30 czerwca 1934. Czyżby w niektórych kołach zagranicznych naprzód coś wiedziano o jakichś zamiarach zamachowych Röhma? I czy istotnie takie zamiary były? W każdym razie to jeszcze jeden dowód, jak się

w sprawie trwałości rządów Hitlera łudzono zarówno w Niemczech (powiedzenia von Sauckena, patrz stronę 81) jak też za granicą.

Po powrocie na krótki czas do Berlina zdołałem jeszcze być na zwołanym po likwidacji Röhma posiedzeniu Reichstagu w Operze Krolla *(Kroll-Oper).* Przemawiał Hitler. Atmosfera trudna do określenia. Gdy w końcu zaśpiewano znaną pieśń hitlerowską, w której jest ustęp, że ci, których już nie ma, „maszerują w duchu razem w naszych szeregach" *(marschieren im Geist in unseren Reihen mit),* przesunął się nad stojącymi posłami jak gdyby jakiś cień, tak jednak niewidoczny i słaby, że chyba mało kto go zauważył. Spojrzałem na niektóre puste krzesła na sali.



W *Gazecie Warszawskiej* zmiany. Wysunęli się Kozicki i Tadeusz Mincer. W związku z tym wysłałem list do Kozickiego, proponując mu współpracę. Z Kossowa otrzymałem list od Ryszarda Piestrzyńskiego z dnia 25 lipca 1934, w którym donosił mi, że Kozicki wyjechał z Kossowa do Warszawy, wezwany nagle dla sfinalizowania fuzji *Gazety Warszawskiej* z *ABC.* „Następuje — pisze Piestrzyński — faktyczna fuzja finansowa w ręku Kobylańskiego. Formalnie obie spółki istnieć będą osobno. Jedna wydawać będzie *Nowiny* oraz *Wieczór,* druga *Gazetę Warszawską.* Znika *ABC.* Najważniejsze wszakże jest to, że naczelnym redaktorem *Gazety* zostaje Kozicki, a administratorem Mincer. Poza tym *Gazeta* uzyskują swoją drukarnię. Kozicki twierdzi, że wzmocni to na tyle podstawy *Gazety,* że już nie ona ulegać będzie naciskowi Rybarskiego, ale że Rybarski z nią będzie się musiał liczyć. *Gazetę* chce redagować Kozicki wszechstronnie. Ma być urzędowy dział Stronnictwa, a poza tym zapewniona duża swoboda wypowiadania się. Dmowski, niezadowolony z tego obrotu sprawy, rzucił wszystko i pojechał do Chludowa".

„Kozicki — pisze dalej Piestrzyński — jest w nastroju triumfalnym. W niczym nie zmienił swego stosunku do nas. Oczywiście najchętniej wziąłby nas do *Gazety.* Na razie nie chciałby abyśmy się gdziekolwiek zaangażowali. Rozmawiałem z nim długo o sprawach ogólnych. Wypytywał się szczegółowo o różne możliwości i o poglądy różnych osób. Jest tego samego zdania co my, tylko chce czekać na chwilę odpowiednią. W sierpniu będzie w Poznaniu...".

Jerzy DROBNIK

Józef HLEBOWICZ

WSPOMNIENIA Z OSTASZKOWA

Spisując relację z wydarzeń, które miały miejsce bardzo wiele lat temu (licząc w skali mego życia) nie jestem w stanie precyzyjnie odtworzyć wielu szczegółów, być może o znaczeniu niebagatelnym. Podane niżej wypadki jednak bardzo głęboko utkwiły w sferze myśli i emocji, przypuszczam więc, że moja relacja względnie dobrze oddaje ówczesne wydarzenia, w których brałem udział.

Służbę wojskową (skróconą, jednoroczną) odbyłem w Szkole Podchorążych Rezerwy Kawalerii w Grudziądzu w roku 1936/1937. (...)

Pod koniec sierpnia 1939 roku wreszcie przyszła depesza od moich rodziców, że mam natychmiast wracać do domu, gdyż otrzymałem wezwanie do zameldowania się w pułku, w Nowej Wilejce. Pożegnaliśmy się na stacji kol. Pierzchno. Liczyliśmy się z różnymi możliwościami, ale nie z tą, że następne nasze spotkanie będzie miało miejsce za przeszło 7 lat w Szwecji. Hanka nie mogła wszak wiedzieć, że za kilka miesięcy Gestapo zabierze ją do Fortu VIII w Poznaniu, a potem na przeszło 5 lat do obozu koncentracyjnego w Ravensbrück. Tak jak ja nie mogłem przewidzieć moich dalszych losów. (...)

Zameldowałem się adiutantowi pułku rtm. Stanisławowi Alexandrowiczowi, który po wysłuchaniu moich wyjaśnień, dlaczego przybyłem z opóźnieniem, oświadczył mi, że pułk znajduje się już w pogotowiu marszowym, wkrótce zostanie załadowany do pociągu i wobec tego ja zostanę przydzielony do oddziału nadwyżek pułku na miejscu, formowanego w m.p. pułku w Nowej Wilejce. Tak się też stało. Jeszcze tylko zdążyłem porozmawiać z kilkoma kolegami, którzy wnet wraz z pułkiem wyruszyli na miejsce załadowania. Było to chyba 28 sierpnia.

Ale już wkrótce w naszych koszarach zapanował ogromny ruch. Był to rezultat ogłoszonej mobilizacji powszechnej 31 sierpnia 1939 roku i napaści Niemiec na Polskę, w nocy z 31 sierpnia na 1 września. Zgłaszali się oficerowie, podoficerowie i ułani. Powstały problemy przenocowania przybywających rezerwistów, zgłaszających się z województw zachodnich i środkowych, mniej z województw wschodnich. Trzeba było zgłaszających się organizować w pododdziały, umundurować, uzbroić, rozmieścić w

pomieszczeniach naszych koszar, dostarczyć wyżywienie. A cóż dopiero za kłopot stwarzał brak koni! Jak się niestety okazało, ze wszystkim był wielki kłopot. Znalazły się sorty mundurowe, znalazło się nawet jakie takie wyżywienie, ale po amunicję i broń trzeba było jeździć do magazynów mob. w Wilnie. Pamiętam wyprawę wozem ciężarowym z kilkoma ułanami do składu amunicji na przedmieściu Wilna — zwanego Wilcza Łapa. Był to magazyn w lochu ziemnym na zboczu wzgórza, w którym amunicja przewożona była wózkiem żelaznym na torach. Aby dostać się z Nowej Wilejki do Wilczej Łapy, trzeba było przejechać przez śródmieście z północnego wschodu na południowy zachód.

Właśnie gdy przejeżdżaliśmy przez śródmieście odezwały się syreny alarmowe, anonsujące zbliżający się samolot. Wkrótce usłyszeliśmy dość odległe wybuchy bomb zrzuconych zapewne przez Niemców. Nie zauważyłem na ulicach Wilna żadnej paniki. Przeciwnie, przechodnie zatrzymywali się i spoglądali z zaciekawieniem w niebo, nie przejmując się za bardzo alarmem. Być może był to pierwszy nalot niemiecki. Sklepy, kawiarnie, kościoły były otwarte. Ruch uliczny był jednak znacznie mniejszy. Z Wilczej Łapy udaliśmy się jeszcze do innych magazynów, aby dostarczyć całą zapotrzebowaną amunicję dla nowych tworzonych szwadronów marszowych. Było z tym bardzo krucho.

W koszarach, w Nowej Wilejce w gorączkowej atmosferze odbywało się jednocześnie przyjmowanie rezerwistów i formowanie szwadronów marszowych, które miały dołączyć do naszego pułku. Wychodzą więc pierwsze szwadrony na koniach, póki dosyć rzędów końskich, a potem już 2 lub 3 marszowe szwadrony piesze. Jednocześnie prowadzone są ćwiczenia ze zmobilizowanymi ułanami, aby szybko zrobić z nich oddział zwarty i bojowy.

Jestem przydzielony do różnych prac w zależności od potrzeby. Coraz gorzej z umundurowaniem, uzbrojeniem, wyposażeniem. W koszarach Nowej Wilejki nie był przewidywany ośrodek zapasowy pułku, tak jak nie przewidziano wymarszu pułku przed ogłoszeniem mobilizacji. Wszak po odejściu pułku w pełnym rozwiniętym składzie bojowym pozostały w m.p. pułku niewielkie nadwyżki kadry i niewielkie nadwyżki uzbrojenia i umundurowania.

Zaskakująco szybkie posuwanie się oddziałów niemieckich sparaliżowało łączność między pułkiem i koszarami. Wysyłane szwadrony marszowe kierowane są początkowo w rejon działania Armii Prusy, a następnie, po załamaniu się frontu tej Armii — po prostu na południe, w ogólnym kierunku południowym, na Lwów. Takie były instrukcje, dziś nie umiem przypomnieć przez kogo przysyłane. (...)

Wreszcie zostaje utworzony szwadron marszowy, którego dowódcą jest rotmistrz rezerwy Mieczysław Janusz. Jest więc już kadra szwadronu skompletowana. Podoficerowie rezerwy i ułani otrzymują przydziały do naszego szwadronu. Szwadron jest w stanie bardzo szybkiej organizacji, mundurowania i wyposażenia. Rtm. Janusz dokonuje cudów i zdobywa dla całego naszego szwadronu konie, rzędy, uzbrojenie i sprzęt. Nie mamy wszakże żadnego KM-u. Otrzymuję wspaniałego VIS-a. Prowadzimy teraz z naszymi ułanami przyspieszone zajęcia — przypomnienie musztry, jazdy konnej, strzelania, zasad walki pieszej. Ułani nie sprawiają kłopotów — są chętni i zdyscyplinowani. Niektórzy z nich, zwłaszcza ci nieco starsi wiekiem, w przerwach wypowiadają wiele obaw i wątpliwości co do dalszych losów wojny. Nie widzą różowo naszej najbliższej perspektywy. Zwłaszcza ci z Ziemi Pomorskiej i z Poznańskiego. Fakty nie są krzepiące, jak to słyszymy z radia. Ale atmosfera w szwadronie dobra, ułańska, wszyscy się starają, nie ma żadnych objawów niesubordynacji. Wreszcie otrzymujemy rozkaz wymarszu z Nowej Wilejki. Ogólny kierunek marszu na południe, na Lwów. Był to prawdopodobnie 15 września. Marsz odbywamy w warunkach bojowych, ubezpieczony-szpica, szperacze, ubezpieczenia, ale oczywiście tu, daleko od frontu, żadnego wroga nie spotykamy. Doskwiera nam brak łączności. Zostaliśmy wysłani z Nowej Wilejki w „ciemno". Dowódca szwadronu wyjaśnia nam, że chodzi o osiągnięcie rejonu odległego od Niemców, w którym będzie można dokonać w skali całej Armii Polskiej przegrupowania i odparcia nieprzyjaciela z nowej podstawy.

Marsz odbywamy przez pola, zagajniki, wsie i zaścianki. Kierunek ogólny — na Oszmianę. Trudno mi dziś ustalić, czy było to drugiego, czy trzeciego dnia od wymarszu z koszar w Nowej Wilejce. W tym marszu konno niewiele się działo, a brak łączności i informacji budził uczucie osamotnienia. Otóż tego dnia właśnie dotarła do nas wiadomość przerażająca, że ostatniej nocy oddziały sowieckie przekroczyły naszą granicę. Były też bardziej szczegółowe informacje. Od szeregu dni, jeszcze w Nowej Wilejce aż roiło się od fantastycznych plotek, których komunikaty radiowe jednak nie potwierdzały. Ale teraz nadeszła wiadomość najgorsza, grożąca śmiertelnym niebezpieczeństwem dla naszego kraju!

Rotmistrz Janusz zbiera wszystkich oficerów i podchorążych na naradę. Informuje rzeczowo, spokojnie i prosi o rozważenie odpowiedzi na pytanie — co w tym stanie rzeczy powinien zrobić nasz szwadron? Ujawnić się wobec Czerwonej Armii, nawiązać z nią kontakt bojowy, czy też uznając, że ani jedno, ani drugie

rozwiązanie nie jest sensowne — dążyć do przejścia granicy litewskiej. Wszyscy wypowiadają się za odwrotem na granicę litewską. Rotmistrz Janusz nakazuje marsz ubezpieczony tylko nocą, z ominięciem dróg, a w dzień biwak ubezpieczony w lesie. Naradę odbywamy na polanie śródleśnej. Chowamy się naszymi plutonami w głąb lasu. Kontakt utrzymujemy przez gońców. Wysyłamy kilku ułanów po prowiant. Chleb, kasza, parsiuki. O zmierzchu szykujemy się do marszu w kierunku północno-zachodnim, terenem zakrytym lasem. Cisza leśna, słychać tylko odgłosy naszych koni. Idziemy pojedynczo, za ogonami. Co jakiś czas — postój dla zorientowania się w terenie. Szukamy wody dla koni. Nad ranem stajemy znów na biwaku. Ale i na biwaku mało kto mówi. Skłębione myśli. Niektórzy, nieliczni zaczynają szeptać między sobą. Tłumaczymy ułanom sytuację. Rozumieją i zgadzają się z decyzją dowódcy.

Porucznik Sutkowski i porucznik Suszyński wychodzą na rozpoznanie terenu. Słyszymy wkrótce niedaleko hałas motorów i chrzęst czołgów. Z lizjery lasu widzimy posuwającą się kolumnę czołgów sowieckich. Idą na zachód. Jest noc, niezbyt ciemna. Idziemy dalej, z konieczności kluczymy. Prowadzi rtm. Janusz, ale wszystkie plutony idą marszem ubezpieczonym z obu stron. Wciąż jest obawa, aby się nie zagubić. Idziemy „na ogonach". Plutonami, pojedynczo, na północ.

Drugiej nocy przedzierając się przez gęsty las w rejonie między Bezdanami a Rubnem i prowadząc konie za uzdy docieramy do rzedzizny wśród gęstego lasu szpilkowego w pobliżu sioła Wierchbezdany (Werszbezdanka). Por. Sutkowski i por. Suszyński wypuszczają się z kilku ułanami w kierunku linii kolejowej Bezdany-Podbrodzie. Linia kolejowa oddalona jest od naszego postoju w kierunku zachodnim o kilka kilometrów. Do granicy litewskiej mamy jeszcze około 20 kilometrów, które zamierzamy przebyć następną nocą. Od Nowej Wilejki jesteśmy teraz oddaleni nie więcej niż 10 kilometrów. Jesteśmy na biwaku. Konie zostają rozkulbaczone, kładziemy się spać na czym kto chce.

Nad ranem por. Sutkowski i por. Suszyński wracają z ułanami. Mój koń przestraszony kopnął mnie w śródstopie. Noga szybko puchnie, odczuwam silny ból. Proszę mego luzaka, by mi ściągnął lewy but. Jeszcze o świtaniu wysyłam 2 ułanów, by kupili chleb i jakiegoś parsiuka. Długo nie wracają. Robi się zupełnie jasno. Nagle słyszę dookoła coraz liczniejsze okrzyki *Ruki w wierch! Zdawajties'!* Jesteśmy okrążeni przez czerwonoarmiejców, którzy zbliżają się do nas z karabinami wycelowanymi na nas. Mundury jasne, żółte, furażerki z czerwoną gwiazdą.

Krasnoarmiejcy każą nam oddać broń — karabiny, pistolety, szable, granaty. Ułanów i podoficerów oddzielają od nas i natychmiast wygłaszają do nich przemówienie, że oto oni przynieśli im wolność od panów. Nas, oficerów i podchorążych, odprowadzają na bok, rewidują dość powierzchownie, każą nam maszerować przez las w kierunku wskazanym. Jesteśmy otoczeni silnym kordonem. Miałem ogromne trudności z włożeniem lewego buta, w końcu, z bólem nie tylko nogi, ale i serca przeciąłem but pionowo na podbiciu i dołączyłem. Zawieziono nas do obozu broni pancernej okrakiem na szosie, a jeszcze pod Kolonią Wileńską. Uderzyło nas marne umundurowanie żołnierzy sowieckich. I naprawdę, niejeden karabin był zawieszony przez ramię na sznurku, a nie na pasku skórzanym. Żołnierze byli brutalni, ale rzekłbym przestraszeni. Jakby bali się jakiejś zasadzki czy niespodzianki z naszej strony.

Palili wstrętne papierosy zawijając kawałek gazety i wsypując do takiego rulonu tytoń grubo krojony, bardzo ciemny, chyba same łodygi rośliny. Nazywali ten tytoń *karaszki*. Od nich dowiedziałem się, że jesteśmy *wojennoplennyje*. Powiedzieli nam, że ułanów i podoficerów zwolnili do domu. W obozie bardzo krótko przesłuchiwał nas po kolei ich *starszyna*. Notował z trudem nasz *czyn*, czyli stopień wojskowy i nazwisko. Przesłuchanie miało miejsce w namiocie, na siedząco przy stole, po czym wyprowadzano nas kolejno na zewnątrz namiotu. Dostaliśmy zupę i po sporym kawałku chleba. Powiedzieli nam, że teraz możemy położyć się spać na trawie przed namiotem, bo rano nas zawiozą do miasta. Kończył się 21 września 1939 roku.

Rano przyjechała po nas odkryta ciężarówka z innymi żołnierzami. Później dowiedziałem się, że byli to żołnierze KGB. Na ciężarówce ustawione były ławki w poprzek samochodu. U skraju każdej ławki siedział żołnierz KGB. Również na pierwszej i ostatniej ławce tylko oni. Ich stosunek do nas okazał się wręcz brutalny i wrogi, a zwłaszcza w Wilnie. Kazano nam zająć miejsca w ciężarówce, a w czasie drogi nie wolno było rozmawiać ze sobą. Przywieziono nas do Wilna. Samochód zatrzymał się na Placu Katedralnym, nieopodal wylotu ul. Zamkowej. Zaraz wokół nas zgromadził się tłum złożony głównie z kobiet. Rzucały nam papierosy i jedzenie. Żołnierze sowieccy nie pozwalali im tego robić. Płakały, szlochały i starały się nas pocieszać, a wszystko to przy akompaniamencie wrogich wrzasków sowieciarzy. Niedaleko naszego samochodu leżała sterta szczególnych rekwizytów — rapiery, florety, szpady, chorągwie, fotografie dużych rozmiarów, jakieś porwane godło itd. Zorientowałem się po barwach i niektórych napisach, że musiały te przedmioty być wyrzucone

w brutalny sposób z kwatery Korporacji Polonia, znajdującej się właśnie w pobliżu, przy ulicy Zamkowej. Byłem tam kiedyś gościem.

Ponuro wyglądało nasze Wilno i Plac Katedralny. Roiło się od cywilów w czerwonych opaskach i z karabinami na ramieniu. Bardzo dużo flag czerwonych, o charakterystycznym wąskim kształcie, zapewne oderwanych z chorągwi biało-czerwonych. Dużo sowieckich żołnierzy i samochodów. Niewielu przechodniów. Na Placu Katedralnym czekaliśmy dość długo, zanim przyszedł do nas oficer i kazał nam wyjść z samochodu. Okrążeni przez sowieckich żołnierzy pomaszerowaliśmy przez Plac Katedralny, przed frontem katedry do ogrodu Cielętnik, a tam do budynku Podzamcze, w którym mieścił się Inspektorat Armii Generała Dęba-Biernackiego.

Kazano nam wejść do pokoju na parterze, w którym nie było żadnych mebli, a na ścianie wisiały jeszcze trzy fotografie: prezydenta R.P. Ignacego Mościckiego, marszałka Piłsudskiego i marszałka Rydza-Śmigłego. Podwójne drzwi prowadzące na korytarz były szeroko otwarte. W nich stanął okrakiem żołnierz GPU z karabinem i bagnetem. Nieprzerwanie nas obserwował. Było nas siedmiu: rtm. Janusz, por. Sutkowski, ppor. Suszyński, ppor. Lorentz, ja i jeszcze dwóch podchorążych rezerwy młodszych ode mnie. Siedzieliśmy na ziemi, a potem położyliśmy się i czekaliśmy, co będzie dalej. Wkrótce zaczęło się przesłuchanie. Trwało ono bez przerwy 3 dni i 3 noce. Byliśmy kolejno wzywani wiele razy. Nigdy nie było wiadomo, kto będzie wezwany. Żołnierz nas pilnujący nie pozwalał nam rozmawiać. W nocy paliła się jasno lampa w pokoju i w korytarzu. Przesłuchujący nas zmieniali się, choć, o ile pamiętam, mnie przesłuchiwał wciąż ten sam. Najpierw kazał podać swoje dane osobiste, zawód rodziców, zawód własny itd., a potem pytał z uporem wielokrotnie, czy strzelałem do żołnierzy sowieckich i czy rozkręcałem szyny torów kolejowych. Na wielokrotne stwierdzenia, że nie strzelałem i nie rozkręcałem szyn torów kolejowych padało oświadczenie, że „porucznik Lorentz powiedział, żeś ty strzelał i rozkręcał tory". A potem na moje ponowne zaprzeczenie, zapytywał czy porucznik Lorentz lub inny oficer strzelał itd. — w kółko 3 dni i 3 noce. Przez cały ten czas nie dali nam nic, literalnie nic, do jedzenia ani picia. Do WC wolno było wyjść w ten sposób, że po zgłoszeniu się do wartownika on wzywał innego żołnierza, który odprowadzał na miejsce i nie pozwalał zamykać drzwi od WC, a potem odprowadzał do naszego pokoju. Nastrój nie był dobry, bo niczego dobrego nie można było spodziewać się od naszych opresorów. Reagowaliśmy rozmaicie. Rtm. Janusz mil-

czał zasępiony, ppor. Suszyński wyraźnie modlił się, por. Sutkowski zachowywał spokój. Por. Lorentz i my trzej byliśmy może najmniej przygnębieni.

Byliśmy coraz bardziej wyczerpani fizycznie i psychicznie. W końcu trzeciej doby przyniesiono nam gorący chleb. Byłem wściekle głodny i nie zważając na dobre rady rtm. Janusza — zjadłem duży kawał dymiącego chleba. Wkrótce pojawił się żołnierz — odczytał nazwiska czterech spośród nas, kazał zabrać rzeczy i wyjść. Ci czterej to ppor. Lorentz, ja i dwaj podchorążowie. Zostali rtm. Mieczysław Janusz, por. Antoni Sutkowski i ppor. Mikołaj Suszyński. Nie spotkałem ich już nigdy.

Nas wyprowadzono z Inspektoratu Armii i zaprowadzono do drzwi głównych... katedry św. Stanisława. Wartownicy daremnie próbowali je otworzyć, ale zniechęceni zaczęli pytać przechodniów. Długo tłumaczyli, o co im chodzi. W Wilnie już mało kto znał rosyjski. W końcu dogadali się i tym razem zaprowadzono nas do Urzędu Wojewódzkiego. W gmachu tym znajdował się punkt gromadzenia polskich *wojennoplennych* wszystkich stopni. Panie z Polskiego Czerwonego Krzyża fasowały nam zupę, chleb, coś do chleba. Były dobre, miłe i serdeczne, a raz za razem popłakiwały. Wewnątrz budynku nie było już strażników sowieckich. Stali pod budynkiem i naokoło niego. Spało się byle gdzie, na podłodze, na biurku, na kurtce — było nas bowiem bardzo wielu. W dalszym ciągu nie rozumiałem sytuacji, w jakiej znalazłem się ja sam i oficerowie, pozostali w Inspektoracie Armii. Płynęły dni, które nic nie wyjaśniały. Mnóstwo plotek i pogłosek od czarnego pesymizmu do różowego optymizmu. Że zaraz nas zwolnią, że nas rozstrzelają, że nas oddadzą Niemcom, że nas wywiozą na Syberię itd. Aż obrzydzenie było słuchać. Jednak z rozmów można było dowiedzieć się wielu rzeczy na temat czasu przeszłego, nie bardzo odległego. Byli wśród nas i tacy, którzy też jak my przeszli badania GPU w Cielętniku. Twierdzili, że dla pozostałych tam nie ma ratunku, że już zostali zamordowani, bo to właśnie tam przesłuchują najbardziej „niebezpiecznych".

Dopiero po wielu latach, już po wojnie, dowiedziałem się prawdy, że wszyscy trzej zostali zamordowani wkrótce po naszym wyjściu.

Po tygodniu pobytu w punkcie zbornym jeńców polskich w Urzędzie Wojewódzkim w Wilnie, kazano nam zabrać rzeczy i wyprowadzono na ulicę. Sformowano z nas ogromną kolumnę, która ruszyła na dworzec kolejowy. Tam załadowano nas do pociągu składającego się z wagonów towarowych, który nadszedł na dworzec od strony Grodna zapełniony naszymi żołnierzami i oficerami. Tłok w wagonie był niezmierny. Po prostu było

fizyczną niemożliwością, żeby wszyscy jednocześnie siedzieli na podłodze. Część, może połowa stała bez oparcia, przez wiele godzin, aż wreszcie ktoś wstał i znów to samo. Ruszyliśmy w daleką drogę. Nikt nie wiedział dokąd i co dalej z nami zechcą Sowieci robić. Żołnierze, nie GPU, a już Czerwonej Armii, zapytywani odpowiadali niezmiennie, że teraz *pojedietie w matuszku Rassiju.* I to wszystko. Wagony były zamknięte, szerokie drzwi zasunięte i założone skoble. W prostokątnych, bardzo małych okienkach nie można było w żaden sposób pomieścić się, gdyby chciało się uciekać. A zresztą okienka były zaopatrzone w poprzeczne pręty, utrudniające nawet podawanie przedmiotów. Sprawdzaliśmy to na stacjach, już po stronie sowieckiej, gdy do naszych wagonów podchodzili cywile i proponowali, że kupią od nas koszule itd. Byli i tacy, którzy mieli wiele koszul wojskowych, prawdopodobnie z rozbitego magazynu wojskowego w czasie działań wojennych. Dopiero później okazało się jak wiele prawdziwych skarbów, jak na naszą sytuację, mieli ze sobą nasi rodacy.

W wagonie, rzecz jasna, nie było żadnych urządzeń sanitarnych. Czasem, raz na wiele godzin, pociąg zatrzymywał się. Zwykle było to w polu. Pozwalano nam wyjść z wagonów. Raz pociąg zatrzymał się na stacji w Witebsku. Odsunięto nam drzwi i pozwolono wyjść „za potrzebą". Na pytanie „gdzie?", dostaliśmy instrukcję: *dawajtie pod wagon.*

Fatalnie wyglądała sprawa naszego wyżywienia w drodze. Rozdano nam kilka razy rybne konserwy, była też zupa serwowana w wiadrach na 20 osób, a przy wiadrach dano drewniane łyżki. Nie trzeba mieć wiele wyobraźni, by sobie wyobrazić co działo się wówczas przy tych wiadrach. Byliśmy po prostu wygłodniali.

Trasa nasza była skomplikowana. Wiodła przez Mołodeczno do Mińska Litewskiego. W Mińsku wypuszczono nas z wagonów. Wielu z nas udało się do bufetu kolejowego. Kupowaliśmy od przerażonych sprzedawców bufetowych wszystko, co było do jedzenia — jednak głównie zupę i chleb. Płaciliśmy polskimi złotymi, które chętnie bez wahania brali. Płaciliśmy według kursu zupełnie „na oko", tj. według własnej „wyceny". Sądzę, że nie wszyscy płacili.

W Wielkich Łukach wyprowadzono nas z wagonów i przeprowadzono przez miasto. Idąc w kolumnie zobaczyliśmy *Magazin,* do którego stała długa kolejka. Z tego *Magazinu* wynosili ludzie bochenki chleba. Kilku z nas wyskoczyło z kolumny, weszliśmy do sklepu i „kupiliśmy" sobie chleb. Nikt ze stojących w kolejce i sprzedających nie protestował.

Przez miasto zaprowadzono nas do drewnianego baraku, w którym mieściła się stołówka. Stoły, kwadratowe krzesła, na stołach pokrojony chleb, zupa w talerzach. Nasi wygłodniali żołnierze rzucili się na chleb w sposób odpowiadający ich stanowi głodu. Oficerowie sowieccy przyglądający się nam w tej stołówce wyrażali oburzenie, jak bardzo *niekulturno* zachowujemy się. Widziałem ich wiele lat później, jak równie wygłodniali rzucali się na jedzenie *oczeń niekulturno.*

Na ścianach w tym baraku-stołówce były afisze polityczne, z których jeden dobrze zapamiętałem. Oficer polski w złośliwej karykaturze maltretował biednego żołnierza polskiego. Przy tym umieszczony był niezrozumiały dla nas napis po rosyjsku. Były afisze z opasłymi kapitalistami i szlagonami dręczącymi robotników polskich. Nie widziałem ani jednego afisza z tematem niemieckim!

Zachowanie się naszych żołnierzy w stosunku do Sowietów było pełne godności, jeśli nie wyższości, często nawet prowokujące. Uczucia strachu nigdzie nie widziałem. Uczucie do nich było uczuciem pogardy, ale i tak typowego dla nas — lekceważenia. Wyobrażam sobie, jak ich to musiało drażnić.

Podróż była bardzo długa, pełna długotrwałych postojów i nieustannego czekania nie wiadomo na co. Przy okazji jakiegoś postoju, na bardzo donośne kołatanie do drzwi wagonu, drzwi zostały w końcu otwarte, a my wyskoczyliśmy z wagonu „za potrzebą". Żołnierze-wartownicy zauważyli, że wielu szybko, biegiem oddalało się od pociągu. Krzyczeli do nich — *dawajtie nazad.* No, ale nie po to oni uciekali, aby usłuchać takiego wezwania. Po daremnych okrzykach żołnierze strzelili kilkakrotnie w ich kierunku, ale widziałem, że raczej celowali w niebo, niż do uciekających. Wkrótce i tego zaniechali. Nam kazali ładować się do wagonu i oświadczyli, że nasi koledzy daleko nie uciekną.

Zmęczenie drogą było ogromne. W końcu dotarliśmy do stacji kolejowej Ostaszków. Tu miał się zacząć nowy etap. Z pociągu wyprowadzono nas do niewielkiego portu, przystani przy brzegu. Wówczas nie wiedzieliśmy, czy to brzeg rzeki, czy jeziora. Na wodzie stała nieduża prymitywna łódź z motorem. Do niej liną przymocowane były łodzie płaskodenki. Ładowano nas do nich z dużą nerwowością, krzykami i popędzaniami. Było ciemno. Paliły się mdłym światłem jakieś lampy przy brzegu. Wreszcie ruszył konwój łodzi.

Płynęliśmy około 2-3 godzin. Była to makabryczna jazda. Po raz pierwszy w mojej łodzi usłyszałem wredne głosy, plugawe o Polsce, o Marszałku, o Prezydencie, wypowiadane z nienawiścią i szyderstwem, w sposób chamski. Przyglądałem się ludziom wy-

powiadającym te słowa. Na czapkach wojskowych nie mieli orzełków. W to miejsce znalazły się tam jakieś strzępki czerwonego materiału. Było ich dwóch, może trzech. Dwóch z nich miało wybitnie semickie twarze. Trzeci zarówno z akcentu jakim mówił, jak i z wyglądu twarzy mógł być Białorusinem, białoruskim komunistą. Starali się sprowokować innych do potakiwania. Nie udawało się. Już później w obozie w Ostaszkowie nie spotykałem ich. W ogóle nie było wśród naszej żołnierskiej braci żadnego podziału na czerwonych i białych. Ten incydent na łodzi miał charakter wyjątkowy. Kto wie, czy oni nie włożyli polskich mundurów dopiero przed załadowaniem do łodzi.

Wreszcie dopłynęliśmy do brzegu. Kazano nam wysiadać. Przystąpiono do organizowania nas w tak zwane przez nich „korpusy". Żadne stopnie wojskowe nie odgrywały tu roli. Część umieszczono w cerkwi, na pryczach wieloosobowych, pryczach jakby szufladach, wielopiętrowych. Ja znalazłem się w sali piętrowego budynku, również na pryczy-szufladzie. Ścisk na niej był nieprawdopodobny. Oczywiście nie było żadnej pościeli. Musieliśmy spać w mundurach obróceni w jedną stronę, a jeżeli ktoś chciał obrócić się na drugi bok, mógł to zrobić tylko obudziwszy swoich sąsiadów najbliższych i dalszych, aby wszyscy odpowiednio zmienili położenie. Rano można było zorientować się lepiej, gdzie jesteśmy. Byliśmy na niewielkiej wyspie, w środku której znajdowała się cerkiew, a opodal jej dawne budynki klasztorne. Był to kompleks klasztorny. Na wyspie znajdowało się niewielkie zadrzewienie, ale wyspę można było całą obejść w krótkim czasie. Rosły tam dęby, pod którymi znajdowaliśmy żołędzie. Jeden z moich kolegów przypiekał żołędzie na blasze, a potem mielił je i robił z nich... kawę.

Jedzenie na „korpusy" wydawano w wiadrach. Była to prawie zawsze zupa z ryby, o ogromnych ościach. Fasowano też chleb. Racje były wciąż niewystarczające. Nie wynikało to wszakże z przyznawania niskich racji codziennych, co może też miało miejsce, ale z ogólnego nieprzygotowania obozu. Wydawanie zupy w wiadrach bez żadnych naczyń było chyba wyrazem takiej właśnie sytuacji. Brak też było dostatecznych zapasów w magazynach, nawet na potrzeby bieżące.

Pewnego razu ustawiono nas czwórkami niemal wokół wyspy. Czoło kolumny znajdowało się w miejscu, do którego przybijały łodzie i *parochod* — łódź motorowa. Okazało się, że w kilku łodziach został dostarczony chleb, ułożony w stertę na dnie łodzi. Wydawano dwa bochenki chleba na jedną czwórkę. Mieliśmy odbierać chleb z rąk sowieckich żołnierzy, którzy utworzyli szereg do łodzi i w ten sposób posuwając się miarowo, każda czwór-

ka otrzymała 2 bochenki. Nasi rodacy mają jednak szczególne zdolności. Wnet czoło kolumny dołączyło do ogona. Chleb wydawano, a kolumna nie malała. Żołnierze sowieccy wydali cały chleb, a nasza kolumna nie malała, mimo że wciąż poruszała się do przodu. Kazano nam zatrzymać się, a oficerowie sowieccy poszli w kierunku końca kolumny i gdy stwierdzili, że stoi tam jeszcze ogromna ilość głodnych czwórek, zaczęli przyglądać się nam uważnie, no i nie mogli nie dostrzec w płaszczach, pod pachami bochenków chleba u czekających na fasunek. Sporo było krzyku.

Ostaszków leży, jak dowiedzieliśmy się, przy linii Wielkie Łuki - Bołogoje. Jezioro, jak się wkrótce okazało, nazywa się Seligar. Nasza wyspa była największa na jeziorze. Do brzegu sąsiedniej wyspy lub lądu stałego było około 300-400 m. Brzeg był zadrzewiony. Wzdłuż brzegu naszej wyspy były z rzadka rozstawione posterunki. Po terenie wyspy mogliśmy poruszać się swobodnie. Na centralnym placu, obok cerkwi, umieścili Sowieci wielką szkicową mapę Polski, na której narysowano sowiecko-niemiecką granicę biegnącą Wisłą i dzielącą Warszawę między Niemców i Rosję Sowiecką. Było to w pierwszej połowie października.

Wkrótce pojawiły się towarzyszki ludzi żyjących w brudzie — pluskwy i wszy. Było to prawdziwe utrapienie i zajęcie chyba dla wszystkich.

Łaziłem po wyspie i pomału nazbierało się trochę informacji. Przy wejściu do cerkwi znajdowała się tablica wskazująca, że był tu klasztor wzniesiony w 1864 roku. Sama cerkiew zbudowana w stylu pseudoromańskim, wskazywała, że jest to egzemplarz architektury toskańskiej. Musiała być wzniesiona w pierwszej połowie XIX wieku. Opowiadano, jakoby przed naszym przyjazdem do Ostaszkowa mieli tam przebywać hiszpańscy emigranci po upadku komuny w Hiszpanii.

Wspomniałem o pluskwach i wszach — były też karaluchy, były szczury, zawilgocenia ścian. Warunki higieniczne fatalne. Myliśmy się nad brzegiem jeziora, nie mieliśmy mydła. Notorycznie brakowało wody pitnej. Jedzenie z małej kuchni wydawano w wiadrach. Była to z reguły zupa rybna. Sanitariat urągał każdemu wymaganiu. Oto na I-szym piętrze w jednej z izb wybito otwór na wylot w ścianie zewnętrznej, przybito do ściany skośne deski — i to był nasz WC.

Można sobie łatwo wyobrazić, jak wyglądała zewnętrzna ściana budynku, w którym mieszkaliśmy i jakie zapachy unosiły się wewnątrz i zewnątrz. Protestowaliśmy u oficerów sowieckich i dało to wkrótce zaskakujący efekt. Wejście do tego WC na pierw-

szym piętrze zostało zagrodzone dwiema deskami przybitymi na krzyż. Lokatorzy sąsiadującej z tym pomieszczeniem izby zostali przeniesieni do innych sal, i tak już przegęszczonych, a w opróżnionej izbie wybito duży otwór w ścianie zewnętrznej i skośnie do tego otworu przybito szerokie deski po stronie zewnętrznej, które miały odprowadzać fekalia z wybitego otworu.

Jak wspomniałem, po obozie kręcili się wśród nas liczni oficerowie sowieccy, wciąż gotowi do rozmów z nami. My również ciekawi byliśmy, co nas czeka i jakie są wiadomości z Polski. Rozmowy, na ogół w grupach, z poszczególnymi oficerami sowieckimi, prowadziły z reguły do dyskusji politycznych, do porównywania warunków życia u nich i u nas i do przewidywanej przez nas wojny sowiecko-niemieckiej. Nie zdradzali żadnej sympatii dla Niemców, ale też kategorycznie odrzucali możliwość napaści Niemiec na Związek Sowiecki. W dyskusjach operowali stekiem haseł i komunałów, z którymi jeszcze nie byliśmy oswojeni. Stanowiły one zaprzeczenie logicznego toku myślenia. Na przykład tłumaczono nam, że wszelka działalność człowieka ma charakter polityczny, łącznie z badaniami naukowymi i wychowaniem dzieci. Oficerowie sowieccy — „politrucy" — informowali nas, w jakich okropnych, nieludzkich warunkach żyliśmy w Polsce, a jak dobrze jest obywatelom sowieckim. Byliśmy już zbyt dobrze świadomi stanu faktycznego, aby ich rewelacje nie powodowały u nas reakcji w formie oburzenia lub nawet śmiechu. Dochodziło do namiętnych dyskusji i ostrych scysji. Nasi nie stracili „fasonu", a nawet tupetu i często, sprowokowani przez nich, naśmiewali się z ich zdobyczy, wskazując chociażby na tytoń *karaszki* i gazety używane przez nich zamiast bibułki do papierosów. Prowadziło to nieraz do wymownych gestów i gróźb z ich strony, kończących dyskusję ponurym milczeniem.

Kilkakrotnie przeprowadzano rewizję naszych rzeczy i ubrań. Nasz dobytek był na ogół niezmiernie ubogi. Jednak przy okazji rewizji okazywało się, że niektórzy spośród nas mają wiele przedmiotów pochodzących z rozbitych magazynów i kas cofających się oddziałów i jednostek tyłowych. Bywało, że niektórzy żołnierze mieli kilka koszul na sobie. Na sporym placu przy cerkwi powstała swoista giełda, na której wymieniano papierosy, konserwy wojskowe „R", bieliznę. Sprzedawano też te przedmioty za złotówki. Nikomu nie przychodziło do głowy, że żywot złotówki już się kończył. Byli i tacy, którzy kupowali ruble.

Był wśród nas pewien pan, podchorąży z lat wojny polsko-sowieckiej w 1920 roku. Miał małą walizeczkę, z którą się nie rozstawał. Spacerował z nią i nigdzie jej nie zostawiał. W czasie jednej z rewizji kazano mu ją otworzyć. Wewnątrz ukazała

się naszym i sowieckim oczom ogromna ilość nowych nieużywanych banknotów polskich w banderolach. Tłumaczył sowieckim oficerom, że tuż przed wybuchem wojny wygrał tę ogromną sumę na loterii państwowej i nie miał czasu zostawić jej, więc zabrał ze sobą na wojnę. Oficerowie sowieccy nie tylko mu nie uwierzyli, ale zabrali całą walizeczkę z zawartością. Niefortunny posiadacz wygranej w loterii państwowej zażądał pokwitowania. Doprowadziło to naszych gospodarzy do wesołości. Zapytali o sumę, po czym na oderwanym świstku papieru z brzegu gazety napisali jakąś kwotę, nie licząc pieniędzy, i dali mu ze śmiechem: „Masz tu jeszcze o sto tysięcy złotych więcej!". Podchorąży starannie zwinął „kwitancję" i schował do portfela. W czasie rewizji jednemu z jeńców zabrano pistolet. Tu już nie było śmiechu. Nieszczęsnego miłośnika broni palnej krótkiej zabrali. Nie widzieliśmy go więcej.

W pomieszczeniach piwnicznych umieszczono policjantów, żandarmów i żołnierzy Korpusu Ochrony Pogranicza, specjalnych oddziałów wojskowych utworzonych w roku 1926 dla ochrony granicy wschodniej Rzeczypospolitej. Było to wojsko doborowe, które we wrześniu 1939 roku na wielu odcinkach granicznych prowadziło zażarte walki z wkraczającymi na nasz teren oddziałami Armii Czerwonej. Nie wypuszczano ich z piwnic, a nam posterunki żołnierzy sowieckich uniemożliwiały jakikolwiek kontakt z nimi. Tamże, w piwnicach, zgromadzono osadników wojskowych, którzy po zwycięskiej wojnie 1920 roku otrzymali działki ziemi ornej, nieraz z zabudowaniami, po opuszczonych właścicielach. Byli to żołnierze szczególnie zasłużeni w wojnie, a akcja osadnictwa wojskowego cieszyła się poparciem marszałka Piłsudskiego.

Któregoś dnia, w końcu października 1939 roku, wybrano z tzw. korpusu (zgrupowania) do którego należałem (korpusów było 22, a jeńców kilka tysięcy) około 500 żołnierzy. W grupie tej znalazłem się i ja. Niezrozumiałe było kryterium, według którego grupę tę sformowano. Nakazano nam zabrać *wieszczi* i zaprowadzono czwórkami do przystani. Zostaliśmy załadowani na statek-*parochod* i przyczepione do niego łodzie. Przez jezioro Seligar popłynęliśmy do Ostaszkowa, do stacji kolejowej mieszczącej się przy przystani. Tam załadowano nas do wagonów towarowych, przystosowanych do przewożenia ludzi. W środku wagonu, na wprost wejścia, znajdował się piecyk żelazny, a z prawej i lewej jego strony umieszczone były w poprzek wagonu dwie warstwy grubych desek, na których mogliśmy się położyć. Zapowiadało to długą podróż. Cały nasz pociąg składał się wyłącznie z takich wagonów.

Oczywiście nikt nie powiedział nam, dokąd mamy być przewiezieni. Wagony nie miały okien, poza małym okienkiem, jak zwykle w wagonach towarowych. Czyniono przeróżne przypuszczenia od najbardziej przerażających aż do krańcowo naiwnych, jak odwiezienie nas do Polski. Żołnierze i oficerowie zachowywali jednak dużo spokoju i optymizmu, chyba raczej z wiekiem bardziej związanego, niż z jakimiś przesłankami logicznymi.

Wkrótce zapadł zmrok. Pociąg mknął nie zatrzymując się na żadnych stacjach według których można by zorientować się, w którym kierunku jesteśmy wiezieni. Ktoś kto miał kompas, zdołał wywnioskować, że wiozą nas w kierunku północno-wschodnim. Czy aby na pewno? To wszak bardzo niebezpieczny kierunek. Zapadliśmy w sen.

Jechaliśmy całą noc stłoczeni na deskach. Panowała zupełna ciemność. Gdy rano pociąg zatrzymał się na jakiejś stacji, był jeszcze blady świt. Z zewnątrz odsunięto ciężkie drzwi i kazano nam wychodzić. Jakież było nasze zdumienie, gdy odczytaliśmy na peronie napis stacji — Ostaszkow. Zaprowadzono nas do przystani i ponownie załadowano na statek i przyczepione do niego łodzie. Przywieziono nas z powrotem na wyspę i skierowano do tych samych korpusów. Nikt nam niczego nie wyjaśnił. Jednak musiało się coś wydarzyć, czego nie chciano nam powiedzieć. Był to pierwszy wypadek transportu z obozu w Ostaszkowie. Działo się to w końcu października lub na początku listopada 1939 roku. Domysłom nie było końca. Chodziły wśród nas różne pogłoski, żadnej nie należało wykluczać. Ktoś przyniósł wiadomość od sowieckich żołnierzy, jakoby naszym przeznaczeniem miał być obóz pracy na dalekiej północy, że z Moskwy nadeszły rozkazy zmieniające dotychczasowe polecenia.

W gronie osób, które miały być wywiezione znajdowali się żołnierze wszystkich stopni oficerskich, podoficerskich i szeregowi. Dotychczas nie czyniono właściwie w Ostaszkowie żadnych wyraźnych różnic między oficerami i szeregowymi czy podoficerami. Później miało się to zmienić. Związek Sowiecki nie podpisał konwencji genewskiej o traktowaniu jeńców wojennych, co miało się potem tragicznie odbić na losie żołnierzy sowieckich w niewoli niemieckiej. Z drugiej strony nie było jasne, czy byliśmy właściwie jeńcami wojennymi, skoro między Polską a Związkiem Sowieckim nie było stanu wojny w 1939 roku. Oficerowie i żołnierze sowieccy mówili o nas *wojennoplennyje,* i byliśmy „pod opieką" Armii Czerwonej. Nie uważano nas za internowanych, jak to miało miejsce w 1939 i w 1940 roku na Litwie.

Nieustannie prowadzona była jakaś rejestracja, której wszyscy podlegali. Stawiano nam coraz to inne pytania, związane rów-

nież z zawodem, znajomością takich czy innych rzemiosł czy umiejętności. Rejestrujący wyrażali często zdziwienie, gdy pytany ujawniał znajomość języków zachodnich. Spytałem ankietującego mnie podoficera, czy u nich nie uczą w szkołach obcych języków. Odpowiedź była prosta. Oczywiście uczą, ale języków używanych w Związku Sowieckim.

W powodzi rejestracji zdarzyła się jedna, która mnie zelektryzowała. Rozpoczęto rejestrację żołnierzy, pochodzących z województw Polski wcielonych do Reichu. Dotyczyła wyłącznie szeregowych, urodzonych na terenie tychże zachodnich województw. Równocześnie krążyła pogłoska, że żołnierze ci zostaną przekazani do Niemiec w zamian za Białorusinów i Ukraińców, znajdujących się w niewoli niemieckiej. Powstała u mnie pokusa skorzystania z tej okazji, aby wyrwać się z niewoli sowieckiej. A potem — zobaczymy. Uważałem, że niczego dobrego nie możemy spodziewać się od naszych gospodarzy. Niedawny wyjazd z Ostaszkowa działał jak ostrzeżenie. Podzieliłem się myślami z ppor. Jerzym Lorentzem i namawiałem go do skorzystania z okazji. Upierał się jednak, że oficer w żadnych warunkach nie powinien zapierać się swego stopnia oficerskiego. Powiedział mi, że jako *gentleman* nie może udawać szeregowego i uciec w ten sposób. Że byłoby to demoralizujące wobec naszych szeregowych. Tłumaczyłem mu daremnie, że pojęcie *gentleman*'a w tym świecie sowieckim nie istnieje, jest niezrozumiałe, że mamy do czynienia z ludźmi, którzy nas nie rozumieją, i których my też nie jesteśmy w stanie zrozumieć. Że jest to świat należący do innego obszaru kultury. Daremnie! Nie zgodził się i pozostał w obozie w Ostaszkowie. Kilka lat później nazwisko jego odczytałem na liście katyńskiej.

W sierpniu 1939 roku przebywałem pod Kórnikiem, w Poznańskiem. Przypomniałem sobie te kilka dni tam spędzonych i stały się one natchnieniem chwili. Zgłosiłem się do rejestracji jako szeregowy, *riadowoj* urodzony w Kórniku pod Poznaniem. Oczywiście nie miałem już na sobie żadnych dystynkcji stopnia. Zapytał mnie rejestrujący jeszcze dla porządku, co robił mój ojciec. Na jego użytek był kolejarzem. Wszystko poszło gładko. Wkrótce nasz transport został skompletowany. Nikt ze strony sowieckiej nie powiedział nam do ostatniej chwili, jaki ma być nasz dalszy los. Nasze założenia w działaniu oparte były w największej mierze na domysłach, plotkach i przypuszczeniach. Wkrótce załadowano nas na statek i łodzie i odpłynęliśmy z wyspy, pozostawiając ogromną większość zwiezionych tam żołnierzy.

Dalsze losy pozostałych na wyspie w Ostaszkowie nigdy nie zostały wyjaśnione , warto więc jeszcze kilka słów poświęcić temu

obozowi, a zwłaszcza oficerom w Ostaszkowie. Nie przypominam sobie, aby w okresie mojego pobytu został sformowany tam jakiś „korpus" (jak to Rosjanie nazywali) złożony wyłącznie z oficerów. W korytarzu pierwszego piętra, gdzie było moje legowisko, przebywali oficerowie, podoficerowie i szeregowi, jak również podchorążowie. Rzecz jasna oficerowie sami chętnie grupowali się i głównie oficerowie prowadzili dyskusje czy rozmowy z oficerami sowieckimi. Nie pamiętam jednak, aby wśród nas przebywali oficerowie starsi stopniem. Oficerowie wraz z podchorążymi stanowili nieliczną elitę umysłową obozu, zważywszy że ogromną większość jeńców stanowili szeregowi. Postawa oficerów i szeregowych była na pewno nie w smak sowieckiej załodze obozu. Polacy trzymali się dobrze. Przekonani byli o zwycięskim końcu wojny dla naszego kraju i o tym, że w którejś fazie dojdzie do wojny między Niemcami a Sowietami. W Armii Czerwonej chciano widzieć przyszłego wroga Niemiec, a naszego przyszłego sojusznika. Jednak oficerowie sowieccy nie zgadzali się z takim *wishful thinking*. Byli do nas nastawieni wyraźnie wrogo. (Oficerowie polscy lekarze w porozumieniu z oficerami sowieckimi zorganizowali jednak służbę lekarską dla jeńców. Niewiele o niej mogę powiedzieć, bo nie było potrzeby, abym z niej korzystał).

Sądzę, że nikt nie przewidywał tragedii katyńskiej, choć różne obawy zdradzano. Z oficerów, którzy byli jeńcami sowieckimi w Ostaszkowie w 1939 roku, wielu znalazło się na liście katyńskiej. Oznaczałoby to, że zostali przewiezieni z Ostaszkowa do Kozielska, skąd, jak dziś już wiadomo, wyprawiano naszych oficerów na śmierć w Katyniu. Do nich właśnie należał podporucznik rezerwy 13 pułku ułanów wileńskich Jerzy Lorentz, przed wojną zamieszkały w Gdyni, o którym wspomniałem już wyżej. Było wśród nich też wielu oficerów Policji Państwowej.

Jako szczególną ciekawostkę sowieckiego sposobu „dokształcania" nas w Ostaszkowie można traktować wyświetlanie dla nas w cerkwi filmu sowieckiego o historii Rosji. Film musieli obejrzeć wszyscy jeńcy, bez względu na to, czy mieli ochotę. To zadanie wymagało kilku projekcji w największym pomieszczeniu w obozie, to jest cerkwi, gdzie również na kilkupiętrowych pryczach ulokowano jeńców polskich. Seanse odbywały się *non stop* cały dzień i noc. Na mój korpus przypadła godzina 2-ga w nocy. Zostaliśmy okrzykami obudzeni i zaprowadzeni do cerkwi. Mieszkańcy cerkwi na swoich wyrach musieli pomieścić jeszcze nas. Zasypialiśmy nieustannie w czasie filmu, ale oficerowie sowieccy budzili nas krzykami, zmuszając do oglądania filmu.

Choć nic nie było pewnego co do naszej przyszłości, byliśmy

w znakomitych nastrojach, gdy zarejestrowani do wyjazdu opuszczaliśmy Ostaszków. Traktowano nas, zakwalifikowanych do wyjazdu z Ostaszkowa na Zachód, zdumiewająco życzliwie i uprzejmie. Chyba i w tym ujawniał się odwieczny kompleks Rosjan w stosunku do Zachodu.

W Ostaszkowie zostaliśmy załadowani do wagonów towarowych, ale posiadających piecyki i drewno na opał obok piecyków, otrzymaliśmy sporo prowiantu i mogliśmy w cieple wylegiwać się na pryczach zrobionych z desek. Było to około 20 listopada 1939 roku. Tym razem jazda była dużo szybsza, a i miejsca było więcej. Na głód w czasie drogi nie mogliśmy się uskarżać. Na terenie Polski przeprowadzono nas do wagonów osobowych. To już był zupełny komfort.

Już na terenie Polski okupowanej przez Sowiety, już po przeprowadzeniu nas do wagonów osobowych usłyszałem wśród naszych żołnierzy język niemiecki. Rozmawiających w tym języku przybywało. Ci, którzy się nim porozumiewali, nie mieli orzełka przy czapkach. Byli to różnego rodzaju *Volksdeutsche* i Niemcy. Nie ukrywali złośliwego, a nawet bezczelnego i wrogiego stosunku do nas, Polaków, mówiących po polsku. Ujawnili się zupełnie nieoczekiwanie, choć można było wszak liczyć się z taką możliwością. Czuliśmy się powtórnie upokorzeni, ale odwdzięczaliśmy się niejedną złośliwością.

Ta coraz bardziej nieprzyjemna droga doprowadziła nas w końcu do Brześcia nad Bugiem. Na dworcu pociąg nasz stał wiele godzin, w czasie których można było dowolnie przyglądać się otoczeniu. Od strony zachodniej szli wzdłuż torów kolejowych żołnierze polscy, pojedynczo, czasem w niedużych grupach. Byli to żołnierze przekazani Armii Czerwonej przez Niemców w trybie wymiany, na którą i my oczekiwaliśmy, lecz w odwrotnym kierunku. Szli już zwolnieni przez władze sowieckie szukając pociągów, którymi mogliby dostać się do swoich domów. Przeważnie nieśli tornistry na plecach, czasem chlebaki, czasem jakieś pakunki. Informowali nas, odpowiadając na pytania chętnie i szeroko. Mieli za sobą doświadczenie niewoli niemieckiej i wydawało się im, że znaleźli się na wolności. Na dworcu panował ogromny ruch. Poza powracającymi żołnierzami polskimi pełno było wojska sowieckiego, była też ludność cywilna, zachowująca się wyraźnie niepewnie. Pomostem nad torami kolejowymi przechodziły masy cywilów i nieco żołnierzy polskich, zapewne zwolnionych do domu. Uderzała wielka ilość czerwonych flag.

Po wielogodzinnym oczekiwaniu pociąg nasz ruszył w kierunku... wschodnim. Było to przerażające. Po naszych doświadczeniach całonocnego wyjazdu z Ostaszkowa można było spodziewać

się ponownej zmiany decyzji. I tym razem sowiecka odpowiedź na nasze zapytania nic nie wyjaśniła: „Nie niepokójcie się". Nastroje opadły, plany moje, zdawało się, nie zostaną zrealizowane. Liczyłem wszak, że podobnie jak Rosjanie, Niemcy zwolnią nas natychmiast po wymianie i że wtedy będzie można dostać się na Węgry lub do Rumunii, skąd dalej do wojska polskiego we Francji. Utworzenie rządu polskiego w Paryżu przez gen. Sikorskiego było wszystkim nam wiadome, trudno dziś dociec, jakimi drogami wieści te do nas docierały. Ważne były trzy sprawy. Po pierwsze wydobyć się z rąk sowieckich, po drugie zawiadomić rodzinę o swoim losie i dowiedzieć się o losie rodziny, po trzecie zmykać przez Węgry lub Rumunię z rąk niemieckich do Francji. Ale podstawowym warunkiem było wydostać się z niewoli sowieckiej.

Pociąg wiozący nas zatrzymał się w Kobryniu, niewielkim miasteczku oddalonym o około 25 km od Brześcia. Odstawiono nasz pociąg na boczny tor i otworzono wagony. Mogliśmy swobodnie poruszać się w pobliżu pociągu. Przemyśliwałem, czy by nie dać nogi. Nieznajomość terenu, nieznajomość języka rosyjskiego i nieustanne zapewnianie nas, że tu będziemy oczekiwać niedługo na przekazanie nas stronie niemieckiej zadecydowały, że postanowiłem czekać. Czekaliśmy jednak kilka dni.

W pobliżu postoju naszego pociągu stał nieduży domek. Mieszkała w nim samotna kobieta, której mąż nie wrócił jeszcze z wojny. Była dla nas kilku, którzyśmy się u niej znaleźli, niezmiernie serdeczna. Częstowała nas zabitym niedawno wieprzkiem i wódką. Siedziała z nami całymi dniami i popłakiwała. Biedna Polka, którą niespodziewany los skazał na życie pod sowiecką władzą.

Po kilku dniach spędzonych w wagonie na oczekiwaniu i wszelkiego rodzaju spekulacjach odezwały się nagle przeraźliwe gwizdki. Ruszyliśmy do pociągu. Mój kolega z Ostaszkowa, Feliks B. i ja byliśmy tym razem optymistami. I rzeczywiście dowieziono nas do Brześcia. Żołnierze sowieccy otwarcie już mówili nam, że zostaniemy przekazani w ręce niemieckie. Z dworca prowadzono nas pieszo w kierunku mostu. Szliśmy torem kolejowym, po którym już nie jeździły pociągi, gdyż jak się okazało most był w znacznym stopniu uszkodzony, ale po którym nas „gęsiego" przeprowadzono na stronę zachodnią. Tuż przed mostem każdy z nas otrzymał bochenek chleba i kawałek mydła. Był to pierwszy kawałek mydła, który dostałem w niewoli sowieckiej. Nie pamiętam też, aby tak hojnie częstowano nas kiedykolwiek w drodze i w Ostaszkowie chlebem. Prowadzono nas prawą stroną mostu, prawym chodnikiem. Idziemy w kierunku

zachodnim. Po lewej stronie mostu idą polscy żołnierze, w kierunku przeciwnym — od Niemców do Sowietów. Krzyczymy do nich: „Idźcie do tego sowieckiego raju, spróbujcie go!" oraz pukamy się znacząco w czoło. Odpowiadają nam bardzo podobnie, zastępując słowa „sowieckiego raju" słowami „niemieckiego raju". Dochodzimy do zachodniego brzegu Bugu. Jeszcze sto metrów, jeszcze pięćdziesiąt i już! Jesteśmy na niedużej polanie. Stoją Niemcy, oficerowie i szeregowi. Oficerowie sowieccy liczą nas po dziesięciu i przekazują Niemcom. Niemcy liczą nas po dziesięciu i ustawiają po swojemu, wydają komendę po niemiecku i krzyczą niezrozumiałe słowa. Każdy z nas trzyma w ręku bochenek sowieckiego chleba i kawałek sowieckiego mydła. Jesteśmy w rękach niemieckich.



Z Terespola, po długim oczekiwaniu na pociąg, przewieziono nas przez Warszawę do Stargardu pod Szczecinem. Tam zostaliśmy umieszczeni w namiotach. Było przeraźliwie zimno. Jedzenie, które nam Niemcy dawali było bardzo niedostateczne i cierpieliśmy głód. O żadnym zwolnieniu nas z niewoli nie było mowy. Obóz był otoczony drutem kolczastym, a na słupach umieszczono reflektory. Wzdłuż drutów kolczastych otaczających nasz STALAG II D spacerowali Niemcy z psami i karabinami. Wokół całego obozu znajdowały się wysokie wieże wartownicze. Żadnej nadziei na ucieczkę. Chyba jakimś sposobem. Ale jakim? Znalazłem się w namiocie wraz z szeregowymi, którzy już dawniej byli w obozie w Stargardzie. Nas, przybyłych z niewoli sowieckiej, po prostu „dopychano" do i tak pełnych namiotów. Nikt nas nie rejestrował. Byliśmy wciąż liczeni na sztuki.

Właśnie w czasie, gdy przywieziono nas do Stargardu przeprowadzana tu była rejestracja żołnierzy pochodzących z terenów włączonych do Związku Sowieckiego. Pamiętając, że przybyłych z niewoli niemieckiej żołnierzy polskich sowieci zwalniali natychmiast w Brześciu do domu, postanowiłem zaryzykować. Zgłosiłem się do wyjazdu na wymianę do Związku Sowieckiego. Przyjęto moje zgłoszenie. Zapisano jak podałem, że urodziłem się w Nowo-Wilejce, że jestem szeregowym i przeniesiono mnie do namiotu, w którym oczekiwali na wymianę żołnierze polscy narodowości białoruskiej i ukraińskiej. Czułem się w tym namiocie „niesporo". Nikt tam nie używał języka polskiego, ja zaś nie znałem ani białoruskiego, ani ukraińskiego. Niebezpieczne przy tym były moje buty oficerskie z cholewami od Niedzińskiego, doskonałego szewca z Warszawy. Również spodnie uszyte przez dobrego krawca mogły coś łatwo zdradzić. Długi płaszcz żołnier-

ski i kurtka żołnierska kryły jednak częściowo spodnie i buty.

W namiocie był pewien chorąży, starszy pan. Długo z nim rozmawiałem, a i on wydawało się nie znał ukraińskiego i białoruskiego. Opowiedziałem mu swoje przygody i zamiary. Już następnego dnia przyszedł po mnie *Wachman* z karabinem i zaprowadził do komendantury obozu. Bardzo długo przesłuchiwano mnie. Upierałem się, że jestem szeregowym, urodzonym w Nowo-Wilejce i że dostałem się do niewoli niemieckiej pod Kutnem. Niestety wszystkie moje słowa zostały uznane za nieprawdziwe. Koronnym moim oskarżycielem był ów chorąży. Zostałem oskarżony o prowadzenie z ramienia sowieckiego jakiejś roboty wśród żołnierzy. Uznano, że jestem agentem sowieckim. To już było za dużo. Sprawa mogła stać się bardzo niebezpieczna i w końcu absurdalna. Postanowiłem przyznać się do wszystkiego. Ale teraz niemiecki *Abwehroffizier* nie wierzył mi. Siedziałem w areszcie w Stargardzie przez 2-3 tygodnie, zanim zostałem uznany przez niemieckiego komendanta obozu za winnego wprowadzania w błąd władzy niemieckiej, ukarany dwutygodniowym aresztem i przewieziony do Oflagu specjalnego VIII B w Silberberg, dziś Srebrna Góra w Sudetach. Tak zakończyły się definitywnie moje sprawy z niewolą sowiecką.



O wymianie jeńców polskich między Niemcami a Związkiem Sowieckim nie można doszukać się żadnych podstawowych informacji. Jest to jeszcze jedna „biała plama", którą należałoby wyjaśnić.

Józef HLEBOWICZ

NOTA BIOGRAFICZNA AUTORA

W wyniku represji rosyjskich po powstaniu styczniowym rodzina moja znalazła się w Rosji. Urodziłem się 27 listopada 1916 roku w Petersburgu, gdzie ojciec mój pracował w tamtejszym oddziale Grédit Lyonnais. Do Polski wróciliśmy w 1919 roku, po rocznym pobycie u rodziny na Litwie.

W Warszawie ukończyłem gimnazjum E. Rontalera, a następnie w 1936/1937 Szkołę Podchorążych Rezerwy Kawalerii w Grudziądzu z przydziałem do 13 pułku ułanów wileńskich w Nowej Wilejce. W czasie wojny przebywałem w niewoli sowieckiej (w Wilnie i w Ostaszkowie), w karnych obozach oficerskich — oflagach w Silberberg (Srebrna Góra), Colditz, ponownie Silberberg, Sandbostel, w więzieniu w Hamburgu i w Germersheim nad Renem (1 rok), w oflagach Lubeka i Dössel, gdzie zostałem uwolniony 1 kwietnia 1945.

W okresie 17 kwietnia 1945 - 30 sierpnia 1946 pełniłem funkcję oficera łącznikowego przy 822 Military Government Detachment w Brunswiku, a następnie w Londynie zostałem przydzielony pm. szefa Sztabu Głównego gen. Kopańskiego, jako oficer do zleceń gen. dyw. Tadeusza Piskora. W maju 1947 roku wróciłem do Polski.

DOKUMENTY

Vincenzo Mario **PALMIERI**

REZULTATY DOCHODZENIA W LESIE KATYŃSKIM

W Wielką Sobotę 24 kwietnia 1943 roku zostałem powiadomiony telefonicznie, że władze niemieckie wyznaczyły mnie, za zgodą naszego Rządu, na członka Międzynarodowej Komisji, która miała natychmiast udać się na front rosyjski w okolicę Smoleńska celem przeprowadzenia dochodzenia o charakterze medyczno-sądowym nad wielką ilością zwłok ekshumowanych w lesie katyńskim.

Czytałem już coś na ten temat w naszych gazetach, ale oczywiście nie przypuszczałem, że spotka mnie ten zaszczyt, bym mógł wziąć udział, i w dodatku w tak doniosły sposób, we wspólnym, naukowym zbadaniu tego smutnego odkrycia.

W Niedzielę Wielkanocną byłem już w drodze do Rzymu, skąd, po dokonaniu koniecznych formalności, wyruszyłem do Berlina, gdzie Komisja miała się zebrać we wtorek 27 kwietnia.

Było nas 14 przedstawicieli z następujących krajów: Belgia, Bułgaria, Chorwacja, Dania, Finlandia, Francja, Włochy, Holandia, Protektorat Czech i Moraw, Rumunia, Słowacja, Hiszpania, Szwajcaria i Węgry. Delegat hiszpański, prof. Piga, do tego stopnia źle zniósł podróż samolotem, że nie mógł — ku swojemu i naszemu żalowi — kontynuować podróży i wrócił do Madrytu.

Delegat francuski, prof. Costedoat, lekarz inspektor, wysłany przez swój Rząd, wziął udział w pracach Komisji w charakterze obserwatora.

Wylecieliśmy dwoma samolotami przez Warszawę do Smoleńska, gdzie zostaliśmy gośćmi niemieckiej Kwatery Głównej.

W Smoleńsku ma również swą siedzibę służba medycyny sądowej zgrupowania wojsk środkowego frontu niemiecko-rosyjskiego, dowodzona przez bardzo zdolnego kolegę, prof. Buhtza z wydziału medycyny sądowej Uniwersytetu Wrocławskiego. Dzięki niemu mogliśmy korzystać z potrzebnych środków technicznych i personelu pomocniczego.

Ale przede wszystkim przypomnijmy fakty, które doprowadziły do podjęcia dochodzenia.

Pod koniec lutego 1943 roku, w lesie przy drodze Krasnybór-Katyń, ok. 15,5 km od Smoleńska, grupa robotników należących do oddziałów pracy przy armii niemieckiej odkryła zbiorowy grób, w którym znajdowało się wiele zwłok.

Odkrycie to nie było bynajmniej przypadkowe, wręcz przeciwnie — było wynikiem poszukiwań, podjętych przez wojskową policję niemiecką po zebraniu zeznań wśród okolicznych mieszkańców. Według tych zeznań od marca do początków maja 1940 roku na stację kolejową w Gniezdowie przyjeżdżało codziennie wiele wagonów z wojskowymi, których, nawet z dużej odległości, po mundurze można było rozpoznać jako polskich oficerów, a także paru cywili.

Oczekiwały na nich ciężarówki, które natychmiast odjeżdżały drogą w kierunku Katynia. Na długości 3-4 kilometrów droga ta jest otoczona z obu stron lasem, w którym od wielu lat GPU dokonywało egzekucji. Teren ten należał skądinąd do domu wypoczynkowego dla wysokich funkcjonariuszy tajnej policji sowieckiej, stojącego w pięknym, wręcz romantycznym miejscu w zakolu Dniepru, na południowo-zachodnim brzegu lasu.

Nikt nie był naocznym świadkiem ostatecznych losów więźniów, ponieważ wstęp do lasu był obcym zakazany. Ale słychać było strzały z broni palnej i krzyki, z czego można wnosić, że byli oni masowo rozstrzeliwani.

Po wybuchu wojny niemiecko-rosyjskiej w czerwcu 1941, na jesieni tego roku Smoleńsk został zajęty przez wojska niemieckie. Po przejściu jednostki niemieckiej, Polacy, idąc za wskazówkami okolicznych mieszkańców, na wiosnę 1942 roku rozpoczęli próbne wykopaliska w lesie katyńskim. Doprowadziły one do odkrycia zwłok. Dwa małe brzozowe krzyże, postawione na tym miejscu,

dały początek systematycznym badaniom rozpoczętym przez niemieckie władze wojskowe w marcu 1943 roku.

Zostały one ukoronowane pełniejszym, a równocześnie wstrząsającym sukcesem: na głębokości ok. 1,5 metra odkryto zbiorową mogiłę o wymiarach 28 × 16 metrów, zawierającą co najmniej 2.500 - 3.000 zwłok.

Badania były kontynuowane i również w innych 6 miejscach przyniosły pozytywny wynik. Możliwe, że tych sześć rozpoznanych mogił stanowi tylko jeden grób, o wymiarach dwukrotnie lub trzykrotnie większych od tamtego, całkowicie zbadanego.



Już podczas pierwszego spotkania członków Międzynarodowej Komisji w Berlinie, wieczorem dnia 27 kwietnia, zostały ustalone podstawowe zasady dotyczące dochodzenia.

Na wstępie podkreślę, że zadanie było czysto naukowe i nie mogło być inaczej. Komisja była międzynarodowym ciałem kolegialnym złożonym z biegłych, powołanym do dokonania medycznych ustaleń tanatologicznych, a pytania, jakie sobie postawiliśmy, były identyczne z tymi, z którymi śledczy zwraca się do biegłych, gdy zostają znalezione zwłoki jednej lub więcej osób:

1) identyfikacja zwłok;
2) stwierdzenie przyczyny śmierci;
3) określenie terminu, w którym ona nastąpiła.

By wypełnić to zadanie, Komisja posłużyła się następującymi środkami:

a) wizja lokalna;
b) przesłuchanie świadków;
c) zbadanie dokumentów znalezionych przy zwłokach;
d) zewnętrzne oględziny dużej liczby zwłok;
e) obdukcja niektórych z nich.

Niemieckie władze wojskowe oddały do naszej dyspozycji wszystkie możliwe środki, jakich tylko moglibyśmy potrzebować i usiłowały w najrozmaitszy sposób ułatwić wykonanie naszego zdania.

Oficjalną siedzibą Komisji było miasto Smoleńsk, a dokładniej to, co z niego pozostało po wielkim pożarze wznieconym przez wycofujących się Rosjan.

Piękne miasto nad Dnieprem, leżące przy historycznym trakcie prowadzącym od Bałtyku do Morza Czarnego i łączącym pół-

noc z europejskim wschodem, było zawsze miejscem spotykania się ludów, handlu, a także walk, tak jak to miało miejsce w 1812 roku, w epoce napoleońskiej, czy teraz, w roku 1941.

Spośród licznych historycznych i artystycznych zabytków przetrwała katedra (prawosławna), przebudowana w XVII wieku, zamieniona przez bolszewików w muzeum ateistyczne, a teraz przywrócona kultowi, starożytny pas murów i pomnik, wzniesiony w 1912 roku dla upamiętnienia setnej rocznicy bitwy francusko-rosyjskiej.

Komisja została ulokowana w dawnym hotelu „Mołotow", obecnie „Haus der Wehrmacht", w centrum miasta.

Autobus, oddany na stałe do naszej dyspozycji, woził nas z miasta do miejsc, które chcieliśmy zobaczyć, przede wszystkim do lasu katyńskiego, oddalonego od Smoleńska, jak już mówiłem, około 15 km.

Charakterystyczny fetor rozkładającej się materii organicznej upewnił nas, że jesteśmy na miejscu. Wejścia na teren strzegą wartownicy i ogrodzenie z drutu kolczastego. Dla zainteresowanych wstęp jest możliwy tylko w określonych godzinach i z przewodnikiem.

Nagle ukazuje się przed nami obraz przerażająco ponury, który domagałby się pióra Dantego albo pędzla Michała Anioła. Na polanie, porośniętej młodymi sosenkami i brzózkami, cherlawymi w porównaniu z rozrośniętymi drzewami otaczającego ją lasu, wielkie, kopane tarasowo groby, zawierające setki trupów ułożonych w stosach, jeden na drugim. Wszystkie ułożone na brzuchach, prawie wszystkie z wyciągniętymi nogami.

Doły mają po parę metrów głębokości; stosy są bardzo liczne. Wydaje się, jakby zwłoki były układane według pewnego porządku po bokach, a w środku raczej są w nieładzie.

Na wolnym terenie między jednym a drugim dołem leżą zwłoki już ekshumowane: wszystkie są całkowicie ubrane; prawie połowa ofiar ma ręce związane na plecach.

Stan zwłok jest ogólnie dość dobry, co z pewnością wynika z chłodnego klimatu panującego w tej okolicy, a jeszcze bardziej z piaszczystego terenu, w którym zwłoki pochowano.

Można zaobserwować różne stopnie i formy rozkładu, w zależności od ułożenia zwłok w grobie i względem siebie. Te, które leżały na wierzchu i po bokach dołu, znajdują się w bardziej lub mniej zaawansowanym stanie mumifikacji, podczas gdy w warstwach środkowych zaczęły się procesy maceracyjne, będące wynikiem ściekania płynów organicznych z wyższych warstw.

Polecamy przenieść wskazane przez nas zwłoki — zarówno spośród leżących jeszcze w dołach, jak i z już ekshumowanych

— na ustawione stoły i każdy z nas rozpoczyna własne obserwacje, dyktując sekretarzowi ich wynik.

Pierwsza faza badania makroskopowego dotyczy identyfikacji.

Zwłoki są, jak już wspomniałem, całkowicie ubrane i można łatwo rozpoznać zimowe umundurowanie właściwe oficerom polskim: płaszcz wojskowy z dystynkcjami, skórzana kurtka, mundur, odznaczenia, buty oficerskie; bielizna jest również kompletna, z wszystkimi dodatkami, jak szelki, paski i podwiązki.

Mundury i bielizna pasują dokładnie do wymiarów zwłok; wszystko jest starannie zapięte i na swoim miejscu. Nasycenie płynami organicznymi, fałdy ubrań, ich doskonałe przyleganie we wszystkich szczegółach do tkanki zwłok prowadzą do wniosku, że osoby te zostały pochowane w mundurach, które miały na sobie w chwili śmierci.

Oględziny kieszeni prowadzą przeważnie do znalezienia portfeli, listów, dokumentów, na podstawie których w ponad dwóch trzecich przypadków można dokładnie zidentyfikować zwłoki.

Dokumenty są w większości czytelne i o ich przekład zwracamy się do tłumaczy przysięgłych oddanych do naszej dyspozycji.

Często znajdujemy drewniane cygarniczki czy papierośnice z wyrytym słowem „Kozielsk" — nazwą sowieckiego obozu jenieckiego; znajdujemy również woreczki na tytoń, pudełka polskich papierosów i zapałek, wiele banknotów, ale żadnych przedmiotów wartościowych (pierścionki, zegarki), z wyjątkiem kilku medali. Zachowały się natomiast złote protezy dentystyczne. W jednym, zbadanym przeze mnie, przypadku brakowało zresztą całej szczęki, która — jak wynika z oględzin zębodołów — mogła już wcześniej zostać zastąpiona sztuczną szczęką.

Następnie Komisja przystąpiła do wysłuchania licznych świadectw chłopów rosyjskich z tej okolicy, którzy potwierdzili znane już zeznania dotyczące przyjazdów na stację w Gniezdowie pociągów wypełnionych polskimi oficerami w okresie między marcem i kwietniem 1940 roku, ich dalszego przewożenia samochodami ciężarowymi do lasu katyńskiego, krzyków, strzałów z broni palnej i zniknięcia wszystkich tych wojskowych.

Dla uzupełnienia wizji lokalnej udaliśmy się również na stację kolejową w Gniezdowie i do wioski Katyń. Zwiedziliśmy także willę przeznaczoną na dom wypoczynkowy dla agentów GPU, obecnie zajmowaną przez oficerów niemieckich.

Dokumenty znalezione przy zwłokach uprzednio już zbadanych zebrane są w biurze niemieckiej policji polowej o paręset metrów od lasu; na ich oglądaniu spędziliśmy tam kilka godzin.

Doprawdy, niczego wśród nich nie brakowało: legitymacje, listy, fotografie, pamiętniki, gazety, przedmioty osobiste.

Wszystkie zebrane dokumenty pozwalają stwierdzić bez cienia wątpliwości, że zwłoki należą do polskich oficerów, którzy po zajęciu Polski Wschodniej przez armię rosyjską, w październiku 1939 roku zostali przewiezieni do obozów jenieckich, zwłaszcza w Kozielsku i Starobielsku.

Z dzienników można wywnioskować, że obozy te rozwiązano w pierwszych miesiącach 1940 roku, a oficerowie zostali wysłani na zachód, czyli do ojczyzny.

Szczególnie interesujący w tej materii jest dziennik majora Solskiego, który opisuje drobiazgowo los transportu od wyjazdu z obozu w Kozielsku 7 kwietnia 1940 roku; podróż przez Jelnię, Smoleńsk aż do Gniezdowa. 9 kwietnia, we wczesnych godzinach rannych, kazano więźniom wsiąść do samochodów ciężarowych, które, pod silną eskortą, skierowały się w stronę lasu katyńskiego. Ostatnie notatki Solski robił już w lesie, bardzo możliwe, że na parę minut przed egzekucją. Oficer dziwi się niespodziewanie złemu traktowaniu więźniów i zapytuje siebie, dlaczego muszą oddawać scyzoryki, zegarki itd., skoro — jak myśleli — wracają do swoich rodzin.

Prawie wszyscy zamordowani należeli do kadry oficerskiej i posiadali różne stopnie: od podporucznika do generała brygady; byli nieliczni cywile i jeden kapelan wojskowy. Według zeznań okolicznych mieszkańców winny znajdować się tam również kobiety, a także żołnierze fińscy i litewscy.

Liczbę zwłok można oceniać na ok. 10.000.

Prace prowadzone przez Polski Czerwony Krzyż ułatwiają identyfikację. Do 30 kwietnia ekshumowano 812 zwłok, z których 583 zostały natychmiast zidentyfikowane; w toku były badania chemiczne mające doprowadzić do przywrócenia czytelności dokumentów kolejnych 150-200 osób. Można przypuszczać, że nie uda się ustalić tożsamości tylko 5 % zwłok.



Drugim zadaniem, które nam postawiono, było stwierdzenie przyczyny śmierci polskich oficerów.

Zostało ono wypełnione na podstawie zewnętrznych oględzin dużej liczby zwłok, które w licznych przypadkach uzupełniano obdukcją.

Wynik tych badań był zdecydowanie jednoznaczny: wszystkie zwłoki, bez żadnego wyjątku, nosiły ślady strzału w kark, przeważnie w poziomą blaszkę kości potylicznej, w pobliżu tylnego

brzegu otworu potylicznego. Rzadko występowały dwa miejsca wlotu pocisku, w jednym tylko przypadku — właśnie przez mnie zbadanym — były trzy otwory.

Pocisk przechodził ukośnie przez móżdżek i mózg, wychodził przeważnie przez czubek głowy lub czoło, w pobliżu granicy owłosienia. Rzadko pozostawał w jamie czaszki — jak to zaobserwowałem w przypadku przeze mnie zbadanym.

Kaliber pocisku był zawsze mniejszy niż 8 milimetrów. Z moich badań wynika, że wynosił on 7,65 mm.

Strzał został oddany z broni przyłożonej do karku lub z bezpośredniego pobliża. Dowodzą tego częste ślady prochu w otworze kostnym i linie pęknięć od niego odchodzące. Niekiedy pęknięcia te są rozległe i występują w jednej lub obu kościach potylicznych. W paru wypadkach pęknięcie prowadzi od miejsca wlotu do miejsca wylotu pocisku. W rzadkich wypadkach można zaobserwować całkowite rozerwanie czaszki.

Na ciele nie można zauważyć żadnych innych uszkodzeń, z wyjątkiem kilku przypadków ran kłutych, które łatwo można rozpoznać jako rany zadane bagnetem czterograniastym. Rany te nie naruszyły podstawowych organów, były raczej powierzchowne.

Ustalono, że jedyną i wyłączną przyczyną śmierci wszystkich ofiar był jeden (w rzadszych przypadkach dwa, wyjątkowo więcej) strzał w określony punkt karku, oddany z broni palnej o kalibrze mniejszym niż 8 mm, przyłożonej do ciała lub z bezpośredniej bliskości. Zgon musiał nastąpić natychmiast.

Wspólna przyczyna śmierci, jednakowe umiejscowienie ran, ten sam kaliber broni i przebieg kuli u tak wielu ofiar pozwalają stwierdzić z pewnością, że chodziło o systematyczną egzekucję, wykonaną przez osoby o dużej wprawie.

Należy dodać, że ten same ślady noszą zwłoki osób cywilnych znalezione na tym terenie. Według zeznań okolicznych mieszkańców taki rodzaj egzekucji jest typowy dla agentów GPU, co potwierdzałby również sposób związania rąk na plecach, wspólny dla osób cywilnych rozstrzeliwanych w Rosji.

W jedynym zbadanym przez nas w tamtych dniach przypadku okazało się, że ciało oficera polskiego poza strzałem w kark nosiło również ślad kuli, która prześliznęła się po zewnętrznej blaszce kości ciemieniowej. Stwierdziliśmy, że pocisk, który przeszedł przez czaszkę innej ofiary, ugodził w ciało już zabitego, leżącego w rowie oficera. Ta okoliczność pozwala stwierdzić, że egzekucji dokonywano w samym rowie, celem uniknięcia przenoszenia zwłok i że ofiary były pochylone głową do przodu, prawdopodobnie na klęczkach.



Trzecim i ostatnim naszym zadaniem było określenie terminu, w którym mogła nastąpić śmierć.

Według zebranych zeznań rozstrzeliwania nastąpiły w okresie między marcem i kwietniem 1940 roku, czyli dokładnie trzy lata wstecz. Czy można to było potwierdzić w sposób naukowy?

Następujące dowody różnego rodzaju pozwoliły nam sformułować sąd na ten temat:

1) anatomiczno-patologiczne,
2) botaniczne,
3) analiza dokumentów,
4) entomologiczne.

Stan zakonserwowania zwłok i ich częściowa mumifikacja pozwalały tylko ogólnie przypuszczać, że zgon musiał nastąpić ponad rok temu. Sprecyzowanie tego było możliwe dzięki badaniom przeprowadzonym przez członka naszej Komisji, profesora Orsósa, specjalisty medycyny sądowej i kryminologii z Uniwersytetu w Budapeszcie.

Stwierdził on bowiem w czaszkach niektórych zwłok wapienno-tufową, wielowarstwową inkrustację na powierzchni już gliniasto ujednoliconej miazgi mózgowej. Według jego doświadczeń zjawisk tych nie obserwuje się u zwłok przebywających w ziemi przez mniej niż trzy lata.

W ciągu wielu lat badań tanatologicznych na zwłokach ekshumowanych po przynajmniej 3-4 latach, prof. Orsós zaobserwował, że pomimo nienaruszonych szkieletów w tylnej części czaszki występują zmiany polegające na pojawieniu się rozmiękczenia, erozji, próchnicy, stwardniałych złóż, a nawet ubytków materii.

Niekiedy w rozmiękczonej części można było zwinąć — jak skórkę mokrego chleba — obie części boczne potylicy i wewnętrzną połowę łuski. Jednakże na skutek wysuszania odwapniona kość rozrywała się i samoczynnie się deformowała.

Ograniczenie zmian do tak określonego obszaru mogło nasuwać przypuszczenie, że wynikały one z jakiegoś chorobliwego procesu kostnego, na przykład ze zmian gruźliczych czy przerzutów nowotworowych. Hipoteza ta na podstawie anamnezy została jednak odrzucona.

Owe zmiany były stale zauważane w tej części jamy czaszki, w której bezpośrednim pobliżu wytworzyła się od dłuższego czasu gliniasta papka mózgowa. Na powierzchni tejże, w pobliżu kości, powstawały natomiast wapienno-tufowe złoża koloru szaro-białego lub jasno-ochrowo-żółtego, w kształcie sierpu, od razu rzucające się w oczy.

Przednia powierzchnia tego tłustego agregatu uformowana

jest z cienkiej warstwy krystalicznej, o dużej odporności, która stopniowo twardnieje i wznosi się w stronę środka kości aż do wysokości 33 mm i grubości 10 mm. Poprzez otwór potyliczny warstwa ta rozciąga się również w dół na staw potyliczno-atlantoidalny.

Analiza chemiczna wykazała, że w ponad 75 % tworzą ją substancje nieorganiczne, w 15 % — substancje organiczne, a 10 % stanowi woda. Substancje nieorganiczne to prawie wyłącznie wapno i fosforan magnezu.

Mamy tu do czynienia ze zmianami pośmiertnymi, odpowiadającymi zaawansowanemu stadium rozkładu, polegającymi na odwapnieniu i wyeliminowaniu złogów, co Orsós przyrównał do „pseudo-narośli". Pochodzenie jej zostało zinterpretowane w następujący sposób: w miarę postępowania marszczenia mózgu, w pozostałej miazdze zaczynają się gromadzić fosforany, tłuszcze i tłuste kwasy. Pod wpływem obecności tlenu z powietrza tłuste kwasy i fosfor odwapniają kość, wyciągając z niej wapń i magnez, które odkładają się na powierzchni mózgu, tworząc „pseudo-narośl".

Naszą uwagę przyciągnęły również rośliny, liche brzózki i sosenki rosnące na grobach. Staraliśmy się określić ich wiek, pobierając kilka próbek do badań i odwołując się w razie potrzeby do pomocy rzeczoznawcy w osobie leśnika von Herffa. Według jego opinii mieliśmy do czynienia z roślinami, które wyrosły w cieniu dużych drzew. Miały one przynajmniej 5 lat, ale zostały przesadzone w to miejsce mniej więcej trzy lata temu. Ten wniosek został potwierdzony również przez jednego z członków Komisji, eksperta w dziedzinie botaniki.

Ponadto wszystkie dokumenty znalezione przy zwłokach (listy, pamiętniki, gazety), odnoszą się do okresu od jesieni 1939 roku do kwietnia 1940 roku. Najpóźniejszy dokument do tej pory znaleziony to rosyjska gazeta nosząca datę 22 kwietnia 1940 roku.

Na koniec trzeba dodać, że całkowity brak owadów i ich larw na zwłokach dowodzi, że egzekucje i grzebanie miały miejsce w zimnej porze roku.

Na zakończenie prac Komisja sformułowała orzeczenie, które przytoczymy tutaj w całości:

„Komisja zbadała w lesie katyńskim masowe groby oficerów polskich, z których dotychczas otwarto siedem.

Wydobyto z nich do tej pory 982 zwłoki, które zostały zbadane, względnie poddane obdukcji oraz zidentyfikowane w prawie 70 %.

Przyczyną śmierci były wyłącznie strzały w kark.

Z listów, notatek, gazet znalezionych przy zwłokach wynika,

że egzekucje miały miejsce w ciągu marca i kwietnia 1940 roku.

Z powyższą konkluzją zgadzają się całkowicie spostrzeżenia, spisane w protokole oględzin grobów i pojedynczych zwłok polskich oficerów".

Dodam, że wnioski te zostały sformułowane i podpisane jednogłośnie, a także, że podczas dyskusji przygotowawczej pomiędzy członkami Komisji nie wystąpiły żadne rozbieżności.

Vincenzo Mario PALMIERI

Tłumaczenie za: Vincenzo Mario Palmieri, Risultati dell inchiesta nella foresta di Katyń, „La Vita Italiana", Rok 31, zeszyt 364, Lipiec 1943.

Prof. Palmieri, kierownik Zakładu Medycyny Sądowej na Uniwersytecie w Neapolu.

DĄB-BIERNACKI, generał dywizji

LIST DO GEN. WŁADYSŁAWA SIKORSKIEGO

mp. dnia 12 lipca 1940 r.

DO PANA PREZESA RADY MINISTRÓW
W MIEJSCU POSTOJU

Niniejszym zwracam się o zwolnienie mnie z wojska polskiego tworzącego się na ziemi angielskiej i nakazanie wydania mi odpowiednich dokumentów cywilnych. Do „Nowej" Armii Polskiej we Francji nie byłem przyjęty żadnym rozkazem, ani również zweryfikowany, nawet nie dostałem legitymacji wojskowej, a więc w rzeczywistości jestem poza tą Armią Polską.

Powody, które mną kierują w postanowieniu usunięcia się od dalszych losów „Nowej Armii Polskiej" są bardzo duże i głęboko zastanawiałem się, czy ja, jako jeden z najstarszych generałów Armii Polskiej, długoletni Inspektor Armii, biorący czynny udział w wielu pracach w wyszkoleniu i przygotowaniu Armii Polskiej do wojny, dowódca jednej z Armii Polskich na wojnie we wrześniu 1939 roku w Polsce — czy nie mam właśnie obowiązku wystąpienia z protestem przeciwko dotychczasowym metodom organizowania i sposobu użycia Wojska Polskiego.

Pan, Panie Premierze, otrzymał władzę tak pełną, taką dyktaturę jakiej nie miał żaden Naczelny Wódz w naszej historii. Osiągnął Pan pełnię władzy i w jednej osobie skupił Pan kompetencje premiera, następnie funkcję najwyższą w tutejszej sytuacji, bo ministra Spraw Wojskowych oraz władzę Naczelnego Wodza. W dążeniu swym do nieograniczonej władzy posunął się Pan tak daleko, że nawet osiągnął Pan, Panie Premierze, ograniczenie funkcji Prezydenta, co było wbrew obowiązującej konstytucji, na zasadzie której jest Pan jednak tym Premierem, Ministrem i Wodzem Naczelnym.

Władzę, którą Pan, Panie Premierze, otrzymał, uznaliśmy my wszyscy, wojskowi Armii Polskiej bez zastrzeżeń, poddaliśmy się lojalnie rozkazowi Marszałka Śmigłego-Rydza i nowego Rządu Polskiego — nam wszystkim droższa była sama Polska, jej losy, niż kwestia personalna. Lecz władzę, którą Pan, Panie Premierze, otrzymał, zużył Pan nie na pozytywną budowę Armii Polskiej i obronę interesów Państwa Polskiego, armii i społeczeństwa, lecz na walkę osobistą, na niszczenie całego dorobku Państwa, osiągniętego przed wojną i w czasie wojny, poszedł Pan, Panie Premierze, w pełni po linii negacji i odrzucenia absolutnie wszystkiego, co tylko było zrobione przed Panem.

Ograniczając się w piśmie niniejszym do momentów natury ściśle wojskowej i wojskowo-politycznej, związanych z Pana działalnością we Francji, pomijam tu cały szereg tych oczywistych spraw, które zostaną Panu niewątpliwie wypowiedziane w swoim czasie.

Pomijam fakt Pańskiej zmowy z Francuzami we wrześniu 1939 roku mającej na celu niedopuszczenie Pana Prezydenta RP Mościckiego, Naczelnego Wodza Pana Marszałka Rydza-Śmigłego i Rządu Polskiego z gen. Składkowskim na czele do przyjazdu do Francji, co jak widzimy, odbiło się fatalnie na sprawach polskich, a przede wszystkim na sprawie organizowania wojska we Francji.

Pomijam fakt, iż korzystając z legalnych podstaw przy tworzeniu swego gabinetu nie zrobił Pan niczego, by faktycznie przejąć urzędowanie, zapoznać się z rzeczywistym materiałem i istotnym stanem rzeczy. Pomijam to, iż zamiast poważnej i istotnej pracy organizacyjnej w kraju, użył Pan środków publicznych na szerzenie demoralizacji, zamętu, pogłębienia narodowego zagrożenia, dzielnie sekundując niemieckiej i sowieckiej propagandzie.

Pomijam fakt, iż w przemówieniach swoich i swoich pomocników lub wykonawców posługiwał się Pan, Panie Premierze, argumentami wyraźnie nieprawdziwymi i demagogicznymi, nie-

godziwość których jest specjalnie wielka wobec powagi sytuacji, która nie pozwalała i nie pozwala na żadną demagogię lub wiecowe sposobiki. W szczególności doskonale Pan, Panie Premierze, wiedział jaką wartość mają Pana oskarżenia pod adresem Pana Marszałka Śmigłego-Rydza i Rządu gen. Składkowskiego o nieprzygotowanie kraju do wojny i podkreślanie przy tej sposobności swoich rzekomych zasług. Widzi Pan, Panie Premierze, obecnie również jaką wartość ma pańska ocena potencjału francuskiego, co do którego miał zastrzeżenia zarówno Marszałek Piłsudski, jak i Marszałek Śmigły-Rydz i których za to oskarżał Pan, przypisując im politykę przeciw-francuską. Pomijam to, iż zupełnie wyraźnie pomijał Pan interesy i sprawy publiczne dla dogodzenia ambicjom własnym i rozszalałej kliki, której nawet nie potrafił Pan utrzymać w należytych karbach. Jak poważnie zaważyło to wszystko na morale i nastrojach Wojska i Społeczeństwa Polskiego, zarówno na emigracji jak i też w kraju, z tego, oczywiście ani Pan Panie Premierze, ani pańscy pomocnicy, zaślepieni w partyjnych porachunkach, nie mogą sobie zdawać sprawy, biorąc za dobrą monetę przypochlebne raporciki i dla marnych franków pisane melduneczki. Ale odpowiedzialność Pana, Panie Premierze, w niczym przez to nie staje się mniejsza, lecz, że nie ja będę Pańskim sędzią, przeto nie będę wyczerpywać wszystkich argumentów, z których każdy sam w sobie jest poważnym i zasadniczym oskarżeniem. Na tym miejscu podkreślam jedynie, że zupełnie niepotrzebnie usiłuje Pan, Panie Premierze, usprawiedliwić niektóre swoje pociągnięcia powołaniem się na jakieś tajemnicze spiski, organizacje, czy konspiracje, kierowane rzekomo przeciw Panu. Stwierdzam kategorycznie, że Pan Marszałek Rydz-Śmigły, jeszcze przed swoją wymuszoną dymisją, jak najsurowiej zabronił jakiejkolwiek akcji indywidualnej, czy organizowanej, która by z jednej strony hamowała Pana czynności, a z drugiej zmniejszała pańską, Panie Premierze, za te czynności odpowiedzialność. Nikt z odpowiedzialnych osób nie prowadził przeciw Panu żadnej agitacji, czy propagandy i jeżeli mimo to przeciwko Panu, Panie Premierze i pańskiemu otoczeniu rośnie niezadowolenie, przypisać to Pan może wyłącznie swojej zasłudze i wprowadzonym przez Pana, Panie Premierze, metodom.

Pomijam to wszystko i ograniczam się w piśmie niniejszym do zagadnień wojskowych, które w czasie wojny są zagadnieniami oczywiście podstawowymi — nad tym trochę szerzej się zatrzymam.

Głęboko przemyślane i przepracowane zasady wojny nowoczesnej, ujęte w naszych regulaminach, odrzucił Pan, jako Wódz Naczelny za jednym zamachem, wprowadzając regulaminy fran-

cuskie, mocno przestarzałe, sztywne i bezduszne. Odrzucił Pan, jako Wódz Naczelny, wszelkie doświadczenia nasze z wojny w Polsce, usunął Pan z wpływów i możności wypowiedzenia się wszystkich dowódców, którzy brali wybitniejszy udział w tej wojnie, a których uważał Pan za swoich przeciwników politycznych. Otoczył się Pan w ministerstwie Spraw Wojskowych i Sztabie Głównym ludźmi zupełnie nowymi, którzy nie tylko nie brali udziału w tej wojnie, lecz nawet nie przepracowali przed wojną zasad wojny nowoczesnej. Ogłosił Pan, Panie Premierze, jako Naczelny Wódz w rozkazie do wojska tezę: „Przykłady stosowane w roku 1939 na wschodzie, niestety w warunkach korzystnych dla Niemców, nie mogą już znaleźć zastosowania na froncie zachodnim". Rzeczywistość wojenna zadała kłam nie tylko tej tezie, lecz również stwierdziła, że dowództwo francuskie nie wykorzystało odpowiednich doświadczeń z wojny w Polsce. Historia wyjaśni, w jakiej mierze Pan odpowiedzialny jest za niedostateczne i fałszywe informowanie Francuzów przez zniekształcanie obiektywnej prawdy z przebiegu kampanii wrześniowej w Polsce i naszych do niej przygotowań.

Faktem jest, że dowództwo francuskie już w czasie kampanii zaczęło gwałtownie poszukiwać dawnych polskich zasad wojny ruchowej, polskich zasad wojny z czołgami — wszystko to już było jednak za późno, rzeczy nieprzemyślane, bodajże jeszcze większy chaos wprowadziły niż pożytek.

Błędy i winy Pana, jako Wodza Naczelnego, nie ograniczają się tylko do tego, są one jeszcze większe i straszniejsze w dziedzinie użycia oddziałów „Nowej" Polskiej Armii we Francji. I w tej dziedzinie również poszedł Pan po linii sprzecznej z naszym historycznym dorobkiem. Miał Pan przecież pod tym względem, Panie Premierze, wybitne przykłady w naszej historii legionowej, w której Pan również odegrał swą rolę — choć wielce ujemną.

Dziś widzimy, jak genialne były ówczesne zasady i dążenia Marszałka Piłsudskiego do złączenia wszystkich oddziałów legionowych w jedną całość, nie dlatego, by łudził się On, że oddane mu będzie dowództwo nad całością, lecz, że razem zebrane legionowe oddziały łatwiej się obronią i unikną zagłady w odmętach wojny światowej. Nie osobiste względy kierowały dążeniami Marszałka Piłsudskiego, lecz głęboka troska o losy kadry przyszłej Armii Polskiej.

Pan, Panie Premierze, jako Wódz Naczelny, poszedł po linii odwrotnej, również i tu nie chciał Pan naśladować i korzystać z danych przykładów znienawidzonego i nieuznawanego przez Pana Wodza. Z lekkim sercem i lekką ręką godził się Pan na

rozdzielenie sił „Nowej" Armii Polskiej i użycie jej na różnych frontach, bez większego zgrupowania jej w jedną całość. Nie przejawił Pan jako Wódz Naczelny większej energii w skupieniu całości sił i użyciu ich w rozsądny sposób; a może stało się to na skutek obawy, że przy skupieniu całości Armii Polskiej należałoby samemu objąć nad nią dowództwo na froncie i wziąć bezpośrednią odpowiedzialność na siebie.

Godził się Pan również łatwo na wysyłanie poszczególnych oddziałów specjalnych do walki z czołgami i oddziałów szkolnych dywizji z przydzielaniem ich na pastwę losu do dywizji i pułków francuskich, by w następstwie później nasze własne dywizje występowały do walki już bez tych koniecznych oddziałów.

Historia Legionów, a w szczególności I-ej Brygady dawała wiele przykładów głębokiej troski i rozważnego używania oddziałów przez takich dowódców jak Marsz. Piłsudski lub ówczesny dowódca I-go puł. leg. Marsz. Rydz-Śmigły, by nie stracić swych oddziałów w nierozsądnych warunkach walki. Ci dowódcy wielokrotnie przeciwstawiali się całym autorytetem i brali na siebie całą odpowiedzialność, gdy wiedzieli, że dowództwo austriackie lub Komenda Legionów chce poświęcić bez reszty oddziały legionowe dla ratowania jakiej beznadziejnej i nierozsądnej sytuacji wojennej austriackiej. Żołnierz legionowy ujął to bardzo mocno w słowach swojej piosenki: „Za Austrii skrawek nędzy". Pan, Panie Premierze i pod tym względem postąpił według własnej metody, jakże sprzecznej z przykładami, jakie dali nam ci wodzowie.

Zaprzeczył Pan tej wielkiej zasadzie, że wódz nie tylko musi prowadzić swe oddziały do walki i na śmierć, ale również głęboko troszczyć się musi o całość oddziałów i nie zaprzepaszczać ich w nierozsądnych warunkach walki. Użycie i rzucenie dywizji poszczególnych drobnych oddziałów polskich w drugiej połowie kampanii francuskiej, gdy widoczny już był w całej pełni rozkład moralny oraz niższość armii i dowództwa francuskiego, rzucenie naszych dywizji w warunkach najzupełniej beznadziejnych i bez żadnej troski i zastanowienia się, co z tych oddziałów pozostanie dla sprawy Polskiej, jest kardynalnym błędem i grzechem Pana, jako Wodza Naczelnego wobec tej Armii i Narodu.

W podobny sposób postępuje tylko bankrut, lub gracz zgrany bez reszty, nie mający już nic do stracenia, liczący już tylko na jakiś nieprawdopodobny cud. Ja rozumiem, że Pan, Panie Premierze, stawiający wszystko na jedną kartę francuską, negujący wszystkiemu, co osiągnęliśmy przed wojną, oraz w czasie wojny, poddający się w zupełności władzom francuskim, ulegający całko-

wicie ich żądaniom, stanął Pan wobec rzeczywistości wojennej nad własną przepaścią i przed zupełną ruiną własną, ale dlaczego pchnął Pan, Panie Premierze, całą „Nową" Armią Polską w tę przepaść, wyprowadzając tylko marne resztki, przy tym najmniej wartościowe, bo nie oddziały frontowe?

Ta metoda postępowania i ulegania każdemu żądaniu władz obcych nie jest jednak jakimś nowym i niespodziewanym przykładem, lecz jest właśnie wrodzona polskiemu oportunizmowi politycznemu. Już jako szef Departamentu Werbunkowego w czasach legionowych szedł Pan w całości po linii ulegania i służenia władzom austriackim, a później niemieckim, aż wreszcie poddał Pan siebie i „Nową" Armię Polską interesom francuskim a nie polskim.

Nie wykorzystał Pan, Panie Premierze, masy naszych rezerwistów we Francji i Belgii, liczącej 100.000 ludzi. Na te masy liczył marsz. Śmigły-Rydz, nakazując oficerom i podoficerom przedzierać się do Francji dla odtworzenia silnej Armii Polskiej. Lecz widocznie w Pana decyzjach przeważyły nad sprawami Polski interesy inne, już nawet nie Francji, ale tych klik i ugrupowań francuskich, z którymi Pan był tak wyraźnie związany, a dla których robotnik polski w kopalniach, fabrykach czy na roli był dogodniejszy niż Żołnierz Polski w mundurze polskim i dywizjach polskich, a których łatwo można było wystawić ponad 15 wraz z wojskiem wyprowadzonym z kraju i przewiezionym do Francji. A przecież każda nowa dywizja polska, to potężne wzmocnienie znaczenia Polski, to właśnie czynne potwierdzenie: „Jeszcze nie zginęła" nie w pieśni, nie w słowach, ale w czynie. Dusiły się w bezczynności i demoralizowały nasze kadry oficerskie i podoficerskie we Francji oraz w obozach na Węgrzech i w Rumunii, gdzie wszystkich rozpacz ogarniała wobec bezczynności Pana, Panie Premierze, wobec faktycznie śmiesznie słabego rozwoju tej „Nowej" Armii Polskiej — wbrew temu co głosiły płatne piśmidła polskie we Francji. Pomijam rzecz tak zasadniczą, że pod tym względem opinia kraju była fałszywie poinformowaną.

W swoich rozkazach i przemówieniach, przeznaczonych również i dla kraju, mówił Pan, Panie Premierze, o potężnym, nowoczesnym uzbrojeniu dla Armii Polskiej, w rzeczywistości i tu ustępował Pan władzom francuskim i nie umiał wydobyć tego, co należało się Armii Polskiej, mającej walczyć w polu. W rezultacie oddziały polskie występowały z niedostatecznym uzbrojeniem, zawsze słabszym niż dywizje francuskie, często z gorszym uzbrojeniem, niż polskie z września 1939 roku a nawet, co już było zbrodnią, z uzbrojeniem bardzo przestarzałym i niedostosowanym do wojny nowoczesnej.

Czy to stałe i łatwe uleganie obcym interesom, Panie Premierze, nie jest tym co nazwał Marsz. Piłsudski „obcą agenturą" i czy Pan, Panie Premierze, nie idzie w dalszym ciągu po tej samej linii na ziemi angielskiej? Już w swoim tutejszym rozkazie o zmianie polskiego ukłonu wojskowego, mającego za sobą tradycję walk Legionów Dąbrowskiego, powstań polskich i Legionów Piłsudskiego, daje Pan wyraźny, aczkolwiek drobny może dowód swego oportunizmu. Pomijam już wiele innych faktów, których nie mogłem bezpośrednio obserwować, będąc właściwie internowanym w obozie wojskowym w Cerizay, choć taki fakt, jak rzucenie tysięcy młodzieży polskiej, z których duża część przedzierała się przez granicę z Polski do Francji, na pastwę losu i wroga, wobec zbyt spóźnionych i nieudolnych rozkazów ewakuacyjnych pańskiego Rządu, gdzie w wielu wypadkach tylko dowódcy (dobierani przez Pana, Panie Premierze) i szczupłe kadry uciekły, rozpuszczając wojsko, jakby pospolite ruszenie z dawnych smutnych dziejów Polski.

Te przykłady użycia i trwonienia „Nowej" Armii Polskiej we Francji nie dają mi żadnej pewności, że te same metody nie powtórzą się w dalszym ciągu na ziemi angielskiej. Wprowadzenie na dowództwo wojsk gen. Burhardt-Bukackiego nie jest pełną gwarancją, że system został zmieniony, że w doborze dowódców oraz obsadzie stanowisk w ministerstwie lub sztabach będzie panowała zasada, jaką kierował się Marsz. Piłsudski i Marsz. Śmigły-Rydz — rzeczywistej wartości ludzi i głębokiej troski o właściwe dobro Armii Polskiej, a nie pod kątem widzenia mafii i koterii, oraz nienawiści do ludzi dawnego reżimu.

Ja pomijam wszelkie osobiste względy i bezprawne postępowanie, nawet niehonorowe postępowanie organów Pana Premiera wobec mnie na terenie Francji, biorę rzeczy zasadnicze, które wyłożyłem w tym piśmie, jako motywy, zmuszające mnie do usunięcia się z szeregów Armii Polskiej. Jeżeli jednak warunki pracy w Armii Polskiej rzeczywiście zmienią się i rzeczywiście będę potrzebny dla tej Armii, a nie dla jakichś dziwnych praktyk, złośliwych, niegodnych, graniczących z oszczerstwem przez Pana Prokuratora Naczelnego — to naturalnie każdej chwili gotów jestem wstąpić z powrotem w szeregi tej Armii.

Mam nadzieję, że Pan Premier nie będzie zwlekał z nakazem zwolnienia mnie z wojska i nakazaniem wydania mi paszportu.

(—) *DĄB-BIERNACKI, gen. dywizji*

———

J. ŁUKASIEWICZ

LIST DO PREZYDENTA RACZKIEWICZA

DO PREZYDENTA RZECZPOSPOLITEJ W MIEJSCU POSTOJU

W lipcu 1940.

W nowej, decydującej prawdopodobnie, fazie kataklizmu dziejowego, w którą weszliśmy na skutek katastrofalnej kapitulacji Francji, naczelne nasze zadanie, polegające na utrzymaniu konstytucyjnej ciągłości naczelnych władz państwowych, będzie mogło być spełnione tylko w tym wypadku, jeżeli oblicze moralne i postawa polityczna naszych organów rządzących będą odpowiadały niespożytym wartościom moralnym i ideowo-politycznym, których wyrazem jest bezprzykładna, ofiarna, bohaterska i męczeńska walka naszego narodu z obu barbarzyńskimi okupantami. Tylko taka postawa moralna może zapewnić naszym organom państwowym należny Polsce szacunek ze strony aliantów i w ogóle państw obcych, tylko ona pozwoli utrzymać konieczną rzeczywistą jedność emigracji i jej łączność z walczącym krajem, tylko ona może dać poczucie naszym żołnierzom i oficerom, którzy wyratowali się z katastrofy francuskiej, że są częścią składową i reprezentacją Polski Walczącej, a nie żołnierzami za skromny żołd bezpieczeństwa obcego, choćby sojuszniczego, państwa.

W ostatnich tygodniach zaszły, niestety, bardzo poważne wypadki, które każą wątpić, czy bez bardzo radykalnych zmian i posunięć ze strony najwyższych czynników państwowych, zarówno ciągłość legalnych władz państwowych, jak i jedność i morale emigracji oraz wojska, jak wreszcie szacunek należny przedstawicielstwu Polski ze strony sojuszniczej Anglii i innych rządów dadzą się utrzymać.

Wypadki te są następujące:

1) Działając bez wiedzy Prezydenta RP i ministra Spraw Zagranicznych, p. A. Zaleskiego, premier Sikorski udał się dnia 19 czerwca samolotem do Londynu i tu złożył na własną rękę rządowi angielskiemu memorandum, w którym zaproponował utworzenie po stronie sowieckiej, z ludności ziem polskich, okupowanych przez Armię Czerwoną 30.000-nej armii polskiej.

Formalnie i merytorycznie rzecz biorąc, gen. Sikorski, jako

premier Rządu Polskiego i Naczelny Wódz, zgłosił w ten sposób gotowość paktowania z wrogiem, z którym Polska jest w stanie wojny i który, okupując prawie połowę jej terytorium, znęca się nad naszymi rodakami równie barbarzyńsko jak Niemcy, deportując w głąb Rosji i na Sybir dziesiątki tysięcy naszej młodzieży i inteligencji. Będąc premierem Rządu, który niedawno jeszcze protestował przeciw poborowi sowieckiemu na ziemiach polskich, teraz gen. Sikorski złożył na ręce angielskie dokument równoznaczny z upoważnieniem rządu sowieckiego do przeprowadzenia poboru do armii.

Wolno rządowi angielskiemu układać tak czy inaczej swoje stosunki z Rosją sowiecką, co do których nie wiążą go wobec nas formalne zobowiązania, ale nie wolno żadnemu Polakowi, a tym bardziej Naczelnemu Wodzowi i premierowi Rządu na emigracji składać na ręce jakiegokolwiek rządu oświadczeń i dokumentów świadczących o gotowości do paktowania z którymkolwiek z wrogów i to jeszcze w chwili, gdy ten ktoś przebywa bezpiecznie w Anglii, a naród polski trwa w ciężkiej, bezprzykładnej walce z okupantami. Ważenie się na takie rzeczy przypomina najgorsze, najohydniejsze i najsmutniejsze karty naszej historii i o tym nikomu z Polaków zapominać nie wolno.

Aby należycie ocenić i zakwalifikować ten czyn gen. Sikorskiego, wystarczy pomyśleć o tym, jaka byłaby jego sytuacja, gdyby dowiedziały się o nim Warszawa, Kraków, Poznań, Wilno, Łuck, Lwów oraz wszyscy Polacy, którzy cierpią w obozach koncentracyjnych sowieckich lub giną w kopalniach Sybiru.

Na tle tej samodzielnej dyplomacji gen. Sikorskiego nastąpiła pomiędzy nim a ministrem Spraw Zagranicznych wymiana zdań, w której min. Zaleski należycie skwalifikował działalność premiera. I cóż z tego, że później min. Spraw Zagranicznych poczynił kroki, aby osłabić skutki samodzielnego wystąpienia gen. Sikorskiego? Gdzie jest i czy może być gwarancja, że memoriał gen. Sikorskiego nie jest znany rządowi sowieckiemu? Że nie zostanie przypomniany jakiemuś przyszłemu rządowi polskiemu w chwili, gdy przyjdzie w tej czy innej formie kwestia naszych kresów wschodnich? Kto może mieć pewność, że skory dzisiaj do paktowania z jednym naszym wrogiem, Rosją Sowiecką, gen. Sikorski nie będzie gotów jutro do paktowania z Hitlerem za pośrednictwem swoich wypróbowanych przyjaciół francuskich i nie uczyni tego za plecami Pana Prezydenta i Rządu Rzeczpospolitej? Jak wygląda honor i powaga premiera polskiego wobec sojuszniczego rządu angielskiego, któremu tenże wręczył dobrowolnie dokument, plamiący dobre imię Polski?

2) Jeżeli chodzi o zachowanie się premiera Sikorskiego w ostatnich dwu tygodniach katastrofy francuskiej, to sumarycznie biorąc, było ono następujące:

Od dnia 9 do 17 czerwca premier Sikorski przebywał poza siedzibą rządu, któremu przewodniczył: *quelque part en France.* Sam twierdził, że był na froncie, są jednak poważne poszlaki po temu, że czas ten spędził w kwaterze głównej francuskiej; nie było w każdym razie wiadomości, aby przyjmował osobiście udział w bitwach, toczonych przez naszą pierwszą dywizję. W przeciągu tego czasu premier Sikorski wykazał natomiast przerażający i zgubny dla interesów polskich brak orientacji w rozwoju sytuacji we Francji. Dał jaskrawy dowód tego w telefonogramach nadawanych do Angers jeszcze 11 i 12 czerwca, w których stwierdził, że sytuacja na froncie: „Jest dobra, a będzie lepsza" i polecał nie spieszyć się z ewakuacją. Wiadome jest, że właśnie 12 czerwca rząd francuski zwrócił się do rządu angielskiego z prośbą o zwolnienie go ze zobowiązań sojuszniczych, ponieważ oceniał sytuację na froncie jako katastrofalną.

Dalej pomiędzy 12 a 17 czerwca premier Sikorski zachowuje w dalszym ciągu luźną jednostronną łączność z Rządem i nie tylko nie wydał żadnych zarządzeń dla ratowania naszych wojsk, pozostających we Francji, ale pozostawił swego zastępcę wojskowego gen. Kukiela w tym położeniu, że ten powołując się na brak upoważnień, odmawiał wydania rozkazów formacjom wojskowym, stacjonowanym na południe i zachód od Loary, aby się ewakuowały do portów, dla zapewnienia sobie możności przedostania się do Anglii.

W międzyczasie na skutek życzenia rządu francuskiego, zakomunikowanego min. Zaleskiemu przez amb. Noëla, Pan Prezydent i Rząd z częścią urzędników opuścili Angers i udali się do Libourne. Pomimo, iż odbywało się to w dwa dni po tym, jak rząd francuski skonstatował wobec rządu angielskiego katastrofę swą wojenną i że jasne było, że w najlepszym wypadku grozi Francji okupacja niemiecka, najbliżsi współpracownicy i przyjaciele premiera Sikorskiego z min. Kotem na czele, zamiast dbać o to, by ratować nasze wojska, urzędników i złoto Banku Polskiego, demagogicznie i głośno stwierdzali, że kto myśli o ewakuacji jest panikarzem i tchórzem.

Dnia 15 czerwca ówczesny premier rządu francuskiego, p. Reynaud, oświadczył szczerze min. Zaleskiemu, iż sytuacja jest beznadziejna i zakomunikował, że Rząd polski ma najwyżej 3 do 4 dni czasu na ewakuację do Anglii, radząc wykonać ją jak najprędzej. A premier Sikorski przebywał wciąż *quelque part en France,* nie można było nawiązać z nim łączności, ani wydać

zarządzeń mających na celu przynajmniej ewakuację wojska. Natomiast min. Kot, który już w Angers sabotował zarządzenia ewakuacyjne, wynajął w Libourne biura dla Prezydium Rady Ministrów i głośno twierdził, że kto chce ewakuować się z Francji jest tchórzem i panikarzem.

Dnia 17 czerwca, kiedy wreszcie zjawił się premier Sikorski, odbyło się w Libourne posiedzenie Rady Ministrów, na którym na skutek rady premiera francuskiego oraz nalegań amb. angielskiego, została powzięta decyzja wyjazdu do Anglii na statkach angielskich Pana Prezydenta, Rządu i części urzędników. Premier Sikorski, zamykając obrady, oświadczył, iż co do wyjazdu do Anglii pozostawia ministrom wolną rękę, a sam jako Naczelny Wódz zostanie we Francji i będzie dzielił los naszych wojsk.

Pomimo powziętych decyzji i niewątpliwej jasności sytuacji premier Sikorski i jego przyjaciele nie przestawali głosić, że kto myśli o wyjeździe do Anglii jest tchórzem i panikarzem. Odbyli oni jeszcze dwa posiedzenia Rady Ministrów 17 czerwca wieczorem i 18 czerwca rano, na których winszowali sobie wzajemnie pozostania na kontynencie i odwagi. Rezultat był taki, że na dwa statki, którymi miał wyjechać Rząd i urzędnicy w liczbie 304 osób, załadowało się tylko 79 osób. Po posiedzeniu rannym 18 czerwca Rada Ministrów dla przyczyn niewyjaśnionych, rozpierzchła się. Prezydium Rady Ministrów odbyło w niewiadomym celu podróż nad Morze Śródziemne, przy czym pojechało do St.-Jean-de-Luz, min. Haller i Seyda znaleźli się w Hiszpanii, a później w Lizbonie. Ministrowie Strassburger i Stroński wsiedli niespodziewanie w dniu 20 czerwca na okręt wojenny, na którym do dnia 17 czerwca przebywał Pan Prezydent RP i min. Spraw Zagranicznych Zaleski. Premier i Naczelny Wódz, który, jak to sam oświadczył, miał zostać we Francji i dzielić los naszych wojsk, już dnia 18 czerwca wyleciał nagle do Londynu wojennym samolotem angielskim. Oto jak się odbyła ewakuacja Rządu polskiego.

Kronika tych dni milczy natomiast o tym, co zostało zrobione dla ewakuacji z Francji resztek naszego wojska, urzędników i uchodźców. Wiadome jest dzisiaj, że ogromna większość naszych formacji wojskowych, pozbawiona jakichkolwiek rozkazów i wskazówek dowództwa, wycofała się w tym czasie lub później na własną rękę z miejsc postoju, dążąc do portów, aby próbować przedostać się następnie do Anglii, że gros urzędników i uchodźców, pozbawione jakiejkolwiek opieki, pozostało we Francji, że w konsekwencji wszyscy prawie ci żołnierze, oficerowie i cywile, którzy są dziś w Anglii, wydostali się z Francji na własną rękę i przypadkowo się tu znaleźli.

Dalsze działania premiera Sikorskiego były również zdumiewające. Po jednodniowym pobycie w Londynie przyleciał dnia 20 czerwca na bombowcu angielskim do Bordeaux czy Arcachon tylko na parę godzin i wyleciał z powrotem do Londynu, gdzie przybył o godz. 11 rano 21 czerwca. Gdy tegoż dnia o godz. 17 przybył do Londynu P. Prezydent RP, Sikorski nie zjawił się na dworcu, a następnie w przeciągu 24 godzin nie widział się z P. Prezydentem.

Wszystko to razem wzięte stwarza obraz tak chaotyczny i niejasny, że wobec znanych londyńskich propozycji premiera Sikorskiego odnośnie utworzenia armii polskiej po stronie sowieckiej, najgorsze przypuszczenia co do intencji gen. Sikorskiego w okresie mniej więcej od 9 do 21 czerwca mogłyby być usprawiedliwione.

Jest rzeczą samą przez się zrozumiałą, że przy opisanym powyżej zachowaniu się premiera i Naczelnego Wodza gen. Sikorskiego, katastrofa wojenna francuska musiała się stać również katastrofą dla naszych wojsk we Francji, pozostających pod jego dowództwem i rozkazami. Miarą tej katastrofy jest fakt, że z 60 tysięcy naszego wojska uratowały się jedynie tyłowe niedobitki i będące w szkoleniu formacje w ilości nie dochodzącej, jak się zdaje, 15.000 ludzi. Jak się to stać mogło, jest już dziś jasne i niewątpliwe. Zaczęło się od tego, że wbrew swoim własnym oświadczeniom o odbudowaniu armii polskiej we Francji, gen. Sikorski dopuścił do tego, że dwie niedoszkolone dywizje polskie zostały wysłane na front, każda osobno, i że pierwsza z nich musiała ponieść ciężkie straty, bijąc się z Niemcami w chwili, gdy wojska francuskie walczyć przestawały. To samo stało się z jednym z batalionów brygady gen. Maczka, który parę dni po spóźnionym o pół roku otrzymaniu materiału bojowego został wysłany na front i także samotnie walczył. Chodzą pogłoski, że w ostatniej chwili również część niezorganizowanej jeszcze III dywizji poszła na front. Jednym słowem, zamiast stanowić armię, poszczególne nasze jednostki wojskowe używane były każda z osobna w bezcelowej, samotnej walce z wrogiem wśród kapitulujących wojsk francuskich.

Dopiero 19 czerwca gen. Sikorski zwrócił się za pośrednictwem radiofonii londyńskiej BBC do I-ej i II-ej dywizji (osobiście przemawiając przed mikrofonem) aby wycofały się one na granicę szwajcarską. Naiwne byłoby przypuszczać, że którekolwiek z naszych dowództw słuchało wówczas radiowych audycji londyńskich. Zresztą faktem jest, że już 20 czerwca radio francuskie podało wiadomość o przejściu naszej II-ej dywizji i nie-

dobitków I-ej na teren Szwajcarii, musiało się więc to stać najpóźniej 18 czerwca, tj. przed radiowym rozkazem gen. Sikorskiego.

Oficjalna wersja o celach pobytu gen. Sikorskiego w Londynie głosi, iż przybył on aby uzyskać przysłanie okrętów angielskich dla ewakuacji wojska polskiego. Rzeczywiście zrobił on te starania, ale faktem jest, że te same starania były już robione od dnia 17 czerwca wprost u admiralicji angielskiej za pośrednictwem dowódcy okrętu wojennego angielskiego, na którym przebywali P. Prezydent i min. Zaleski.

Dalej gen. Sikorski miał odwagę publicznie i pisemnie głosić, że wszystkie oddziały wojsk naszych, znajdujące się na zachód od linii Paryż-Marsylia, zostały ewakuowane do Anglii. Dziś wiemy jak to wyglądało w rzeczywistości. W Bretanii pozostawiona sama sobie została stracona, sławna dzisiaj, Brygada Podhalańska, z wyjątkiem jednego batalionu, który na własną rękę się wyratował. Została ona stracona dlatego, że skierowana do portu St.-Malo spotkała tam Niemców. Osoby, które znają przebieg wypadków, stwierdzają, że jeszcze 16 czerwca można było mieć bezpośrednią łączność z brygadą i skierować ją do któregokolwiek z portów południowo-zachodnich, ale Naczelny Wódz był *quelque part en France,* a jego pierwszy wiceminister, gen. Kukiel odmawiał wydawania rozkazów ewakuacyjnych. Podobny los spotkał, jak się zdaje, część naszych podchorążówek z Coëtquidan, które użyte przez Francuzów do powstrzymania pochodu Niemców na Rennes, poniosły ciężkie straty i nie mogły wydostać się z Francji.

Wiadomo wreszcie, że prawie wszystkie formacje wojsk naszych, szkolące się na południe od Loary, zaczęły się wycofywać na własną rękę i bez żadnych rozkazów ku południowo-zachodnim portom Francji dopiero 17 czerwca. Stwierdzone jest, że były wypadki, kiedy dokonywały tego nawet bez swoich bezpośrednich dowódców, którzy sami je opuścili. Zaś w niektórych oddziałach dowódcy, pozbawieni rozkazów, oświadczyli żołnierzom, iż mogą wojsko opuścić. Na tym tle są już bardzo ciężkie sytuacje i nieporozumienia w naszych obozach wojskowych w Anglii.

W rezultacie, jak już zaznaczyłem, wojska nasze nie zostały ewakuowane do Anglii, a przedostały się tu głównie zdekompletowane formacje tyłowe i szkoleniowe, około 15.000 ludzi. Pomimo to gen. Sikorski miał odwagę stwierdzić, w swym przemówieniu radiowym do kraju, iż znaczna część wojsk polskich we Francji zdołała uratować się i została ewakuowana do Anglii.

Dodać tu trzeba, iż wiadomości przychodzące z naszych obo-

zów wojskowych do Anglii są jak najbardziej niepokojące i wskazują na konieczność przedsięwzięcia natychmiast kroków zaradczych, jeżeli w ogóle chcemy uratować tę małą cząstkę naszego wojska i nie narazić jej na konieczną, wobec takiego zachowania się dowództw, ostateczną demoralizację.

4) Również bez opieki i rozkazów pozostawił premier Sikorski liczną rzeszę urzędników, rodzin wojskowych, inżynierów i robotników rozsianych po fabrykach francuskich. Znaczna ich większość została porzucona na pastwę losu we Francji, częściowo pod okupacją niemiecką.

Trzeba liczyć się z tym, że rzesze Polaków, pozostałych we Francji i rozbrojonych w Szwajcarii, niebawem nawiążą kontakt z krajem oraz z ośrodkami emigracyjnymi w Rumunii i na Węgrzech i przekażą wiadomości o tym, jak dalece były bez opieki a nawet bez żadnych wskazówek ze strony odpowiedzialnego za ich los premiera i Naczelnego Wodza.

5) Obraz działań premiera i Naczelnego Wodza gen. Sikorskiego w przeciągu ostatniego miesiąca nie byłby pełny ani zrozumiały, gdybyśmy mieli zapomnieć o dwu jeszcze faktach, które niewątpliwie odegrały w tym wszystkim rolę bardzo zasadniczą i ważną. Wiadome jest Panu Prezydentowi, że gdy w dniu 28. IX. 1939 r. przekazywałem gen. Sikorskiemu organizację i dowództwo naszej armii we Francji, zażądałem od niego słowa, że jeżeli gen. Sosnkowski zdoła się przedostać do Francji, on, gen. Sikorski, odda się pod jego rozkazy. Gen. Sikorski bez najmniejszego wahania przyrzeczenie to w moje ręce złożył, a następnie powtórzył je spontanicznie wobec mnie i gen. Burhardt-Bukackiego w chwili, gdy nad nim obejmował zwierzchnictwo. Podając rękę gen. Burhardt-Bukackiemu gen. Sikorski powiedział wówczas tekstualnie: „A ja oświadczam, iż jeśli gen. Sosnkowski znajdzie się we Francji, oddam się pod jego rozkazy".

Zresztą wszyscy działacze polityczni, którzy byli we wrześniu w Paryżu, głosili chętnie, że jeżeli gen. Sosnkowski przybędzie do Francji, uznają jego zwierzchnictwo polityczne i wojskowe. Tylko Pan jeden, Panie Prezydencie, wyciągnął konsekwencje z tego stanowiska i natychmiast po przybyciu gen. Sosnkowskiego do Francji, prosił go o objęcie wysokiego urzędu Prezydenta Rzeczypospolitej, będąc zdecydowany osobiście zrzec się tej godności. Tylko kategoryczna odmowa gen. Sosnkowskiego skłoniła Pana, Panie Prezydencie, do zachowania nadal w swoim ręku piastowanej najwyższej godności państwowej.

Gen. Sikorski natomiast nie tylko danego uroczyście przyrzeczenia nie spełnił, a odwrotnie, spowodował szereg niezgod-

nych z konstytucją trudności przy desygnowaniu gen. Sosnkowskiego na stanowisko zastępcy Prezydenta RP, a następnie zrobił wszystko możliwe po to, aby gen. Sosnkowskiego od wojska odsunąć.

Faktem ostatnim, którego pominąć nie można, jest to, że od 1-go dnia swych rządów gen. Sikorski nie zrobił nic, aby przekonać aliantów i świat cały państw neutralnych, usposobionych antyniemiecko o rozmiarach i znaczeniu wkładu wojskowego, politycznego i moralnego Polski do wspólnej walki z Niemcami w trakcie naszej regularnej wojny z nimi. Odwrotnie, prowadząc pod formalnym hasłem „jedności narodowej" politykę ustawicznej, manifestacyjnej wojny domowej, oskarżając o klęskę w wojnie z Niemcami i Rosją Sowiecką wyłącznie Rząd polski i Naczelne Dowództwo, przechodząc do porządku dziennego nad brakiem jakiejkolwiek pomocy i współdziałania wojskowego ze strony obu naszych sojuszników i niedostatecznie uwypuklając fakt decydującej przewagi materialnej obu naszych wrogów, gen. Sikorski obniżył sytuację i stanowisko Polski w gronie jej aliantów oraz przyczynił się walnie do tego, że alianci zbagatelizowali doświadczenia wojny polsko-niemieckiej.

W rezultacie premier i Naczelny Wódz, gen. Sikorski nie tylko nie przyczynił się do tego, aby wzbudzić u aliantów i w opinii światowej szacunek dla ogromnych zasług Polski i ofiar przez nią składanych, ale odwrotnie, całą swoją postawą i działalnością przyczynił się do poważnego obniżenia zarówno moralnego jak i politycznego, i wojskowego autorytetu i prestiżu Polski.

Nie mogło też być inaczej, bo przez swoje postępowanie, którego głównym elementem była zacietrzewiona krytyka wszystkiego, co się w Polsce działo, miał u rządów i dowództw sprzymierzonych sytuację nie premiera rządu reprezentującego Polskę walczącą i broczącą krwią, której alianci zawdzięczają 8 miesięcy spokoju, ale sytuację przedstawiciela Polski przez niego samego wyimaginowanej, która załamała się rzekomo pod ciężarem własnych tylko błędów, a nie przewagi tego wroga, przed którym w 8 miesięcy później miała skapitulować niesławnie Francja.

Takie są fakty, które charakteryzują 8-miesięczną działalność premiera Sikorskiego od pierwszego do ostatniego tygodnia. Wymowa ich jest dostateczna i nie mam wrażenia, aby potrzebowały komentarza. Są one znane szerokiemu gronu Polaków przebywających w Anglii i pozbawionych tymczasem wszelkiej możności wypowiedzenia się. Niebawem dojdą do wiadomości naszych środowisk emigracyjnych we Francji, na Węgrzech, w Rumunii i Ameryce, a następnie staną się wiadome opinii krajowej. Nie

można mieć żadnych wątpliwości, jaka będzie ich ocena, zwłaszcza w kraju.

Jest jednak przed nami i inne, równie poważne zadanie. Nie można oprzeć się wrażeniu, że w ostatecznej fazie kataklizmu światowego, w którym między innymi rozstrzygną się losy Polski, rolę decydującą odegrają nie tylko ilości armat, okrętów, samolotów i wojsk, ale także momenty moralne i ideowo-polityczne, stanowiące o sile i prężności stron walczących. Rzuceni na emigrację, pozbawieni już dzisiaj prawie zupełnie wojska, pozbawieni własnego oparcia finansowego wobec losu, który zgotowano wywiezionemu z Polski zapasowi złota, będziemy mogli brać o tyle czynny udział w walce, o ile zdołamy zwaloryzować wobec naszego sojusznika te wartości moralne, ideowe i polityczne, których symbolem jest Polska, jedyne państwo bezpośrednio przez wojnę doświadczone, które pomimo najcięższych klęsk i prób nie załamało się, nie kapitulowało przed żadnych z najeźdźców, pozostało wierne swojemu poczuciu honoru i obowiązku obywatelskiego, które potrafiło zachować łączność duchową z walczącym i cierpiącym krajem, utrzymać się na poziomie godności i równości wobec innych rządów i zdołało zaprząc do walki i pracy dla sprawy Polski liczne rzesze Polaków, rozsianych po całym świecie. Jeżeli mamy choć częściowo sprostać odpowiedzialnym zadaniom, które przed nami stoją, konieczny jest nasz dynamizm ideowy i polityczny, który by z imienia Polski uczynił sztandar walki o wolność narodów i gromadził pod nim wszystkie te elementy wśród różnych społeczeństw, które pomimo załamania się, kompromisów i kapitulacji rządów są zdecydowane na dalszą, chociażby rewolucyjną walkę z Hitlerem. Nie wolno nam ograniczać się do formalnej dyplomacji wobec poszczególnych rządów, ani formalnej propagandy, trzeba i to natychmiast sięgnąć głębiej i szerzej oraz utrzymać czynnie w ręku tę własną i ważną rolę, którą Polska spełniła już w miesiącach poprzedzających konflikt oraz w momencie jego wybuchu, stawiając pierwsza opór imperializmowi Niemiec. Jeśli tego zrobić nie zdołamy, zejdziemy do roli biernego narzędzia któregoś z mocarstw, jaką nie przestaje być rola np. pana Benesza i jego przyjaciół.

Wskazania jak to zrobić znajdziemy łatwo, jeśli przypomnimy sobie, że ten, który naród nasz do walki o niepodległość zaprawiał i prowadził, komendant Piłsudski, będąc jeszcze tylko kierownikiem małej organizacji bojowej, umiał już traktować z rządami mocarstw na równej stopie. Nie sądzę, abyśmy mogli marzyć o czymś więcej, jak o rezultatach prac naszych i wysiłków, jak o tym, aby dorównały one dziełu Marszałka Piłsudskiego w stosunku do postawionych sobie przez niego zadań.

Wszystko powyższe jest specjalnie ważne z punktu widzenia utrzymania naszego wojska i kierowania nim. Nie łudźmy się, że możemy oprzeć je na przeciętnych metodach rządzenia, poborach, formalnej dyscyplinie — jeśli nie zdołamy stworzyć dokoła symboli państwowych na emigracji takiej atmosfery, która by uczyniła z każdego naszego żołnierza i oficera świadomego bojownika o wolność Polski i najlepsze wartości moralne człowieka, nie będzie on mógł być godnym sławy, którą zdobyła nasza armia w bitwach o Westerplatte, Hel, Modlin, Kutno i Warszawę.

Panie Prezydencie, proszę mi wybaczyć ten przydługi list i pozwolić wierzyć, że przyjmie go Pan jako głos sumienia obywatelskiego, powodującego się wyłącznie poczuciem obowiązku i troską o najwyższe dobro Ojczyzny będącej w ciężkiej potrzebie. Do napisania tego listu czułem się tym bardziej upoważniony i zobowiązany, że zajmując w ciągu 3 i pół lat stanowisko Ambasadora RP w Paryżu i orientując się w stosunkach i sytuacji Francji, uprzedzałem generała Sikorskiego w momencie obejmowania przez niego rządów zarówno o niebezpieczeństwach i trudnościach, które sprawom naszym grożą, jak o słabości wewnętrznej Francji i jej rzeczywistym stosunku do wojny. Opinii mojej nigdy nie ukrywałem nie tylko przed naszym nowym rządem, ale przed rządem francuskim, czego dowodem był fakt, że na jego żądanie zostałem odwołany ze stanowiska ambasadora w Paryżu. Opinia moja była brana pod uwagę przez uprzedni rząd, natomiast gen. Sikorski przeszedł do porządku dziennego nad wszystkimi ostrzeżeniami i powodując się w ocenie siły i intencji Francji bezkrytycznie przyjmowanymi opiniami najbardziej zainteresowanych Francuzów, naraził sprawy Polski na te niepowetowane straty, które już dziś są dla każdego jasne. Liczę się oczywiście z tym, że moje wywody będą znane gen. Sikorskiemu, jak również niektórym członkom Rządu i Rady Narodowej.

Proszę Pana, Panie Prezydencie, o łaskawe przyjęcie zapewnień mej najwyższej czci i szczerego oddania.

(—) *J. ŁUKASIEWICZ*

CI, CO ODESZLI

Anna M. CIENCIAŁA

WSPOMNIENIE O DOMANIE ROGOYSKIM (1903 - 1987) I DWA PRZYCZYNKI HISTORYCZNE

Nota biograficzna

Doman Andrzej Rogoyski urodził się 29 listopada 1903 roku w Witkowicach na Morawach. Studia średnie ukończył zdaniem matury *summa cum laude* w gimnazjum z językiem wykładowym niemieckim w Mor. Ostrawie. W 1926 roku uzyskał dyplom Wyższej Szkoły Handlu Światowego (dawnej Akademii Eksportowej) w Wiedniu.

Po krótkiej pracy w firmie spedycyjnej w Paryżu został tego samego roku przyjęty do polskiej służby dyplomatycznej, debiutując jako praktykant w konsulacie RP w Mor. Ostrawie. Po roku w służbie państwowej następne cztery lata spędził w Stambule, pracując najpierw jako urzędnik kontraktowy, a później u radcy handlowego w ambasadzie RP (1927-1931).

Wezwany do Centrali, zdał egzamin dyplomatyczno-konsularny w grudniu 1931 roku, po czym w latach 1932-1937 pracował w Biurze Polskiego Komisarza Generalnego w W. M. Gdańsku, najpierw jako referendarz, a później jako radca. W 1935 roku został wybrany przez robotników prezesem Polskiego Zrzeszenia Pracy w Gdańsku.

Powróciwszy do Centrali, został przydzielony najpierw do De-

partamentu Politycznego, a na jesieni 1938 roku do gabinetu ministra, gdzie otrzymał tytuł radcy, pełniąc funkcję jednego z trzech sekretarzy ministra Józefa Becka.

Po wybuchu wojny ewakuował się w ekipie ministra, z którym przekroczył dn. 17 września 1939 roku granicę rumuńską. Pozostał dobrowolnie u boku internowanego Józefa Becka i towarzyszył mu wiernie aż do śmierci (5 czerwca 1944 roku), po czym odegrał główną rolę w załatwieniu formalności pogrzebowych.

Po przedostaniu się z Rumunii do Turcji wykonywał prace zlecone w ambasadzie RP w Ankarze. W styczniu 1945 roku przybył do Londynu, gdzie był kierownikiem referatu w Wydziale Niemieckim MSZ do lipca 1945 roku. Za zgodą MSZ został wówczas zaangażowany przez organizację UNRRA i prowadził przez dwa lata obozy dla tzw. *displaced persons* w strefie amerykańskiej w Austrii, a przez następne dwa lata obozy organizacji osiedleńczej IRO tamże.

Po ukończeniu tej pracy wyemigrował wraz z żoną Martą (córką austriackiego generała Hugo Lippmanna) do Stanów Zjednoczonych, zostając w 1955 roku obywatelem tego kraju (za zgodą rządu RP w Londynie). Od 1950 do 1969 roku pracował jako bibliotekarz w Bibliotece Kongresowej w Waszyngtonie. W 1969 roku biblioteka ta wydała całkowicie przez niego opracowany *Słownik Metereologiczny Polsko-Angielski* (10.000 terminów). Po likwidacji tego wydziału był przez 2 i pół roku korektorem tłumaczeń tekstów technicznych i naukowych, głównie z rosyjskiego, w firmie *Scripta Technica* w Waszyngtonie. W 1971 roku przyjął stanowisko zastępcy przedstawiciela na Austrię nowojorskiej Fundacji Tołstoja, a od 1973 do 1979 roku był pełnym przedstawicielem tej fundacji, opiekując się uchodźcami z Rosji Sowieckiej, Rumunii, Bułgarii oraz innych krajów.

Był jednym z założycieli Stowarzyszenia Pracowników Polskiej Służby Zagranicznej i członkiem Instytutu Józefa Piłsudskiego w Nowym Jorku.

Zmarł nagle w Waszyngtonie dnia 14 listopada 1987 roku.



Suche dane biograficzne nie mogą oczywiście odtworzyć człowieka. Miałam zaszczyt poznać p. Domana w 1984 roku. Byłam parokrotnie gościem w jego domu w Waszyngtonie oraz prowadziłam z nim długą i obszerną korespondencję dotyczącą m.in. Józefa Becka.

Był Ślązakiem z krwi i kości, a Ślązacy, jak wiadomo, to ludzie twardzi, ale sprawiedliwi; uparci i raczej zamknięci w sobie; nacechowani nieugiętą prawością; pracujący ciężko, zawsze obowiązkowi i punktualni, nieufni wobec obcych, ale nad wyraz uczynni w sprawach, które uznają za ważne i zawsze i do

końca lojalni wobec przyjaciół. (W tym wszystkim p. Doman bardzo mi przypominał mego Ojca, śp. Andrzeja Cienciałę, Cieszyniaka).

Ponadto p. Doman posiadał cechy prawdziwie rycerskie, których głównym dowodem było jego dobrowolne dzielenie losów ministra Józefa Becka aż do jego śmierci w Rumunii (5 czerwca 1944 roku). Wykonywał to wszystko jako zwykłą powinność. W liście z 14 lipca 1944 roku do znajomego, p. Jadwiga Beckowa pisała:

„Doman Rogoyski — to osobny rozdział. Brak mi słów do opisania jego pięknej wierności... Jim rozmawiał z nim całymi godzinami. Cenił jego ścisły, dokładny umysł[1]".

Chciałabym tu przekazać dwa przyczynki historyczne pióra p. Domana, które naświetlają zarówno historię Polski, jak i jego w niej udział. Pierwszy, to relacja o Jego nieznanej misji dyplomatycznej podczas kryzysu czechosłowackiego; drugi, to wyjątki z jego opisu pogrzebu ministra Józefa Becka. (Relacje te otrzymałam od Niego w związku z moją pracą naukową). Treść pierwszej relacji podaję niżej.

„W okresie monachijskim byłem przydzielony do gabinetu ministra, a moim zwierzchnikiem był p. Mieczysław Sędzielowski, kierownik Referatu Politycznego w Gab. Min. MSZ; funkcja jednego z sekretarzy ministra została mi powierzona dopiero pod koniec 1938 roku.

Bezpośrednio przed dyktatem monachijskim, gdy stało się wiadomym, że Bogumin ma przypaść Niemcom, Michał Łubieński, szef gabinetu ministra, powiedział mi późnym popołudniem w biurze, że posyłają mnie jako kuriera do Berlina z pilnymi instrukcjami dla ambasadora (Józefa) Lipskiego.

Ważność mojego paszportu dyplomatycznego akurat upłynęła, ale wynikający z tego ambaras został usunięty, gdy Kazimierz Krasicki, sekretarz ministra, zaproponował mi użycie jego paszportu. Tak więc z jego paszportem, na jego nazwisko, jak stałem prosto z biura zawieziono mnie, z zalakowaną kopertą w teczce, na lotnisko i poleciałem jako jedyny pasażer specjalnym samolotem do Berlina. Formalności graniczne w Berlinie były powierzchowne, bo oczywiście władze niemieckie były poinformowane o specjalnym locie, a ktoś z naszej ambasady był na lotnisku berlińskim.

W ambasadzie, po otwarciu koperty, Lipski poprosił mnie do swojego biura, gdzie w obecności *attaché* wojskowego (Antoniego) Szymańskiego, powiedział mi, że ma polecenie ministra Becka interweniować u marszałka Göringa, żądając odstąpienia Bogumina przez Niemców, by razem z innymi obszarami Zaolzia przypadł nam. Lipski, podając mi tę wiadomość, nie trzymał się ściśle zasady, że kurierzy nie są nigdy informowani o treści korespondencji im powierzonej. Przypuszczał więc, że wioząc instrukcję wiedziałem o co chodzi.

Następnego dnia rano Lipski wykonał instrukcję, interweniując u Göringa. A ja, znów jako kurier, wróciłem zaraz potem samolotem do Warszawy".

---

1. List Jadwigi Beckowej do Ignacego Matuszewskiego z dn. 14. VII. 1944 roku, kopia w archiwum Instytutu Józefa Piłsudskiego w Nowym Jorku.

Aczkolwiek minister w swej instrukcji nie wymieniał Göringa, to po przekazaniu informacji w sprawie Bogumina oraz ostrzeżenia, że sprawę należy szybko wyjaśnić, by uniknąć starcia politycznego lub wojskowego z Niemcami, minister w punkcie 7 pisał:

„Poinformuj w zakresie, który na dziś będziesz uważał za możliwy, kogokolwiek z poważnych kierowników politycznych Rzeszy o naszym stanowisku".

Następnego dnia, tj. 28 września, minister przesłał ambasadorowi Lipskiemu dodatkowe instrukcje, które zostały również przesłane przez kurierów do Berlina.

Nie wiadomo, czy Lipski zobaczył się w tej sprawie z samym Göringiem; przynajmniej w swym raporcie z 28 września o tym nie wspomina, pisząc, że został przyjęty o 12.30 rano przez Ernsta von Weizsäckera (podsekretarza Stanu). Być może, iż z Göringiem się wówczas nie widział, względnie że relacja z tej wizyty zaginęła.

Władze polskie były gotowe do walki o Bogumin. Hitler jednak wyraził w końcu zgodę na przekazanie miasta Polsce, mimo obiekcji miejscowych Niemców i mimo iż niemiecki MSZ oraz Göring chcieli posłużyć się Boguminem w ewentualnych targach z Polską o Morawską Ostrawę lub nawet o Gdańsk.



Druga relacja, którą przekazał mi p. Doman, dotyczy formalności pogrzebowych dla min. Józefa Becka oraz jego pogrzebu na luterańskim cmentarzu (części wojskowej) w dzielnicy Bellu w Bukareszcie, dnia 8 czerwca 1944 roku. Nabożeństwo w m.p. ministra, tj. w budynku szkolnym w wiosce Stanesti-Chirculesti, odprawił jedyny ksiądz kalwiński w Bukareszcie, Węgier ks. Szasz, który również po węgiersku żegnał ministra na cmentarzu. (Obrządek ten podyktowany był faktem, że tak jak i Piłsudski, Beck przeszedł na kalwinizm, by ożenić się po raz drugi za życia swej pierwszej żony).

Podaję tu kilka wyjątków z długiej i szczegółowej relacji, której p. Doman nie mógł, mimo starań, za swego życia opublikować.

„... p. Sch(aetzel) z zadowoleniem stwierdził, że cmentarz był tak położony, iż Szef będzie pochowany twarzą zwróconą do Polski, czego dawniej o ewentualności śmierci mówiąc zawsze sobie życzył...

... Włożyliśmy ciało do trumny cynkowej, stojącej na sporządzonym w domu katafalku. P. (Antoni) Roman zaofiarował nieco ziemi z Gdyni (...). Włożono więc do trumny ową ziemię z Gdyni, fotografię Marszałka Piłsudskiego, syna szefa (Andrzeja Becka) oraz obrazek Matki Boskiej Ostrobramskiej. Po wejściu do pokoju ksiądz odprawił nabożeństwo i wygłosił długie kazanie w języku węgierskim... Przy trumnie stała pani min. i Buba (pasierbica ministra, później po mężu Tymieniecka) p. Sch(aetzel) i ja.

[Trumnę cynkową, w której złożono zabalsamowane zwłoki ministra, włożono do trumny sosnowej, ponieważ trumna dębowa okazała się za krótka, A.C.].

... Wyjazdowi (z domu) asystowała 'garda' żandarmów, która sprezentowała broń, po czym z karabinami odwróconymi lufami w dół towarzyszyła karawanowi kilkadziesiąt kroków.

... Przybywszy tam (na cmentarz) wzięli trumnę na ramiona Mościbrodzki, Chlipalski Eugeniusz, Twardosz Władysław, Zieliński Władysław, Schaetzel Tadeusz, Rogoyski Doman, Pędzich Benon i Swoboda Bronisław, i prowadzeni krzyżem i księdzem z kantorem nieśli ją na barkach do miejsca w alei głównej blisko grobu.

Za trumną postępowała pani min. prowadzona przez dyr. Świd[erskiego], reprezentanta państwowości polskiej i Buba, prowadzona przez Tad. K[asprzyckiego] młodszego.

Za nimi szli b. ministrowie — koledzy szefa z rządu, dalej reprezentanci władz rumuńskich oraz publiczność[2]".

Anna M. CIENCIAŁA

---

2. Relacja Domana Rogoyskiego, przepisana z fotokopii oryginalnego sprawozdania, oddanego posłowi szwajcarskiemu w Bukareszcie.

W relacji podany jest wykaz osób obecnych na pogrzebie:

Polacy (poza osobami niosącymi trumnę): rodzina; min. A. Roman z żoną, gen. T. Kasprzycki z żoną, min. J. Ulrych z żoną, Tadeusz Kasprzycki junior, Irena Kajzer, H. Bigoszt, Fr. Szumowski, Wł. Lisowski, Z. Galewski, Wł. Bocheński, K. Jasiewiczowa z trzema synami, K. Świderski, Lipiński, p. T. Nakoniecznikoff-Klukowski z żoną, Wendołowski, p. Ceceniowska z dwiema córkami, p. Cernauteanu (matka p. Chichinas), p. Drzewiński, p. Maruszczak, H. Rottermund, rodzina Załszupinów, p. Gazda z Turnu-Severin, p. Świtalski, Leon Muszyński, Leopold Unger, panna Z. Wierzejska, żona Br. Swobody, p. Kozłowska z córką, Siemiątkowski, K. Włodarek.

Rumuni: księżna Alexandrine Cantacuzino, dr Stepleanu-Horbatsky, panna Iacob z Komisariatu Gen. Uchodźców, panna Irineu, Andre i Sylvia Samuelli, p. Valerie Samuelli z dwiema córkami, ... Helios, pielęgniarka szefa, Andrei Camila (zarządca [domu] sąsiadującego z Toma Stelian 2).

Obcy: pani Charles Haas, p. Thevenin, Charles Le Vicent [Francuzi — A.C.].

Urzędowo: gen. Milicescu (kom. placu), ppłk Aurel Thobescu (*vel* Tomescu, za protokół wojskowy), płk Radu Gallin (przedstawiciel Rady Ministrów), radca MSZ, wicedyr. protokołu, M. C. Valeanu; p. Oederlin z poselstwa szwajcarskiego.

RECENZJE

Z. S. SIEMASZKO

O KAMPANII WRZEŚNIOWEJ

Zaraz po zakończeniu drugiej wojny światowej Komisja Historyczna Polskiego Sztabu Głównego w Londynie (przy poparciu Polskiego Instytutu Historycznego i Instytutu im. gen. Sikorskiego) rozpoczęła gigantyczną pracę nad dziejami Polskich Sił Zbrojnych podczas tej wojny. Prace te podzielono na trzy zasadnicze działy:

tom I — Kampania Wrześniowa, w sześciu częściach.
tom II — Kampanie na Obczyźnie, w trzech częściach.
tom III — Armia Krajowa.

Najpierw zakończono prace nad Armią Krajową i tom III wydano w 1950 roku. Później, w latach 1950-1962, wydano pierwsze trzy części Kampanii Wrześniowej, pokrywające okres od 1 do 14 września, jak również część 5 dotyczącą Marynarki Wojennej i obrony Wybrzeża, oraz część pierwszą Kampanii na Obczyźnie. Potem w 1975 roku wydano część drugą Kampanii na Obczyźnie i wreszcie, po długiej przerwie, w 1986 roku, opublikowano część czwartą Kampanii Wrześniowej (15 do 18 września włącznie)[1]. Czyli pozostają jeszcze do wydania część trzecia Kampanii na Obczyźnie oraz część szósta Kampanii Wrześniowej, obejmująca

1. ***Polskie Siły Zbrojne w drugiej wojnie światowej*, Tom I, *Kampania Wrześniowa*, część 4, Instytut Polski i Muzeum im. gen. Sikorskiego, Londyn 1986. Str. 606 i 8 szkiców.**

wypadki po 18 września. Miejmy nadzieję, że oba te dzieła ukażą się, zanim pokolenie wojenne odejdzie z tego świata.

Wszystkie te księgi mają niewątpliwą wartość historyczną, ale żeby z nich korzystać potrzebne są nie tylko spisy treści i szkice, lecz także indeksy zarówno nazwisk, jak i w miarę możności nazw geograficznych. Niestety, wydana ostatnio część czwarta Kampanii Wrześniowej nie ma ani indeksu nazwisk, ani też indeksu nazw i z tego powodu staje się bez mała nie do wykorzystania przez historyków, którzy nie będą w stanie znaleźć tej informacji, która jest im w danym momencie potrzebna. Byłoby niezmiernie pożądane, żeby wydawcy tego opracowania udostępnili czytelnikom niewielką broszurę, obejmującą indeks nazwisk wymienionych w tej części Kampanii Wrześniowej.

O ile chodzi o okres czterodniowy od 15 do 18 września włącznie, występują w nim dwa zasadnicze zagadnienia — możliwość okrzepnięcia Armii Polskiej na tzw. przyczółku rumuńskim oraz atak sowiecki w dniu 17 września wraz z jego przyczynami i skutkami.

Zanim zaczniemy zastanawiać się nad możliwościami okrzepnięcia polskiego frontu w dniach 15-18 września, trzeba przynajmniej pobieżnie omówić początkowe porażki, które doprowadziły do rozczłonkowania polskiego frontu. Nie ulega wątpliwości, że niemiecka przewaga materialna, a szczególnie przewaga w lotnictwie i czołgach była tak ogromna, że trudno było liczyć na zatrzymanie armii niemieckiej. Ale jednak można było spodziewać się mniej gwałtownej „rozsypki" Armii Polskiej, gdyby z polskiej strony zostały zastosowane inne metody działania. Wśród najważniejszych pomyłek można wymienić następujące.

Pomimo, że Piłsudski mówił wielokrotnie swoim podwładnym, że zasadniczym elementem wojny jest manewr, a nie wojna pozycyjna i pomimo, że inspirator polskiej wiedzy wojskowej, francuski pułkownik Louis Faury podkreślał, iż w wypadku wojny z Niemcami nie należy lokować wojsk w Poznańskiem, gdyż zostaną one odizolowane, sztab polski w 1939 roku zastosował taktykę obrony całego terenu państwowego i rozmieścił swe siły równomiernie wzdłuż granic państwa, umieszczając jedną z najsilniejszych armii właśnie w Poznańskiem (którą rzeczywiście, tak jak Faury przewidywał, Niemcy obeszli). Tego rodzaju taktyka obronna była całkowicie niedopasowana do metod niemieckich, które polegały nie na stopniowym zajmowaniu terenu na całym froncie, a na silnych uderzeniach na paru kierunkach. Kierunki te były łatwe do przewidzenia, gdyż wychodziły z miejsc najbardziej wcinających się w polskie tereny, a mianowicie z Prus Wschodnich na południe i z terenów najbliższych Częstochowy w kierunku na Warszawę. Zachodzi pytanie, dlaczego polscy sztabowcy nie zastosowali się do wskazań Piłsudskiego i Faury'ego.

Wyjaśnienia może należy szukać w tym, że zarówno szef Sztabu (gen. Stachiewicz), jak i szef Oddziału Operacyjnego Sztabu (płk

Jaklicz), jak również jego zastępca (płk Kopański) byli absolwentami francuskiej wyższej szkoły wojennej (która uchodziła między wojnami za najlepszą na świecie), a szkoła ta uczyła w pierwszym rzędzie defensywy opartej na zasadach walki pozycyjnej, tzn. obrony terenu, a nie operacji opartych na manewrze i ruchu (w celu zachowania zdolności bojowej jednostek wojskowych), czego zwolennikiem był Piłsudski.

Drugą przyczyną przyspieszenia polskiej porażki była metoda dowodzenia zastosowana przez sztab Rydza-Śmigłego, polegająca na sztywnym skoncentrowaniu decyzji dowódczych w rękach sztabu, zakazując nawet dowódcom Armii wykazywania jakiejkolwiek inicjatywy, a jednocześnie zabraniając im kontaktowania się między sobą w celu uzgodnienia współpracy. Może i nie byłaby to zła metoda dowodzenia, szczególnie biorąc pod uwagę przerost inicjatywy popularny wśród Polaków, ale koniecznym warunkiem powodzenia tego rodzaju dowodzenia była niezawodna łączność pomiędzy sztabem i podległymi mu Armiami. Tymczasem komunikowanie się pomiędzy tymi ośrodkami dowódczymi było nieprzygotowane i w praktyce niezmiernie powolne i utrudnione. Miało to fatalne skutki, zarówno w kilkudniowym opóźnieniu rozpoczęcia bitwy nad Bzurą, jak i w wykańczaniu przez Niemców Armii gen. Rómmla w tym czasie, kiedy opodal stał bezczynnie (bo nie miał rozkazów odgórnych) gen. Dąb-Biernacki ze swoją Armią Rezerwową. Ten scentralizowany system dowodzenia, bez niezawodnej łączności doprowadził do tego, że cały szereg oddziałów został pozbawiony szansy walki i zużycia nawet tych ograniczonych możliwości, które posiadał, bo zanim dostał rozkaz do akcji przez powolną sieć dowodzenia, już Niemcy nań najechali.

Wreszcie trzecią ważną przyczyną był brak wypracowania taktyki użycia broni szybkich, a w pierwszym rzędzie brygad kawalerii, które wraz z konną artylerią były jedyną bronią będącą w stanie poruszać się w tempie zmotoryzowanych oddziałów niemieckich. Odległość, którą niemieckie wozy pancerne przejeżdżały w dzień, kawaleria polska mogła przejechać w nocy. Poza tym pułki kawalerii były lepiej uzbrojone niż piechota i były jedynymi jednostkami Wojska Polskiego w 1939 roku wyposażonymi w nowoczesne i względnie dobrze działające radiostacje. Jednak brygady kawalerii zostały „przywiązane" do z natury nieruchliwych dywizji piechoty i dlatego nie mogły działać niezależnie, jako oddziały dobrze uzbrojone i szybko poruszające się w szyku konnym, a walczące, przy wsparciu artylerii konnej, głównie w szyku pieszym. Niestety, kawaleria została „uziemiona" i można jedynie obserwować, jak w szeregu wypadków ze zgrupowań polskich jednostek otaczanych przez Niemców zdołała wydostać się tylko kawaleria i artyleria konna, dzięki swojej możliwości szybkiego poruszania się.

Zajęło bez mała dwa tygodnie, zanim sztywny system dowo-

dzenia załamał się ostatecznie i dowódcy terenowi przejęli w poważnym stopniu inicjatywę we własne ręce. Jednocześnie wyodrębniły się szybko poruszające się, niezależne zgrupowania kawalerii, a większość dywizji piechoty, ustawionych początkowo na linii granic w celu obrony całości terenu została rozbita, okrążona lub też „przejechana" przez Niemców.

Zachodzi pytanie, czy po tym początkowym szoku Armia Polska dostatecznie okrzepła, aby stawiać przez dłuższy czas opór w południowo-wschodniej Polsce? Zarówno autor jednego z pierwszych opracowań o Kampanii Wrześniowej, płk Roman Umiastowski, jak i ówczesny zastępca szefa Oddziału Operacyjnego Sztabu Nacz. Wodza, płk Stanisław Kopański, jak również młody historyk emigracyjny Andrzej Suchcitz sugerują, iż obrona na „przyczółku rumuńskim" była możliwa[2]. Omawiane tu wydawnictwo nie zawiera wiele materiału dotyczącego tej sprawy. Można jednak przypuszczać, że gdyby nawet nie miał miejsca atak sowiecki, bez pomocy Zachodu (a na taką ani Zachód nie był przygotowany, ani też Niemcy nie pozwoliliby Rumunii przepuścić transportów) nie udałoby się na dłuższy okres czasu utrzymać tego przyczółka. Mimo to jednak odnosi się wrażenie, że właśnie na kilka dni przed najazdem sowieckim oddziały polskie zaczęły krzepnąć, wyszedłszy już z początkowego szoku psychicznego. Potwierdza to płk Faury w swoim pożegnalnym liście do gen. Stachiewicza, pisanym już po przekroczeniu granicy rumuńskiej.

„Ugięła się ona [Polska Armia — Z.S.S.] *chwilowo pod naciskiem materiałowej potęgi niemieckiej. Ale mimo przewagi waszego przeciwnika w czołgach i lotnictwie potrafiła ona wspaniale się odtworzyć w tych ostatnich dniach. Jej duch zaczął dominować nad materią, gdy niesłychana interwencja sowietów zadała jej cios w plecy"* (str. 587).

O ile chodzi o interwencję sowiecką, należy cofnąć się do 23 sierpnia 1939, kiedy to niespodziewanie świat dowiedział się o umowie Ribbentrop - Mołotow. Wielu autorów zachodnich jak również krajowych twierdzi, że Polska powinna była zgodzić się na wkroczenie na jej teren oddziałów Armii Czerwonej w celu walki z Niemcami, co zapobiegłoby porozumieniu Sowietów z Niemcami. Wydaje się, że pogląd ten nie jest słuszny, gdyż Niemcy były w stanie zaoferować Sowietom o wiele więcej niż Alianci, a poza tym w interesie Sowietów leżało przystąpienie do wojny jak najpóźniej, a nie na samym jej początku.

Omawiane wydanie Kampanii Wrześniowej nie analizuje tej sprawy, natomiast wynika z niego wyraźnie, że polskie władze całkowicie zignorowały zawarcie układu Ribbentrop - Mołotow i

---

2. Roman Umiastowski, *Bitwa polska*, Londyn 1943. Stanisław Kopański, *Wspomnienia wojenne 1939-1946*, Veritas, Londyn 1972.

nie podjęły żadnych kroków wynikających z tego faktu. Na przykład zupełnie nie przewidywały uderzenia Sowietów od tyłu i w żaden sposób nie były przygotowane na tę ewentualność. Dlatego przekroczenie granicy 17 września z rana było dla polskich władz całkowitym zaskoczeniem, pomimo, że wywiad meldował o mobilizacji i koncentracji Armii Czerwonej (jak podaje w swej pracy Andrzej Suchcitz), co jednak nie było przekazywane na najwyższy szczebel polskiego dowództwa [3].

Czwarta część Kampanii Wrześniowej omawia jedynie pobieżnie wypadki jakie miały miejsce w dniach 17 i 18 września „na tyłach i w głębi Kraju", tzn. w Wilnie, Grodnie, Wołkowysku, Pińsku, Łucku, Równem, Dubnem, Lwowie, Stanisławowie, Tarnopolu i w innych miejscowościach zagrożonych bezpośrednio wkroczeniem Armii Czerwonej. Jest to chyba jedno z największych niedociągnięć tej pracy. Nie przytacza ona np. jakże charakterystycznej relacji ówczesnego majora Władysława Bobińskiego (późniejszego dowódcy Karpackiego Pułku Ułanów), któremu dowodzący w Łucku gen. Skuratowicz kazał:

„Natychmiast udać się na spotkanie wkraczających kolumn, dotrzeć do dowódcy co najmniej dywizji, uzyskać oświadczenie lub pismo wyjaśniające cel — czy z nami przeciw Niemcom, czy przeciw nam?".

A kiedy wieczorem 17 września, po częściowym wykonaniu tego polecenia, Bobiński zameldował się u gen. Skuratowicza w Łucku, uzyskał zezwolenie odejścia „na własne ryzyko" na południe, zamiast wraz z generałem i innymi oficerami oddać się w ręce władz sowieckich. (Jak wiadomo, gen. Skuratowicz i większość oficerów z Łucka zginęła w Katyniu i innych miejscach kaźni) [4].

Brak również w omawianej pracy całego szeregu danych zgromadzonych ostatnio przez Liszewskiego, o tym co się działo na Wschodnich Kresach po wkroczeniu Sowietów [5]. Autorzy omawianej książki interesowali się dokładniej jedynie reakcją Sztabu Nacz. Wodza, ale i tu są braki. Nie ma np. jakże kluczowej rozmowy juzowej o godz. 7.35 rano 17 września pomiędzy szefem Oddziału II Sztabu NW i dowódcą batalionu KOP-u Czortków, która miała przebieg następujący:

---

3. Andrzej Suchcitz, *Kampania wrześniowa 1939 roku*, Zeszyt 2, Instytut Polski i Muzeum im. gen. Sikorskiego, Londyn 1986.
4. Kazimierz Draczyński, *Wspomnienie o gen. Bobińskim*, „Ułan Karpacki' nr 83, styczeń-czerwiec 1976 i *Gen. Władysław Bobiński w kampanii wrześniowej*, „Przegląd Kawalerii i Broni Pancernej" nr 101/102, styczeń-czerwiec 1981, oraz Z. S. Siemaszko, *17 wrzesień i jego konsekwencje*, „Zeszyty Historyczne" nr 44, maj 1978.
5. Karol Liszewski, *Wojna polsko-sowiecka 1939*, Polska Fundacja Kulturalna, Londyn 1986.

„— Tu Czortków, dowódca pułku KOP.
— Tu grupa Piast [określenie Sztabu NW — Z.S.S.], *płk dypl. Smoleński, szef Oddziału Drugiego Naczelnego Dowództwa. Proszę do aparatu płk. Kotarbę.*
— Jestem przy werku.
— Panie Pułkowniku, z rozkazu Szefa Sztabu proszę wysłać parlamentariuszy do dowódcy najbliższego oddziału sowieckiego, który przekroczył granicę, z zapytaniem, co znaczy to przekroczenie granicy przez wojska sowieckie.
— Wszystkie baony biją się. Na odcinku Borszczów zniszczono dwa czołgi sowieckie. Wątpię, czy uda mi się rozkaz wykonać odnośnie parlamentariuszy.
— Panie Pułkowniku, chodzi o to, by się dowiedzieć, co oznacza wkroczenie bolszewików. Wykonując więc swoje zadanie bojowe należy dążyć do wyjaśnienia tej sprawy. Minister spraw zagranicznych na razie innej drogi nie ma".

O ile mi wiadomo, dokument ten znajduje się w Archiwum im. gen. Sikorskiego, a więc na miejscu pracy Komisji Historycznej, szkoda więc, że nie został wykorzystany [6]. Zresztą odnosi się wrażenie, że szczególnie o ile chodzi o najazd sowiecki, materiały przytoczone w tej pracy są dalekie od stanu kompletnego.

Spośród dokumentów przytoczonych zwraca uwagę relacja Rydza-Śmigłego z 24 grudnia 1939, w której wyraża on opinię, iż „im większe będzie poświęcenie Polski, tym więcej będzie ona miała prawo wymagać od sojuszników po zwycięstwie". W zasadę tę wierzyło wielu Polaków w czasie ostatniej wojny, nie zdając sobie sprawy z tego, jak była fałszywa i na próżno Stanisław Mackiewicz starał się przekonywać wówczas swoich rodaków, iż nie ten wygrywa wojnę, kto w nią najwięcej włożył, ale ten, kto jest najsilniejszy w momencie jej zakończenia. Niestety, nie chciano mu wówczas wierzyć a potem mówiono, że zostaliśmy zdradzeni.

Na obecne wydawnictwo patrzyłem jeszcze i z innego punktu widzenia, a mianowicie szukałem śladów negatywnego nastawienia żołnierzy polskich innych narodowości, a więc Żydów, Ukraińców, Białorusinów, a nawet Niemców. W ostatnich latach zarówno propagandyści, jak również naukowcy na Zachodzie wyolbrzymiają do skali zupełnie nierealnej antagonizmy narodowościowe w Polsce niepodległej. Miało to swój wyraz zarówno w serii filmów „The Struggles for Poland", wyświetlanych ostatnio w telewizji brytyjskiej (a finansowanych przez brytyjskie, amerykańskie i niemieckie firmy telewizyjne), jak i w serii wykładów na

6. Leopold Jerzewski (pseudonim niedawno zmarłego historyka krajowego Jerzego Łojka), *Agresja 17 września 1939*, Biblioteka Głosu (poza cenzurą), Warszawa 1979, oraz Z. S. Siemaszko, *17 wrzesień i jego konsekwencje, op. cit.*

tematy polskie wygłoszonych w ciągu ostatniego roku akademickiego w School of Slavonic and East European Studies w Londynie. Wiadomo, że zaistniały po 17 września antypolskie wystąpienia przedstawicieli cywilnej ludności ukraińskiej, żydowskiej i niekiedy białoruskiej. Natomiast, jak dotychczas, nie znalazłem żadnych faktów, które świadczyłyby o tym, żeby żołnierze tych narodowości będący w czynnej służbie w 1939 roku zachowali się nielojalnie w stosunku do sprawy polskiej przed lub po 17 września. Wynika stąd, że obok konfrontacji narodowościowej w Polsce niepodległej były również silne elementy współpracy.

Z. S. SIEMASZKO

21 września 1987

P.S. Na marginesie tego omówienia warto wspomnieć o wydanej ostatnio w kraju monografii o Armii „Modlin", opracowanej przez Tadeusza Jurgę i Władysława Karbowskiego (MON, Warszawa 1987, str. 500). Praca ta robi poważne wrażenie, ale nie jest pozbawiona zgrzytów, będących w pierwszym rzędzie skutkiem sytuacji, w jakiej obecnie znajduje się Polska. Na przykład autorzy powołują się na wydane w kraju w 1958 roku wspomnienia płk. Adama Bogoryi-Zakrzewskiego (którego niesłusznie nazywają „brygadierem", gdyż takiego określenia nie używano w 1939 roku), cytując:

„W... zarządzeniach jakie zostały wydane kawalerii... tkwił wyraźny cel — za wszelką cenę na Węgry musi przedostać się sam Anders, a reszta to tylko asekuracja i osłona jego zamiaru. W tym rozkazie w całej pełni ujawnił się charakter Andersa".

I dodają od siebie:

„Trudno odmówić racji płk. Zakrzewskiemu" (str. 397).

Płk Bogorya-Zakrzewski nie był człowiekiem skłonnym do obiektywnych sądów (będąc potem w Szkocji, nie spełniał żadnych poważnych funkcji, a po wojnie był jednym z pierwszych wyższych oficerów, którzy wyjechali do PRL). Świadkiem bardziej godnym zaufania, a jednocześnie najpoważniejszym krytykiem generała Andersa z okresu wrześniowego był płk Ludwik Schweizer, którego wspomnienia („Wojna bez legendy", Kirkaldy, Szkocja 1943) są autorom znane. Zresztą nie to jest najbardziej stronnicze, że autorzy cytują płk. Bogoryę-Zakrzewskiego, ale to, że się zgadzają z jego opinią.

Czytając historyczne prace wydawane w kraju często spotykam się z tendencją przedstawiania w złym świetle tych wojskowych, którzy byli przeciwni poszukiwania kompromisu z Sowietami. Dotyczy to nie tylko generałów Sosnkowskiego i Andersa, ale

również tych dowódców partyzanckich na Wileńszczyźnie i Nowogródczyźnie, którzy nie chcieli brać udziału w akcji „Burza" w 1944 roku (prowadzącej do ujawnienia przed Sowietami), jak np. płk Janusz Prawdzic-Szlaski (Borsuk — komendant okręgu Nowogródek), mjr Zygmunt Szendzielarz (Łupaszko — dowódca 5 brygady wileńskiej), rtm. Józef Świda (Lech — z okręgu nowogródzkiego), por. Adolf Pilch (Góra-Dolina — z Puszczy Nalibockiej) i por. Czesław Zajączkowski (Ragnar — dowódca 4 batalionu nowogródzkiego). Niektórzy historycy krajowi wkładają wiele wysiłku w to, żeby ludzi o tendencjach antysowieckich przedstawić w złym świetle.

Z.S.S.

Michał HELLER

„GENEZA ROSJI"

Monumentalna praca prof. Henryka Paszkiewicza[1] ukazała się w Londynie ponad trzydzieści lat temu. W kategoriach ludzkiego życia — to dawno. W kategoriach historii — przedmiotem badań są wieki od IX do XIV — to wczoraj: książka jest niezmiennie aktualna.

Praca Henryka Paszkiewicza nosi tytuł „Geneza Rosji". Historyk nie zatrzymuje się dłużej na chrzcie wielkiego kniazia kijowskiego Włodzimierza, chociaż podkreśla, że zdarzenie to zdecydowało o dalszych losach Rusi. Interesuje go, kto przyjął chrześcijaństwo w X wieku, jak doszła do tej decyzji wspólnota państwowa nad Dnieprem — Ruś Kijowska — i co zdarzyło się potem, jaki splot okoliczności historycznych, geograficznych, demograficznych i zewnętrznych zdecydował o tym, że potomkowie Włodzimierza, dotarłszy do dorzecza Wołgi, założyli państwo moskiewskie. Zbyteczne dodawać, że nie są to pytania nowe: zadawali je sobie i odpowiadali na nie współcześni tamtych wydarzeń, a potem kronikarze i historycy rosyjscy i nie-rosyjscy. Monografia Paszkiewicza ciekawa jest przede wszystkim dlatego, że stawia pytania (i udziela odpowiedzi), które sowieccy historycy przestali stawiać, odkąd stworzyli ostateczny, oficjalny i niepodważalny obraz przeszłości.

Historycy rosyjscy przez stulecia wiedli spory na temat ge-

1. Henryk Paszkiewicz, *The Origins of Russia*, London 1954, str. 556.

nezy Rosji. Dyskusje te przetrwały rewolucję i toczyły się jeszcze w latach 20-tych. Panująca w początkowym porewolucyjnym okresie marksistowska „historyczna szkoła Pokrowskiego" brała w nich udział, tworząc ostateczną, „klasową" koncepcję przeszłości. Spory urwały się, kiedy Stalin mianował się „koryfeuszem wszech nauk", więc i historii. Jednym z elementów sowieckiej ideologii ukształtowanej w latach stalinowskich było upaństwowienie przeszłości. Starannie wyselekcjonowani „wielcy przodkowie" generalnego sekretarza pierwszego socjalistycznego państwa na świecie — Aleksander Newski, Dymitr Doński, Iwan Groźny i Piotr II — weszli w poczet sowieckich świętych. Historycy przestali zadawać jakiekolwiek pytania.

Henryk Paszkiewicz stawia ich wiele. Interesuje go sens słowa „Ruś", granice jej terytorium, skład etniczny ludności i narodowość kniaziów. Odpowiedzi szuka z najważniejszym źródle — kronice z XII wieku *Powiest' wriemiennych liet*[2], której autorstwo przypisuje się mnichowi Nestorowi z klasztoru Peczerskiego w Kijowie. „To dzieje dawnych lat — zaczyna się kronika — skąd idzie ruska ziemia, kto w Kijowie pierwszy zaczął kniazić i kiedy ruska ziemia zaczęła być". Cała treść *Powiesti* jest zawarta w tym pierwszym zdaniu. Henryk Paszkiewicz twierdzi, że dalsze strony kroniki udzielają odpowiedzi na pytania, zawarte w jej pierwszym zdaniu. Jest oczywiste, że historycy czytali *Powiest' wriemiennych liet*, zgadzali się z nią lub ją podważali i komentowali na wszelkie możliwe sposoby.

Kłopoty z Nestorem spowodowane są nie tym, że jak wszyscy kronikarze (i historycy) interpretuje wydarzenia z przeszłości „subiektywnie", a przede wszystkim tym, że wydaje się nieświadomym ojcem „normandzkiej teorii" pochodzenia Rusi. Nestor nie miał wątpliwości, że plemiona zamieszkujące rejon jeziora Ładogi, Nowogrodu i okolic doszły w IX wieku do wniosku, iż „ziemię mamy żyzną, ale porządku żadnego" i zaprosili do rządów trzech braci ze skandynawskiego plemienia Waregów, Ruryka, Sineusa i Truwora. Potem Ruryk został kniaziem kijowskim. Na pytanie, „kto w Kijowie pierwszy zaczął kniazić" Nestor odpowiada: Waregowie, Normanie.

Twierdzenie Nestora przez długi czas nie budziło zastrzeżeń. Carowie rosyjscy nazywali się Rurykowiczami. W XIX wieku rodzący się nacjonalizm rosyjski zaczął sobie szukać korzeni. W oparciu o tęże *Powiest' wriemiennych liet* i wiele innych źródeł historycy uznali, że „teoria Normanów" jest mitem. Zaczął się naukowy spór między „normanami" i „antynormanami". Historycy-marksiści pod przewodem Pokrowskiego uważali za swoje zadanie „zdemaskowanie" dziejów Rosji ze specjalnym uwzględnieniem walki klasowej; z tego punktu widzenia teoria normandzkiego pochodzenia pierwszych ruskich kniaziów nie stano-

---

2. „Powieść doroczna", zwana też Latopisem Halicko-Wołyńskim.

wiła żadnego niebezpieczeństwa dla ideologii marksistowskiej. Liczyło się pochodzenie klasowe, nie narodowościowe. W połowie lat 30-tych, kiedy historią zajął się towarzysz Stalin, sytuacja się zmieniła. „Teoria normandzka" stopniowo uznana została za wrogą narodowi rosyjskiemu. W 1963 roku Andrieja Amalrika usunięto z uniwersytetu moskiewskiego za pracę pt. „Normanie a Ruś Kijowska". Dziś żaden sowiecki historyk nie mógłby otwarcie bronić normandzkiego pochodzenia kniaziów kijowskich.

Henryk Paszkiewicz nie miał naturalnie takich kłopotów. Jak każdy zawodowy historyk, badał źródła i dzielił się z czytelnikami myślami. Historykom sowieckim wciąż niestety nie jest to dane, bo muszą brać pod uwagę obowiązujący w danym momencie kanon interpretacji przeszłości.

Autor „Genezy Rosji" konsekwentnie buduje swoją teorię historii IX-XIV wieku na ogromnym terytorium od Morza Czarnego do Wisły. Zaczyna od analizy słowa „Ruś". W 1930 roku przeważająca większość sowieckich historyków nie miała wątpliwości co do jego normandzkiego pochodzenia. W Małej encyklopedii sowieckiej pod hasłem „Ruryk" widniało, że pierwszy kniaź kijowski był „rodem z plemienia Waregów zwanego Rusami". Henryk Paszkiewicz jest przekonany, że słowo „Ruś" jest pochodzenia normandzkiego. Pyta więc, w jakim sensie używa pojęcia „język ruski" autor *Powiesti wriemiennych liet.* Odpowiedź na to pytanie jest podstawą całej teorii Paszkiewicza. Pojęcie „język" oznacza jego zdaniem zarówno język (mówiony i pisany) jak wiarę, ale rozprzestrzenianie się języka-mowy niekoniecznie musi iść w parze z rozprzestrzenianiem się danej religii. Znaczy to, że granice etniczne, religijne i językowe nie są tożsame.

Fizycy, którzy na początku naszego stulecia szukali rozwiązania tajemnicy atomu, mogli nie zdawać sobie sprawy z konsekwencji swych odkryć. Historycy badający daleką przeszłość nie mogą abstrahować od swojej epoki i doskonale rozumieją aktualne znaczenie swych badań. Henryk Paszkiewicz obala np. twierdzenia akademika B. Griekowa na temat „wspólnoty języka, tradycji historycznych, wiary początkowo pogańskiej, potem chrześcijańskiej, przyniesionej z Bizancjum, wiążącej Ruś Halicko-Wołyńską z Rusią Kijowską". Trudno uznać za przypadek, że artykuł Griekowa o „wspólnocie" — oparty na badaniach archeologicznych — ukazał się w 1940 roku, wkrótce po tym, jak Armia Czerwona „podała bratnią dłoń bratnim narodom".

Autor „Genezy Rosji" cytuje słowa znanego rosyjskiego bizantologa, F. Uspieńskiego, który pod koniec XIX wieku pisał w związku ze sporami między zwolennikami i przeciwnikami „teorii normandzkiej": „Gdyby mnie spytano, do której szkoły sam siebie zaliczam, musiałbym odpowiedzieć — do normandzkiej, ale z pewnymi zastrzeżeniami. Zdrowy rozsądek i wymowa istniejących źródeł przemawiają za 'Normanami', ale serce ciągnie do szkoły przeciwnej".

Ruś zaczyna się w Kijowie. O ile historycy sowieccy tłumaczą

powstanie Rusi Kijowskiej rozwojem ekonomicznym i społecznym i uważają je za sprawę czysto słowiańską, w której nie miały udziału żadne elementy cudzoziemskie, o tyle Paszkiewicz uważa, że choć Kijów istniał i przed pojawieniem się Waregów i był ważnym ośrodkiem handlowym, to rozwój Rusi Kijowskiej przypada na okres dynastii Ruryka. Autor „Genezy Rosji" znaczną rolę w rozwoju państwa kijowskiego przypisuje Bizancjum, a przede wszystkim Cerkwi; przyczyniły się one jego zdaniem znacznie do przekształcenia Rusi Kijowskiej w jednolite, scentralizowane państwo, skupiające w swych granicach wszystkie plemiona słowiańskie.

Rozwijając „teorię normandzką" do końca, Henryk Paszkiewicz dochodzi do koncepcji „dwóch narodów". Twierdzi, że Rusini nie byli Słowianami i — wbrew temu, co uważają historycy sowieccy — nie zgadza się z teorią „slawizacji", tj. podboju Normanów przez Słowian w X wieku.

Aby przekonywująco uzasadnić swoją teorię, Henryk Paszkiewicz narusza tradycję. Historycy badający pojęcie „Rusi" z zasady nie wychodzili poza wiek XII. Paszkiewicz dodał wieki XIII i XIV. Ośrodek Rusi przemieścił się z południa na północny wschód, gdzie powstały duże miasta-stolice księstw — Suzdal, Rostow, Władimir, Twer, Moskwa. Badając skład etniczny ludności rejonu rostowsko-suzdalskiego, Paszkiewicz dochodzi na podstawie źródeł historycznych i językowych do wniosku, że byli to Finowie. Księstwo moskiewskie powstało — jego zdaniem — na czysto fińskim terytorium. Wielkorusy byli — jego zdaniem — w 4/5 Finami, a w 1/5 Słowianami. Dwór i znaczna część drużyny książęcej byli Waregami. A zatem — wnioskuje Paszkiewicz — Rusini to nie naród, lecz konglomerat różnych plemion zespolonych jedną wiarą, a Ruś to federacja państwowa, w której władcy i naród należeli do różnych nacji.

Osobny rozdział książki poświęcony jest dziejom Litwy od pierwszej wzmianki na jej temat w źródle historycznym (1009 r.) do jej chrztu w 1387 roku. Litwa interesuje Paszkiewicza, bo porównanie ekspansji litewskiej i normandzkiej — dwóch analogicznych ruchów, odbywających się w różnych epokach na mniej więcej tym samym terytorium — pozwala mu wyodrębnić ważne etapy kształtowania się państwa rosyjskiego. Paszkiewicz uważa, że pojawienie się, okrzepnięcie i plany polityczne Litwy miały dla dziejów Rosji nie mniejsze znaczenie niż jarzmo tatarskie.

Tatarskiemu okresowi w historii Rosji poświęca Paszkiewicz trzecią część swej pracy. W XII wieku rządzący w Kijowie potomkowie Normanów zostali podbici przez Słowian i zniknęli ze sceny historii. Tylko syn Włodzimierza Monomacha, Jurij Dołgorukij, salwując się przed słowianizacją opuszcza Kijów i tworzy jego odpowiednik na odległych fińskich ziemiach. Pojawienie się w XIII wieku Tatarów na wschodzie Europy jest jednym z najważniejszych wydarzeń w historii świata. Autor „Genezy Rosji" docenia jak wszyscy historycy wagę „jarzma tatarskiego", ale

ocenia je inaczej, aniżeli większość rosyjskich historyków. Analizuje rzeczywistość i legendę „tatarskiego jarzma" i samo jego pojęcie. Najważniejszy jest nawet nie fakt, że Paszkiewicz neguje powszechnie przyjęte wyobrażenia o barbarzyństwie Tatarów i podkreśla, że mieli oni wysoko rozwiniętą cywilizację, nie ingerowali w wewnętrzny ustrój podbitych narodów i z wielką tolerancją odnosili się do ich wiary. Najważniejszy jest zdaniem Paszkiewicza fakt, że Ruś Włodzimiersko-Suzdalska jeszcze przed najazdem Tatarów znajdowała się pod obcym panowaniem normandzkich kniaziów. Brak solidarności narodowej z ludnością miejscową pozwalał kniaziom aktywnie współpracować z Tatarami, zbierać dla nich daninę, bogacić się przy okazji i umacniać własną władzę. Celowali w tym zwłaszcza książęta moskiewscy.

Państwo rosyjskie krzepło i rosło w toku walk z innymi księstwami ruskimi, przede wszystkim z Twerem. Głównym sojusznikiem Tweru była Litwa, przeciwniczka Tatarów. Tak przedstawia Henryk Paszkiewicz międzynarodowe okoliczności w XIII-XIV wieku, kiedy książęta moskiewscy jednoczyli ziemie w swych rękach. Nasilający się pod koniec tego okresu rozpad Złotej Ordy i chrzest Litwy były dwoma czynnikami, które zdecydowały o powstaniu silnego państwa moskiewskiego. Mark Pokrowskij pisał, że zjednoczenie Rusi wokół Moskwy było w połowie dziełem Tatarów. Henryk Paszkiewicz przypisuje tatarskim chanom jeszcze większą rolę.

„Geneza Rosji" jest monumentalną monografią, w której autor wziął pod uwagę wszystkie znane źródła (niewiele ich przybyło w ciągu ostatnich 35-ciu lat) i wszystko, co ukazało się w jakimkolwiek języku na temat interesujących go spraw. Henryk Paszkiewicz stworzył konsekwentną koncepcję pochodzenia Rosji, udzielając często oryginalnych odpowiedzi na liczne pytania na temat przeszłości pierwszego w świecie państwa socjalizmu. Poglądy Henryka Paszkiewicza mogą budzić zastrzeżenia, ale na tle prac historyków sowieckich „Geneza Rosji" zachwyca niezależnością sądów, umiejętnością spojrzenia na przedmiot z różnych punktów widzenia, tolerancją wobec innych teorii. Do tych normalnych cech prawdziwych badaczy należy dodać dar żywego, obrazowego opisywania przeszłości, który nie wszystkim historykom jest dany.

Napisana trzydzieści pięć lat temu książka jest dziś znowu aktualna zarówno z uwagi na obchody tysiąclecia chrztu Rusi, jak i dlatego, że do czynników przeszkadzających w *pieriestrojce* sowieccy ideolodzy zaliczają również „jarzmo tatarskie".

Michał HELLER

Post scriptum: Po wysłaniu powyższego tekstu do redakcji dostałem z *Kultury* artykuł Johna Switalskiego, ogłoszony w *Gwieździe Polarnej* (USA) z 16 stycznia 1988. Dowiedziałem się z niego,

że w odpowiedzi na krytyczne uwagi Romana Jakobsona nt. „Genezy Rosji" Paszkiewicz napisał monumentalne dzieło pt. „Narodziny narodu rosyjskiego" *(The Making of the Russian Nation,* 1963). Po śmierci tego wybitnego historyka Karolina Lanckorońska przygotowała do druku niedokończony rękopis książki pt. „Wzrost władzy moskiewskiej" *(The Rise of Moscow's Power).* Dysponujemy więc trylogią, obejmującą historię Rosji od IX do XIV wieku. John Switalski nazywa Henryka Paszkiewicza „największym polskim historykiem XX wieku".

M. H.

Jacek KUBIAK

O PORACHUNKACH POLSKO-NIEMIECKICH*

W czasie styczniowej wizyty Genschera w Warszawie tow. minister Marian Orzechowski wyraził współczucie dla milionów przesiedlonych po wojnie Niemców. Niektórzy odnotowali to jako nowość, jako wydarzenie „wręcz rewolucyjne". Warto więc przypomnieć, iż sam gen. Jaruzelski deklarował się z takimi uczuciami już w 1985 roku, i to w publicznym przemówieniu z okazji 40-tej rocznicy „powrotu" ziem zachodnich do Polski.

Oczywiście, oświadczenia takie są w jakiejś mierze taktycznymi krokami, dyktowanymi chęcią zjednania sobie potężnego i bogatego sąsiada. Ale są one też wyrazem pewnej ogólniejszej tendencji. Już przed trzema laty zastanawiał się Ryszard Wojna na łamach *Polityki,* czy czasem władze nie oceniły zbyt pochopnie *Orędzia* biskupów polskich do biskupów niemieckich z listopada 1965 roku.

Szkoda, że publicyści *Polityki* potrzebują około 20-tu lat, by dojść do tak odkrywczych wniosków. Niemniej sądzę, że władze dostrzegają coraz mniejszą skuteczność antyniemieckich akcentów w propagandzie. Okres łatwej instrumentalizacji sprawy niemieckiej w wewnątrzpolitycznej rozgrywce i w powściąganiu emancypacyjnych dążeń społeczeństwa zdaje się dobiegać końca. Dla wielu — zwłaszcza młodych — Polaków Niemcy Zachodnie są dziś po prostu krajem sprawnie funkcjonującej demokracji oraz imponujących sukcesów gospodarczych, nawet jeśli z wewnątrzniemieckiej perspektywy i jedno, i drugie pozostawia wiele do życzenia. Władcy PRL bez wątpienia nauczyli się też doceniać daleko idącą gotowość niemieckich elit politycznych (i po stronie Unii i po stronie SPD) do akceptowania jałtańskiego *status quo.*

---

* Edmund Dmitrów, *Niemcy i okupacja hitlerowska w oczach Polaków. Poglądy i opinie z lat 1945-1948.* „Czytelnik", Warszawa 1987.

Nie chcę przez to wcale powiedzieć, że Edmund Męclewski nie uraczy nas już nigdy swymi rewelacjami na temat skrajnej prawicy w RFN. Ale będzie to raczej tendencja drugoplanowa. Jeśli natomiast utrwali się ów pojednawczy ton oficjalnych wypowiedzi, to — być może — w ramach ogólnej *pieriestrojki* i zapisywania „białych plam" historycy polscy zyskają większą swobodę badawczą, a polsko-niemiecka przeszłość i teraźniejszość stanie się z czasem przedmiotem szerszej debaty nie tylko na łamach niecenzurowanych pism.

I choć to rzecz wciąż jeszcze odległa, a ostateczny wynik wcale nie przesądzony, takie właśnie nadzieje żywi się obecnie w Polsce. Na ostatniej polsko-niemieckiej konferencji podręcznikowej (w czerwcu ubiegłego roku, w Poznaniu) jeden z polskich historyków, przypominając deklarowane przez Jaruzelskiego współczucie dla wysiedlonych, zapewniał z mównicy, że nadchodzi czas szczerego dostępu do archiwów i większej otwartości w omawianiu trudnych problemów.

Interesującym symptomem tej nowej tendencji jest wydanie w Warszawie książki Edmunda Dmitrowa *Niemcy i okupacja hitlerowska w oczach Polaków*. Książka była gotowa, jako doktorat, w 1981 roku, przedmowa, jaką napisał Jerzy W. Borejsza, datowana jest na wrzesień 1984 roku, a rzecz ukazała się w 1987 roku. Nawet jak na realsocjalistyczne stosunki wyjątkowo długi okres wydawniczy, a raczej — jak trzeba się domyślać — okres przebijania się przez cenzuralne bariery.

W Polsce istnieje osobna dyscyplina naukowa: niemcoznawstwo, uprawiane na uniwersytetach lub w osobnych, wysoko dotowanych instytutach, jak Instytut Zachodni w Poznaniu. Nie lekceważę dorobku wielu naukowców związanych z tą dyscypliną. Ale przecież jasne jest, iż dyscyplina ta miała zawsze niebagatelny udział w legitymizowaniu polityki PZPR wobec Niemiec i zawsze podlegała — w imię „racji stanu" — surowym ograniczeniom cenzuralnym.

Dmitrów nie jest przedstawicielem takiego „niemcoznawstwa" Jest pracownikiem filii Uniwersytetu Warszawskiego w Białymstoku. To raczej — można by powiedzieć — drugi plan obiegu naukowego, ale zarazem bezpieczny, geograficzny i instytucjonalny dystans od „niemcoznawczych" placówek na Śląsku czy w Poznaniu.

Odrębność książki Dmitrowa na tle współczesnej historiografii polskiej zaznacza się kilkakroć. Choćby przez to, iż dyskretnie przypomina on „niemcoznawcom", iż pochodzą właściwie z nieprawego łoża. Historyk przypomina mianowicie, w jaki sposób tuż po wojnie endeckie stereotypy antyniemieckie przejmowane były przez PPR-owską propagandę i jak dzięki temu część tradycyjnie nacjonalistycznej inteligencji odnalazła się — by tak powiedzieć — w nowej rzeczywistości. Typowym przykładem jest tu prof. Zygmunt Wojciechowski, założyciel Instytutu Za-

chodniego, przed wojną aktywny stronnik Narodowej Demokracji.

Zresztą główne partie książki (zwłaszcza rozdział czwarty *Problem winy i kary. Zemsta czy sprawiedliwość. Co dalej z Niemcami)* można uznać za swego rodzaju rejestr problemów dotychczas przemilczanych lub przekłamywanych. Autor wychodzi od prostej konstatacji: okrucieństwa wojny, masowy terror, obliczony na eksterminację ludności (słowem: owa „wyjątkowość" zbrodni hitlerowskich, zbyt łatwo dziś kwestionowana przez konserwatywnych historyków w RFN) zrodziła w zdziesiątkowanym narodzie uczucia nienawiści i żądzę odwetu. W społeczeństwie polskim — mówi Dmitrów — panowała „wrogość, nienawiść i stereotyp niemieckiego bandyty" oraz ogólna demoralizacja i „brutalizacja życia społecznego". Było to szczególnie dotkliwe w warunkach zbliżonych niejednokroć do wojny domowej i przy powszechnych nastrojach tymczasowości.

Miarą owego rozkładu moralnego są m.in. — relacjonowane przez autora z pewnym dramatycznym zacięciem — sceny z obozów koncentracyjnych tuż po wyzwoleniu. Krwawe porachunki z katami są, co prawda, psychologicznie aż nadto zrozumiałe, trudniej natomiast dziś zrozumieć plądrowanie obozu w Oświęcimiu przez okoliczną ludność czy cierpliwe i żmudne przesiewanie krematoryjnych popiołów przez „poszukiwaczy złota".

Historyk z Białegostoku poświęca też uwagę fali publicznych egzekucji, dokonywanych na zbrodniarzach wojennych. Ściągały one nieraz — jak egzekucja załogi obozu w Stutthofie koło Gdańska — dziesiątki tysięcy widzów, do wykonywania wyroków zgłaszali się ochotnicy, także kobiety, a prasa dawała upust powszechnemu uczuciu satysfakcji płynącej z zemsty.

Autor przypomina, że już współcześnie dostrzegano dwuznaczność wielu powojennych postaw i sytuacji. Stanisław Ossowski przestrzegał, iż uczucia nienawiści rodzą mechanizm „powielania hitlerowskich schematów myślowych", rodzą „pogardę dla całej kultury niemieckiej, dla wszystkiego, co niemieckie". Ale — zaznacza Dmitrów — ostatecznie zwyciężał zawsze (jak w polemikach wokół tzw. literatury obozowej — Kossak, Borowski, Szmaglewska) „heroiczny" stereotyp Polaka, a niektóre kłopotliwe problemy (np. liczne formy kolaboracji, zwłaszcza na wsi) wymykały się spod publicznej dyskusji.

Dopiero na tak przygotowanym tle pojawia się w książce temat poddawany najbardziej rygorystycznej, cenzuralnej i politycznej reglamentacji we współczesnej historiografii stosunków polsko-niemieckich. Chodzi o przesiedlenie ludności niemieckiej i los autochtonów.

Dmitrów przytacza, co prawda, przykłady poprawnych, a nawet przyjaznych stosunków między ludnością niemiecką a polską. Zdarzało się niekiedy, że Polacy we własnych domach ukrywali Niemców przed sowieckimi władzami wojskowymi; groził za to sąd wojenny. Ale jasne jest w świetle rozważań autora, iż były

to zjawiska raczej odosobnione. Natomiast częste było brutalne i upokarzające traktowanie, zdarzały się przypadki zaboru mienia lub samowoli władz lokalnych. Tak nakreślony obraz, takie rozłożenie akcentów jest *novum* w polskiej historiografii.

Jest to zarazem jedno z najpoważniejszych osiągnięć książki. Ale przecież właśnie w tym punkcie ujawnia się granica *pieriestrojki* w cenzurowanej historiografii. Cień cenzury odbiera bowiem całemu obrazowi ostrość konturów, drastyczne szczegóły nikną w cieniu, a niezorientowany czytelnik gotów pomyśleć, że „zatrudnianie kobiet niemieckich do pokazowego mycia podłóg w domach zajmowanych przez żołnierzy radzieckich" należało do najbardziej wyuzdanych ekscesów, jakich dopuścili się zwycięzcy. Powiadam wyraźnie: autor jest historykiem i z pewnością wie, jak wiele zgwałconych i sponiewieranych niemieckich kobiet przyjęłoby „pokazowe mycie podłóg" jako uśmiech losu. Wie, ale napisać nie może; urzędowo-oficjalne współczucie dla Niemców tak daleko jeszcze nie sięga.

Powiem też jasno: nikt nie oczekuje, by historiografia polska jęła pisać o martyrologii narodu niemieckiego, uciśnionego przez rosyjski komunizm. Pozostawmy to tym historykom niemieckim, którzy ostatnio odkrywają „dramat niemieckiego Wschodu" i heroizm walki z czerwonym zalewem na froncie wschodnim. Ale historiografia polska musi dać obraz rzeczywistego losu Niemców na byłych terenach Rzeszy. Tylko w ten sposób będziemy mogli pojąć materialną treść chrześcijańskiego posłania biskupów polskich: „Przebaczamy i prosimy o przebaczenie".

Musimy poznać tę prawdę, bo to będzie też prawda o Polakach-obywatelach Rzeszy ze Śląska, Pomorza, Prus Wschodnich. Dmitrów także w tym punkcie odchodzi od urzędowych stereotypów, ale także i tu ma ograniczone pole manewru. Kiedyś wszakże opiszemy te dzieje. Materiał tkwi w archiwach, choćby w postaci niedrukowanych relacji pamiętnikarskich. Niekiedy zresztą, wyjątkowo, przenika coś do druku; jak np. wstrząsające wspomnienia pełnomocnika wojewody gdańskiego d/s ludności autochtonicznej, ogłoszone — w czasie chruszczowowskiej *pieriestrojki* — na łamach tygodnika *Po prostu* (nr 26 z 1956 roku). Niestety, gwałty i grabieże, nawet mordy, również na byłych działaczach Związku Polaków w Niemczech, nie były odosobnionymi incydentami.

Co więcej, bezprawie pierwszych lat powojennych ustaliło się w formie ciągłej dyskryminacji ludności pochodzenia autochtonicznego. Także w okresie realsocjalistycznej stabilizacji liczyła się ona do obywateli drugiej kategorii. Autochtoni mieli gorsze zarobki, mniejsze szanse wykształcenia i awansu. Ostatecznie w kilku falach (zwłaszcza w latach 1956-1958 i w pierwszej połowie lat 70-tych) prawie wszyscy wyemigrowali do Niemiec. Całe wsie pustoszały, gdzie przez wieki rozbrzmiewała gwara Warmiaków czy Kaszubów.

Dramat tych Polaków polegał często i na tym, że nie znając

kultury i języka niemieckiego, także nad Renem stawali się obywatelami drugiej kategorii. A zresztą i bez tego niejednokroć wspomnienie ojczyzny było silniejsze niż pamięć o krzywdach. Wtedy nierzadko do Wydziału Konsularnego w Kolonii napływały takie oto wnioski (grafia oryginału, dokument z 1974 roku), jak ten od pewnej kaszubskiej rodziny:

„Teraz jest nam tu ciężko do zaaklimatyzowania się i wszystko obce i strasznie tęsknimy za Polską (...). Ta Rodzina, która tu jest, jest nam obca. A Rodzicom naszym, brak jest tu, tego dobrego klimatu, który był w Polsce. Nam się wydaje, że nasz Kraj jest tam, gdzie żeśmy się wychowali, uczyli i pracowali. Myślimy, że władze Polskie wiedzą, że byliśmy i będziemy dobrymy Obywatelami Polskimi. Wszyscy solidnie pracowaliśmy, tylko jeden błąd w życiu zrobiliśmy, że wyjechaliśmy, ale żyjemy nadzieją, że Władze Polskie będą mieli dla Nas serce i przywrócą nam szczęście wrócić do Polski".

Dopiero gdy historycy polscy będą mogli się pochylić nad tym dramatem, nad tym losem ludzi niechcianych, ludzi niczyich, zaczniemy — być może — wierzyć w urzędowe „zrozumienie", „nowe podejście" i usuwanie „białych plam".

Jacek KUBIAK

J. CIECHANOWSKI

KORZENIE I POPIOŁY
(Uwagi i refleksje nad historią Polski Adama Zamoyskiego)*

Ostatnia praca Adama Zamoyskiego to doskonale i żywo po angielsku napisany zarys naszych dziejów od ich zarania aż do chwili dzisiejszej. To udana próba przedstawienia anglojęzycznemu czytelnikowi syntezy naszej bogatej i skomplikowanej tysiącletniej historii i kultury. Pokazania mu, czym była i jest Polska i co wniosła na przestrzeni wieków do dziejów Europy. Zamoyski słusznie podkreśla, gdzie tylko może, że jesteśmy starym, doświadczonym i niezmiernie żywotnym narodem, który od wieków już wpływał i nadal wpływa na kształt i oblicze naszego kontynentu, szczególnie zaś jego wschodnich połaci. Stwierdza, że Polacy wraz z Francuzami, Anglikami, Niemcami, Hiszpanami

* Adam Zamoyski, *The Polish Way. A Thousand-Year History of the Poles and their Culture* (Londyn 1987, str. 422).

i Włochami prawie zawsze mieli dużo do powiedzenia w Europie, o czym przeciętni obywatele zachodniego świata w ogóle nie wiedzą, lub mają bardzo niejasne pojęcie. Dla większości z nich jesteśmy po prostu stosunkowo małym narodem, który dopiero niedawno pojawił się na historycznej scenie. Narodem skazanym, ze względu na nasze fatalne położenie geopolityczne, na ciągłe nieszczęścia i straty. Narodem zawsze występującym w roli ofiary i igraszki w rękach możnych i wielkich tego świata. Narodem niepoprawnych i krzykliwych romantyków, stale bijących głową o mur. Stąd dobrze się stało że autor przypomina im, że w naszej historii na dobrą sprawę było mniej nieszczęść, krwi i łez niż w dziejach wielu innych europejskich narodów. Nigdy bowiem nie nawiedzały nas straszliwe, wyniszczające plagi, które dziesiątkowały mieszkańców innych części Europy, a resztę pogrążały na długie lata w głębokim letargu i marazmie. Nigdy nie straciliśmy połowy ludności naszego kraju, jak to miało miejsce w Niemczech w czasie ich zaciekłych, krwawych i przewlekłych wojen religijnych. Nigdy też nie doznaliśmy straszliwych okrucieństw, prześladowań i okropności na skalę rewolucji rosyjskiej lub hiszpańskiej wojny domowej, które wycisnęły krwawe piętno na historii i obliczu Rosjan i Hiszpanów, którzy z zaciekłością mordowali się nawzajem w imię najświętszych ideałów. U nas nasze wszelkie rodzime przewroty, rewolucje, odnowy, reformacje, kontrreformacje i stany wojenne zawsze występowały i przebiegały w mocno złagodzonej i prawie bezkrwawej postaci. Nawet nasza rodzima wersja stalinizmu była o wiele łagodniejsza i znośniejsza niż w innych częściach wschodniej Europy. Polakami nie sposób jest na dłuższą metę rządzić terrorem, gdyż nie zgadza się to z naszymi starymi tradycjami wolnościowymi i parlamentarnymi, uformowanymi i wprowadzonymi w życie w okresie istnienia Polski szlacheckiej; temu okresowi Zamoyski poświęca wiele miejsca i uwagi. I słusznie, gdyż właśnie w tym czasie uformowała się nasza kultura i główne zręby naszej „polskości", czego przeważnie nie rozumieją i nie dostrzegają cudzoziemcy, którym trudno jest zauważyć w naszej burzliwej historii elementy jej ciągłości i trwałości.

Ponadto, jak to autor trafnie podkreśla, wcale nie jesteśmy narodem niepoprawnych romantyków. Tylko po prostu nigdy nie godzimy się z narodową niewolą i poniżeniem i przy każdej okazji staramy się dochodzić naszych praw do samodzielnego istnienia. Czynimy to na przemian z bronią w ręku lub stojąc przy warsztacie „pracy od podstaw". Do tego też świat powinien — zdaniem Zamoyskiego — przywyknąć i przestać nas obdarzać niepotrzebnymi i wcale nie pasującymi do nas i naszego narodowego charakteru nazwami jak „romantycy", „cierpiętnicy" itd.

Zamoyski ma rację gdy twierdzi, że nasze skłonności do „romantycznych" uniesień, „martyrologii" i apoteozowania naszych rozlicznych klęsk i upadków pojawiły się dopiero na początku porozbiorowych czasów, które zbiegły się z narodzinami naszego

rodzimego romantyzmu. Nasi wieszczowie wynieśli nasze uczucia na najwyższe narodowe piedestały. I to całkowicie przesłoniło nieco szczęśliwsze i pomyślniejsze okresy naszej historii. Zamoyski dobitnie i jasno tłumaczy czytelnikowi, że nasze rozbiory i upadek spowodowane były głównie tym, iż w okresie naszej potęgi zbyt łatwo odnosiliśmy zwycięstwa i sukcesy, co utwierdzało nas w błędnym przekonaniu, że I Rzeczpospolita jest niezniszczalna i trwać będzie wiecznie. Nasi sarmaccy antenaci nie rozumieli, że żadna potęga nie może się ostać bez wielkich ku temu ofiar i wysiłków jej obywateli. Tymczasem brać szlachecka upojona łatwym powodzeniem i wielkim dobrobytem spoczęła na laurach, straciła zamiłowanie do wojaczki i wielkiej dyplomacji i doprowadziła wielkie państwo do całkowitej ruiny. Gdy przyszło stanisławowskie przebudzenie, było już za późno, aby uratować Polskę od rozbiorów i ostatecznego upadku pod naporem naszych sąsiadów.

Nasz system polityczny panujący w Polsce szlacheckiej w drugiej połowie XVIII wieku był anachronizmem i czymś zupełnie nie przystosowanym do wymogów chwili. „Odnowa" przyszła za późno i zakończyła się Targowicą i Maciejowicami. Wraz z kościuszkowską *Finis Poloniae* rozpoczął się nasz długi, uciążliwy i niezmiernie krwawy marsz ku wolności i niepodległości. Przy końcu XVIII wieku zaczynają się pojawiać w życiorysach Polaków nowe tytuły i zawody: spiskowiec, zesłaniec, emigrant, emisariusz oraz żołnierz-obywatel, idący z ziemi obcej do polskiej. Po rozbiorach staliśmy się narodem bez państwa, żyjącym na przemian pod znakiem *libero conspiro*, „Warszawianki", ugody i pracy od podstaw, oraz utworów naszych wielkich narodowych wieszczów. Żyliśmy podwójnym lub potrójnym życiem. Zła passa odwróciła się od nas podczas pierwszej wojny światowej, która zakończyła się powstaniem II Rzeczpospolitej. Dopiero w latach 1914-1918 powstały warunki, które pozwoliły Polakom „wybić się na niepodległość".

Zresztą, jak nam to autor dobitnie przypomina, jesteśmy narodem leżącym na styku świata zachodniego ze wschodnim, otwartym na wpływy zarówno Wschodu jak i Zachodu. Ponadto stanowimy naturalny pomost pomiędzy Wschodem i Zachodem, co nadaje nam szczególne cechy.

Praca Adama Zamoyskiego jest dowodem, że o historii Polski dla cudzoziemców powinni przede wszystkim pisać rdzenni Polacy, gdyż im najłatwiej jest się wczuć w ducha i rytm naszej historii i pojąć jej sens i znaczenie, a zarazem uniknąć rażących, niepotrzebnych potknięć i błędów. Oczywiście pod nieodzownym warunkiem, że dobrze znają język w którym piszą i potrafią żywo i sugestywnie przemówić do obcego czytelnika. Zamoyski spełnia te wszystkie warunki.

Nie ulega kwestii, że najbardziej udanymi, dojrzałymi częściami jego książki są rozdziały traktujące o powstaniu, rozwoju i upadku Polski szlacheckiej, której historia najbardziej przy-

padła autorowi do serca i wyobraźni, gdyż — jak podkreśla — w czasie jej istnienia byliśmy najbardziej sobą, potrafiliśmy wytworzyć własną kulturę i system rządzenia i wywieraliśmy największy wpływ na dzieje ówczesnej Europy.

Na marginesie warto zaznaczyć, że zjazdy i deliberacje „Solidarności" wielce przypominały i trąciły szlacheckimi sejmami i sejmikami, tak wiele było w nich szlacheckiej demokracji, równości i retoryki.

Zamoyski z mniejszym pietyzmem i entuzjazmem odnosi się do naszych dziejów najnowszych. Chociaż dużo i obszernie pisze o II Rzeczypospolitej i w pełni docenia jej dorobek i znaczenie dla dalszego rozwoju wypadków w obecnej Polsce, wyraźnie widać, że czuje do niej mniej sympatii niż do Polski szlacheckiej.

Najsurowiej jednak obchodzi się z historią Polski Ludowej, którą maluje w ciemnych kolorach. Niemniej nawet w jej dziejach dostrzega wiele czysto polskich cech i znamion, gdyż pisze, że nasz stalinizm i stan wojenny Jaruzelskiego, zgodnie z naszymi narodowymi tradycjami, były o wiele łagodniejsze niż tego rodzaju wydarzenia w innych krajach.

W pracy tej Zamoyski dał się nam poznać jako doskonały, wielce utalentowany popularyzator naszych dziejów, umiejący je przedstawić w krótki, zwarty i syntetyczny sposób, bez retuszy, niedomówień i przesady. Byłoby wskazane, aby jego historia ukazała się również po polsku; w pełni na to zasługuje, zarówno ze względu na jej walory dydaktyczne i jasność wykładu, jak i dużą oryginalność i trafność ujęcia. Pokazałoby to ludziom w Kraju, jak widzi i ocenia historię swego narodu młody Polak urodzony, wychowany i wykształcony już na Zachodzie, ale nadal żyjący przede wszystkim Polską i dla Polski.

Kończąc należy podkreślić, że książka Zamoyskiego stała się natychmiast *bestseller*'em i szybko się rozeszła. Obecnie zaś wyszło już jej drugie wydanie, co najlepiej świadczy o jej walorach i dowodzi, że Polska jest nadal w Anglii popularna.

J. CIECHANOWSKI

Z. S. SIEMASZKO

O OKUPACJACH WILNA INACZEJ

Wspomnienia z okresu okupacji dotyczą przeważnie terroru, cierpień i działania organizacji podziemnych. A przecie pod okupacją codzienne życie płynęło dalej — fabryki produkowały, rolnicy uprawiali ziemię, woda w rurociągach płynęła, sklepy i restauracje były otwarte i żarówki w dal-

szym ciągu świeciły. Ale jak to wszystko było zorganizowane i jak działało, nie bardzo wiadomo.

O funkcjonowaniu normalnego życia w Wilnie, gdzie okupacje zmieniały się kilkakrotnie (najpierw była sowiecka, potem litewska, potem znowu sowiecka, wreszcie niemiecka i na koniec znowu sowiecka), pisał już jakiś czas temu Witold Maksymowicz, ale nie było tego wiele [1]. Ostatnio zamieszkały w Nowym Jorku Marian Święcicki napisał o tych sprawach nieco więcej, a miał do tego szerokie podstawy [2].

Przed wojną był on zaangażowany w szkolnictwie. Najpierw w rejonie Łyngmiany i Kołtyniany koło Święcian, gdzie większość mieszkańców stanowili Litwini, z którymi autor miał dobre stosunki, a potem w Wołkowysku. Wkrótce po wybuchu wojny przeniósł się do Wilna, gdzie rozpoczął działalność zataczającą coraz szersze kręgi. Jeszcze za czasów litewskich zaczął od komisowej sprzedaży mebli co z biegiem czasu przerodziło się również w naprawę i odnawianie mebli i w tej formie przetrwało okupację sowiecką, jako *artel* inwalidów. Gdy przyszli Niemcy Święcicki wydał rozmówki polsko-niemieckie, co doprowadziło do założenia sklepu z artykułami piśmiennymi, a jednocześnie nabył na własność istniejący zakład meblarski *artelu* i przekształcił go w warsztat obróbki drzewa. Jednym z zamówień, jakie dostał, było parę setek trumien dla poległych na wschodnim froncie oficerów niemieckich. Wkrótce przy pomocy znanych przed wojną artystów scen polskich, którzy na czas wojny schronili się w Wilnie, założył teatr „Ali Baba". Początkowo inicjatywa ta została potępiona w podziemnym piśmie *Pod pręgierzem*, ale kiedy zostało wyjaśnione, że teatrem tym kieruje Święcicki, potępienie zostało wycofane.

Święcicki umiał utrzymywać kontakty z różnymi ludźmi. Za czasów sowieckich meblował mieszkania *komandirom* i enkawudystom, a pod okupacją niemiecką miał dwóch znajomych Litwinów w Saugumie (litewska policja), których przed wojną bronił przed nietolerancyjnymi wyczynami polskiej administracji i przyjaźnił się z Wiedeńczykiem z politycznego wydziału Gestapo. A jednocześnie, wraz z innymi dwoma Wilnianami, prowadził rozmowy z niepodległościowym podziemiem litewskim i był zaprzysiężonym członkiem AK. Polskiemu podziemiu oddawał poważne usługi, gdyż wynajmując wagony dla celów firmowych, przewoził z Warszawy do Wilna dostawy dla AK. Szkoda, że autor opisał te sprawy bardzo zwięźle, gdyż czytelnik chciałby się dowiedzieć o wiele więcej szczegółów i okoliczności.

Kiedy latem 1944 roku nadciągała od wschodu armia sowiecka, dowództwo AK poradziło Święcickiemu, aby Wilno opuścił. Wyjechał z Wilna pociągiem, kiedy miasto było już bombardowane i po ośmiu godzinach jazdy był już w Warszawie. Tam dowództwo AK zakazało mu surowo rozprzestrzeniania wiadomości o tym, że ujawnione oddziały wileńskie zostały przez Sowiety rozbrojone.

W piątym dniu powstania blok mieszkalny, w którym mieszkał Święcicki został opanowany przez sowieckich Ukraińców SS. Tragiczne losy ludności cywilnej zgromadzonej na Zieleniaku opisuje autor dość dokładnie. Później udało mu się wyjechać do Wiednia, a potem do Bawarii, gdzie został wyzwolony przez Amerykanów.

---

1. *Wiadomości*, Londyn 27 września 1964, 11 kwietnia 1965 i 18 kwietnia 1971.

2. „Życie na wulkanie", Poray Book Publishing, New York, 1984, str. 180. Można nabyć u autora — PO Box 299 2099, Dunellen, N.Y. 08812, USA. Cena wraz z przesyłką $ US 12,00.

Dalszą część wspomnień obejmują dzieje dipisów w Niemczech, zakończone przyjazdem do Stanów Zjednoczonych w grudniu 1949.

Należy wyrazić wdzięczność autorowi za to, że napisał i wydał swe wspomnienia, w których naświetlił problemy życia pod okupacją w nieco odmienny sposób, sugerując, iż nawet we wrogich obozach mogą znaleźć się osoby, które wspólnie potrafią stworzyć sytuację umożliwiającą egzystencję szeregowi innych ludzi [3].

Z. S. SIEMASZKO

Londyn, 18 listopada 1987

---

3. Poza wspomnieniami „Życie na wulkanie" Marian Święcicki wydał zarówno po polsku jak i po angielsku broszurę pt. „Trzy epokowe wydarzenia" *(Three epochal events)* poświęconą trzem osobom — Janowi Pawłowi II, prezydentowi Reaganowi i Wałęsie. Obie wersje do nabycia u autora po $ US 5,00 każda (wraz z przesyłką).

Emanuel HALICZ

POLSKA XIX WIEKU*

„Polska XIX wieku" stanowi kolejny tom *Konfrontacji Historycznych,* cyklu zapoczątkowanego książką pod tytułem „Polska pierwszych Piastów". Celem „Konfrontacji" jest ukazanie w kilku tomach miejsca Polski w dziejach powszechnych, przede wszystkim Europy.

Choć *Konfrontacje* nie zawierają systematycznego wykładu, to jednak dzięki uwzględnianiu różnych dziedzin życia ekonomicznego, społecznego, politycznego i kulturalnego przybliżają do integralnego spojrzenia na proces historyczny.

Na całość niniejszego tomu składa się przedmowa profesora Kieniewicza i 10 rozpraw pióra znanych historyków o tematyce gospodarczej, politycznej i kulturalnej. Problematykę gospodarczą reprezentują trzy rozprawy: Juliusza Łukasiewicza o drogach rozwoju rolnictwa na ziemiach polskich, Ireneusza Ihnatowicza o przemyśle, handlu i finansach, Andrzeja Jezierskiego o problemach wzrostu gospodarczego Polski w XIX wieku. O sprawie polskiej w XIX wieku, o wizji Polski niepodległej, o polskim wychodźstwie popowstaniowym i o innych emigracjach politycznych w Europie XIX wieku oraz o polskich rewolucjonistach piszą kolejno: Henryk Wereszycki, Stefan Kieniewicz, Sławomir Kalembka oraz Jerzy W. Borejsza. Szkic o polskim ruchu robotniczym wyszedł spod pióra Feliksa Tycha, a o ruchu ludowym napisał Jan Molenda. Tom zamykają dwie rozprawy o tematyce

---

* „Polska XIX wieku. Państwo, społeczeństwo, kultura". Pod redakcją Stefana Kieniewicza. *Konfrontacje Historyczne,* Wiedza Powszechna, Warszawa 1986, str. 557.

kulturalnej, a mianowicie o nauce pióra Bogdana Suchodolskiego i o geografii literackiej Polski pod zaborami Janiny Kulczyckiej-Saloni.

We wstępie do tomu jego redaktor postawił następujący problem: czy analogicznie do poprzednich tomów *Konfrontacji* — które stawiały sobie za cel porównywanie różnych aspektów polskiego procesu historycznego z analogicznymi zjawiskami innych krajów Europy — możliwe jest dokonanie tego porównania w stosunku do XIX-wiecznej Polski? Czy sytuacja kraju znajdującego się w niewoli może być porównywana z sytuacją niezawisłych potęg? Czy kontrasty między Polską a resztą świata nie dadzą się po prostu objaśnić brakiem niepodległego bytu?

Powołując się na opinie znawców XIX wieku, profesor Kieniewicz dowodzi, że naród polski, jakkolwiek pozbawiony własnego państwa, poddany był na ogół tym samym procesom, co inne kraje Europy środkowo-wschodniej. Likwidacja stosunków poddańczo-pańszczyźnianych na ziemiach polskich przebiegła współcześnie i w podobny sposób, co w krajach ościennych, chociaż nie sposób nie podnieść tego faktu, że brak niepodległości wycisnął na tych procesach swe szczególne piętno. Polskie powstania narodowe były w XIX-wiecznej Europie zjawiskiem swoistym, ale przecież porównywalnym z powstaniami narodowymi i rewolucjami w wielu innych krajach Europy. Prądy polityczne, które określamy potocznie mianem szlacheckiego rewolucjonizmu oraz rewolucyjnego demokratyzmu, były zjawiskiem znacznie przekraczającym granice naszego kraju. Wszystkie polskie organizacje rewolucyjne aż po socjalizm miały swoje filiacje międzynarodowe, zarówno organizacyjne, jak ideologiczne. Ruch robotniczy podobnie jak ruch ludowy był zjawiskiem ogólnoeuropejskim i miał swoje analogie w sąsiednich krajach Europy środkowej i wschodniej. Wreszcie polski romantyzm, pozytywizm czy modernizm, przy całej naszej rodzimej specyfice, stanowił część składową nurtów ideowych i kulturalnych, ogarniających cały kontynent europejski.

Istnieje więc obfity materiał do konfrontacji procesów rozwojowych polskich tudzież europejskich w XIX wieku. Na czoło wysuwają się jednak konfrontacje innego typu, a mianowicie pomiędzy losami narodu w trzech różnych zaborach w płaszczyznach ekonomicznej, politycznej i kulturalnej. W miarę upływu czasu i przedłużania się okresu rozbiorów, różnice te pogłębiały się, nie tylko dlatego, że każdy z rządów zaborczych prowadził na zagarniętych ziemiach polskich odmienną politykę, ale przede wszystkim dlatego, że stosunki w każdej z trzech dzielnic coraz wyraźniej upodobniały się do tych, jakie panowały w Rosji, Austrii i Niemczech. Warstwy społeczne świadome swej polskości — czuły się wprawdzie jednym narodem w sensie kulturalnym i moralno-politycznym, ale jednocześnie zarówno w stylu życia jak i w mentalności zarysowały się różnice w różnych częściach Polski.

Druga sprawa, to ramy chronologiczne tomu. Z uwagi na to, że w poprzednim tomie tejże serii — „Polska w epoce Oświecenia" — potraktowano Oświecenie bardzo szeroko pod względem chronologicznym, obejmując nim okres porozbiorowy i czasy napoleońskie, autorzy tomu „Polska XIX wieku" znaleźli się w niełatwej sytuacji, zwłaszcza H. Wereszycki, który rozważania o sprawie polskiej w XIX wieku musiał rozpocząć od 1815 roku, co moim zdaniem jest niefortunne. Większość autorów pisząca o sprawach ekonomicznych i o nauce i literaturze objęła, każdy we własnym zakresie, całość epoki porozbiorowej od 1795 do 1918 roku. Natomiast rozdział o emigracji obejmuje lata 1832-1860, co moim zdaniem jest zawężeniem problemu zaś rozdział o „polskim rewolucjoniście" dłuższy okres, bo lata 1794-1871, a w rzeczywistości wychodzi nawet poza te lata.

Rozdziały o ruchu robotniczym i ludowym siłą rzeczy biorą za punkt wyjścia połowę lat siedemdziesiątych XIX wieku.

Pominięto jednak z przedmowie bardzo istotny moim zdaniem problem, a mianowicie, jak należy rozumieć pojęcie „Polska XIX wieku". Chodzi mi o zakres terytorialny. W jednym ze studiów tomu problem ten porusza A. Jezierski, ale interesuje go związana z nim technika badawcza i możliwość dotarcia do źródeł. Uważa, że obecny stan wiedzy pozwala na oddzielne badania każdego z czterech regionów, to jest Królestwa Polskiego, Zachodniej Galicji, Wielkiego Księstwa Poznańskiego i Górnego Śląska. Z punktu widzenia badania wzrostu gospodarczego uważa on, że branie pod uwagę ziem Pierwszej Rzeczypospolitej, czy terytorium Drugiej Rzeczypospolitej, czy wreszcie obszaru PRL, jest nieuzasadnione.

Na pewno łatwiej jest ograniczyć się do badania obszaru między Bugiem a Wartą, między Karpatami a Pomorzem, ale czy z punktu widzenia historii Polski XIX wieku takie ograniczenie terytorialne jest słuszne? Wątpię. I w innych rozdziałach tomu zaistniała tendencja do ograniczenia się do terytorium, mniejszego nawet od Polski etnicznej i nie dotykania problemu Polski historycznej w granicach 1772 roku, który przecież występował jako postulat we wszystkich programach politycznych XIX wieku, bez względu na polityczną proweniencję. Wyjątek stanowi szkic o geografii literackiej Polski pod zaborami, w którym dwa podrozdziały poświęcone są roli Lwowa i Wilna, ale jest też mowa o roli Drezna i Petersburga.

Profesor Kieniewicz zdaje sobie sprawę z tego, że niektóre nadające się do konfrontacji ważne problemy historii XIX wieku zostały pominięte, a wśród nich problemy, mówiące o demografii, strukturach społecznych a w szczególności inteligencji, o powstaniach narodowych (choć o nich wiele razy się wspomina), o państwowości oraz o historii wojskowości. Dotkliwą lukę stanowi brak rozdziału o tematyce artystycznej, co miało związek z chorobą i następnie ze śmiercią prof. J. Starzyńskiego, u którego taki artykuł został zamówiony.

Wydaje mi się, że pominięcie tych istotnych problemów obniża wartość tomu. Mankamentem jest też to, że w pracy nie otrzymaliśmy opisu barwnej wielonarodowościowej mozaiki, tak charakterystycznej dla całej historii Polski do 1945 roku. O Żydach i Niemcach tu i ówdzie się tylko wspomina, a pojęcie *gente Rutheni natione Poloni*, ani razu nie występuje w tomie.

Pominięcie rozdziału o walkach narodowo-wyzwoleńczych i ich znaczeniu na tle porównawczym zubożyło siłą rzeczy rozdział o sprawie polskiej w polityce mocarstw, a jeszcze bardziej odczuwa się brak rozdziału o polskiej wojskowości w XIX wieku. Ten ostatni problem z uwagi na teorie wojny partyzanckiej szczególnie nadaje się jako przedmiot historii porównawczej. Carlo Bianco Comte di Saint Jorioz i Mazzini byli natchnieniem dla polskiej myśli i teorii wojny partyzanckiej, całe prace takich autorów jak np. L. Bystrzonowski, K. B. Stolzman, H. Kamieński stały się wzorem dla prowadzenia wojny partyzanckiej nawet w czasie drugiej wojny światowej i z nauk ich korzystali m.in. francuscy makizardzi. Charakter polskiej wojny partyzanckiej już w XIX wieku, zwłaszcza z uwagi na powstanie 1863 roku, uznano w Europie za wzór, przydatny w wielu krajach Europy i pisali o tym na gorąco i szwajcarski obserwator polskich zmagań Franciszek L. von Erlach i pruski oficer Verdy de Vernois. W czasie zaś drugiej wojny światowej niemiecki sztab generalny przygotował dla swego użytku specjalny dokument „Die polnische Methode des Aufstandes gegen die Russen in Jahre 1863" który miał służyć jako *vademecum* w walce z polskim i nie tylko polskim ruchem oporu.

Z uwagi na wagę problemów pominiętych w recenzowanym tomie, zastanawiam się, czy nie byłoby celowe wydanie w przyszłości dodatkowego tomu, poświęconego tym właśnie pominiętym zagadnieniom.

Wreszcie czy konfrontacje nie powinny obejmować także takich spraw, jak polityka mocarstw zaborczych w latach 1795-1918 wobec narodu polskiego, tym bardziej, że żywe są wspomnienia o tych sprawach, a nie braknie też i swoistej analogii z tym, co się stało w latach drugiej wojny światowej. Wystarczy przypomnieć, że w 27 stycznia 1797 roku trzy państwa zaborcze podpisały konwencję o ostatecznym rozbiorze Polski, w której stwierdzono: „że dokonano podziału zupełnego, ostatecznego i nieodwołalnego", a oddzielny i tajny artykuł głosił, że „zachodzi konieczność zniesienia wszystkiego, co by przypominało istnienie Królestwa Polskiego wobec dokonanego unicestwienia tego politycznego ciała".

A o czymże innym była mowa w pakcie Ribbentrop - Mołotow z 23 sierpnia 1939, jak nie o wymazaniu z mapy Europy imienia Polski? Mołotow po zakończeniu działań wojennych w październiku 1939 roku równie triumfalnie obwieścił członkom Rady Najwyższej ZSSR, że państwo polskie — „ten pokraczny bękart wersalski" — przestało istnieć.

Ile skojarzeń dają XIX-wieczne wysyłki na Sybir z masowymi deportacjami Polaków na Syberię i w głąb ZSSR w latach drugiej wojny światowej! Tyle że rozmiary deportacji w latach 1939-1945 szły w miliony, a w XIX wieku w dziesiątki tysięcy. Jest wprawdzie bardzo zasadnicza różnica między XIX-wiecznym *ausrotten* a hitlerowskim *vernichten*, ale jest między tymi dążeniami mimo wszystko coś wspólnego (zdecydowanie wrogi stosunek do narodu polskiego). Zachęcony przez Autora wstępu do dyskusji, pozwalam sobie poruszyć i niektóre inne problemy, które nasunęły mi się przy lekturze.

Jeśli chodzi o pierwsze trzy studia, traktujące o problemach rolnictwa, przemysłu, handlu i finansach oraz o wzroście gospodarczym Polski, to stanowią one głosy w dyskusji do zainaugurowanej przez *Kwartalnik Historyczny* w 1979 roku ankiety-polemiki pod tytułem „Czy Polska straciła wiek XIX pod względem nowoczesnej cywilizacji?". Autor jednego ze studiów recenzowanego tomu — Łukasiewicz — doszedł do konkluzji, że w wyniku wszechstronnego rozwoju polskie ziemie zachodnie uzyskały na początku XX wieku podobny poziom rolnictwa, jak rozwinięte kraje europejskie, natomiast w pozostałych dwu zaborach przewagę miała gospodarka ekstensywna i tradycyjna. Ziemie polskie — kończy on — przestały być terenem wyłącznie rolniczym, stały się obszarem rolniczo-przemysłowym.

Ihnatowicz zwraca szczególną uwagę na fakt, że przewrót przemysłowy odbywał się na ziemiach polskich już pod wpływem warunków gospodarczych istniejących w państwach zaborczych. Zwolnienie tempa rozwoju na Śląsku w drugiej połowie XIX wieku wiąże z polityką Prus, niedorozwój Galicji z polityką Wiednia, zajmującego przychylne stanowisko wobec rozwoju przemysłu w Czechach. W Królestwie zaś, długo przodującym w rozwoju przemysłowym, związanym z rynkami Imperium i od nich zależnym, pod koniec wieku nastąpił spadek eksportu z uwagi na rozwijający się w szybkim tempie unowocześniony przemysł rosyjski (walka Moskwy z Łodzią). O szczególnej roli rynku rosyjskiego dla rozwoju gospodarczego Królestwa rozwodzi się też A. Jezierski.

Wydaje się, że wszyscy trzej autorzy akcentując niedorozwój Polski w wielu dziedzinach życia ekonomicznego w porównaniu z Europą zachodnią, nie uważają bynajmniej, że mimo trudności związanych, ich zdaniem, głównie z niewolą, Polska straciła wiek XIX pod względem rozwoju.

Z poglądem tym wypada się zgodzić; dyskusja na ten temat rozpoczęta została 100 lat temu, zainaugurowana przez S. Szczepanowskiego w jego pracy „Nędza Galicji w cyfrach" i podjęta potem przez A. Świętochowskiego i S. Brzozowskiego, a następnie przez B. Prusa*, który w przeciwieństwie do wyżej wymienionych

* Kronika tygodniowa, *Kurier Codzienny* z 1 stycznia 1900 roku.

zajął inne, a mianowicie optymistyczne stanowisko. Ocena rozwoju kraju bynajmniej nie jest zresztą zakończona, a wyżej wymienione rozprawy niewiele do niej wniosły.

Wszyscy trzej specjaliści — Łukasiewicz, Ihnatowicz i Jezierski — akcentują w recenzowanej pracy związki gospodarcze ziem polskich z rynkiem mocarstw zaborczych, ale nie podjęli żadnego wysiłku, aby przedstawić inne zjawisko, a mianowicie, że mimo rozbiorów i granic państwowych i celnych, związki gospodarcze między ziemiami polskimi nie zostały do końca zerwane. Istniały one między Śląskiem a Królestwem. Istniał też rynek roboczej siły obejmujący ziemie polskie jako całość. Wisła jako arteria komunikacyjna, Gdańsk, a do 1846 roku Rzeczpospolita Krakowska odgrywały istotną rolę w rozwoju większości ziem polskich.

Nie wskazali też zależności między niedorozwojem życia ekonomicznego i procentem analfabetów, wynoszącym np. w Królestwie w 1860 roku — 80 %, a pod koniec wieku — 70 %, wtedy gdy w Belgii było ich 28 %, a we Francji tylko 6 %. Nie sposób nie widzieć też, jak ujemnie na życie kraju wpływały elementy konserwatywne, które początkowo zwalczały Kodeks Napoleona, a potem wypaczały jego treść, podkopywały nowoczesną działalność oświatową Kostki Potockiego, zwalczały politykę K. Druckiego-Lubeckiego, zmierzającego do zapewnienia Królestwu niezależności gospodarczej, wreszcie zwalczały przez dziesiątki lat próby reform chłopskich.

Profesor Wereszycki w swym studium o sprawie polskiej w XIX wieku specyfikę tej sprawy dostrzega głównie w geopolitycznej sytuacji Polski, a mianowicie w tym, że w przeciwieństwie do innych narodów walczących w XIX wieku o niepodległość, tylko Polska miała przeciw sobie trzech wrogów i jej położenie powodowało, że żadne z zachodnich mocarstw nie było naprawdę zainteresowane w powstaniu niepodległej Polski i znacznym osłabieniu Rosji. H. Wereszycki wraca więc do tez wysuniętych w 1956 roku, gdy na zjeździe historyków polskich w Krakowie dowodził, że los Polski uzależniony był głównie od stosunku do niej dyplomacji europejskiej i układu sił na arenie międzynarodowej (*Pamiętnik VIII Zjazdu Historyków Polskich* (1958) i *X Zjazdu* (1968). Teza bezspornie słuszna, choć jednostronna, mogąca sugerować niedocenianie wysiłku i czynu zbrojnego w walce o wolność.

To prawda, jak dowodzi autor, że Grecja powstała jako niepodległe państwo z uwagi na zainteresowanie okazane przez Wielką Brytanię, a potem Francję i Rosję. Ale prawdą jest też, że stało się to możliwe, bo Grecy chwycili za broń, z walki nie rezygnowali i mimo zmiennych losów akcji wojskowej nie poddali się.

Teza o szczególnym znaczeniu geopolityki (bo tak po raz pierwszy związek między polityką a sytuacją geograficzną nazwał w 1916 roku uczony szwedzki Rudolf Kjellén*), w literaturze polskiej

---

* W pracy „Staten Som Livsform" (Państwo jako organizm).

nie jest nowa. Warto wspomnieć, że dostrzegł tę zależność St. Tarnowski i przedstawił ten problem w artykule „Z doświadczeń i rozmyślań", opublikowanym w Krakowie w 1891 roku w *Przeglądzie Polskim.*

Profesor Wereszycki tezę swą przeprowadza na przykładzie walki o wyzwolenie Grecji, Włoch, Węgier, Rumunii i innych narodów bałkańskich — narodów, które w XIX wieku odzyskały niepodległość.

W recenzowanym tomie na szczególne wyróżnienie zasługuje podjęta po raz pierwszy w literaturze przez S. Kieniewicza próba pokazania wizji Polski niepodległej w oparciu o programy obozów politycznych od końca XVIII wieku. Wizja przyszłej Polski stanowiła niezbędną część składową wszystkich programów rewolucyjno-powstańczych, służąc niekiedy jako hasło mobilizujące do walki. Doskonałym przykładem na potwierdzenie tego służyć mogą dokumenty programowe z okresu powstania 1863 roku. Zainteresować może zwłaszcza ostatni podrozdział, zatytułowany „Szlachetni utopiści" poświęcony wizji przyszłej Polski w wydaniu S. Szczepanowskiego, E. Abramowskiego i S. Żeromskiego.

Problematyce okresu walk narodowo-wyzwoleńczych poświęcone są jeszcze dwie rozprawy. Pierwsza pióra S. Kalembki i następna J. Borejszy. Rozprawa o polskim wychodźstwie w latach 1832-1860 jest w istocie rzeczy encyklopedyczną rozprawką na temat historii, składu socjalnego i działalności polskiej emigracji, rozproszonej na Zachodzie oraz studium, w którym autor porównuje polską emigrację z ówczesną emigracją polityczną, zwłaszcza włoską, niemiecką i węgierską. We wnioskach końcowych autor stwierdza, że emigracje popowstaniowe polskie łączyły liczne cechy wspólne ze współczesnymi im wychodźstwami politycznymi w Europie. Podobny skład społeczny — w większości inteligencko-szlachecki (jeśli chodzi o pochodzenie) — miały wszystkie emigracje polityczne w Europie. Wszystkie one uczestniczyły w tworzeniu i rozwoju nowoczesnej myśli politycznej i wspólnie wypracowały ideowe koncepcje nowoczesnego narodu. Wszystkie miały swe organy prasowe i próbowały oddziaływać na swe kraje. Przygotowywały się do powstań zbrojnych i usiłowały tworzyć na obczyźnie narodowe formacje wojskowe.

Żadna jednak, prócz może irlandzkiej, nie prowadziła tak szeroko zakrojonych akcji wśród obcych narodów, jak polska. Żadna nie istniała też nieprzerwanie tak długo i w tak licznym składzie, jak polska. Żadna nie miała tak bogatego dorobku kulturalnego (ukazywało się 120 polskich czasopism i periodyków) i żadna nie miała między sobą tylu wybitnych indywidualności, zwłaszcza literackich. Wielka Emigracja obecnością na Zachodzie, zastępczym podejmowaniem licznych funkcji nieistniejącego państwa, świadczyła o uporczywości polskich dążeń niepodległościowych.

Borejsza próbuje w swym szkicu przedstawić portret rewolucjonisty polskiego. Niełatwe to zadanie i właściwie nie sposób

zdefiniować różnic między rewolucjonistą a powstańcem, pojęcie to w stosunku do tych samych osobistości inaczej jest stosowane w kraju i za granicą, a w wielu przypadkach ważne są nie tyle głoszone poglądy, ile czyny. Na przykład w przypadku J. Bema trafnie określił to Louis Blanc, kiedy na zgromadzeniu w Londynie po zgonie generała Bema, 11 lutego 1851 roku, składając mu hołd, powiedział: „Czczą go nie jako głosiciela teoryj, lecz jako człowieka czynu" (mając na myśli socjalistów francuskich i angielskich).

Dobrze się stało, że autor szkicu przedstawił na wielu przykładach tragiczne losy wielu rewolucjonistów i ich osamotnienie w społeczeństwie. W gruncie rzeczy było ich nie tak wielu w XIX-wiecznej Polsce!

Nawet w czasie powstań narodowych społeczeństwo było rozdarte na orientacje, co jest powszechnie znane, a władze zaborcze mogły wysługiwać się Polakami, którzy — jak w przypadku powstania styczniowego — należeli do najzaciętszych tropicieli organizacji narodowej. Wprawdzie społeczeństwo — jak podaje za S. Kieniewiczem, autorem największej pracy o powstaniu, W. Borejsza — odcinało się od tych odstępców, a niektórych dosięgnął wyrok trybunału rewolucyjnego, zdrajców nie ubywało, a u schyłku powstania nawet liczba ich wzrosła.

Kolejne szkice o polskim ruchu robotniczym i ruchu ludowym nie wnoszą nowych treści do procesu poznania tych nowych zjawisk społecznych, powstałych pod koniec XIX wieku. Ale niektóre oceny są odmienne od tych, jakie pojawiały się w latach poprzednich. Chodzi mi o to, że nie ma w nich etykiet typu „reakcyjny" czy „antynarodowy", jakich używano poprzednio w stosunku np. do PPS i endecji. Nie pomija się też roli innych partii, np. Ligi Narodowej i endecji w życiu wsi. Przy omawianiu genezy socjalizmu na ziemiach polskich F. Tych wspomina o wpływach niemieckiej socjaldemokracji, a nie jak poprzednio tylko o wpływie bolszewickiej partii na polski ruch robotniczy. Przy omawianiu działalności partii robotniczych koncentruje się on na SDKPiL i PPS, ale ani słowem nie wspomina o roli Bundu.

Zarówno Tych jak i Molenda nie potrafią poradzić sobie ze sprawą narodową i problemem narastania świadomości narodowej w ruchu robotniczym i chłopskim. Istnieje u nich tendencja do utożsamiania stosunku do tego zagadnienia partii politycznych i mas robotniczych i chłopskich. Wydaje mi się, że powodem tego jest m.in. fakt, iż nie podjęto dotąd systematycznych analitycznych badań problemu, który w każdym prawie rejonie kraju różnie się załamywał i w związku z tym obaj autorzy mają tendencję do uogólnień na podstawie jednostkowych faktów lub apriorycznych tez.

Dlatego też np. stwierdzenie o dwóch etapach kształtowania się świadomości chłopów (pierwszy polegający na uświadomieniu sobie związków z językiem ojczystym, obyczajem i kulturą oraz poczuciu przynależności do narodu polskiego, drugi zaś na uświa-

domieniu sobie potrzeby posiadania własnego państwa), w zasadzie słuszne, pozostaje jedynie ogólnym sformułowaniem. Wydaje się też, że J. Molenda nie docenia tendencji idących w przeciwnym kierunku, a mianowicie wiary w dobrego cara czy Franciszka Józefa w Galicji, roli wychowawczej wojska państw zaborczych, wspomnień z przeszłości (mam tu na przykład na myśli „rabację" z 1846 roku w Galicji) oraz obaw części chłopów, że w przyszłej Polsce obowiązywać będzie system pańszczyźniany i „najgorsza szlachecka niewola". W każdym zaś razie takie nastroje przeważają w pamiętnikach chłopów. A prócz tego — jak podał W. Witos w swych *Wspomnieniach* — istniała wśród chłopów niechęć do współbraci w innym zaborze, których uważali za Moskali *(Moje Wspomnienia,* I, Paryż 1964).

Wydaje mi się, że nie w czasie pierwszej wojny światowej, ale dopiero po odzyskaniu niepodległości nastąpił prawdziwy i masowy przełom w świadomości *państwowej* chłopów.

Ostatnie dwa studia opracowane są przez znanych specjalistów, a że przedmiot dotyczy nauki i geografii literackiej po rozbiorach, nie czuję się kompetentny je oceniać. Niemniej jednak pragnę jako czytelnik podnieść, że niektóre wątki powtarzają się w obu pracach, a fakt, że zabrakło nazwisk tak bardzo zasłużonych dla kultury polskiej jak J. Klaczko czy St. Tarnowski, jest poważnym przeoczeniem.

Na zakończenie pragnę podkreślić, że recenzowana praca jest starannie opracowana pod względem edytorskim, zwłaszcza zaś wskazówki bibliograficzne zachęcają do dalszych studiów. A studia te są bardzo pożądane.

Emanuel HALICZ

Jan DIERICK

LELEWEL WYTRWAŁY*

W referacie pt. „1833: Lelewel expulsé de France. Témoignages et documents" na brukselskim kolokwium „Joachim Lelewel à Bruxelles de 1833 à 1861" francuski historyk Daniel Beauvois (Lille III) pisze: *„Lorsque le Gouvernement de Louis-Philippe*

*Teresa Wysokińska et Stéphane Pirard (ed.), *Joachim Lelewel à Bruxelles de 1833 à 1861.* Actes du colloque organisé les 17 et 18 avril 1986 par le Centre International Lelewel d'Études et d'Informations Historiques avec le parrainage de la Faculté de Philosophie et Lettres de l'Université libre de Bruxelles. Bruxelles, C.I.L. avec le concours de l'Unesco, 1987, str. 256 + 8 nlb.

expulse Joachim Lelewel de France, en 1833, celui-ci est l'un des Polonais les plus connus au monde" (str. 41) oraz *„(...) les deux Polonais les plus connus de France: Lelewel et Chodźko"* (str. 59)**. Od tego czasu wiele się zmieniło, a uczeń Grodka już nie należy do najlepiej znanych we Francji (oraz na świecie) Polaków, czego przykładem niech służy chociażby fakt, że nie wymieniono go w popularnym „Dictionnaire universel des noms propres", części drugiej znanego słownika *Petit Robert*.

Przeciw takiemu stanowi rzeczy podjęła w Belgii działania Teresa Wysokińska, absolwentka Instytutu Historii UW, przebywająca od kilkunastu lat w tym kraju, gdzie na francuskojęzycznym wolnym uniwersytecie w Brukseli (ULB) przygotowuje doktorat o życiu i stosunkach Lelewela w kraju nad Skaldą i Mozą. Ona to wydała materiały tego kolokwium, które zresztą odbyło się w dniach otwarcia zorganizowanej przez nią również wystawy w Królewskiej Bibliotece Albert I pt. „Joachim Lelewel en Belgique. Commémoration 1786-1986". Również w ramach uczczenia 200-nej rocznicy urodzin ukazał się wybór jego tekstów w opracowaniu i z komentarzem Wysokińskiej.

Tak jak Wysokińska podzieliła *Textes choisis* na dwie części, „Activité socio-politique" i „Vocation historique", można też w materiałach kolokwium rozróżnić teksty traktujące bardziej o Lelewelu-polityku oraz rozprawy dotyczące historyka. Zagaił sesję były rektor ULB André Jaumotte, zamknął ją romanista prof. Jacques Marx z tejże uczelni. Ogólny wizerunek przedstawił w swoim wystąpieniu pt. „Portrait d'un savant et d'un politicien" prof. Stefan Kieniewicz z UW, autor pracy *Samotnik brukselski* (Warszawa 1960) i znawca przedmiotu. Profesor Beauvois mówił w źródłowym referacie o wydaleniu emigranta z Francji, Anne Morelli (ULB) ustawiła go w ogólnym kontekście imigracji do Belgii w XIX wieku. Znany w Polsce (choćby z ostatnio opublikowanej *Dyplomacji bez listów uwierzytelniających. Polityka zagraniczna Adama Jerzego Czartoryskiego 1830-1840*, Warszawa, PWN, 1987) historyk z uniwersytetu w Kolonii, Hans Henning Hahn, podzielił się refleksjami o emigrantach politycznych w Europie ub. stulecia. Badaczka literatury i piśmiennictwa epoki romantyzmu, Maria Straszewska z UW, przedstawiła miejsce tego najwybitniejszego działacza Wielkiej Emigracji w legendzie literackiej, omawiając m.in. poświęcone mu utwory Mickiewicza, Mochnackiego, Koźmiana, Słowackiego i Wyspiańskiego.

Tematyka historyczna, warsztatowa, dochodziła do głosu we wspólnym wystąpieniu Andrzeja F. Grabskiego (UŁ) i Andrzeja Wierzbickiego (IH PAN) o współczesnych profesorowi historii powszechnej naukach historycznych, w studium André Uyttebrouck (ULB) o niedoszłym profesoracie na tym uniwersytecie

---

** „Kiedy rząd Ludwika Filipa ekspulsował Lelewela z Francji w 1833 roku, był on jednym z najbardziej znanych Polaków na świecie" i „dwaj najbardziej znani Polacy we Francji: Lelewel i Chodźko".

w roku akademickim 1834-1835, w angielskojęzycznym artykule „Lelewel, History and Creation of a Polish National Tradition" Joan S. Skurnowicz z Loras College w Dubuque (USA). Problematyką bardziej specyficzną w dziedzinie numizmatyki zajęli się Claudine Lemaire (Biblioteka Królewska) — o miejscu autora *Numismatique du moyen âge* w historii gabinetu medali tejże instytucji — oraz Maurice Colaert z Société Royale de Numismatique de Belgique. O wkładzie autora *Géographie du moyen âge* do geografii mówił Alfred van der Essen z Katolickiego Uniwersytetu w Louvain (UCL). Ogólne spojrzenie na uprawiane przez Lelewela nauki pomocnicze dał Stefan K. Kuczyński (PAN).

Jeśli chodzi o działalność polityczną członka Towarzystwa Patriotycznego, to ogólnemu portretowi historyka w opracowaniu Grabskiego i Wierzbickiego odpowiadał podobny wizerunek polityka naszkicowany przez Władysława Zajewskiego (PAN Gdańsk), który w przeszłości dał się już poznać jako rzetelny badacz stosunku Belgii do Powstania Listopadowego. Autorka rozprawki z 1948 roku, *La Belgique et la révolution polonaise de 1830,* F. Perelman-Liwer, i tym razem dotknęła podobnej tematyki: sprawa polska a początki państwa belgijskiego. Problemy pokrewne poruszyli Hendrik Strypens (Gandawa) — ruch demokratyczny i wyzwolicielski w Belgii i Europie, Francis Sartorius (ULB) — ognisko oddziaływania demokracji polskiej oraz Grabski — Lelewel i Marks.

O związkach członka organizacji Młoda Polska z Krajem podczas pobytu w Brukseli mówił Sławomir Kalembka (UMK Toruń). Anna-M. Kempinski opisała kwestię emancypacji Żydów w Polsce i stosunek Lelewela do tej sprawy. Referat „Lelewel a Towarzystwo Historyczno-Literackie w Paryżu" wygłosił Leszek Talko.

W sumie mamy do czynienia z ciekawą inicjatywą, na pewno na tym samym poziomie co podobne imprezy z ostatnich lat o porównywalnej tematyce, jak chociażby materiały sesji *Powstanie listopadowe 1830-1831. Geneza — uwarunkowania — bilans — porównania* (Wrocław 1983) i *Pologne, l'Insurrection de 1830-1831. Sa réception en Europe* (Lille 1982). Szkoda tylko, że nakład książki jest tak niski (500 egzemplarzy — *Wyboru tekstów* 1.000). Miejmy nadzieję, że materiały następnych imprez ukażą się w większym nakładzie, co świadczyłoby o rzeczywistym zainteresowaniu działalnością Instytutu, który skądinąd nie ogranicza się do osoby autora *Polski wieków średnich.*

Jan DIERICK

OKRUCHY HISTORII

Piotr WANDYCZ

TELEGRAM AMBASADORA STEINHARDTA

Badacze genezy drugiej wojny światowej podają na ogół, iż zachodni alianci dowiedzieli się o istnieniu tajnego protokołu do paktu Ribbentrop-Mołotow dopiero po wojnie. Rzeczywiście tekst odnaleziono w dokumentach niemieckich zdobytych przez sojuszników, ale — jak się okazuje — przynajmniej jedno mocarstwo (Stany Zjednoczone) wiedziało już następnego dnia o osiągnięciu porozumienia niemiecko-sowieckiego w sprawach ewentualnego podziału terytorialnego Europy środkowo-wschodniej. Departament Stanu otrzymał tę wiadomość od ambasadora w Moskwie Laurence'a Steinhardta za pośrednictwem szyfrowanej depeszy nr 465, która dotarła do Waszyngtonu przed południem 24 sierpnia 1939 roku.

Na istnienie tej depeszy, znajdującej się w National Archive w Waszyngtonie, Department of State Record Group 59, Decimal File 761.6211/93, zwrócił uwagę Instytutu Piłsudskiego w Nowym Jorku były dyplomata niemiecki, dr Karl Otto Braun. Następnie niżej podpisany wymienił kilka listów z dr. Braunem, w którym omówione zostały szerzej okoliczności wysłania tej depeszy. O istnieniu „przecieków" z ambasady III Rzeszy w Moskwie wiedzieli historycy już dawniej. W swej pracy *Stalin, Hitler and Europe 1933-1939: The Origins of World War II* (Cleveland, New York, 1968), James E. McSherry podaje, iż kilkakrotnie „ktoś w ambasadzie niemieckiej wyraźnie starał się ostrzec sojuszników poprzez ambasadę USA" (str. 228). Charles Bohlen w swych wspomnieniach zatytułowanych *Witness to History 1929-1969* (New

York, 1973) uchylił rąbka tajemnicy, pisząc, iż wiadomości o najbardziej tajnych posunięciach dyplomacji niemieckiej otrzymywał od swego kolegi z ambasady Rzeszy Hansa Herwartha von Bittenfelda, znanego wśród przyjaciół jako Johnny (str. 80-85). Herwarth, który po drugiej wojnie światowej pełnił funkcję Sekretarza Stanu w ministerstwie Spraw Zagranicznych RFN, był wrogiem hitleryzmu i umyślnie podawał informacje Bohlenowi w nadziei, iż pokrzyżuje plany Hitlera.

Według dr. Brauna, który po wojnie odbył długą rozmowę z Herwarthem w jego willi w Monachium, Herwarth zaznajomił Bohlena z treścią protokołu, umożliwiając mu przekazanie „na gorąco" tej wiadomości do Waszyngtonu. W rozmowie z Braunem Herwarth przyznał, iż zdradzając tajemnice państwowe popełnił zdradę stanu *(Hoch- und Landesverrat).* Na pytanie dr. Brauna, dlaczego nie poinformował o tym wprost ambasadora RP w Moskwie, Wacława Grzybowskiego, Herwarth odpowiedział: *Daran habe ich nicht gedacht* (o tym nie pomyślałem). Wydaje się zresztą, że ponieważ Herwarth nie był zaprzyjaźniony z Grzybowskim, ryzykowałby o wiele więcej, niż podając informację Bohlenowi, którego dyskrecję zdążył już wypróbować.

Dr Braun, z którego listu do mnie z 22 sierpnia 1985 pochodzą powyższe cytaty, sądzi, iż gdyby ambasador Grzybowski był zawiadomiony i zaalarmował Warszawę, to Beck zmieniłby może kurs swej polityki zbliżenia z Wielką Brytanią. Nie wydaje mi się, aby teza taka mogła być poważnie brana pod uwagę. Ciekawszą sprawą jest natomiast niepoinformowanie przez Departament Stanu dyplomacji brytyjskiej, która otrzymywała uprzednio wiadomości pochodzące z „przecieków" w ambasadzie niemieckiej w Moskwie. Czy Roosevelt obawiał się, że Brytyjczycy mogą przekazać Polakom informacje o tajnym układzie terytorialnym zawartym między Niemcami a Rosją? Nie mamy pewności, czy Roosevelt w ogóle widział telegram Steinhardta, jakkolwiek trudno sobie wyobrazić, aby mu go nie pokazano lub nie streszczono. W każdym bądź razie kopii telegramu nie udało się odnaleźć w archiwum w bibliotece prezydenckiej (Franklin D. Roosevelt Library) w Hyde Parku, gdzie archiwista, na moją prośbę, przeprowadził odpowiednią kwerendę.

W dniu kiedy telegram dotarł do Waszyngtonu, prezydent Roosevelt powrócił do stolicy i Sekretarz Stanu Cordell Hull widział się z nim w godzinach popołudniowych. W swych wspomnieniach notuje, iż składał prezydentowi raport o niebezpiecznej sytuacji międzynarodowej, zwracając uwagę na otrzymany właśnie telegram od Bullitta z Paryża. O telegramie Steinhardta w pamiętnikach nie ma ani słowa *(The Memoirs of Cordell Hull,* 2 tomy, New York, 1948, tom I, str. 661). Nazwisko ambasadora USA w Moskwie pojawia się przeszło dwadzieścia stron później, gdy Hull wspomina depeszę Steinhardta z 5 września 1939 roku (str. 685).

Telegram Steinhardta z 24 sierpnia, który cytujemy poniżej, ma na sobie trzy pieczątki: „Division of European Affairs, August 24, 1939", „Division of Far Eastern Affairs, August 28" i „Adviser on Political Relations, Mr. Hornbeck, August 31, 1939" oraz inicjały czy adnotację, że został przejrzany przez te wydziały. Nic nie wskazuje, aby kopia została przesłana do Białego Domu. Jedyne podkreślenie w tekście (piórem) dotyczy słów „Soviet German treaty of April 1926". Artykuł czwarty wymieniony w tekście odnosi się oczywiście do samego układu Ribbentrop - Mołotow, a nie do tajnego protokołu.

Czytelnik odnosi wrażenie, iż ten sensacyjny telegram został potraktowany rutynowo i urzędnicy, którzy go mieli w rękach nie zorientowali się co do jego ważności. Na taką hipotezę wskazywałby także fakt pominięcia tego telegramu w wydawnictwie *Foreign Relations of the United States,* które zawiera szereg innych telegramów ambasadora USA z Moskwy.

A oto sam tekst:

Moscow, August 24, 1939
Received 11:15 a.m.

Secretary of State
Washington

465, August 24, noon.

(GRAY) My 464, August 24, 9 a.m. The tekst of the treaty was published in the Soviet press today and follows the outline given in my telegram under reference, with the addition of a preamble that the present treaty is based on the Soviet German treaty of April 1926. As the press will undoubtedly carry the full text I will not telegraph it (END GRAY).

STRICTLY CONFIDENTIAL. I am informed in strict confidence that a full „understanding" was reached last night between the Soviet and German Governments in reference to territorial questions in Eastern Europe whereby Estonia, Latvia, Eastern Poland, and Bessarabia are recognized as spheres of Soviet vital interest. Apparently Finland was not mentioned. My informant added that article four which prohibits the contracting parties from joining any group of powers directed against the other, in addition to precluding Soviet adherence to any Anglo-French aliance will also preclude any German - Japonese collaboration. I am informed that the negotiations were conducted personally by Stalin who did not disguise from Ribbentrop that he had long been in favor of a Soviet - German rapprochement. When the treaty was concluded Stalin drank a toast to Hitler and to „the revival of the traditional German - Russian friendship". As a result of the discussions dealing with territorial questions involving countries lying between Germany and the Soviet Union I am informed that there was a tacit agreement to the effect that the Soviet Union would be given territorial compensation if it so desired for both territorial changes which might be introduced by Germany in those regions.

Ribbentrop is flying back to Berlin at 2 p.m. today.

STEINHARDT

TŁUMACZENIE

Nr 465, 24 sierpnia, południe.

(szary szyfr). Powołując się na 464 z 24 sierpnia 9 godz. Tekst traktatu był dziś ogłoszony w sowieckiej prasie i jest zgodny z zarysem przesłanym w wyżej wymienionym telegramie z dodatkiem wstępu stwierdzającego, iż obecny traktat opiera się na sowiecko-niemieckim traktacie z kwietnia 1926. Ponieważ prasa niewątpliwie poda pełny tekst, nie będę go telegrafował (koniec szarego szyfru).

ŚCIŚLE POUFNE. Zostałem poinformowany w ścisłym zaufaniu, że osiągnięto wczoraj wieczorem pełne „porozumienie" między rządami sowieckim i niemieckim odnośnie spraw terytorialnych w Europie wschodniej, w wyniku którego Estonia, Łotwa, Wschodnia Polska i Besarabia są uznane za sferę żywotnych interesów sowieckich. Mój informator dodaje, że artykuł czwarty, który zabrania każdemu z kontrahentów przystępowania do jakiejkolwiek grupy mocarstw skierowanej przeciw drugiemu, wyklucza nie tylko przyłączenie się Sowietów do sojuszu anglo-francuskiego, ale również jakąkolwiek kolaborację niemiecko - japońską. Poinformowano mnie, że rokowania były prowadzone osobiście przez Stalina, który nie ukrywał przed Ribbentropem, iż był od dawna za zbliżeniem sowiecko - niemieckim. Po zawarciu traktatu Stalin wypił toast za Hitlera i za „wznowienie tradycyjnej przyjaźni niemiecko - rosyjskiej". Poinformowano mnie, że w wyniku dyskusji odnośnie spraw terytorialnych, dotyczących krajów położonych między Niemcami a Związkiem Sowieckim, osiągnięto milczącą zgodę, iż Związek Sowiecki otrzyma kompensaty terytorialne, jeśli sobie będzie ich życzył, za zmiany terytorialne, które Niemcy mogą wprowadzić w tych regionach.

Ribbentrop leci z powrotem do Berlina dziś o 14 godz.

STEINHARDT

INSTRUKCJA MARSZAŁKA EDWARDA ŚMIGŁEGO-RYDZA DLA ROZMÓW Z FRANCUSKIM SZTABEM GENERALNYM

GENERALNY INSPEKTOR SIŁ ZBROJNYCH
EDWARD ŚMIGŁY-RYDZ — MARSZAŁEK POLSKI

Warszawa, dnia 25. 4. 1939.

I. Elementy polityczno-wojskowe:

Określenie i ustalenie *casus foederis* (kwestia Gdańska) i ustalenie zasady bezpośredniości działania sojuszu po fakcie agresji niemieckiej.

Polska stoi na stanowisku, że pucz w Gdańsku na równi z wkroczeniem na terytorium Wolnego Miasta niemieckich sił zbrojnych jest aktem agresji niemieckiej.

W wypadku puczu reakcja polska kieruje się bezpośrednio i tylko przeciw Gdańskowi — co najprawdopodobniej wywoła akcję wojskową Rzeszy.

II. Elementy wojskowe. Polska.

Liczę się z tym, że gros sił niemieckich, z pozostawieniem pewnych sił na fortyfikacjach zachodnich zostanie rzucone na Polskę. Poza motywami politycznymi, które w dzisiejszej sytuacji przemawiają za tą hipotezą, przemawiają za nią przede wszystkim motywy natury wojskowej. A mianowicie długość naszej granicy, jej przebieg i bezbronność jej ze względu na teren i ze względu na brak jakichkolwiek fortyfikacji.

Niemcy mogą rozumować w sposób następujący:

Zanim rozwiną się działania sprzymierzeńców na zachodzie, zanim staną się poważną groźbą po przełamaniu zachodnich fortyfikacji, Polska pozostawiona sama sobie wobec ogromnej przewagi niemieckiej tak się skrwawi i tyle straci swego obszaru, że stanie się niezdolna do prowadzenia dalszej wojny. Po wypadnięciu z rachunku Polski będzie czas na działanie przeciw zachodnim sprzymierzeńcom Polski.

Na hipotezie rzucenia pierwszego ataku gros sił niemieckich na Polskę opiera się mój plan operacyjny.

Jest to plan defensywny.

Cel jego jest: zadając Niemcom jak największe straty, broniąc pewnych koniecznych dla prowadzenia wojny obszarów, wykorzystując nadarzające się sposobności do przeciwuderzeń odwodami — nie dać się rozbić przed rozpoczęciem działań sprzymierzonych na zachodzie. Muszę się liczyć z nieuniknioną na początku wojny stratą pewnych części terytorium polskiego, które później odbije się.

Po zaangażowaniu się sprzymierzonych w sposób zdecydowany i poważny, gdy nacisk niemiecki na froncie polskim osłabnie, będę działał zależnie od położenia.

W ofensywnych działaniach polskich, w razie zaistnienia ich możliwości w dalszym ciągu wojny, sytuacja nasza strategiczna narzuca nam jako pierwsze przedmioty działań Prusy Wschodnie i Pomorze niemieckie. Jak długo te rejony nie są przez nas zajęte, tak długo niemożliwe jest nasze angażowanie się w jakichkolwiek kierunkach zachodnich.

2) G d a ń s k

W razie puczu w Gdańsku lub zjawienia się na obszarze Wolnego Miasta sił niemieckich, wojskowa reakcja polska będzie raczej zbrojnym protestem przeciw faktowi dokonanemu, a nie poważnym działaniem, które by miało na celu odebranie i utrzymanie Gdańska. W tak ekscentrycznym kierunku i w tak niewygodnej sytuacji strategicznej nie mogę angażować większych sił.

Sprawę Gdańska rozstrzygać będzie ostateczne zwycięstwo w wojnie, a nie zwycięstwo odniesione na początku wojny w bitwie pod Gdańskiem.

III. E l e m e n t y w o j s k o w e. F r a n c j a.

1) Jakiego czasu potrzebuje Francja od pierwszego dnia mobilizacji ogólnej do gotowości podjęcia poważnych działań przeciw Niemcom?

2) Zamierzenia operacyjne początkowe.
   a) Czy Francja przekracza strefę swych fortyfikacji i granic niemieckich po osiągnięciu gotowości do działań?
   b) Jakimi siłami to robi, w jaki sposób na zaangażowaniu się przeciw Niemcom może się odbić ewentualny front włoski?
   c) Jakie cele operacyjne stawia sobie Francja w działaniu przeciw Niemcom?

N a s z e d e z y d e r a t y

1. Jak najwcześniejsze i solidne działanie Francji, by czas w którym Polska sama będzie walczyć był jak najkrótszy, im mniej Polska skrwawi się i osłabi, tym większy i skuteczniejszy będzie jej udział w dalszym ciągu wojny.
2. Najwcześniejsze działanie Francji to działanie lotnictwa:
   a) kiedy lotnictwo francuskie zacznie działać; pożądane działanie bezzwłocznie po pierwszym kroku wojennym niemieckim,
   b) ustalenie sposobów i celów działania lotnictwa francuskiego i naszego.
   c) kwestia współdziałania lotnictwa francuskiego z naszych baz i z naszego terenu.
3. Co Francja może zrobić jeszcze przed wybuchem wojny, aby dopomóc nam w dozbrojeniu?

a) Rozszerzenie ewentualne układu w Rambouillet wobec dewaluacji franka.
b) Czołgi.
c) Wyprodukowana u nas broń dla Hiszpanii, a znajdująca się na terenie Francji. Czy Francja nie zwróciłaby — kredytując nam — pieniędzy Hiszpanii, przesyłając nam tę broń z powrotem?
d) Przyspieszenie wykonania naszych zamówień wynikających z układu w Rambouillet. Jeden ze sposobów przyspieszenia: wykonanie zamówień w naszych fabrykach na koszt francuski.
e) Omówienie możliwości współdziałania floty francuskiej dla nas poza blokadą Niemiec, ważną jest kwestia przeszkodzenia w komunikacji morskiej między Rzeszą a Prusami Wschodnimi.

Anglia

Zaproponowałem Anglii rozmowy wojskowe. Dotychczas nie zdaję sobie sprawy z tego jaki wysiłek może Anglia zrobić na kontynencie. Przyjmuję, że nastąpi zaangażowanie się Anglii w jak najwcześniejszym terminie.

Rosja

Poza współdziałaniem materiałowym i surowcowym — co do którego z naszej strony decyzja nastąpi w przyszłości, innych zamierzeń w tej chwili w stosunku do Rosji nie mam.

MARSZAŁEK POLSKI

Tadeusz **WYRWA**

GENERAŁ ANDERS I DEMOBILIZACJA WOJSKA POLSKIEGO NA ZACHODZIE W RAPORTACH DYPLOMATÓW FRANCUSKICH

Po zakończeniu drugiej wojny światowej jedną z najbardziej palących spraw dla Aliantów było znalezienie rozwiązania dla

formacji wojska polskiego, które znajdowały się w krajach Europy zachodniej; największą z nich stanowił 2-gi Korpus gen. Andersa we Włoszech. Decyzje w tej sprawie zapadły w Londynie w wyniku rokowań rządu brytyjskiego z reżimem komunistycznym w Warszawie, bez udziału rządu polskiego z Londynu, który nie był już wówczas uznawany przez Aliantów. Rokowania te były uważnie śledzone przez ambasadę francuską w Wielkiej Brytanii, o czym świadczą raporty, jakie zachowały się w archiwach francuskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych w Paryżu [1].

W raporcie z 16 listopada 1945, René Massigli, ówczesny ambasador Francji w Londynie, informował ministra G. Bidault w Paryżu o całkowitym niepowodzeniu misji Modelskiego [2], „której głównym animatorem był jakiś pułkownik Grosz" [3]. W rozmowach w *Foreign Office* „polski minister Spraw Zagranicznych zarzucał Anglikom, że najpierw chcą zdemobilizować wojskowych, żeby następnie odesłać ich jako cywili do Polski. Odpowiedziano p. Rzymowskiemu [4], że nic podobnego, gdyż rząd brytyjski był gotów pozwolić im na wyjazd nie tylko w mundurach, ale i z ich osobistą bronią".

W dalszym ciągu swojego raportu ambasador Massigli pisał: „Niepowodzenie rokowań wywołało w *Foreign Office* ostre komentarze. Nie zawahano się powiedzieć, że wizyta p. Rzymowskiego nic nie przyniosła i że traci się czas na dyskutowanie z rozmówcami, którzy na każdym kroku powołują się na brak instrukcji lub też zwracają się ciągle do osobistości na pozór bez znaczenia w ich świecie, ale która ma za zadanie kierować a zwłaszcza dozorować ich. Bez wątpienia, podobny dozór nie jest nowym zjawiskiem w polskich obyczajach politycznych. Pod tym względem reżim pułkownika Becka nie miał nikomu nic do pozazdroszczenia *(à cet égard, le régime du Colonel Beck n'avait rien à envier à personne)*. Okazuje się jednak pewne podrażnienie wobec nieodpowiedzialności i bojaźliwości, których dali dowody p. Rzymowski, generał Modelski i inni".

Absurdalność porównania politycznych obyczajów reżimu komunistycznego z obyczajami „reżimu płk. Becka" ma szczególną wymowę z uwagi na rolę, jaką odgrywał ambasador Massigli w

---

1. *Vide: Archives du ministère des Affaires étrangères w Paryżu, Série: Z Europe 1944-1949, Pologne, Dossier nr 29.*

2. Izydor Modelski był członkiem rządu polskiego w Londynie podczas wojny. Od 1945 roku na usługach reżimu komunistycznego.

3. Wiktor Grosz, od 1941 roku oficer polityczny w armii sowieckiej, jeden z organizatorów moskiewskiego Związku Patriotów Polskich. Po wojnie kierował akcją repatriacji Polaków z Niemiec i z Wielkiej Brytanii; później w służbie dyplomatycznej PRL.

4. Wincenty Rzymowski, w latach 1945-1947 minister Spraw Zagranicznych PRL.

czasie wojny. René Massigli[5] sprawował funkcję komisarza „Wolnej Francji" do spraw międzynarodowych. Z racji zajmowanego stanowiska musiał się stykać z Polakami i z problemami polskimi i tutaj siłą rzeczy nasuwa się pytanie: czy z tego wszystkiego do takich jedynie mógł dojść wniosków? Potwierdza to jednocześnie, jak bez większego znaczenia na przyszłość były stosunki rządu polskiego w Londynie ze środowiskiem „Wolnej Francji". Dość znamienny jest również fakt, że w napisanych po wojnie wspomnieniach[6], Massigli daje jedynie wzmiankę o Kajetanie Morawskim, ambasadorze rządu polskiego w Londynie przy Francuskim Komitecie Wyzwolenia Narodowego. Nadto nic o rządzie polskim, ani jednego słowa o gen. Sikorskim, prezydencie Raczkiewiczu albo innym Polaku.



W raporcie z 16 stycznia 1946 Massigli donosił: „Nie ma wątpliwości, że od dłuższego już czasu zdawano sobie tutaj sprawę z anomalii, jaką stanowiło utrzymanie generała Andersa na stanowisku i usilnie pragnęło się jego odejścia. Do nie tak dawna *Foreign Office* nie zdołało jednak przekonać *War Office* o potrzebie natychmiastowego działania. Mimo to *War Office* ustąpił i dał znać generałowi Morganowi, podczas jego przejazdu w Londynie, że odejście generała polskiego jest konieczne. Dowódca brytyjski we Włoszech poddał się tej decyzji, ale stwierdził, że wykonanie jej nie obędzie się bez poważnych trudności i będzie wymagało czasu. Generał Morgan miał zaznaczyć, że to właśnie przy pomocy Andersa udało mu się dotychczas najlepiej utrzymać swój autorytet nad oddziałami polskimi. Liczba oficerów brytyjskich, którzy są do jego dyspozycji, ma być dzisiaj bardziej niewystarczająca niż kiedykolwiek, ażeby instrukcje dotarły do oddziału bez pośrednictwa polskiego. Generał Morgan miał nawet dodać, że stan liczebny oddziałów brytyjskich we Włoszech byłby zbyt mały, aby rozbroić jednostki polskie i że jeżeli miałoby do tego dojść, to skutek byłby raczej przeciwny".

„Ogólnie biorąc nie robi się tajemnicy w *Foreign Office* z troski, jaką napawa rząd brytyjski Korpus polski we Włoszech. Korpus ten nie może być wiecznie trzymany na półwyspie, ale nie widzi się, gdzie można by go przenieść. Czynniki odpowiedzialne za ten stan rzeczy bardzo przeto pragną, żeby większość oficerów powróciła do Polski i można być prawie pewnym, że władze brytyjskie będą usiłowały wywierać w tym kierunku silną presję".

---

5. René Massigli, urodzony w 1888 roku, przedwojenny dyplomata. Dnia 27 stycznia 1943 przywieziony samolotem z okupowanej Francji (Lyonu) do Londynu. Od 7 lutego 1943 do 7 września 1944 komisarz „Wolnej Francji" do spraw międzynarodowych; od 11 września 1944 ambasador Tymczasowego Rządu Republiki Francuskiej w Londynie.

6. *Vide:* René Massigli, *Une comédie des erreurs 1943-1956. Souvenirs et réflexions sur une étape de la construction européenne*, Plon, Paryż 1978.

Dnia 20 marca 1946 roku, Bevin, brytyjski minister Spraw Zagranicznych, wygłosił przemówienie w Izbie Gmin, gdzie oświadczył, iż zostało zawarte porozumienie jego rządu z tymczasowym rządem w Warszawie i że wobec tego obowiązkiem członków polskich sił zbrojnych na Zachodzie jest powrócić do swego kraju. Przemówienie to było poprzedzone spotkaniem między Bevinem, premierem Attlee i gen. Andersem, który na wezwanie przyleciał z Włoch do Londynu. W czasie tego spotkania, które miało miejsce 15 marca 1946 na Downing Street[7], gen. Anders został poinformowany o przygotowanej deklaracji Bevina w wyniku układu z Warszawą oraz o demobilizacji wojska polskiego i został przez premiera Attlee poproszony o współpracę i pomoc.

Odnośnie powyższego spotkania ambasador Massigli pisał w raporcie z 22 marca 1946: „Wbrew wszelkim oczekiwaniom, generał Anders i inni dowódcy wojskowi, których p. Attlee i p. Bevin przyjęli w ostatnim tygodniu, nie robili żadnych trudności. Jednemu z moich współpracowników wyjawiono poufnie, że gdyby generał Anders i jego koledzy okazali złą wolę, byliby bez żadnych zastrzeżeń zatrzymani w Londynie, gdyż postanowiono przeszkodzić wszelkim próbom 'sabotażu'. Nie było potrzeby zastosowania tego, albowiem dali oni premierowi i ministrowi wszelkie zapewnienia i zobowiązali się lojalnie współpracować pod względem repatriacji".

„W tak pojednawczej postawie widzi się tutaj szczególną oznakę zaufania, z jakim przede wszystkim gen. Anders przewiduje zastosowanie decyzji powziętych w Londynie i w Warszawie. Dowódca armii polskiej we Włoszech jest w sposób oczywisty przekonany, że poza nieznaczną mniejszością jego ludzie zostaną mu wierni i odmówią powrotu do swojego kraju. Jest to także opinia *Foreign Office* i *War Office*... Tego rodzaju ewentualność niepokoi rzecz jasna władze brytyjskie".

Massigli podkreśla następnie, że ambasada polska w Londynie jest bardzo zadowolona z wyniku rokowań i Strasburger[8] mówi o odprężeniu między Warszawą i Wielką Brytanią. „Mam wrażenie, pisze Massigli, że p. Strasburger stara się naprawdę złagodzić niektóre animozje i unika wszystkiego, co mogłoby zaostrzyć antagonizm między Polakami z Londynu i tymi, którzy dołączyli do Warszawy. Nasuwa się zresztą pytanie, czy między tymi dwoma klanami nie są utrzymywane kontakty bardziej liczne, niż to wydawałoby się na pierwszy rzut oka? Wiem, że pewni Polacy 'londyńscy' i 'warszawscy', których łączą więzy rodzinne

---

7. *Vide:* Władysław Anders, „*Bez ostatniego rozdziału. Wspomnienia z lat 1939-1946*, Wydanie drugie, Montgomeryshire Printing Company, Londyn 1950, str. 399 i nast.

8. Henryk Strasburger podczas drugiej wojny światowej był członkiem rządu polskiego w Londynie. Od 1945 roku na usługach reżimu komunistycznego; poseł PRL w Wielkiej Brytanii w latach 1945-1949.

i przyjacielskie, spotykają się w sposób bardzo dyskretny i że ich rozmowy bardzo szybko schodzą na tematy polityczne. Nadto jest bardzo prawdopodobnym, że różni funkcjonariusze, którzy dołączyli tutaj do rządu (warszawskiego) lub też którzy przybyli ostatnio z Polski, dają pierwszeństwo swoim uczuciom solidarności narodowej przed wszystkimi innymi racjami i dalecy od ścigania dysydentów — przychodzą im z pomocą, gdy nadarza się po temu okazja. Sto pięćdziesiąt lat walki o wyzwolenie swojego kraju nauczyło Polaków wyciągać korzyści z najbardziej trudnych sytuacji. Byłbym raczej skłonny wierzyć, że obecna gra nie jest prosta, że dołączenie jest często sprawą wyrachowania a nie przekonania i w pewnym stopniu role zostały podzielone, że z jednej i z drugiej strony dostrzega się szanse, jakie daje dołączenie do Warszawy części dawnej elity i utrzymanie za granicą dość dużej liczby emigrantów".

„Jeżeli zastosowanie planu repatriacji i demobilizacji polskich sił zbrojnych pod dowództwem brytyjskim będzie wymagało kilku miesięcy, to ta powolność będzie wspaniale odpowiadała nie tylko komunistom, którym — jeśli wierzyć *Foreign Office* — nie podoba się powrót tych wojskowych, ale nadto wielu innym Polakom z Warszawy którzy, obawiając się w bliskiej przyszłości konfliktu z Rosją, uważają za bardziej korzystne zachowanie za granicą części armii dobrze wyszkolonej, na którą Moskwa nie wywiera żadnego wpływu".

Co do podziału ról między Polakami „warszawskimi" i „londyńskimi" oraz cichej umowy między nimi, o czym pisze ambasador Massigli, to jest to typowy sposób myślenia Francuzów z pierwszego okresu okupacji niemieckiej. Wielu Francuzów myślało wtedy, było im zresztą wygodnie tak myśleć, że marszałek Pétain jest w kontakcie z gen. de Gaullem i że wzajemnie uzupełniają się w swojej działalności i w reprezentowaniu Francji: jeden wobec Niemców, drugi wobec Aliantów.

W tym samym czasie Philippe Monod, konsul generalny Francji w Edynburgu, wysłał do Paryża raport, z dnia 2 kwietnia 1946 roku, który opisywał reakcje ludności szkockiej na znajdujące się w ich kraju oddziały armii polskiej[9]. „Przedłużający się pobyt, pisał konsul Monod, w Wielkiej Brytanii, a szczególnie w Szkocji, około 30.000 żołnierzy polskich i obawa, że pobyt ten może przekształcić się w definitywne zainstalowanie się, wywołał prawdziwy niepokój w tym kraju... Tak więc projekt, zezwalający żołnierzom polskim na uczęszczanie do szkół zawodowych, spowodował gwałtowne krytyki, gdyż mówi się, że jeśli pozwoli się Polakom na naukę jakiegoś rzemiosła, to będzie trudno zabronić im, żeby je później wykonywali i w konsekwencji konkurowali z lokalną siłą roboczą. Ta właśnie obawa znajduje się

---

9. *Vide: Archives du ministère des Affaires étrangères w Paryżu, Série: Z Europe 1944-1949, Pologne, Dossier nr 30.*

niewątpliwie u podstawy obecnego zakłopotania i jest faktem powszechnie znanym, że wśród klasy robotniczej widzi się dużo większą wrogość wobec ulokowania się Polaków, niż w warstwie zamożnej".

„Pomimo, że wrogość ta straciła już wiele ze swojej zjadliwości, to jednak nie należy jeszcze dzisiaj do rzadkości zobaczyć na murach w Edynburgu napisy: *Kick out the Poles, Down with the Poles,* które wydają się świadczyć, że ta animozja ciągle trwa w stanie endemicznym. Jeżeli widzi się znaczne spuszczenie z tonu, to trzeba przyznać, iż jest to uboczna konsekwencja napięcia w stosunkach angielsko-sowieckich. Nie idąca aż tak daleko, żeby twierdzić, iż popularność Polaków zwiększa się w stopniu, w jakim zmniejsza się popularność Rosji, jest jednak rzeczą niezaprzeczalną, że istnieje pewien stan równowagi między tymi dwiema kwestiami i zwrot jest bardzo wyraźny w niektórych środowiskach ludowych i intelektualnych, gdzie kilka miesięcy temu żołnierz polski był *a priori* podejrzany o faszyzm, a oficerowie oskarżani o manewrowanie celem poróżnienia Wielkiej Brytanii i Rosji, podczas kiedy dawny rząd polski był często przedstawiany jako centrum szeroko zakrojonego spisku reakcyjnego. Obecna postawa jest następstwem fali antysowieckiej, jaka ogarnia kraj i jednym ze skutków tego jest to, że przedstawia się żołnierza polskiego jako dawnego nieszczęsnego towarzysza broni, którego nie można byłoby opuścić bez zdradzenia go".

„Tradycyjne uczucie *fair play* jest wzmocnione wzrastającą nieufnością wobec Moskwy i zmierza do przekształcenia wczorajszego „faszysty" w męczennika sprawy demokracji. Rzeczą uderzającą jest stwierdzenie, jak mało kredytu zaufania opinia publiczna, czy to na prawicy, czy to na lewicy, udziela rządowi z Warszawy, uważanemu za zbyt podporządkowany wpływom sowieckim, ażeby był zdolny do bezstronności wobec własnych obywateli. Układy, jakie zawarł z nim p. Bevin, przyjęte były przez prasę i publiczność ze sceptycyzmem".

„Mało jest ludzi, którzy wierzą jeszcze w masowy wyjazd okupanta polskiego *(l'occupant polonais)* i ewentualność jego osiedlenia się na terytorium brytyjskim jest teraz przyjęta z pewną rezygnacją, podczas gdy sześć miesięcy temu rozpętałoby to gwałtowne polemiki. Prawdą jest, że obietnica dana przez p. Bevina o wystaranie się dla uchodźców o środki egzystencji na terytorium brytyjskim jest ogólnie interpretowana w tym sensie, że koszta tej operacji poniosą raczej kolonie i dominia, niż metropolia. Żołnierz polski w Wielkiej Brytanii jest stawką w grze politycznej, która nie jest jeszcze rozegrana, ale w której koniec końców i bez względu na to co się zdarzy on padnie ofiarą w każdym razie".

Przeszło rok później ambasador Massigli pisał w raporcie z 29 lipca 1947 roku: „Jeden z moich współpracowników, który miał okazję zwiedzić ostatnio kilka obozów Polskiego Korpusu

Przysposobienia i Rozmieszczenia, był uderzony pewnego rodzaju zamętem psychicznym, jaki wytworzył się u ludzi, którzy przez dłuższy czas byli przyzwyczajeni do wojowania i żeby się bić, część z nich dokonała zadziwiających wędrówek; którzy przez sześć lub siedem lat żyli jedynie myślą o uwolnieniu ich ojczyzny, a którzy teraz nie odważają się na powrót do swojego kraju"

„Jeśli chodzi o los tych ludzi, to jakąkolwiek by podjęli decyzję, przerażają ich możliwe konsekwencje i odpowiedzialność za nie; przyzwyczajeni do posłuszeństwa, nie wiedzą co robić z wolnością, gdyż — według ich mniemania — korzystanie z niej naraża ich na każdym kroku na represje. Zresztą oficerowie, z którymi przebywają i pod rozkazami których prowadzą dalej życie, wywierają na nich w dalszym ciągu duży wpływ, niekorzystny jeśli chodzi o repatriację".

„Oficerowie ci przejawiają w rozmowach stan ducha, który mimo wszysko jest zdumiewający. Jeden z nich, przypominając oświadczenie Churchilla z czerwca 1941, że „sprzymierzy się z diabłem jeżeli trzeba", oznajmił: „Gdybym wiedział, jaki obrót wezmą sprawy, byłbym przeszedł na stronę Niemców przeciw Rosjanom". Inni znowu robią wrażenie, że są niewolnikami postawy moralnej, której nie mogą porzucić wobec swoich ludzi i korzystają z każdej okazji, żeby ją podtrzymać argumentami, jakie nastręcza sytuacja".

Ostatni ślad zainteresowania dyplomatów francuskich generałem Andersem znajduje się w raporcie Guy de la Tournelle, ambasadora Francji w Madrycie [10]. Ze wstępu tego raportu, z datą 28 grudnia 1954 roku, wynika że ambasador de la Tournelle otrzymał z francuskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych w Paryżu streszczenie artykułu, jaki ukazał się na łamach *Narodowca*, dziennika polskiego z Lens, na temat przyjazdu gen. Andersa do Hiszpanii.

Ambasador de la Tournelle pisał następnie: „Przyjazd tej osobistości był tutaj rzeczywiście sygnalizowany w miesiącu październiku. Oficjalnym powodem była pielgrzymka do Santiago de Compostela. W istocie jednak i wbrew temu co pisze korespondent *Narodowca*, celem gen. Andersa nie było, jak się wydaje, nakłonienie gen. Franco, żeby przestał uznawać rząd Zaleskiego, lecz otrzymanie jego zgody na utworzenie w Hiszpanii legionu cudzoziemskiego, złożonego z obywateli różnych krajów zza żelaznej kurtyny. Formacja ta miałaby, według gen. Andersa, osiągnąć rozmiary jednej dywizji. Projektowi temu patronują Stany Zjednoczone i nad jego wykonaniem ma podobno czuwać generał amerykański. Generał Franco dał Andersowi swoją zgodę. W środowisku emigracji podaje się w wątpliwość, czy zdoła się

---

10. *Vide: Archives du ministère des Affaires étrangères w Paryżu, Série: Z Europe 1949-1955, Pologne, Dossier nr 38.*

utworzyć w Hiszpanii jedną dywizję i to nawet wtedy, gdyby ochotnicy przybyli z zagranicy".

Jak wiadomo, żadna formacja wojskowa pod dowództwem gen. Andersa nie została wówczas utworzona ani w Hiszpanii, ani w żadnym innym kraju. Czytelnikowi mniej zorientowanemu w stosunkach władz polskich na uchodźstwie warto przypomnieć, że w okresie, kiedy ambasador Francji pisał wyżej przytoczony raport, w Londynie istniały dwa ośrodki uważające się za miarodajne do reprezentowania Polski. Jednym z nich był prezydent August Zaleski i jego rząd zwany „Zamkiem". Drugim, rywalizującym ośrodkiem była tzw. Tymczasowa Rada Jedności Narodowej, która powołała do życia, jako swój organ reprezentacyjny, Radę Trzech, złożoną z gen. Andersa, T. Arciszewskiego i amb. E. Raczyńskiego. Posłem polskim w Madrycie, reprezentującym Radę Trzech, był Józef Potocki. Jego rywalem był poseł Marian Szumlakowski, który reprezentował rząd A. Zaleskiego. Antagonizm tych dwóch posłów wiele wyrządził szkody sprawie polskiej na terenie Hiszpanii, a początki jego wywodzą się z odwołania przez rząd polski w Londynie, na początku 1944 roku, M. Szumlakowskiego ze stanowiska posła w Madrycie i mianowania na jego miejsce J. Potockiego, zmiana dokonana w sposób zupełnie lekkomyślny.

Tadeusz WYRWA

Tadeusz WYRWA

PRZEDSTAWICIEL „WOLNEJ FRANCJI" W HISZPANII O ZMIANACH W POSELSTWIE POLSKIM W MADRYCIE W 1944 ROKU

W pierwszych miesiącach 1944 roku nastąpiła zmiana na stanowisku posła polskiego w Madrycie. Trafne uwagi na ten temat zawiera raport ministra pełnomocnego Jacques Truella, delegata Francuskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego (CFLN) w Hiszpanii. Dnia 20 kwietnia 1944 J. Truelle wysłał raport do René Massigliego, komisarza CFLN do spraw międzynarodowych z siedzibą w Algierze, gdzie pisał[1]:

---

1. *Vide: Archives du ministère des Affaires étrangères w Paryżu, Série: Guerre 1939-1945, Alger CFLN-GPRF, Dossier nr 1430.*

„Od kilku tygodni rząd polski na uchodźstwie w Londynie przeniósł do rezerwy swojego ministra w Madrycie p. Szumlakowskiego, który od 7 lat reprezentował w Hiszpanii swój kraj. Z tego tytułu oddał on duże usługi wielu Hiszpanom podczas wojny domowej. Wydaje się, że pewni Polacy, którzy schronili się w Hiszpanii, skarżyli się na Szumlakowskiego, że nie okazał im podobnej troskliwości, że nie przedsięwziął dość szybko, tak jak chcieliby, ich ewakuacji, nie biorąc pod uwagę trudności, z jakimi musiał się borykać. To ma być powodem, dla którego rząd polski odwołał swojego reprezentanta, nie troszcząc się o to, żeby się dowiedzieć, czy rząd hiszpański zgodzi się na zastąpienie Szumlakowskiego. Miano zdać się na zapewnienia dane przez ambasadora Hiszpanii w Londynie, które jednak dotychczas pozostały bez żadnego skutku".

„W rzeczywistości p. Szumlakowski zajmuje w dalszym ciągu poselstwo, podczas gdy jego sekretarz, p. Skobilewski (nazwisko zniekształcone, chodzi o Kobyłeckiego — T.W.) został *chargé d'affaires* Polski i zainstalował się w innym lokalu. Ambasada angielska próbowała, dotychczas bez rezultatu, wmieszać się w to, żeby doprowadzić do załatwienia sprawy między zainteresowanymi".

„Rząd polski miał zamiar wysłać do Hiszpanii hrabiego Potockiego, który mieszka teraz w Lizbonie i który, sądzę, był dyrektorem politycznym w Ministerstwie Spraw Zagranicznych w Warszawie. W braku otrzymania akceptacji rządu hiszpańskiego, zaniepokojony żeby się nie skompromitować, rząd polski powierzył misję przy hiszpańskim Czerwonym Krzyżu księciu Władysławowi Radziwiłłowi, który ma tytuł delegata polskiego Czerwonego Krzyża, ale który stara się jednocześnie uporządkować tę zawikłaną sytuację. Z drugiej strony, wkrótce potem przyjechał tutaj, w charakterze *attaché* prasowego, korespondent czasopism polskich w Londynie, hrabia Łubieński, który — po schronieniu się we Francji — przebywał kilka miesięcy w Algierze przed wylądowaniem aliantów (w listopadzie 1942 roku — T.W.). Wydaje się, że on również usiłuje nawiązać łączność między zajmującym poselstwo (Szumlakowskim — T.W.), p. Kobyłeckim i księciem Radziwiłłem".

„Widowisko tych kłótni między Polakami nie pomaga sprawie ich kraju, który wszakże cieszy się tutaj sympatią w środowiskach katolickich. Jeśli chodzi o naszą misję (tzn. misję francuską, której reprezentantem był J. Truelle, autor tego raportu — T.W.), to może sobie jedynie pogratulować stosunków, jakie utrzymuje z różnymi przedstawicielami polskimi, którzy przynajmniej raz występują zgodnie, okazując szczere przywiązanie do naszego kraju".

Dwa miesiące później minister Truelle donosił R. Massigliemu

w raporcie z 23 czerwca 1944[2]: „W depeszy z 20 kwietnia powiadamiałem o trudnościach, jakie sprawiało przybycie do Hiszpanii hrabiego Potockiego, który został wyznaczony przez rząd polski do reprezentowania go w tym kraju. Hrabia Potocki udał się do Londynu po instrukcje i w tych dniach przyjechał do Madrytu. W czasie wizyty, którą mi złożył, mój kolega oznajmił mi, że był przyjęty przez podsekretarza stanu w Ministerstwie Spraw Zagranicznych i przez wysokich funkcjonariuszy tego departamentu, że powstrzymał się od poproszenia o audiencję u hrabiego Jordana[3] i liczy, że czas i wypadki przyczynią się do tego, żeby jego stan faktyczny został prawnie uznany".

„Co się tyczy jego poprzednika (Szumlakowskiego — T.W.), jeżeli pozostał w Madrycie, gdzie cieszy się wielką serdecznością, to nie sprawuje już jednak żadnej czynności, jego rodacy nie zwracają się już więcej do niego i utracił on w ten sposób wszelki powód do utrzymywania stosunków z rządem hiszpańskim. Z drugiej strony, hrabia Potocki ma zatroszczyć się o to, żeby na razie nie uczynić niczego, co zmuszałoby Hiszpanów do zajęcia stanowiska prawnego".

Następne zdanie raportu niezbyt jest zrozumiałe, brak jest ciągłości w treści; przytaczam je bez zmian, w możliwie jak najwierniejszym tłumaczeniu na język polski. „Hrabia Potocki zauważył zresztą, że nie tylko w Madrycie, wskutek szczególnych okoliczności i sytuacji tego mocarstwa [Hiszpanii?] wobec rządów wyrzuconych z ich krajów, lecz i w Londynie rząd polski był zmuszony do zachowania jak największej rezerwy. Rząd ten byłby z pewnością zwrócił się o pomoc do Anglików i Amerykanów, aby bronić się przed imperialistycznymi zamiarami ZSSR. Ale obecny moment byłby jak najbardziej nieodpowiedni, żeby zabiegać o tę pomoc. Według jego informacji, można było stwierdzić lekką ewolucję ze strony Rosjan w tym co dotyczy Polski. Na nieznacznej jeszcze części tego kraju, gdzie przedostała się armia sowiecka, dowództwo rosyjskie stwierdziło, że opór polski, bardzo aktywny, był gotów do współpracy z nim. Trzeba byłoby niewątpliwie bronić się przed wyciąganiem z tego ogólnych wniosków. Ale miał nadzieję, że ten fakt, jeżeli się rozpowszechni, skłoniłby Rosjan do okazania więcej człowieczeństwa *(plus d'humanité)* niż w przeszłości wobec jego rodaków".

„Hrabia Potocki uważa, że tych kilku Polaków wysuniętych przez Moskwę nie reprezentuje w niczym opinii kraju, który absolutnie cały ożywiony jest patriotyzmem, który nigdy nie zawiódł i który będąc zaciekle antyniemiecki, pozostał bardzo zazdrosny o swoje prawa i o swoją niezależność. Postawa okazy-

---

2. *Vide: Archives du ministère des Affaires étrangerès w Paryżu, Série: Guerre 1939-1945, Alger CFLN-GFRF, Dossier nr 1431-1432.*

3. Chodzi o generała Jordana, hiszpańskiego ministra Spraw Zagranicznych.

wana dotychczas przez Moskwę nie jest bynajmniej tego rodzaju, aby uspokoić Polaków".



Zgodnie z tym, co pisał Truelle, główny zarzut jaki Polacy robili ministrowi Szumlakowskiemu i który miał spowodować jego odwołanie w 1944 roku, dotyczył zbyt biernej postawy poselstwa RP w Madrycie wobec zatrzymanych na terenie Hiszpanii Polaków, którzy po klęsce Francji, w czerwcu 1940, usiłowali przedostać się do Portugalii lub Gibraltaru. Najbardziej rozżaleni byli żołnierze polscy internowani w obozie Miranda de Ebro. Trudno się temu dziwić: przedzierali się przez Pireneje z myślą o dalszej walce i raptem zostali przez Hiszpanów osadzeni w obozie, gdzie musieli znosić bardzo ciężkie warunki. Zwolniono wszystkich dopiero w 1943 roku.

Nie wchodząc tutaj w bardziej szczegółowe naświetlenie tej zawiłej sprawy, trzeba jednak przyznać, że sytuacja poselstwa w Madrycie nie była łatwa. Hiszpania znajdowała się wówczas pod silnym wpływem Niemiec hitlerowskich. Ministrem Spraw Zagranicznych był Serrano Suñer, zwolennik germanofilskiej polityki. Na jego to polecenie, pod naciskiem ambasady niemieckiej, zostały zamknięte w styczniu 1942 roku biura poselstwa RP w Madrycie. Ministrowi Szumlakowskiemu pozostawiono mimo wszystko status dyplomatyczny. W czasie bowiem oblężenia Madrytu, podczas wojny domowej w latach 1936-1939, Szumlakowski — jak pisał jego kolega ze służby dyplomatycznej — „dał dowody niezwykłej odwagi osobistej ratując skazanych i zagrożonych, co później dało mu wyjątkowe stanowisko w Madrycie i dostęp do najwyższych sfer rządowych"[4]. Kontrowersyjny jest problem, czy Szumlakowski mógł lepiej wykorzystać swoje stosunki w okresie najsilniejszych wpływów niemieckich w Hiszpanii.

We wrześniu 1942 ustąpił Serrano Suñer i ministrem Spraw Zagranicznych został generał Jordana, który zajmował już to stanowisko w latach 1936-1939. Minister Jordana był przeciwny polityce germanofilskiej swojego poprzednika. Przed rządem polskim w Londynie otwierały się nowe możliwości działania, tym większe, iż równolegle z przychylnym stosunkiem do Niemców, Hiszpanie darzyli Polaków szczerą sympatią. Ograniczono się jednak do zmian personalnych dokonanych w sposób, który chluby polskim władzom nie przyniósł.

Minister Szumlakowski poselstwo opuścił, zrobił to opornie i ciągle przypominał, że w Hiszpanii był ostatnim posłem, który w 1939 roku, jeszcze przed wybuchem wojny, złożył listy uwierzytelniające w imieniu suwerennego państwa polskiego. Minister Potocki natomiast nigdy nie został oficjalnie uznany, był tolerowany i uważany za reprezentanta władz polskich na uchodź-

---

4. Władysław Günther, *Pióropusz i szpada. Wspomnienia ze służby zagranicznej*, Księgarnia Polska w Paryżu, Paryż 1963, str. 102.

stwie, którego akty konsularne był honorowane przez Hiszpanów. W kontaktach ze sferami rządowymi bardzo pomocne dla Potockiego były jego stosunki z arystokracją hiszpańską, z którą był skoligacony.

Przez wiele lat po wojnie, gdy w innych krajach na Zachodzie zostały zlikwidowane placówki konsularno-dyplomatyczne rządu polskiego z Londynu, w Madrycie, przy ulicy Goyi 6, ostało się jeszcze, dzięki życzliwości Hiszpanów, poselstwo polskie, gdzie urzędował Józef Potocki (zmarł w 1968 roku). Gmach był jeden, ale posłów w Hiszpanii było dwóch, bowiem Marian Szumlakowski (zmarł w 1961 roku) nie zrezygnował z działalności i miał biuro w swoim mieszkaniu. Konflikt między tymi dwoma posłami, staczany na oczach cudzoziemców, stanowi jeden z rozdziałów historii „wojny domowej" emigracji polskiej.

Tadeusz WYRWA

Jan CIECHANOWSKI

NOTATKA
z rozmowy z płk. dypl. Kazimierzem Irankiem-Osmeckim, szefem Oddziału II KG AK w latach 1943-1944, odbytej 15 marca 1965 roku w obecności prof. J. K. Zawodnego

Generał Okulicki był emisariuszem Naczelnego Wodza do Kraju, który miał przedstawić poglądy generała Sosnkowskiego na całokształt pracy w Kraju.

Płk Iranek-Osmecki nie był obecny na odprawach, na których gen. Okulicki składał swoje raporty dowódcy AK. Miał natomiast z gen. Okulickim szereg rozmów prywatno-koleżeńskich, ale nie pamięta dokładnie ich treści.

Gen. Okulicki po przybyciu do Kraju stał się przekonanym zwolennikiem „ujawniania" się wobec Moskali, nie tyle przez jakieś powiązania ze Stronnictwem Ludowym lub przejście na pozycje Mikołajczyka, ale głównie ze względów czysto żołnierskich.

Gen. Okulicki żadnych szyfrów specjalnych nie miał i nie mógł komunikować się bezpośrednio ze Sztabem Naczelnego Wodza.

Wszystkie depesze do Londynu przechodziły przez szefa Sztabu KG AK. Gen. Okulicki nie miał i nie mógł mieć bezpośrednie-

go dostępu do radiostacji poza ustaloną drogą służbową. Było to „technicznie niewykonalne". Jedynie płk Iranek-Osmecki jako szef Oddziału II miał prawo wysyłania depesz wywiadowczych do Londynu z pominięciem drogi służbowej, celem nadania im szybszego biegu. Niemniej szef sztabu, gen. Pełczyński, otrzymywał je do wglądu już po ich wysłaniu.

Początkowo Nacz. Wódz nosił się z zamiarem użycia generała Okulickiego do zorganizowania ewentualnie pierwszego rzutu Kwatery Głównej Nacz. Wodza w Kraju. Stąd gen. Okulicki miał się udać do Kraju z ekipą radiową i oficerami którzy mieli mu pomagać w jego czynnościach i pracach. Nacz. Wódz zrezygnował jednak z tego pomysłu i przekazał gen. Okulickiego gen. Borowi-Komorowskiemu bez żadnych zastrzeżeń do wykorzystania w jego sztabie.

Płk Iranek-Osmecki wyklucza możliwość jakiejkolwiek „gry" lub intrygi ze strony Naczelnego Wodza w stosunku do walki o Warszawę. Z drugiej strony płk Iranek-Osmecki uważa, że Nacz. Wódz będąc we Włoszech działał pod dużą presją dowódcy 2-go Korpusu, gen. Wł. Andersa, który był przeciwny większym walkom w Polsce, oraz kłopotów z Mikołajczykiem.

Płk Iranek-Osmecki miał szereg rozmów na ten temat z gen. Kazimierzem Wiśniowskim, szefem Sztabu 2-go Korpusu, który był główną polską siłą militarną na Zachodzie. W 2-gim Korpusie uważano, że trzon Polskich Sił Zbrojnych znajduje się na Zachodzie i że obowiązkiem Kraju jest te siły zasilać dopływem nowych ludzi. Stąd rodziły się płynące w tym kierunku dyrektywy Nacz. Wodza wysyłane z Włoch. Co więcej, Naczelny Wódz był przeciwny toczeniu większych walk przez AK ze względu na straty, jakie to mogło spowodować. Naczelny Wódz był bardzo wrażliwy na kwestię ewentualnych strat.

Komenda Główna AK uważała wytyczne Naczelnego Wodza za ogólne dyrektywy raczej niż konkretne rozkazy. W opinii KG AK wytyczne te rozmijały się z krajową rzeczywistością, gdyż były wydawane poza Krajem i bez pełnego uwzględnienia panujących w Polsce nastrojów i warunków.

Główną kwestią sporną pomiędzy Nacz. Wodzem a KG AK był problem ujawniania się AK wobec Rosjan. Nacz. Wódz nie wierzył w skuteczność ujawniania się. KG AK uważała zaś ze swej strony, że AK musi się ujawnić, gdyż nie było możliwości utrzymania jej w konspiracji na tyłach Armii Czerwonej. Ponadto musiałoby to doprowadzić do aresztowań i represji ze strony sowieckiej, która dążyłaby do oczyszczenia swych tyłów. AK była „przeżarta" wtyczkami z AL i PAL-u, wobec których AK była w dużym stopniu organizacyjnie zdekonspirowana. Za ujawnianiem się przemawiała też chęć odegrania przez AK roli gospodarza w stosunku do wkraczających Rosjan.

KG AK uważała Instrukcję Rządu i Naczelnego Wodza z października 1943 roku za zbyt skomplikowaną i sądziła, że instrukcja prostsza byłaby lepsza. Instrukcja ta, zdaniem KG AK, brała roz-

brat z rzeczywistością. Mikołajczyk politykę ujawniania się chętnie poparł, gdyż szła ona po jego myśli. Uważał ujawnianie się za wyraz dobrej woli wobec Rosji i zachętę do polsko-rosyjskiego porozumienia. Ujawnianie się miało wykazać, jak Rosjanie będą zachowywać się w stosunku do AK przed i za linią Curzona. Naczelny Wódz na ujawnianie się w końcu przystał, ale bez wiary w jego skuteczność. Niemniej pomysł ten zwalczał, gdyż popierał go Mikołajczyk. Tarcie pomiędzy Nacz. Wodzem i Premierem fatalnie odbijało się na kierowaniu polską polityką. Brak było jednego, centralnego ośrodka politycznego — brakowało koordynacji.

Płk Iranek-Osmecki dowiedział się o zapadnięciu decyzji walki o Warszawę w sobotę 21 lipca 1944 roku na odprawie ścisłego sztabu KG AK. Ścisły sztab składał się z trzech generałów — Bora-Komorowskiego, Pełczyńskiego i Okulickiego — szefa oddziału operacyjnego płk. „Filipa" — Józefa Szostaka, szefa oddziału wywiadowczego płk. „Hellera" — Kazimierza Iranka-Osmeckiego, szefa oddziału propagandowego (BIP-u) płk. „Prezesa" — Jana Rzepeckiego, szefa łączności wewnętrznej KG mjr „HK" — Janiny Karasiówny, szefa łączności operacyjnej płk. „Kuczeby" — Kazimierza Pluty-Czachowskiego i szefa oddziału personalnego płk. „Kortuma" — Antoniego Sanojcy.

Decyzję swoją gen. „Bór" podał w sposób stanowczy, nie podlegający dyskusji. Pozostawała tylko kwestia wyboru terminu walki.

Zawiadomienie o tej odprawie płk Iranek-Osmecki otrzymał w piątek 21 lipca późnym popołudniem, drogą alarmową pomiędzy godz. 17.30-18.30. Stąd decyzja trzech generałów musiała zapaść około południa 21 lipca, gdyż przekazanie wiadomości z KG do resortów zajmowało około 3-4 godzin. Z tym, że przez cały lipiec toczyły się w różnych zespołach KG AK rozmowy, co ma robić Warszawa; bić się, czy nie bić? Na odprawie 22 lipca postanowiono, że sztab ścisły Komendanta AK będzie zbierać się codziennie o godz. 10.000 rano — przedtem odprawy odbywały się raz na tydzień w środy.

Na odprawie 24 lipca w poniedziałek, gen. Okulicki i płk Rzepecki naciskali na gen. „Bora" o ustalenie definitywnego terminu walki.

W dzień później, we wtorek 25 lipca, naciski te ponowili. Ponadto gen. „Bór" pytał obecnych, jak sobie walkę wyobrażają. Obecni: trzech generałów i płk „Filip", płk „Heller", płk „Prezes" i mjr „HK".

Około 11.30 - 12.00 na odprawę przybyli pułkownicy „Kuczeba" i „Kortum". Koło południa przybył też płk „Monter". Tu też musiał się on dowiedzieć oficjalnie, że ma być walka o Warszawę. Płk Iranek-Osmecki wyraził pogląd, że Niemcy będą się bronić w Warszawie i że zarysowuje się możliwość przeciwuderzenia niemieckiego z rejonu Wyszkowa.

Na przedpolu Warszawy dojdzie do niemiecko-rosyjskiej bitwy, która wpłynie na sytuację pod Warszawą.

Wojska niemieckie są za słabe, aby całkowicie odrzucić Moskali. Nie można ustalać sztywnej daty wystąpienia. Płk Iranek-Osmecki spodziewał się możliwości nowego zamachu na Hitlera i niemieckiego *collaps*'u.

Ustalono, że płk „Monter" będzie potrzebował 24 godzin na koncentrację. Ustalono też, że odprawy będą się odbywać dwa razy dziennie o 10-tej i 17-tej.

W czasie przerwy obiadowej gen. Okulicki i płk Rzepecki prosili płk. Iranka-Osmeckiego, żeby tak referował sytuację gen. „Borowi", aby do walki dojść musiało.

Uważali oni postawę gen. „Bora" za chwiejną i chcieli ją usztywnić. Płk Iranek odrzucił te namowy i powiedział, że będzie meldować, co mu jego powinność służbowa i sumienie nakazują. Osobiście uważał, że gen. „Bór" chwiejny nie był i walki chciał, ale dobrze wykalkulowanej. Okulicki i Rzepecki bali się, aby „Bór" się od walki nie wymigał.

Płk Iranek-Osmecki nie zameldował o tym gen. „Borowi".

Dwudziestego ósmego lipca — w piątek — ustalono warunki operacyjne, jakie miały zaistnieć przed powzięciem ostatecznej decyzji:

a) przełamanie przez Rosjan przyczółka warszawskiego;

b) wyjście Rosjan z przyczółka pod Magnuszewem, który utworzyli tego dnia.

Tego samego dnia odmeldował się płk Bokszczanin (a nie 30 lipca, jak podaje Nowak). W sobotę 30 lipca Nowak rozmawiał z gen. „Borem" i ewentualnie z gen. Pełczyńskim sam na sam. W poniedziałek 31 lipca odprawa KG AK skończyła się około godz. 12.00 wnioskiem, że nic nie przemawia za podjęciem walki pierwszego sierpnia.

Płk „Heller" meldował, że oddziały niemieckie koncentrują się do bitwy na przedpolu Warszawy. W związku z czym płk Rzepecki postanowił na odprawę popołudniową nie przychodzić.

Po południu przed 17-tą na odprawę, na której byli obecni trzej generałowie — Bór-Komorowski, Pełczyński, Okulicki — oraz mjr „HK", przybył płk „Monter" — Antoni Chruściel — donosząc o przełamaniu przez Rosjan przedmieścia, o czołgach niemieckich pod Pragą i żądał natychmiastowej decyzji podjęcia walki, gdyż inaczej będzie za późno.

Generałowie wniosek „Montera" przyjęli. „Monter" wykorzystał sposobność, że nikogo poza 3-ma generałami na odprawie nie było do skłonienia ich do powzięcia ostatecznej decyzji. Według płk. Iranka-Osmeckiego wiadomości „Montera" były przesadzone. Nie wytrzymał psychicznie. Uległ prądowi do walki. Działał pod presją chwili. Uważał, że trzeba się bić. Okulicki wierzył, gdyż chciał wierzyć.

Płk Iranek-Osmecki przybył na odprawę około godz. 17.45, gdy gen. „Bór" już wychodził.

Delegata Rządu już nie było. Zameldował dodatkowe wiadomości o koncentracji niemieckiej i o tym, że przedmoście się trzyma. Decyzją gen. „Bora" był zaskoczony. Gen. „Bór" popatrzył na zegarek i powiedział:

„Stało się. Jest już za późno, aby decyzję odwołać".

Decyzja ostateczna zapadła nerwowo. Płk Iranek uważa *post factum* 25 i 26 lipca za najlepsze terminy do podjęcia walki. Co więcej, twierdzi, że gdyby decyzja nie zapadła 31 lipca 1944 roku, to trzeba by było odczekać 3-4 dni, co mogłoby dać Niemcom czas do spacyfikowania Warszawy. Wtedy walka mogłaby się rozpocząć pod presją niemiecką.

Płk Iranek-Osmecki podkreśla, że decyzja wstępna zapadła bez wiadomości o wyjeździe Mikołajczyka do Moskwy i utworzeniu PKWN pod wpływem wydarzeń na froncie wschodnim i zamachu na Hitlera. Zdaniem płk. Iranka-Osmeckiego Retinger nie odegrał żadnej roli przy podejmowaniu decyzji o podjęciu walki o Warszawę. Kiedy Retinger wracał do Londynu pod koniec maja 1944 roku, nie mówiło się o powstaniu w Warszawie, tak jak się o tym mówiło w lipcu. Retinger jadąc na „melinę" do odlotu uległ wypadkowi. Nie odleciał. Przetrącił sobie kręgosłup. Po wypadku był nie do użycia. Leczył się i był wyeliminowany z wszelkiej pracy i działalności. Nie brał żadnego udziału w pobieraniu decyzji o podjęciu walki o Warszawę. Odleciał do Anglii trzecim mostem pod koniec lipca 1944 roku.

Na skutek depeszy płk. Franciszka Demela, szefa oddziału I Sztabu Naczelnego Wodza, donoszącej o przyjeździe Retingera do Kraju, płk Iranek-Osmecki go „zabezpieczył", a kontrwywiad AK go „kontrolował". Retinger przyleciał do Delegata Rządu. Płk Iranek nie miał najmniejszego zamiaru zgładzenia Retingera, ale się nim „opiekował".

W opinii płk. Iranka-Osmeckiego, gen. Okulicki był „głównym motorem powstania". Nie bardzo znał „Bora" i był pod wpływem płk. Rzepeckiego, który dążył do pozbycia się „Bora".

Okulicki sądził, że „Bór" nie będzie zdolny do podjęcia decyzji. Okulicki poparł „Montera" — chwycił się meldunku „Montera". Rzepecki był powiązany z ludowcami. Chciał być w ich rządzie ministrem informacji. W niedzielę 30 lipca Okulicki i Rzepecki rozmawiali z ludowcami. Rzepecki i Chruściel trzymali „sztamę". Przed wybuchem powstania warszawskiego w Kraju nie wiedziano o „uchwałach" teherańskich. Płk Iranek ostrzegał gen. Pełczyńskiego przed wysłaniem do Londynu gen. Stanisława Tatara („Erazma", „Tabora"), z którym Bór-Komorowski nie mógł sobie poradzić, gdyż był na to za słaby.

Tatar od jesieni 1943 roku starał się przekonać KG AK o konieczności „dogadania" się z Rosją. Robił to z przekonania, a nie z powodu ciągot prokomunistycznych. Generałowie „Bór" i Pełczyński chcieli się Tatara pozbyć, gdyż odchodził on „od linii ideowej AK". W Londynie Tatar popierał politykę Mikołajczyka. KG AK sądziła, że Armia Czerwona wesprze powstanie. Liczyła

też na pomoc i poparcie Zachodu. Niemniej, nie spodziewano się dużej pomocy lotniczej — zrzuty etc. Liczono też, że pierwsze natarcie „da broń do dalszej walki". W razie aresztowań akowców przez Rosjan po ich wkroczeniu do Warszawy KG przewidywała możliwość stawienia im oporu. W takim przypadku zamierzano skoncentrować wszystkie siły wraz z KG AK i Delegaturą w rejonie Wyższej Szkoły Wojennej, Pomnika Sapera i Politechniki i stamtąd prowadzić pertraktacje z Rosjanami pod ochroną ok. 40.000 wojska. Stalin zrobił jednak unik.

Rozmawiał Jan CIECHANOWSKI

Tadeusz WYRWA

DZIEJE POLSKI NA EKRANIE

Każde pokolenie w Polsce, co jest powszechną regułą, odczytuje inaczej nasze dzieje i przeważnie od nowa pisze historię. Pokolenia emigracji posolidarnościowej nie tyle mają własną interpretację historii Polski, ile coraz częściej korzystają z innych środków do jej odczytywania. Mam zwłaszcza na myśli popularną dzisiaj produkcję kaset video. Wiadomo, że krótkometrażowe filmy historyczne są nakręcane od dawna, ale dopiero współczesna technika umożliwiła przeciętnie zamożnemu człowiekowi posiadanie u siebie w domu aparatury i nabywanie filmów video.

Nie jest rzeczą przypadku, że ta wizualna metoda przedstawiania historii Polski związana jest z pokoleniami, które przynależą już do innej epoki niż emigracja polska z czasów drugiej wojny światowej. Polskie filmy dokumentalne video zapoczątkowane zostały w ośrodku paryskiego *Kontaktu*, który jest kierowany przez Mirosława Chojeckiego. Inicjatywę filmu, o którym za chwilę będzie mowa, podjęto w środowisku emigracji polskiej w Londynie, która — wzorując się na zrealizowanych w Paryżu kasetach video — postanowiła wyprodukować syntetyczny obraz dziejów Polski.

Dzieje inicjatywy filmu pt. „Polska — kraj europejski" mogłyby już stanowić temat do osobnego scenariusza. Wszystko zaczęło się od oburzenia na 9-godzinny serial telewizyjny *The Struggles for Poland* („Zmagania o Polskę"). Najpierw zawrzało na łamach *Dziennika Polskiego* w Londynie; bito się w piersi, raczej cudze niż własne. Po daniu sobie upustu w słowach przystąpiono do konkretnych form działania. Zjednoczenie Polskie w

Wielkiej Brytanii zainicjowało powołanie „Komitetu Obrony Imienia Polskiego", który nieco później przybrał dużo stosowniejszą nazwę „Komitetu Obrony Spraw Polskich". Komitet ten, pod przewodnictwem dr. Sas-Skowrońskiego, uzyskał niezwłocznie *Right to reply* — prawo odpowiedzi na serial *The Struggles for Poland.* Nie poprzestano na tym i Komitet postanowił przygotować film przedstawiający w skrócie historię Polski. Skrypt filmu powierzono dr. Józefowi Garlińskiemu, pisarzowi i historykowi, a wykonanie Witoldowi Zadrowskiemu, doświadczonemu reżyserowi; pierwszy mieszka w Londynie, drugi w Paryżu. Zrozumienie symbiozy londyńsko-paryskiej w zrealizowaniu filmu o historii polski wymaga krótkiego chociażby wyjaśnienia.

Nie był to pierwszy film Garlińskiego-Zadrowskiego i można śmiało powiedzieć, że dzięki ich wcześniejszej współpracy mogło dojść do nagrania filmu „Polska — kraj europejski". Dr. Garlińskiego nie trzeba przedstawiać, jest znany ze swoich książek i artykułów. Zadrowskiego stopniowo dopiero na emigracji poznajemy, co nie nastręcza większych trudności, bo jest dobrym fachowcem. W Polsce pracował, ze zmiennym szczęściem, w radiu i telewizji, przejawiając zawsze zainteresowanie historią. Od 1981 roku znajduje się na Zachodzie jako jeden z emigrantów posolidarnościowych.

Reżyser Zadrowski zrobił dotychczas dla *Kontaktu* trzy filmy video: „Józef Piłsudski", „Generał Anders i jego Armia" oraz „Zagadka śmierci gen. Władysława Sikorskiego"; ma też zdaje się już wykończony film o 1-szej Dywizji Pancernej. W przygotowaniu filmów o Andersie i Sikorskim współpracował z nim Garliński. Filmy te są udane tak pod względem treści, jak i dobranych dokumentów. Na przykład w filmie o Sikorskim umiejętnie zostały przedstawione kluczowe problemy polityki Polski, czy też ściślej — uśmiercanie sprawy polskiej, nad którą do chwili obecnej zawisł znak zapytania, rozpoczynający film i symptomatyczny nie tylko dla tajemnicy, jaka otacza utonięcie Sikorskiego, lecz i ciągłego pogrążania naszego Kraju w rozgrywkach polityki międzynarodowej. Jest to film nie tylko do zobaczenia tego co było, ale i do zastanowienia się nad tym czego nie powinno być. Zbliżony punkt widzenia przyjęto w filmie „Polska — kraj europejski".

Czas trwania filmu był ograniczony do jednej godziny. Jak później powiedział Zadrowski w wywiadzie z red. R. Zakrzewskim: „Na początku byłem przerażony, że 1000 lat historii muszę zmieścić w 60 minutach... Ale temat porwał mnie i zaryzykowałem: albo utonę, albo dobrnę do brzegu[1]". Nie utonął i dobrnął ku ogólnemu zadowoleniu, objaw rzadko spotykany wśród Polaków, zwłaszcza na emigracji. Pokazanie na ekranie w ciągu jednej godziny — a więc w telegraficznym skrócie — tysiąca lat dziejów

---

1. *Dziennik Polski* z 1 stycznia 1988.

Polski wymagało ogromnego wyczucia tego co istotne i co jednocześnie przemawiałoby do wyobraźni cudzoziemców, dla których przede wszystkim film ten jest przeznaczony. Tutaj właśnie widać rezultat harmonijnej współpracy Garlińskiego, autora skryptu z Zadrowskim, reżyserem i wykonawcą filmu. Ilustracja jest bardzo umiejętnie dobrana, wiele oryginalnych zdjęć, słowa przeplatają się z obrazami ludzi, miast, zabytków architektonicznych, polskiej wsi i polskich krajobrazów. Materiał historyczny Zadrowski czerpał częściowo z własnych zbiorów, a głównie z Instytutu Polskiego i Muzeum generała Sikorskiego w Londynie, który — według jego własnych słów — „był naszym arsenałem", arsenał starannie pielęgnowany i zaopatrzony w bardzo bogate archiwa.

Pierwsze stulecia historii Polski są w filmie jedynie zasygnalizowane kilkoma epizodami: przyjęcie chrześcijaństwa z Rzymu i wejście Polski w orbitę kultury zachodniej, unia z Litwą, tolerancja religijna, wypaczenie systemu politycznego, *liberum veto*, wolna elekcja, rozbiory, powstanie kościuszkowskie, nadzieje związane z Napoleonem, Kongres Wiedeński.

Nacisk położono zwłaszcza na okres dwudziestolecia Polski niepodległej i lata drugiej wojny światowej. Dwudziestolecie pokazano bez żadnych osłonek. Potrafiono zachować umiar w tym, co wówczas osiągnięto i w wadliwościach, których nie potrafiono uniknąć. Podkreślono skutki rozbiorów i ogrom pracy, jaką Polska musiała pokonać, żeby zjednoczyć i odbudować kraj. W komentarzu o wojnie 1920 roku uwypuklono jej znaczenie dla Polski, Ukrainy i całej Europy. Oddano również głos Ukraińcowi, Konstantemu Zelenko, zwolennikowi zbliżenia polsko-ukraińskiego, który oświetlił — z punktu widzenia sytuacji swojego kraju — plany Piłsudskiego i jego sojusz z Petlurą. Następnie, w komentarzu do innej sekwencji filmu, Zelenko mówił tak o niewłaściwej polityce przedwojennego rządu, jak i o dość dużej swobodzie, jaką cieszyli się Ukraińcy w Polsce, zwłaszcza w porównaniu z Ukrainą, znajdującą się pod panowaniem ZSSR.

Dużą zaletą filmu jest i to, że potrafiono wciągnąć do współpracy historyków bądź też innej narodowości, jak A. Zelenko i Anthony Polonsky (brak jednak przedstawiciela narodu litewskiego, na co zwrócił już uwagę Janusz Kowalewski w recenzji o filmie), bądź z młodszego pokolenia. Jedna bowiem z wad życia intelektualnego emigracji polega na tym, że w niemal każdej dziedzinie spotyka się nazwiska tych samych osób, mówiące ciągle na te same tematy i w ten sam sposób, co atrakcji tym tematom nie przysparza.

Komentarze wyżej wymienionych historyków są tym bardziej cenne, gdyż dotyczą problemów drażliwych: ukraińskich, żydowskich i oceny Dwudziestolecia widzianego, jeśli chodzi o polityczną dziedzinę, przez pryzmat orientacji Piłsudskiego i Dmowskiego, których zasługi w odzyskaniu niepodległości i w odbudowie Pol-

ski zostały należycie przypomniane. Garliński potwierdził, że historycy ci „przyjęli koncepcję filmu i mieli całkowitą swobodę wypowiedzi. Nie trzeba było wprowadzać żadnych korekt, nawet przy krytycznych wypowiedziach w stosunku do nas, bo mówiły prawdę[2]".

Adam Zamoyski przedstawił sprawy żydowskie. W zwięzłym komentarzu przypomniał, że w latach 20-tych i 30-tych antysemityzm był jedną z cech życia politycznego wszystkich krajów europejskich. W Polsce, gdzie żyła największa społeczność żydowska w Europie, antysemityzm nie stał się dominującą kwestią polityczną i rola jego była o wiele mniejsza niż w krajach ościennych. Po tym stwierdzeniu Zamoyski wyjaśnił, że przyczyny tego szukać należy w naszej historii i kulturze. Podkreślił ogromny wpływ społeczności żydowskiej na intelektualne życie Polski, zaznaczając że „Polacy i Żydzi rozsiani po świecie nie zdają sobie nawet sprawy, ile sobie nawzajem zawdzięczają, więcej niż pewnie by chcieli sobie przyznać".

O eksterminacji Żydów podczas wojny mówił W. Bartoszewski. Odnośnie urazów z tego okresu, to najgłębiej ujął je Jerzy Kosiński, Żyd polski, znany pisarz mieszkający od wielu lat w Stanach Zjednoczonych: „Tragedia Żydów i Polaków w czasie drugiej wojny światowej zbliżyła obie nacje, a nie podzieliła. Istnieją historyczne fakty, które przeczą uprzedzeniom, sterowanym emocjom... A czy my oddalibyśmy własne życie za cudze? Tragedia obu narodów, żydowskiego i polskiego, jest zbyt wielka i zbyt bolesna, by mogła być przedmiotem dowolnych i subiektywnych interpretacji. Przyjdzie czas, że historycy wyjaśnią narosłe nieporozumienia i oddadzą sprawiedliwość umarłym jak i żyjącym".

Dr Anthony Polonsky, pochodzenia żydowskiego, urodzony i wychowany w Afryce Południowej, jest specjalistą od współczesnej historii Europy środkowo-wschodniej i zna język polski. Był generalnym konsultantem filmu i autorem kilku do niego komentarzy. W pierwszym z nich mówi o trudnościach, spowodowanych skutkami rozbiorów i wojny, przy odbudowie państwa polskiego. W następnym komentarzu przypomina konflikt między zwolennikami Dmowskiego i Piłsudskiego oraz kryzys polityczny i gospodarczy, który doprowadził do zamachu stanu w maju 1926 roku. Podkreśla jednocześnie, że załamanie się wówczas instytucji demokratycznych było w Europie zjawiskiem powszechnym, a „rząd polski był stanowczo mniej dyktatorski niż wiele innych rządów we wschodniej Europie" i nawet po śmierci Piłsudskiego w 1935 roku, gdy rząd stał się bardziej surowy, „nie przyjął on nigdy modelu faszystowskiego".

Przechodząc z kolei do polskiej polityki międzynarodowej, Polonsky mówi m.in. o sojuszu z Francją, zamiarze Piłsudskiego

---

2. *Dziennik Polski* z 1 stycznia 1988.

przeprowadzenia akcji przeciwko Hitlerowi w 1933 roku (czyli tzw. wojnie prewencyjnej), braku poparcia tego zamiaru przez Francuzów i w konsekwencji potrzebie porozumienia z nowym reżimem niemieckim oraz o polityce Becka szukania poparcia w Wielkiej Brytanii. W komentarzu do późniejszego okresu Polonsky podkreśla ustępliwość mocarstw zachodnich wobec ZSSR w sprawach Polski, ich bojaźliwą postawę na konferencji jałtańskiej, wrogość Moskwy w stosunku do rządu polskiego w Londynie i skazanie Polski na nową okupację.

Jeśli chodzi o drugą wojnę światową, to film zawiera najważniejsze wydarzenia, ujęte rzecz jasna w ogromnym skrócie. Narratorami są tutaj stali komentatorzy filmu, Iwona Januszajtis i A. Johne, oboje o przyjemnym głosie i dobrej dykcji. Jest więc mowa m.in. o rządzie i polskich Siłach Zbrojnych na Zachodzie a w Polsce o Armii Krajowej, pakcie Sikorski-Majski, ewakuacji wojska polskiego na Środkowy Wschód, zbrodni katyńskiej, wspólnej walce oddziałów Armii Krajowej i Armii Czerwonej z cofającymi się Niemcami na ziemiach Polski (brak jednak dwu czy trzech zdań o „Burzy" — rodzaju lokalnych powstań na zapleczu frontu sowiecko-niemieckiego), Powstaniu Warszawskim, objęciu władzy przez komunistów, aresztowaniach (nie wspomniano o aresztowaniu gen. Okulickiego i procesie szesnastu w Moskwie), buntach robotników i oczywiście o powstaniu i zduszeniu „Solidarności".

Przewodnią ideą filmu jest nadzieja na zjednoczoną Europę, z którą związane jest odzyskanie przez Polskę niepodległości. Ideę tę uosabia Papież Jan Paweł II, przedstawiony w pierwszej i ostatniej sekwencji filmu, najpierw na tle tłumu pielgrzymiego w Polsce a później narodów Europy.

W recenzjach o filmie, jakie ukazały się w Londynie, można było m.in. przeczytać: „film ten stanowi przekaz prawdy naszej emigracji, po raz pierwszy od końca drugiej wojny światowej, o historii Polski[3]...". Autor innej recenzji uważa ten film „za jedno z największych osiągnięć naszej emigracji[4]...". Nie ujmując w niczym filmowi, należy się jednak zastanowić, dlaczego w półwiecznej prawie działalności emigracji godzinny film uważany jest dopiero za największe jej osiągnięcie w przekazywaniu prawdy o naszej historii? Czy to z tym filmem pod pachą chcemy być współtwórcami zjednoczonej Europy, o której marzymy?

Z początku film ten miał tytuł „Polska w Europie", który o niczym nie mówił, bo np. Albania też znajduje się w Europie i dobrze, iż został zmieniony na „Polska — kraj europejski", gdyż założeniem jego nie było geograficzne umiejscowienie Polski, lecz podkreślenie jej duchowej przynależności do Europy. Tutaj zno-

---

3. *Dziennik Polski* z 9 grudnia 1987.
4. *Dziennik Polski* z 11 lutego 1988.

wu nasuwa się pytanie: czy nasza tysiącletnia historia i wkład Polski w rozwój kultury Zachodu są rzeczywiście tak mało znane — a jeżeli to dlaczego — żeby trzeba je było przypominać i podkreślać?

Wszystko to jest jednym powodem więcej, aby ten film rozpowszechniać wśród cudzoziemców i wśród Polaków, zwłaszcza młodszych pokoleń, gdyż istnieje też w wersji polskiej. Videokasety są w cenie odpowiadającej mniej więcej cenie książki naukowej, a więc przystępne dla każdego, kogo interesuje historia naszego kraju.

Tadeusz WYRWA

LISTY DO REDAKCJI

New York, 21 stycznia 1988.

Szanowny Panie Redaktorze,

Odpowiadam na list Janusza Kowalewskiego (*Zeszyty Historyczne* nr 82) świadczący, że zawodzi go pamięć. Znamy się z Warszawy z Domu Prasy. Spotkaliśmy się w Rzymie w 1946 roku, gdzie razem z Ignacym Kleszczyńskim wydawałem tygodnik *Życie Tygodnia*, a nie, jak notuje Kowalewski, *Oblicze Tygodnia*. Pokręciło mu się z komunizującym *Obliczem Dnia*, dla którego pisał przed wojną...

Cała historia o „naiwnym fałszerstwie zdemaskowanym przez ambasadę reżymową" jest jego naiwnym wymysłem. W numerze *Życia Tygodnia* z dnia 24 marca 1946 roku przedrukowaliśmy z francuskiego tygodnika *Nuit et Jour* trzy fotografie, opatrzone następującym podpisem: „Szubienice w Kraju są unowocześnione. Skazańcy są podwożeni na popularnych samochodach amerykańskich. Po nałożeniu stryczka odjeżdżają one spod szubienic, na których zwisają dyndające się zwłoki — jak to dokładnie uwidoczniają fotografie ogłoszone w tygodniku francuskim *Nuit et Jour* z dnia 12 lutego br." (1946).

Kowalewski chwali się, że na skutek jego interwencji zostałem surowo zgromiony „za ten wybryk" przez płk. Bąkiewicza.

Jeszcze jedno fałszerstwo, tym razem więcej niż naiwne...

Z wyrazami szacunku

Zdzisław B A U

P.S. Jako dowód dla Redaktora *Zeszytów Historycznych* załączam odbitki stron z *Życia Tygodnia*.

Z. B.

◆

Londyn, 4 kwietnia 1988.

Szanowny Panie Redaktorze,

W przedrukowanym z podziemnego wydawnictwa krajowego (*Almanach Humanistyczny*, nr 6, 1987) omówieniu „25 lat Zeszytów Historycznych" (*Zeszyty Historyczne*, zeszyt 82, 1987) wspomniane zostało również inne pismo emigracyjne zajmujące się dziejami Polski — wydawane w Londynie od 1947 roku przez Polskie Towarzystwo Historyczne w Wielkiej Brytanii *Teki Historyczne*. Komentarz autora, sygnowany literami A.P., wymaga jednak koniecznie sprostowania. Pisze on bowiem, że „pismo, którego *spiritus movens* był aż do śmierci Marian Kukiel... nie przetrwało śmierci swego założyciela — po wydaniu 30 numerów (w 17 rocznikach) przestało się ukazywać w 1980 roku".

Autor nie zauważył sprzeczności nawet w swoim własnym sformułowaniu. Wypada mu więc pewne rzeczy wyjaśnić, a przede wszystkim, że *Teki* jeszcze nie umarły choć żywot mają trudny. Przetrwały jednak swego

współzałożyciela gen. Mariana Kukiela, który zmarł w 1973 roku. Już po jego śmierci ukazał się redagowany przeze mnie tom XVII *Tek Historycznych* (1978-1980). Był dedykowany właśnie pamięci Mariana Kukiela i poświęcony głównie jego osobie. Następny tom XVIII *Tek*, wydany w stulecie urodzin gen. Kukiela oraz dla upamiętnienia II Kongresu Kultury Polskiej w Londynie, ukazał się w 1985 roku pod redakcją prof. dr. Stanisława Bóbr-Tylingo.

Przyczyna „wydawniczego kryzysu" jak to nazywa A.P., polegająca na istotnie nieregularnej ostatnio i zbyt rzadkiej częstotliwości ukazywania się pisma, leży jedynie w trudnościach finansowej natury. Na prośby Komitetu Redakcyjnego o wsparcie wydawnictwa jedynie Fundacja Lanckorońskich i Komitet Obywatelski Pomocy Uchodźcom Polskim odpowiedziały życzliwie i pozytywnie. Natomiast starania o uzyskanie gdzie indziej choćby jednorazowej, częściowej dotacji dla zasilenia szczupłej kasy PTH spotkały się z odmową i niechęcią. Fundacja M. B. Grabowskiego w Londynie możliwość udzielenia poparcia warunkowała doborem materiałów według jej uznania i wydawaniem pisma w języku angielskim co oczywiście przeczyłoby założeniom jego twórców. Bezowocne okazały się prośby skierowane do Kongresu Polonii Kanadyjskiej. Fundusz Pomocy Niezależnej Literaturze i Nauce Polskiej w Paryżu w ogóle był przeciwny dofinansowywaniu *Tek* motywując to istnieniem innych emigracyjnych periodyków historycznych, do których wspomożenia zresztą, o ile mi wiadomo, również nie przyłożył ręki. Przykra jednak była implikacja wynikająca z uzasadnienia tej decyzji, negująca jakby potrzebę i przydatność istniejącego już od dawna, mającego swoją wagę i cieszącego się niemałym uznaniem pisma, zajmującego się poza tym historią Polski w innym zakresie niż pozostałe wymienione periodyki. A nie wydaje mi się, że przestała istnieć racja bytu i potrzeba *Tek Historycznych* jako miejsca wypowiedzi i publikacji prac historyków polskich w wolnym świecie, mam również przekonanie, bynajmniej nie odosobnione, że i na likwidację ich wcale nie nadeszła jeszcze pora.

Łączę wyrazy szacunku

Zdzisław JAGODZIŃSKI



Washington, 8 lutego 1988.

Szanowny Panie Redaktorze!

W artykule pt. „Trylogia Stefana Korbońskiego" w *Zeszytach Historycznych* nr 82 Krystyna Kersten obdarowała mnie restauracją, której nigdy w swoim długim już życiu nie miałam. I teraz nie wiem, czy się tym cieszyć, czy martwić. Wspominając zaś, że byłam spikerką Głosu Ameryki, p. Kersten zostawiła mi głos, ale pozbawiła pióra, którym jako redaktorka władałam przez lat trzydzieści i jeszcze robię to do dziś. Ograniczam się do tych błędów, które dotyczą mojej osoby, ale pozwalam sobie zauważyć, że ścisłość zobowiązuje, zwłaszcza osoby pretendujące do roli recenzentów historycznych. Natomiast przyrównując „Trylogię Stefana Korbońskiego" do trylogii Sienkiewicza, mimo że i ta nie cieszy się łaską recenzentki, p. Kersten sprawiła mi dużą przyjemność, choć wątpię, by taki cel jej przyświecał.

Z poważaniem

Zofia KORBOŃSKA



Montreal, 8 lutego 1988.

Szanowny Panie Redaktorze!

W moim liście zamieszczonym w numerze 82 *Zeszytów Historycznych*, str. 232, popełniłem błąd, pisząc o spotkaniu ks. Salamuchy z gen. Rozwadowskim. Spotkanie było z gen. Rostworowskim. Za błąd przepraszam Pana Redaktora i czytelników *Zeszytów*. Liczę na poprawkę w następnym numerze *Zeszytów*.

Czytając w tym samym *Zeszycie* nr 82 recenzję p. Z. S. Siemaszki książki Kunerta, przypomniałem sobie, że o płk. Grodzkim pisałem w moim liście, wydrukowanym w *Zeszytach Historycznych* nr 36. Obawiając się, by mu nie zaszkodzić, jeżeli żyje w Polsce, określiłem go jako płk. X. Dyskutowałem z nim, jako tym, który w AK pracował w sprawach ziem zachodnich Polski, o sprawie ewentualnego współdziałania oddziałów partyzanckich AK i NSZ, wycofujących się przed ciągnącymi na zachód bolszewikami. Z książki Kunerta dowiedziałem się, że umarł on jako generał brygady Ludowego Wojska Polskiego. Miałem szczęście, że dowódca AK w pewnym momencie zabronił dalszych naszych rozmów.

W tym samym numerze 82 *Zeszytów Historycznych* znalazłem jeszcze jedną rzecz, która poruszyła moje wspomnienia. W dzieciństwie, aż do roku 1918, mieszkałem w Rostowie nad Donem, gdzie ojciec mój reprezentował szereg firm polskich. O piętro nad nami mieszkali państwo Izdebscy. Czterach synów i najmłodsza córka Emilia. Z Milą widywała się czasem w Warszawie moja siostra. W początkach okupacji niemieckiej zaproponowała mojej matce kupno części jej mebli, bo pracując w ZWZ musi zlikwidować swoje mieszkanie. Występowała wtedy pod nazwiskiem Malessa. Nie wiem, czy to nazwisko małżeńskie czy pseudonim. W artykule Rybickiego, str. 35, używa on imienia Marcysia. Była odpowiedzialna za całą zagraniczną łączność AK. A na procesie m.in. Rybickiego w 1945 roku sypie na całego wszystkich znanych sobie z ruchu oporu przeciw władzom komunistycznym. W drugim tomie swej książki Kunert wylicza ludzi, których życiorysy ukażą się w tomie trzecim. Jest między nimi i Marcysia. Ciekawe, jak w PRL-u można będzie opisać współdziałanie wysokiej funkcjonariuszki AK i WiN-u z panem Różańskim. Brat jej Aleksander, oficer, umarł w Anglii.

Z krótkiej poprawki do listu wyszła cała strona opowiadania. Liczę na druk poprawki.

Łączę wyrazy szacunku i pozostaję z poważaniem

W. M. MARCINKOWSKI



Londyn, 4 marca 1988.

Szanowny Panie Redaktorze,

Do znakomitego, jak zwykle, eseju Michała Hellera „Kamienie milowe 70-letniej Historii Związku Sowieckiego" (*Zeszyty Historyczne* nr 83) wkradło się kilka nieścisłości, które warto sprostować. W marcu 1939 odbył się nie XVII-ty, str. 44, lecz XVIII-ty zjazd KPZS. „Regulamin przewiduje, że ordery przedrewolucyjne mają być przypinane po prawej stronie piersi, a rewolucyjne — po lewej", str. 48. Otóż nigdy nie przywrócono w ZSSR prawa noszenia przedrewolucyjnych orderów. Jeśli zaś za takowe przyjąć (w cudzysłowie, naturalnie) ordery Suworowa, Kutuzowa czy Aleksandra Newskiego, ustanowione w czasie wojny przez Stalina, to rzeczywiście nosi

się je z prawej strony. Ale także z prawej strony nosi się order Czerwonej Gwiazdy oraz Ordery Wojny Patriotycznej I-go i II-go stopnia. „W każdym ministerstwie obowiązywał inny kolor materiału, inny krój munduru, inne pagony, lampasy, wypustki", str. 48. Nie w każdym, ale w niektórych ministerstwach ZSSR (i podległych im organach terenowych) wprowadzono w czasie wojny umundurowanie. Tylko w związanych z transportem i górnictwem oraz w dyplomacji a także w prokuraturze, sądownictwie i w systemie rezerw pracy. Bodajże również w ministerstwie finansów. W każdym razie zdecydowana większość ministerstw i urzędników państwowych mundurów nie nosiła. „... dwóch członków chruszczowowskiego Politbiura, F. Kułakow i K. Mazurow, niespodziewanie i tajemniczo zmarło", str. 63. Chodzi tu, oczywiście, o F. Kułakowa i P. Maszerowa, bo K. Mazurow żyje i nawet niedawno został przewodniczącym Ogólnozwiązkowego Stowarzyszenia Weteranów Wojny i Pracy.

Łączę wyrazy szacunku i poważania

Michał SADYKIEWICZ



Szanowny Panie Redaktorze!

Montreal, 27 grudnia 1987.

W nr. 80 i 81 *Zeszytów Historycznych* zostały wydrukowane wspomnienia p. W. Minkiewicza z zaznaczeniem, że zrobiono to „bez zgody i wiedzy autora".

Krępuje to bardzo jakąkolwiek dyskusję z nim. Niemniej niektóre wypowiedzi są tego rodzaju, że trudno na nie nie zareagować. Wprawdzie autor zaraz na początku zaznacza, że pisze swój pamiętnik, żeby sprostować wspomnienia innych i zdaje sobie sprawę, że i jego praca nie będzie bez pomyłek, ale niektóre z tych pomyłek nie są żadnymi pomyłkami, a są po prostu powtarzaniem szkalujących plotek i kłamstw o Narodowych Siłach Zbrojnych, rozpuszczanych w wojennym podziemiu i po wojnie przez innych.

Nie jest jasne, w jakim czasie były te wspomnienia pisane. Z treści wynika, że kończone były po roku 1985. Czyli, że do tego czasu autor powinien był wiedzieć już z innych źródeł i dyskusji publicznych, że wiele z jego twierdzeń sprzed 40 czy 30 lat zostało zdezawuowanych i po prostu ich nie powtarzać. Wybrał jednak inaczej.

Autor niejednokrotnie podkreśla swoją niechęć do NSZ i ONR, nie podaje jednak powodów. Jak wielu innych, nie chce dostrzec dziwaczności ówczesnej atmosfery politycznej, w której olbrzymia większość polskiej społeczności naiwnie wierzyła, że jej przywódcy — mając poparcie Anglosasów — wiedzą co robią i nie zdawała sobie sprawy, że rzeczywistość była zupełnie inna.

Tymczasem pogarszająca się sytuacja wojskowo-polityczna, która rokowała narodowi polskiemu ową „klęskę w zwycięstwie", spowodowała, że politycy tzw. oficjalnej linii, reprezentowanej zarówno przez Komendę AK, jak i Delegaturę Rządu i Grubą Czwórkę, potracili zupełnie głowy i polityka ich stała się stekiem niekonsekwencji z symbolem idiotycznego planu „Burzy" na czele. Nie chciano widzieć i uznać oczywistego faktu, że — czy nam się to podoba, czy nie — naród polski ma dwóch wrogów i do tego faktu należy dostosować własne działania polityczne. Dowcipy w rodzaju „sprzymierzeńca naszych sprzymierzeńców" tylko psychicznie rozbrajały polskie społeczeństwo.

Nic dziwnego, że w takiej atmosferze politycznej znalazła się jednak

pewna część społeczeństwa, która zakwestionowała sens tego rodzaju polityki, i dlatego naturalna dążność do jedności musiała osłabnąć.

Bo do czego jedność? Czy po to, by patrzeć bezczynnie jak Sowiety zrzucają swoją partyzantkę bez pytania nas o zgodę? Czy po to, żeby bez oporu kapitulować, wmawiając sobie samym, że to nie jest żadna kapitulacja, a tylko „wyższa" polityka? Czy koniecznie trzeba zwalczać Niemców w sposób, który by pomagał Sowietom? Itp., itp.

W konsekwencji jedni szlusowali do NSZ, inni (pozostając w oficjalnych formacjach) próbowali rozwiązań na własną rękę. Wprawdzie zarówno Komenda Główna AK, jak i Delegatura Rządu same zaczęły tworzyć specjalne komórki antykomunistyczne, ale ograniczyły się głównie do propagandy. Nie wszystkim to wystarczało i energiczniejsze żywioły, po cichu, przeszły do czynnej akcji zwalczania komunistów, ich wtyczek i agentów NKWD.

W ten sposób na przełomie lat 1943/1944 w podziemiu powstała wprost „dżungla", w której grasowało kilkanaście organizacji z komunistycznymi i NKWD włącznie, i w której ginęli „winni" i „niewinni". W tej to dżungli została też skomponowana słynna tajemnicza lista proskrypcyjna, która kursowała po podziemiu, a na której znalazły się nawet nazwiska osób zbliżonych do NSZ. NSZ nie miał z tą listą nic wspólnego, ale miał dużo wrogów, i ci korzystali z okazji, aby swoje ekscesy zwalać na NSZ. A ponieważ mieli w swoich rękach dużo większy aparat propagandowy — trzeba przyznać, że im się to udało. Masę osób w najlepszej wierze przyjmowało tę falę oszczerstw o NSZ za pewnik.

Dziwne, że p. Minkiewicz, który wykazuje taką znajomość stosunków w podziemiu, jakby nie słyszał o takich organizacjach, jak np. Antyk, Stożek, Start, II Oddział (który z obowiązku musiał się interesować penetracją podziemia przez komunistów i NKWD), a więc kontrwywiad, Korweta, 999, a także Pobudka, Konfederacja Narodu itd., itp. P. Minkiewicz zna jednak tylko NSZ i bezkrytycznie przyjmuje i przekazuje historii różne plotki. Np.:

> „...*Wiedzieliśmy* obaj, że z chwilą zbliżenia się klęski III Rzeszy, NSZ korzystając z możliwości, jakie dawała podziemna dżungla, postanowił rozprawić się krwawo ze wszystkimi, których uważał za swoich wrogów" *(Zeszyty Historyczne* nr 81, str. 173).

Skąd oni to „wiedzieli"??? Chyba od słynnej Agencji „JPP".

Albo pisze z całą powagą, że NSZ wydał wyrok śmierci na p. Knolla. Co mógł p. Knoll wadzić NSZ-owi? Czy to nie był straszak juszczony przez kogoś, komu zależało na pozbyciu się go z Warszawy?

Jeszcze lepszym przykładem są rewelacje i domysły autora na temat słynnej wówczas sprawy zamordowania Widerszala i Makowieckiego oraz próby obciążenia tą zbrodnią NSZ.

Jak wiadomo, zostali oni zastrzeleni przez nieznanych na razie sprawców w dniu 13 czerwca 1944 roku. Obydwaj zajmowali wysokie stanowiska w BIP-ie i sprawa nabrała ogromnego rozgłosu.

Przede wszystkim z miejsca oskarżono o to NSZ i z wielkim szumem zarządzono śledztwo. Ale już po kilku dniach wyniki tego śledztwa wywołały szaloną konsternację. Jak się okazało, nie było trudności z ustaleniem, kto był bezpośrednim sprawcą, bo herszt tej grupy (pseud. Sudeczko) wcale się z tym nie krył, ani z tym od kogo dostał polecenie (kpt. W. Jamontta). Uważał bowiem, że zrobił „dobrą patriotyczną" robotę. Dostał przecież to zlecenie od oficera kontrwywiadu II Oddziału Komendy Głównej AK!!!

Reakcja była natychmiastowa! Zastrzelono szybko Sudeczkę i wystrzelano tych z jego oddziału, którzy w tej akcji brali udział. Trupy przecież nie

mówią ani, do jakiej organizacji należeli za życia, ani od kogo dostali rozkaz. No i z tym większą energią rozpętano już całą nagonkę na NSZ.

W polskim podziemiu linia podziału politycznego przebiegała przez rodziny i grona najbliższych nieraz przyjaciół. Toteż wiadomości o całej tej sprawie przeciekły szybko i do NSZ. W kilkanaście dni po zabójstwie ksiądz Salamucha spotkał przypadkowo na ulicy płk. Rostworowskiego (znali się z okresu rokowań o scalenie NSZ z AK) i wręcz zaatakował go z pretensją, dlaczego AK oskarża NSZ o to morderstwo, kiedy doskonale wie, że zrobili to ich ludzie. Na to dostał odpowiedź, że tak musi być, ze względu na rokowania z AL-em w owym czasie. (W parę tygodni później niestety obydwaj zostali zamordowani przez Niemców, w różnych naturalnie okolicznościach).

Kto otarł się o akcje likwidacyjne w podziemiu wie, że wykonawcy z tzw. komórek likwidacyjnych (przeważnie młodzi chłopcy w wieku 15-18 lat) nie znali zwykle szczegółów winy danego delikwenta. Dostawali rozkaz i strzelali do wskazanego im osobnika, wierząc święcie, że likwidują agenta Gestapo. Niestety w takiej dżungli działy się i świństwa. Miało to nawet swoją nazwę: „podłączenia", które były zmorą dowódców takich oddziałów. Ci też, dostawszy z góry rozkaz, nieraz nie wiedzieli więcej niż ich podwładni. Wszystko opierało się na zaufaniu. I zdarzały się wypadki, że gdzieś na linii rozkazodawczej ktoś potrafił się „włączyć" i załatwiał brudną prywatną „robotę". W podziemiu zdarzały się sytuacje, że akcja musiała być wykonana w pośpiechu, bo opóźnienie jednej godziny mogło stanowić o życiu kilku czy kilkunastu osób: nie było czasu na sąd. I na tej podstawie odbywały się nieraz „włączenia".

Grupa Sudeczki była „prywatną własnością" swego dowódcy. Nie należała oficjalnie do żadnej organizacji politycznej, ale miała bliskie stosunki z kontrwywiadem AK poprzez kpt. W. Jamontta, i z Kierownictwem Walki Podziemnej poprzez kpt. Alfreda Kurczewskiego (pseud. Ambrozja) kierownika IV Wydziału Obserwacyjno-Likwidacyjnego, dla których wykonywała „specjalne" akcje. Na 2 dni (tj. 11 czerwca) przed akcją zastrzelenia Widerszala i Makowieckiego grupa ta brała udział w słynnej wówczas akcji uwolnienia więźniów ze Szpitala Jana Bożego, wykonanej wspólnie z żołnierzami kpt. Kurczewskiego. Czy członkowie tej grupy orientowali się, że po tej wcześniejszej, ładnej robocie — ta druga po dwóch dniach była „brudna" i że zostaną za nią zastrzeleni? Można mieć grube wątpliwości. I dziwny też wydaje się ten pośpiech w ich likwidacji. Wcale nie jest jasne, czy nastąpiło to na podstawie wyroku jakiegoś sądu, czy też bez. Wprawdzie prof. A. Gieysztor w *Słowniku Biograficznym* (Tom XIX, zesz. 2, str. 225) podaje, że „... Wykonawcy ci zostali w lipcu 1944 ukarani z mocą wyroku rozstrzelaniem; odpowiedni komunikat KG AK został przesłany do BIP-u już podczas powstania 5 sierpnia i dlatego nie został ogłoszony". Cóż, kiedy ten komunikat podaje: „Wykonawcy, chociaż sami nieświadomi dokonywania zbrodni, będą musieli stanąć przed sądem, który ustali stopień ich winy. Karząca ręka sprawiedliwości dosięgnie również i inspiratorów tych zbrodni, gdyż dochodzenia w sprawie wykrycia winnych są już na ukończeniu".

Czyli, że dopiero „będą musieli stanąć przed sądem". Dziwne, dlaczego komunikat ten nie został ogłoszony, skoro prasa powstańcza wychodziła codziennie do końca powstania. Nie jest też znany w całości na Zachodzie. Nie ma go w Studium Polski Podziemnej w Londynie. Jest podobno zachowany w całości w archiwum PPR-u w Warszawie.

Powstanie przerwało zainteresowanie tą sprawą. Zresztą zarówno Kom. Gł. AK, jak i komunistom odpowiadało skarżenie NSZ. Po wojnie, w 1949 roku UB aresztowało Jamontta i po straszliwym śledztwie skazano go

na śmierć (Bierut zamienił na dożywocie); w 1956 roku wypuszczono go na wolność. Dopiero w roku 1958 płk Rzepecki spowodował, że sprawą tą zajął się sąd koleżeński ZBoWiD-u, który jednak Jamontta uniewinnił, „ponieważ dostał on nakaz likwidacji od swoich zwierzchników i działał w dobrej wierze" (!). Ci „zwierzchnicy" naturalnie nie byli z NSZ. Byli to płk W. Niedenthal (pseud. Karol) z kontrwywiadu AK, przy współpracy Witolda Bieńkowskiego (pseud. Wencki) z Departamentu Spraw Wewnętrznych Delegatury Rządu.

Zorientowawszy się, że ślady prowadzą w „nieprzyjemnym" kierunku — dalej już nie dochodzono także i na Zachodzie.

P. Minkiewicz z uporem jednak szuka powiązania tej sprawy z NSZ na tej podstawie, że kiedyś — przed 10-ciu laty — Jamontt należał do ONR przez kilkanaście miesięcy, skąd wraz z B. Piaseckim zostali usunięci z „trzaskiem".

Takie domysły i powiązania, to przecież typowy sposób, w jaki UB fabrykowało i przygotowywało fałszywe oskarżenia swych ofiar, z czym osobiście zetknął się p. Minkiewicz i na co się tak oburza w swoich wspomnieniach. Teraz zastosował podobne metody do NSZ i plotki na nich oparte chce przekazać historii.

Dopiero stosunkowo niedawno „rozwiązały się języki", gdy na przełomie lat 1985/1986 w tygodniku *Polityka* w serii pt. „Kto zamordował, kto zlecił?" rozgorzała polemika wśród osób, które otarły się o tę sprawę, dorzucając dużo nowych szczegółów. Są to numery: 49 (7-XII-1985), 4 (25-I-1986), 14 (5-IV-1986), 24 (14-VI-1986) i 52 (27-XII-1986).

Wśród tych artykułów prof. Ryszard Nazarewicz, po przedstawieniu atmosfery owych czasów i podsumowaniu opublikowanych zeznań, wspomnień i dokumentów, konkluduje:

> „Ale zamordowanie Makowieckiego i Widerszala nie było dziełem NSZ".

Obszerniejsze opracowanie sprawy zamordowania Makowieckiego i Widerszala ukaże się w V *Zeszycie do Historii Narodowych Sił Zbrojnych*, który wyjdzie z druku przy końcu 1988 roku w Chicago.

Łączę wyrazy poważania

T. SIEMIĄTKOWSKI

SPIS TREŚCI

WSPOMNIENIA

DOKUMENTY

CI, CO ODESZLI

RECENZJE

OKRUCHY HISTORII

LISTY DO REDAKCJI

Achevé d'imprimer le 27 mai 1988 sur les Presses de l'Imprimerie Richard 24, rue Stephenson, 75018 Paris.
Dépôt légal : 2e trimestre 1988. — N° d'imprimeur 8932.

